

NAJBARDZIEJ PIORUNUJĄCA KSIĄŻKA ROKU

Ł O W C A

B U R Z



Reed Timmer

GWIAZDA „LOWCY BURZ” DISCOVERY CHANNEL

Andrew Tilin

Timmer Reed
współpraca Andrew Tilin

ŁOWCA BURZ

**Gwałtowne tornada, zabójcze huragany
i niebezpieczne przygody w ekstremalnych
warunkach pogodowych**

tłumaczenie Łukasz Müller

znak *litera
nova*

Kraków 2014

Dla mojej mamy

Burza moich marzeń

Marzenie zaczyna się od powiewu. Kiedy wyobrażam sobie skomplikowany proces powstawania najgwałtowniejszego i najbardziej tajemniczego ze wszystkich zjawisk pogodowych – niszczycielskiego tornada o największej intensywności w skali Fujity, wirującego z prędkością 500 kilometrów na godzinę – zaczyna się on od kojącego powiewu.

Tutaj, w środkowej Oklahomie, gdzie faktycznie mieszkam i gdzie tornada otrzymujące najwyższą kategorię F5 w meteorologicznej skali Fujity rzeczywiście raz za razem pustoszą okolicę, ten powiew przychodzi z południa. Powietrze jest parne – wilgotne i ciepłe. Kiedy dociera do twojej skóry, sprawia wrażenie gęstego niczym mleczko kosmetyczne i powoduje, że czujesz się tak, jakbyś został przeniesiony w jakieś egzotyczne miejsce. Bo prawie tak się stało. Ten wietrzyk rodzi się nad Zatoką Meksykańską, gdzie kiedyś owiewał plażowiczów.

W swoich marzeniach obserwuję, jak płynie to szczególne powietrze – meteorolodzy nazywają ten przepływ niskim prądem strumieniowym – jakby było rzeką ciągnącą się 300 metrów nad ziemią przez pół kontynentu, aż do Wielkich Równin. Kiedy to tropikalne powietrze napotyka inne masy powietrza nad Teksasem, Oklahomą, Nebraską czy Kansas, dzieje się coś dziwnego. Przestaje być spokojnym, kojącym powiewem.

Blisko powierzchni ziemi wilgotne powietrze zderza się z odmiennymi rodzajami powietrza napływającego z różnych kierunków. Z gorącym, suchym powietrzem z południowego zachodu Ameryki i z północnego

Meksyku. Z zimnym powietrzem z północy, wdmuchiwanym na południe, poprzez Kanadę, aż z Arktyki. Taka konwergencja nie zdarza się wszędzie, ale w środkowej Oklahomie nie jest bynajmniej niezwykłym zjawiskiem. Wielkie Równiny – które pogodowi maniacy mojego pokroju nazywają Aleją Tornad – są rzadko spotykanym, naturalnym punktem przecięcia dla wszystkich tych wiatrów. Mniej więcej 90 procent tornad odnotowywanych co roku w Stanach Zjednoczonych – około 800, a nawet więcej rocznie – schodzi w Alei Tornad.

Przy narodzinach mojego wyśnionego F5 wszystkie te ścierające się masy powietrza stosują się do meteorologicznego scenariusza. Gorące, suche powietrze daje atmosferze zastrzyk ciepła, służący za odskocznnię dla rozgrzanego teraz wilgotnego powietrza, które zaczyna się unosić w górę. Gdy byliśmy dziećmi, uczono nas, że gorące powietrze unosi się do góry – cząsteczki gorącego powietrza są bardziej ruchliwe niż cząsteczki zimnego, a ponieważ potrzebują dużo miejsca, żeby się poruszać, gorące powietrze rozpręża się, unosząc się do góry. Kiedy nad Aleją Tornad tworzy się F5, to wznoszenie się jest gwałtowne i osiąga niekiedy prędkość ponad 160 kilometrów na godzinę. Znajdujące się w pobliżu zimne powietrze jeszcze bardziej nasila ten proces, zmuszając sąsiadujące z nim gorące powietrze do szybszego unoszenia się w górę.

Potem, mniej więcej 1,5 kilometra nad ziemią, wilgoć we wznoszącym się powietrzu ulega kondensacji, tworząc mgłę. Jest to meteorologiczny odpowiednik płetwy rekina wynurzającej się z wód oceanu. Stanowi początek chmury burzowej, a to pierwsza widoczna oznaka niebezpieczeństwa.

Zazwyczaj unoszące się w chmurze powietrze szybko się ochładza podczas przemieszczania się do góry i chmura przestaje się wznosić. Ale nie podczas formowania się F5. Unoszenie się powietrza – prąd

wstępujący – nie zamiera. Kondensacja wilgoci postępuje nadal, a śladowe ilości unoszącej się mgły kumulują się, bardzo podobnie jak to się dzieje z kulą śniegową, która tocząc się w dół zbocza, zbiera coraz więcej śniegu. Tylko że w przypadku F5 „kula śniegowa” wznosi się do nieba. W wilgotny wiosenny dzień ludzie z Alei Tornad mogą się odwrócić i nie patrzeć w niebo zaledwie przez kilkanaście minut, żeby skosić trawnik czy umyć samochód. Kiedy znów uniosą wzrok, zobaczą, że bezchmurne wcześniej niebo zostało oszpecone – a raczej zdominowane – przez samotną, oświetloną słońcem śnieżnobiałą złowieszczą chmurę.

Ta wyraźna chmura z moich marzeń gwałtownie się powiększa, a jej wysokość rośnie od kilkuset metrów do kilku, a potem kilkunastu kilometrów. Przedziera się przez troposferę i wchodzi w stratosferę, aż osiągnie wysokość 21 kilometrów. Jest to cumulonimbus i, jak niektórzy mówią, w swojej najbardziej radykalnej, strzelistej postaci przypomina wyglądem chmurę w kształcie grzyba kojarzoną z wybuchem jądrowym. Zważywszy, co tornado F5 może zrobić zarówno z ludźmi, jak i z ich dobytkiem, to porównanie wcale nie jest przesadzone.

Zgodnie ze skalą Fujity, z której bierze się oznaczenie „F5”, takie tornado może równać z ziemią domy, zmieniać samochody w latające pociski i odzierać drzewa z kory. Skala Fujity jest powszechnie przyjętą „skalą zniszczeń” kategoryzującą tornada, biorąc pod uwagę spustoszenie, jakie sieją, a „F5” stosuje się jedynie do oznaczania najbardziej niszczycielskich trąb powietrznych – takich, które wirują z szacunkową prędkością w przedziale od 419 do 512 kilometrów na godzinę. Skala została stworzona w 1971 roku przez meteorologa Uniwersytetu Chicagowskiego Tetsuyę „Teda” Fujitę, a jej pozostałe pięć kategorii również odwołuje się do charakterystyki zniszczeń i szacunkowych prędkości w celu sklasyfikowania wszystkich innych tornad: F0 (poniżej

116 kilometrów na godzinę), F1 (117–180 kilometrów na godzinę), F2 (181–253 kilometry na godzinę), F3 (254–332 kilometry na godzinę) i F4 (333–418 kilometrów na godzinę). W 2007 roku tę tak zwaną skalę F zastąpiono lekko zmodyfikowaną skalą EF (Enhanced Fujita Scale), czyli ulepszoną skalą Fujity. (Dla zachowania konsekwencji w całej książce trzymam się skali F, którą stosowano przez większą część moich najdawniejszych lat łowienia burz). Niezależnie od tego, której skali użyjecie, jeśli mówicie o „F5”, oznacza to niemal niewyobrażalną siłę.

Jak można było oczekiwać, w pobliżu podstawy tego wyimaginowanego i strzelistego cumulonimbusa działają rozmaite siły. Chmurę przeszywają wiatry wiejące na różnych wysokościach, z różnych kierunków i z różną prędkością. Jedna wichura może wieść z południowego zachodu z prędkością 80 kilometrów na godzinę na wysokości 1800 metrów, inna ze wschodu z prędkością 100 kilometrów na godzinę na wysokości 3000 metrów, a trzeci podmuch utrzymuje prędkość 30 kilometrów na godzinę blisko powierzchni ziemi. To zjawisko nazywa się uskokiem wiatru. Sprzeczne i przeciwstawne wiatry popychają i ciągną powietrze wewnątrz chmury, aż w końcu porusza się ono zgodnym, okrężnym ruchem. Ostatecznie powietrze wewnątrz chmury zaczyna wirować wokół osi poziomej, bardzo podobnie jak pranie wiruje w suszarce do bielizny.

Jednak turbulencje dopiero się zaczęły. Siła prądu wstępującego w cumulonimbusie działa jak dźwig, szarpiąc i przechylając cylinder wirującego powietrza wewnątrz chmury, jakby był rurą, która musi ostatecznie stanąć na jednym końcu. Kiedy prąd wstępujący wewnątrz chmury skończy przestawiać ten cylinder powietrza, będzie się ono teraz obracało pionowo niczym bączek.

Potem ożywia się mezocyklon. Potrafię go sobie teraz wyobrazić, chociaż nikt, kto znajdzie się w pobliżu takiej chmury, nie może go przeoczyć. Mezocyklon, który oznacza wirujący prąd wstępujący wewnątrz chmury, jest tak potężny, że zmusza część, jeśli nie całą chmurę, żeby również się obracała. Na tym widowisko się nie kończy. Wiele kilometrów w górze ciepłe i wilgotne powietrze, które spowodowało rozrost cumulonimbusa, w końcu się ochłodziło, sprawiając, że górna warstwa kryształków lodu rozprzestrzeniła się we wszystkich kierunkach niczym naleśnik. Teraz ten sam facet, który mył samochód, spojrzy być może w górę i zobaczy potężną, lśniącą wirującą chmurę w kształcie latającego spodka. Gdybym był na jego miejscu, a ta burza była prawdziwa, już bym się nie odwracał do tej chmury plecami.

Samotna chmura o tego rodzaju strukturze znana jest jako superkomórka burzowa. Posuwa się z rykiem naprzód, wypełniona wilgocią i ciepłym powietrzem, które dostaje się do środka, podczas gdy ochładzające się powietrze wydobywa się przez jej wierzchołek i spływa w dół. Towarzyszą jej wiatr, grzmoty, błyskawice i ulewny deszcz. Zimne kropelki wody tworzące chmurę zmieniają się w grad i zostają z powrotem zagarnięte przez prąd wstępujący, co sprawia, że przyciągają jeszcze więcej wilgoci i znów zamarzają, krążąc w chmurze do czasu, aż kulki gradu osiągną rozmiary piłek bejsbolowych. Wtedy spadają w końcu na ziemię, zabijając zwierzęta domowe, rozbijając szyby samochodów i wybijając dziury w dachach budynków.

Wyobrażam sobie coś jeszcze, co odrywa się z wnętrza burzy: chmurę stropową. Jest to charakterystyczna zwarta masa kondensacji tworząca się w pobliżu centrum obracającego się prądu wznoszącego burzy. Chmura stropowa może się znajdować zaledwie paręset metrów od ziemi i wirować jak bączek.

W tym miejscu nauka badająca tornada przestaje być precyzyjna. Z powodów, które nie są do końca znane, chmura stropowa wypuszcza cieńszy lej charakteryzujący się wzmożoną rotacją. Reagując na zmiany ciśnienia i temperatury, lej zniża się do ziemi, równocześnie zasysając powietrze do góry. Obracająca się chmura może zrobić się dłuższa i cieńsza, ale nie musi. Tornada mogą wyglądać jak trąby słoni, kominy, świdry czy kliny. Mogą być proste lub zakrzywione. Ich szerokość może się wahać od 100 metrów do ponad 3 kilometrów i mogą wirować przez kilka minut albo przez godzinę. Mogą być lśniąco białe w słońcu lub wydawać się czarne w cieniu, choć mogą także przybierać różne odcienie czerwieni, żółci, brązu i różu, w zależności od koloru ziemi oraz sztucznych materiałów, które porywają z ziemi.

F5 z moich marzeń nie wyrządza kolosalnych szkód ludziom ani ich dobytkowi. Widziałem wszelkie tego rodzaju zniszczenia: rynny zdzierane przez tornada F0 poruszające się z prędkością 100 kilometrów na godzinę, duże drzewa łamane w połowie przez F2 o prędkości 190 kilometrów na godzinę i całe dzielnice obracane w sterty gruzu przez F5 o prędkości 480 kilometrów na godzinę. Spotykałem półciężarówki ustawione pionowo i domy, które wręcz eksplodowały pod wpływem siły huraganu.

Tornado F5, które sobie wyobrażam – połyskujący biały komin – wiruje na niezabudowanej przestrzeni. Zbliżam się na tyle, że słyszę jego charakterystyczny świst przypominający ryk silnika odrzutowego. Czuję zapach ziemi, gdy tornado wycina zarośla i drzewa niczym jakaś gigantycznych rozmiarów kosiarka pozostawiająca po sobie wyraźną woń świeżo skoszonej trawy. Patrzę, jak ten samotny, nieregularny cylinder porusza się w sposób nieprzewidywalny to w jedną, to w drugą stronę.

Kiedy w leju zabraknie ciepłego, wilgotnego powietrza i F5 udławi się, zasysając własne zimne powietrze, ogromne wcześniej tornado zmienia się

w coraz cieńszą, wirującą linę i rozplywa się na niebie.

Właśnie takie zderzenie powietrza z wodą rządzi moim życiem. Wypełnia moje myśli. Popycha mnie do podejmowania ryzyka i stawiania się w sytuacjach, na które część ludzi patrzy z podziwem, ale inni z podejrzliwością. Resztę życia chcę spędzić właśnie na łowieniu tornad. Szczerze mówiąc, nie jestem pewien, czy mam jakiś wybór.

ROZDZIAŁ 1

Z perspektywy pierwszorocznika

To interesująca perspektywa: szukać szczęścia w tornadach. Dla tych nielicznych z nas, którzy są bezsprzecznie nimi zahipnotyzowani, łowienie tornad może być najbardziej fascynującym przeżyciem na świecie. Łowienie tornad wystawia na próbę twoją inteligencję i pozwala ci się zmierzyć z niesamowitymi, widowiskowymi siłami natury. Poza tym jest ono jak strzał w żyłę dla każdego ćpuna uzależnionego od adrenaliny, a jeśli robisz to wystarczająco często, może się stać twoim zawodem.

Jednak obsesja na punkcie tropienia tornad może także cię zabić lub okaleczyć, a nawet jeśli nie pozostawi po sobie fizycznych blizn ani nie zmusi cię do poruszania się o kulach, trudno ci będzie wyjść bez szwanku. Będziesz świadkiem śmierci i zniszczeń, które przyprawią cię o mdłości i wpędzą w przygnębienie. Twoja rodzina będzie się o ciebie martwiła. Inne osoby liczące się w tej dziedzinie będą miały dosyć grania drugich skrzypiec. Koledzy nie będą się zgadzali z twoim sposobem łowienia burz, więc z powodu swojej obsesji stracisz przyjaciół.

Dlatego kiedy przyjdzie do śledzenia tornad, musisz sobie zadać pytanie: jaką wartość ma dla ciebie ściganie – a naprawdę mam tu na myśli ściganie – tych gwałtownych, szalonych, pięknych marzeń?

Dwanaście lat temu, zanim jeszcze doświadczyłem wzlotów i upadków, zanim jeszcze zobaczyłem, do czego naprawdę są zdolne tornada, ich ściganie stało się dla mnie wszystkim.

Pamiętam dokładnie, kiedy te marzenia zaczęły mi się cisnąć do głowy. Byłem naiwnym osiemnastolatkiem i nadal brakowało mi ośmiu miesięcy

do potężnego rytuału inicjacji w dziedzinie łowienia burz – przechwycenia oszałamiającego, gigantycznego i zabójczego tornada F5.

Studiowałem. Byłem dziwacznym pierwszorzocznikiem i siedziałem w sali wykładowej pełnej osób marzących o zawodzie meteorologa. Wtedy jeszcze nikt – ze mną włącznie – nie sądził, że moje nazwisko stanie się synonimem tornad i paskudnej pogody. Prawdę mówiąc, jeśli czymś się wówczas wyróżniałem, to tylko tym, że wyglądałem na najmniej obiecującego studenta.

Zapamiętałem zwłaszcza zdanie pewnej koleżanki ze studiów na mój temat. Naprawdę uważała mnie za głupka.

Było wtorkowe popołudnie, kilka tygodni po rozpoczęciu jesiennego semestru 1998 roku. Siedziałem obok swojego nowego przyjaciela Ricka na zajęciach, które odbywały się w ciągnącej się bez końca sali Dale Hall na kampusie Uniwersytetu Oklahomy (Oklahoma University, OU) w Norman. Przedmiot nosił nazwę meteorologia 1111 i był obowiązkowy dla wszystkich studentów pierwszego roku OU studiujących meteorologię. Rick i ja spędzaliśmy czas na zajęciach, wymieniając się wiadomościami i rysunkami dotyczącymi rzeczy, które uważaliśmy za ciekawsze od nudnego wykładu. Nie inaczej było tamtego dnia. Kiedy napisałem coś na odwrocie papierowej serwetki i podałem ją Rickowi, on delikatnie, lecz z entuzjazmem uderzył pięścią w poręcz krzesła.

Właśnie wtedy siedząca w rzędzie przed nami blondynka odwróciła się w naszą stronę i posłała nam lekceważące spojrzenie. Nie musiała nic dodawać, żebym zrozumiał jej piorunujący wzrok. Mówił: „Uważajcie, proszę”.

Nie lubię, kiedy mi się mówi – nawet milcząco – co mam robić. Chciałem ją zignorować, ale zamiast tego skinąłem dziewczynie głową.

Trzy minuty później Rick przypadkowo strącił zeszyt ze swojego stołu, kiedy oddawał mi serwetkę. Zeszyt z trzaskiem uderzył o podłogę.

Tym razem blondynka odwróciła się i wyraźnie wypowiedziała do mnie następującą uwagę: „Dlaczego się popisujesz?”.

Sądząc z jej nastawienia, siedząca przede mną dziewczyna najwyraźniej uważała, że to tylko kwestia czasu, zanim poszukam sobie nowego kierunku studiów albo nowej uczelni. Meteorologia jest skomplikowaną i trudną nauką. Dla początkujących zrozumienie atmosfery ziemskiej i pogody – a raczej tego, co jesteśmy w stanie zrozumieć – wymaga intensywnego wkuwania matematyki i fizyki, zwłaszcza dynamiki płynów i termodynamiki. Kiedy byłem w ostatniej klasie szkoły średniej i starałem się o przyjęcie na OU, przeprowadzono ze mną rozmowę w ramach rekrutacji do Oklahoma’s School of Meteorology. Powiedziano mi, że Uniwersytet Oklahomy prowadzi jedne z najbardziej prestiżowych studiów meteorologicznych w kraju. Powiedziano mi również, że być może zostanę zawstydzony. Mniej więcej trzy na cztery osoby podejmujące te studia odchodzą lub odpadają przed uzyskaniem dyplomu.

Dziewczyna przypominała mi kilkoro innych studentów obecnych w sali wykładowej tamtego dnia: była atrakcyjna i wymuskana. Siedząc dokładnie za nią, widziałem, że jej gęste włosy były idealnie ułożone, jakby przygotowała się do występu przed kamerą. Może tak właśnie było. W 1998 roku studia meteorologiczne cieszyły się w całym kraju dużą popularnością. Było to sporą zasługą Helen Hunt i filmu *Twister*, wielkiego przeboju kasowego sprzed zaledwie dwóch lat. Film idealizował pogodę w ogóle, a łowienie burz w szczególności. Hunt, która oczywiście też jest atrakcyjną blondynką, uczyniła z obserwowania niebezpiecznej pogody – a zwłaszcza tornad – mieszankę nauki, romansu i przygody z dreszczykiem. Film był megahitem, a meteorologia zrobiła się nagle ekscytująca.

Mnóstwo dzieciaków kończących szkołę średnią uznało, że zrobi dzięki niej karierę. W mojej grupie na zajęciach z meteorologii 1111 było około 200 studentów i mógłbym się założyć, że część z nich – może nawet dziewczyna siedząca przede mną – znalazła się tam w nadziei, że staną się „pogodowymi celebrytami”. To znaczy, że chcieli zostać powszechnie znanymi prezenterami i prezenterkami pogody z intratnymi posadami w ogólnokrajowych sieciach telewizyjnych.

Rick i ja absolutnie nie nosiliśmy się jak celebryci. Prawdę mówiąc, nie umielibyśmy. Rick był wysoki, tyczkowaty i nieco introwertyczny dzięki spokojnemu, religijnemu wychowaniu na wschodzie, w rodzinnym stanie Delaware. Ja byłem całkiem przeciętnym, cherlawym, dziecinnie wyglądającym pierwszorocznikiem – nie mogłem się pochwalić zbyt bujnym zarostem, który pasowałby do moich niebieskich oczu i brązowej czupryny. Nadal miałem błyskawiczną chłopięcą przemianę materii i byłem całkowicie obojętny na modę. W tamten wtorek nosiłem to samo co praktycznie każdego dnia tamtej jesieni – szorty w kolorze khaki i biały T-shirt, który zafarbował mi w praniu na bladoniebiesko, oraz czarno-białe rolki.

Jako dziecko wychowywałem się w Grand Rapids w stanie Michigan i być może byłem zbyt niski i niezgrabny, żeby uprawiać w szkole średniej sporty zespołowe, ale jeździłem na wrotkach więcej, niż można byłoby się po mnie spodziewać, grając w ulicznego hokeja w swojej dzielnicy. Teraz rolki przydawały się jako sposób szybkiego poruszania się po kampusie. Nie przejmowałem się, że wyglądają idiotycznie. Dzięki nim docierałem na zajęcia na czas.

No, prawie na czas. Ponieważ często byłem pochłonięty czymkolwiek, co akurat robiłem – czytaniem książki czy słuchaniem muzyki – notorycznie spóźniałem się niemal na wszystko na OU, także na

meteorologię 1111. Właśnie dlatego prawie od razu przestałem zdejmować rolki, kiedy wchodziłem do sali wykładowej na zajęcia. Zjawiałem się spocony po błyskawicznej jeździe w stylu panczenisty ze swojego akademika. Potem wchodziłem ciężkim krokiem do sali, siadałem obok Ricka, nadal się pociłem (przysięgam, byłem stworzony do tego, żeby się pocić) i wyjmowałem zeszyt, jak tylko profesor zaczynał mówić.

Ale Rick i ja nigdy nie uważaliśmy na zajęciach zbyt długo. Poznałem go wkrótce po przyjeździe do Norman na studia. Mieszkaliśmy w tym samym akademiku. Początkowo trzymał się na uboczu, ale gdy tylko wciągnąłem go w rozmowę, stał się bardzo przyjacielski i zorientowałem się, że jest całkiem bystry. Obaj lubiliśmy grać w uliczną koszykówkę i kibicować uczelnianym drużynom. Prawdę mówiąc, Rick i ja zostaliśmy zagorzałymi fanami futbolu na OU – dwoma wariatami, którzy malowali sobie torsy i twarze na karmazynowy kolor Oklahoma Sooner przed każdym meczem rozgrywanym na naszym boisku. Poza tym było jeszcze coś, o czym siedząca przede mną w tamten wtorek na meteorologii 1111 dziewczyna nie mogła wiedzieć: obaj mieliśmy kompletnego bzika na punkcie pogody.

Dorastając, zarówno Rick, jak i ja oglądaliśmy Weather Channel, kiedy tylko się dało, i wypadaliśmy z domu za każdym razem, gdy pogoda się psuła. W czasie naszej kiełkującej przyjaźni niemal zawsze rozmawialiśmy o pogodzie – zwłaszcza o przerażających zjawiskach pogodowych, takich jak grzmoty, błyskawice, huragany i tornada. Byliśmy zgodni co do tego, że im gorsza pogoda, tym bardziej hipnotyzuje nas jej piękno i chaos. Obaj przyznaliśmy, że podjęcie studiów na OU miało niewiele wspólnego z możliwościami zawodowymi. Obaj przyjechaliśmy na tę uczelnię w ramach pielgrzymki na Wielkie Równiny – żeby poznać Aleję Tornad.

Norman jest światową stolicą gwałtownej pogody i właśnie dlatego tam się znaleźliśmy.

Meteorologia 1111 miała charakter zajęć wprowadzających. Zналиśmy już wszystkie te informacje z lektur. Rick i ja nie potrzebowaliśmy słuchać o szczegółach budowy anemometrów czy przyczynach powstawania cumulusów zwanych chmurami pięknej pogody. Obaj już dawno uczyliśmy się o tych rzeczach, będąc dziećmi mającymi obsesję na punkcie pogody.

A te notatki, które sobie przekazywaliśmy, bynajmniej nie były dziecinną zabawą.

Rick po cichu odłożył serwetkę na mój stół, żeby nie przeszkadzać drażliwej blondynce siedzącej przede mną. Rysunek, który mi podał, był wyimaginowanym wykresem ilustrującym warunki, które mogłyby doprowadzić do powstania potężnej burzy. Oś pionowa wykresu pokazywała wysokość w atmosferze, a pozioma temperaturę i wilgotność. Taki diagram termodynamiczny noszący nazwę skewT służy do oceny niestabilności w atmosferze. Rick naniósł na wykres linię, która wskazywałaby na unoszenie się gorącego i wilgotnego powietrza, co oznaczało zasadniczy warunek powstawania potężnych tornad, a mnie podnosiło ciśnienie krwi.

Przestudiowałem rysunek, skinąłem głową i szepnąłem do Ricka: „Ależ by było cudownie!”.

Niestety mój szepot jest dość głośny – szczerze mówiąc, niewiele rzeczy robię po cichu. Blondynka znów się odwróciła, tym razem mierząc mnie wzrokiem od stóp do głów. Otaksowała moje rolki, poplamioną koszulkę, pozbawioną zarostu twarz i triumfalny uśmiech, chociaż nie był skierowany do niej. Wyobrażałem sobie, że wyimaginowany diagram skewT Ricka staje się rzeczywistością.

Siedząca przede mną studentka pokręciła powoli głową, niewątpliwie zastanawiając się w milczeniu, czy traktuję meteorologię choć trochę na serio.

W tamtym momencie nie mogłem jej powiedzieć, jak bardzo na serio.

Nie rysowałem urojonych tornad tylko po to, żeby snuć fantazje, jak mogą wyglądać. Nie kreśliłem diagramów przedstawiających niestabilność atmosfery po prostu dla zabicia czasu. Rysowałem tornada na meteorologii 1111 dlatego, że była to najlepsza rzecz oprócz oglądania ich na żywo.

W ciągu tych pierwszych tygodni na OU żałowałem, że nie mogę nabazgrać na niebie tego, co gryzmołem na papierowych serwetkach. Ale obserwowanie burz w Oklahomie, jak miałem się wkrótce przekonać, wcale nie jest takie łatwe.

Po pierwsze nie miałem pogody po swojej stronie. Sezon burz w Alei Tornad (która ciągnie się w przybliżeniu od środkowego Teksasu na północ, przez Oklahomę, Kansas i Nebraskę, aż po kanadyjskie prerie) zazwyczaj zaczyna się wczesną wiosną, osiąga szczyt mniej więcej późną wiosną oraz wczesnym latem i przeżywa odrodzenie na jesieni, zanim zapadnie w sen zimowy. Nie mogłem się doczekać na jesienną próbkę przed długim oczekiwaniem do marca, kwietnia czy maja. Ale jak dotąd nie miałem szczęścia.

– Nic na radarze – powiedziałem, siedząc na łóżku w swoim pokoju w akademiku i oglądając najnowszą prognozę pogody w Weather Channel.

Drzwi do pokoju były otwarte na oścież, a Rick opierał się o framugę. Było to parę dni po naszym spotkaniu z blondynką na meteorologii 1111.

– Tylko błękitne niebo – dodałem, wyglądając przez okno.

– Coś zdecydowanie wisi w powietrzu – powiedział Rick, zatykając sobie nos palcami i odwracając się od pokoju. – Będę na swoim piętrze,

gdybyś mnie potrzebował. Na swoim bezzapachowym piętrze.

Skrzyżowałem ramiona, uznając, że dowcip był średnio zabawny. Potem rozejrzałem się po swoim zabałaganionym pokoju i wciągnąłem powietrze. Faktycznie cuchnęło.

Zorientowałem się, że będę miał problem mieszkaniowy, ledwie postawiłem walizki. Mój pokój w akademiku sam w sobie był świetny – mały, ale z dużym oknem, na siódmym piętrze jedenastopiętrowego ceglanego gmachu o nazwie Johnson Tower. Jednak moim współlokatorem był niechlujny, wielki i wyjątkowo śmierdzący (aczkolwiek bardzo miły) chłopak z Wirginii Zachodniej, a ja byłem okropny, jeśli chodzi o odkładanie na miejsce swoich rzeczy – zawsze wydawało się, że jest coś lepszego do roboty, na przykład nastawienie telewizora na Weather Channel. Mój przyjaciel mieszkający w tym samym budynku mógł wytrzymać w moim pokoju – który jego zdaniem śmierdział jak skwaśniałe mleko – tylko przez kilka minut.

Oprócz braku umiejętności chowania swoich brudów miałem i inne dziwactwa. Zwłaszcza jedno ogromne.

Miało związek z muzyką, która odgrywała wielką rolę w moim dzieciństwie. Moi rodzice rozwiedli się, gdy byłem mały, a matka, która była nauczycielką, została głównym opiekunem rodziny i wielokrotnie przekonywała mnie oraz moje dwie siostry, jak wielkie znaczenie ma wykształcenie i kultura. Kiedy byliśmy dziećmi, mama regularnie zabierała nas do filharmonii. Gdy miałem dziesięć lat, powiedziałem jej, że podoba mi się dźwięk oboju. Niedługo potem podarowała mi ten instrument.

Początkowo mama dopingowała mnie do grania, ale nie trwało to długo, bo szybko sam zacząłem się dopingować jeszcze bardziej. Był to powracający temat w mojej młodości – moja matka, powodowana silną motywacją, zachęcała mnie do robienia czegoś, a potem często stała z boku,

nie mogąc się nadziwić, jak zmieniam różne hobby w pasje graniczące z obsesją.

Dopóki moje obsesje dotyczyły takich rzeczy jak nauka czy muzyka poważna, mama mnie nie zniechęcała. Dlaczego miałyby to robić? Po pewnym czasie zacząłem świetnie sobie radzić z grą na oboju, do tego stopnia że zostałem ekscentrycznym licealistą, który jeździł na obozy muzyczne i wolał utwory poważne od piosenek pop. Kiedy złożyłem podanie na uniwersytet, OU dał mi częściowe stypendium, żebym mógł grać, co też robiłem przez całe studia licencjackie.

Ale kiedy przyjechałem do akademika w Norman, szybko nasłuchiwałem się mnóstwa muzyki płynącej z zestawów stereo moich współlokatorów. Początkowo łapałem się na tym, że nucę te melodie. Potem kupiłem sobie kilka albumów rockowych. Wtedy nastąpiło coś takiego, jakby przestawił się we mnie jakiś przełącznik. Muzyka pop zaczęła brzmieć naprawdę dobrze, a ja nigdy nie miałem jej dosyć.

W tych pierwszych dniach na OU byłem młodym, wychowywanym do tej pory pod kloszem dzieciakiem na granicy obsesji kompulsywnej, który dopiero dorastał i buntował się, malując ciało i imprezując z okazji każdego meczu futbolowego, a Vivaldiego i Mozarta przehandlował na rap i klasycznego rocka. Co więcej, ku irytacji moich kolegów z akademika, ulubione piosenki puszczałem w kółko.

Pewnego niedzielnego popołudnia pod koniec września podniosłem słuchawkę w swoim pokoju i wykręciłem numer Ricka. Mieszkał trzy piętra nade mną.

– Halo – powiedział, a ja, zanim się odezwałem, wcisnąłem pauzę w stereofonicznym odtwarzaczu CD. Po raz dziewiąty z rzędu słuchałem *Glory Days* Bruce'a Springsteena.

– Mówi Reed – przedstawiłem się. – Chciałbyś zejść na dół i pograć trochę w ultimate?

Byłem pewien, że mojemu współlokatorowi przyda się odpoczynek ode mnie, a także od Springsteena. Poza tym potrzebowałem zaczerpnąć świeżego powietrza. Musiałem się trochę wyładować po tym, jak drużyna futbolowa OU przegrała poprzedniego wieczoru. W czasie meczu Rick i ja, rozebrani do połowy i pokryci od pasa po włosy karmazynowymi barwami Oklahomy, wrzeszczeliśmy i wiwatowaliśmy przez kilka godzin.

Trawiaste boisko przed moim akademikiem było rozległe i znajdowało się na otwartej przestrzeni. Był to idealny teren do rozgrywania spontanicznych, otwartych meczów ultimate frisbee i oczywiście idealny dla takich początkujących meteorologów jak Rick i ja, którzy chcieli mieć chmury na oku.

W połowie gry spojrzałem w górę i zauważyłem, że na północy tworzy się coś niezwykłego. Stałem jak wryty.

– Spójrz na to – zwróciłem się do Ricka, wskazując na samotną śnieżnobiałą formację chmur na niebie.

On także przystanął. Większość pozostałych graczy nadal była w ruchu.

– To – powiedział, wciąż ciężko dysząc po biegu – wygląda ciekawie.

Kilka minut później Rick, ja i jeszcze jeden gracz o imieniu Chuck szliśmy z powrotem w stronę akademika w poszukiwaniu radia, telewizora czy komputera, żeby uzyskać odpowiedź na palące pytanie: czy ta samotna, wysoka jak wieżowiec formacja chmur w kształcie kalafiora powstająca na północy może wywołać tornado? Rick i ja nigdy nie widzieliśmy tornada na własne oczy, ale obaj oglądaliśmy w telewizji mnóstwo filmów wideo z tornadami. A tornado często powstają z burz z gwałtownymi niezależnymi strukturami chmur.

Nie musieliśmy iść dalej niż do stołówki na parterze, żeby usłyszeć wiadomość. Normalny program telewizyjny przerywano ostrzeżeniami przed tornadem.

– Gońmy je – powiedziałem do Ricka i Chucka.

Chuck nie studiował meteorologii, ale był pierwszorocznikiem OU mieszkającym w pobliskim akademiku. Nasze zainteresowanie pogodą co najmniej go zaintrygowało. Jeśli chodzi o Ricka i o mnie, potrzebowaliśmy kogoś takiego jak Chuck, żeby towarzyszył nam w naszej dziewiczej pogoni za burzą w Oklahomie. Miał cztery kółka. Ani ja, ani Rick nie mieliśmy samochodu na uczelni.

Po kilku minutach jechaliśmy na północny wschód autostradą międzystanową numer 44 rozklekotanym SUV-em Chucka. Na karoserii było więcej rdzy niż farby.

– Może będzie wyglądało jak komin – powiedziałem podekscytowany, wyobrażając sobie jeden z klasycznych kształtów tornada, gruby i prosty. – Albo jak trąba słońca. – Trąba słońca jest cienka i zakrzywiona.

– A co powiesz na gigantyczny klin? – odezwał się rozmarzony Rick z tylnego siedzenia. Tornada w kształcie klina są szersze niż wyższe.

Chuck, pyzaty, wesoły chłopak, zerknął na mnie. Jechałem na siedzeniu obok niego. Zobaczył, że wyciągam szyję, żeby popatrzeć w niebo przez przednią szybę, i także podniósł na chwilę wzrok. W gasnącym świetle dnia ta gigantyczna czarno-jasnoniebieska cylindryczna chmura nadal odcinała się od bladego nieba.

– Ten dziwoląg ma jakąś nazwę? – zapytał.

– To cumulonimbus – powiedziałem z uśmiechem, bo wcześniej wielokrotnie natykałem się na nie w książkach i w telewizji, ale nigdy nie widziałem takiej chmury na własne oczy. – Cumulonimbus w wolnym

tłumaczeniu z łaciny znaczy spiętrzona chmura deszczowa – dodałem. – Może być zwiastunem tak zwanej superkomórki burzowej.

Cumulonimbus, wyjaśniłem Chuckowi, tworzy się, gdy strumień wyjątkowo ciepłego i wilgotnego powietrza powstaje w atmosferze, która poza tym pełna jest zimnego powietrza. To ciepłe, wilgotne powietrze jest lżejsze od otaczającego go zimniejszego powietrza i chce szybko popłynąć do góry. I rzeczywiście, szczyt kolumny ciepłego powietrza gwałtownie unosi się w górę.

– Bardzo podobnie jak jeden z tych wielkich balonów na ciepłe powietrze lecących w stronę słońca – dodałem i kontynuowałem wyjaśnienia, tłumacząc mu, że kolumna ciepłego i wilgotnego powietrza ostatecznie wytwarza więcej zimnego powietrza, które przyspiesza wznoszenie się ciepłego powietrza.

– Chmura żywi się sama sobą. Staje się większa i groźniejsza – powiedziałem.

Chuck skinął głową, ale powoli i bez przekonania. Bojąc się, że traci zainteresowanie, przeszedłem do rzeczy. Powiedziałem mu, że superkomórka burzowa to cumulonimbus obejmujący wznoszące się i wirujące wiatry.

– Czasami dochodzą do tego gwałtowny deszcz i grad – dodałem. – Ale co najważniejsze, superkomórki mogą dawać początek tornadom.

Chuck ponownie skinął głową, tym razem z większym entuzjazmem.

Jechaliśmy już parę godzin, ale nadal nie widzieliśmy żadnych tornad. Jednak w gasnącym świetle pojawiła się potężna błyskawica. Grzmot, który po niej nastąpił, był głośniejszy od wszystkich, jakie kiedykolwiek słyszałem.

– Hurra! – wrzasnął Rick – Witajcie w Oklahomie!

– Niesamowite! – krzyknąłem. – Jedź dalej!

Chuck dzielnie prowadził jeszcze przez chwilę. Błyskało się wszędzie dokoła nas i gdy zapadła noc, zobaczyliśmy, że pioruny uderzają w ziemię i wywołują pożary traw. W tej surrealistycznej scenerii pomarańczowe płomienie nadawały niebu złowrogi czarno-fioletowy odcień, a ja poczułem się, jakbyśmy opuścili Aleję Tornad i wkroczyli do jakiegoś podziemnego świata. Potem pogoda zrobiła się jeszcze bardziej apokaliptyczna. Wjechaliśmy wprost w potężną nawałnicę, więc Chuck musiał zwolnić i wlec się w ślimaczym tempie, bo wycieraczki przedniej szyby nie mogły nadążyć z usuwaniem wody. Po deszczu nastąpiło monstrualne gradobicie. Grad był większy od ćwierćdolarówki – dwa razy większy od największego, jaki widywałem, wychowując się w Michigan.

– To jest burza z Michigan na sterydach – zawołałem, przekrzykując łomot gradu bębniącego w przednią szybę i w dach.

– Jak długo to potrwa? – odkrzyknął Chuck.

Okazało się potem, że jego SUV wyszedł z tej burzy mocno uszkodzony przez grad. Koniec końców samochód miał wgłębienia jak piłka golfowa.

– O rany! – zawołał Rick, wyglądając przez okno po swojej stronie.

Nie byłem całkiem pewien, czy Chuck i Rick są równie jak ja podnieceni tą gwałtowną burzą, ale poczułem ogromny przypływ radości i adrenaliny. Naprawdę czułem się tak, jakbyśmy byli na jakiejś niezwyklej przejażdżce w wesołym miasteczku.

– Niesamowite! – krzyknąłem. Nie mogłem się powstrzymać.

Kiedy grad ustał, pojechaliśmy jeszcze kawałek dalej, ale burza osłabła, a światło słoneczne całkiem zniknęło. Łowienie tornad w ciemności jest bardzo niebezpieczne, bo ich nie widzisz. Możesz wjechać wprost na drogę, po której porusza się lej kondensacyjny.

W końcu zawróciliśmy. Ale wielogodzinna droga powrotna do Norman wcale mi się nie dłużyła. Miałem wrażenie, jakby to była runda honorowa.

Jeśli chodzi o próbę zaobserwowania tornada, popełniliśmy mnóstwo błędów. Rick i ja nie wiedzieliśmy, jakich subtelności w budowie superkomórki należy szukać. Nie byliśmy wyposażeni w wiele cennych danych meteorologicznych, które mogłyby nam pomóc w odtworzeniu zachowania się burzy. Nie mieliśmy nawet radia, żeby słuchać komunikatów pogodowych, ani dobrej mapy. Jeszcze nie wiedzieliśmy o istnieniu szczegółowych map pokazujących drugorzędne drogi, od których łowcy burz często są uzależnieni, zarówno wtedy, gdy ścigają tornada, jak i wtedy, gdy przed nimi uciekają.

Zamiast tego Rick, Chuck i ja w zasadzie zabraliśmy się do łowienia burz po omacku, to znaczy wyposażeni w entuzjizm, strzępy wiedzy gromadzonej podczas oglądania latami telewizyjnych komunikatów meteorologicznych i w zardzewiały samochód terenowy, którego karoseria była już teraz solidnie powgniatana. Jeśli weźmie się to wszystko pod uwagę, okaże się, że nie mieliśmy właściwego sprzętu, żeby zobaczyć tornado.

Ale ja nadal tryskałem energią. Byliśmy świadkami najtrudniejszych warunków pogodowych, z jakimi kiedykolwiek miałem do czynienia. Chociaż mieszkałem w Oklahomie dopiero niecały miesiąc, wiedziałem, że znalazłem się we właściwym miejscu. Tamtejsza pogoda mnie fascynowała. Była jak dzikie, oszalałe zwierzę. Ponieważ moja obsesyjna wrażliwość już dawała o sobie znać, nie mogłem się doczekać, żeby nauczyć się, jak je tropić.

Ale po kolei – najpierw musiałem zaprzyjaźnić się z techniką. W OU moi koledzy z akademika powiedzieli mi, że w internecie jest wiele sekretów

pomocnych w skutecznym łowieniu burz. Ja oczywiście już sporo wiedziałem o sieci, ale kiedy dorastałem, moja mama zdecydowanie ograniczała mi czas spędzany przed ekranem (choć często odwracała wzrok, kiedy włączałem telewizyjne komunikaty meteorologiczne). Starła się, żeby zainteresowania jej dzieci nie były związane tylko z muzyką i kulturą, ale obejmowały również nauki ścisłe i przyrodnicze oraz zabawę na świeżym powietrzu.

Jednak na OU miało się wrażenie, jakby wszyscy urodzili się z myszką w ręku. Moi koledzy z akademika, z których wielu studiowało meteorologię i informatykę, najwyraźniej znali każdy zakątek internetu. Rozbierali na części swoje komputery i składali je na nowo. Dla zabawy. Byli uzależnieni od interaktywnych gier wojennych.

– Chodź na górę – powiedział niecierpliwie Rick, kiedy po trzecim dzwonku odebrałem telefon w swoim pokoju.

Było to parę tygodni po naszym pościgu za burzą z Chuckiem, w niedzielne przedpołudnie 4 października.

– Co się dzieje? – zapytałem, przyciszając odtwarzacz CD. Przymierzałem się do wysłuchania po raz dwudziesty siódmy z rzędu, jak Jay-Z i Jermaine Dupri śpiewają *Money Ain't a Thang*.

– Chodź, zobacz, co mam na ekranie. To niesamowite – powiedział.

Mój współlokator wyszedł – właśnie dlatego w telewizji szedł na cały regulator Weather Channel i grała moja ulubiona muzyka. Wyłączyłem wszystko, a idąc korytarzem, myślałem o tym, co zobaczyłem zaledwie kilka godzin wcześniej...

Wraz z kilkoma kumplami grillowałem przed akademikami do późnej nocy, kiedy niebo nad nami zrobiło się ciekawe. Długie pasmo upiornych chmur zawieszonych zaledwie 300 metrów nad ziemią kierowało się na północ, przepływając obok księżyca ze zdumiewającą prędkością –

poruszało się mniej więcej tak szybko jak samochody jadące autostradą. Te chmury stanowiły część niskiego prądu strumieniowego (low level jet stream, LLJ), który jest tą pozorną rzeką letniego wiatru często płynącą w szybkim tempie wprost przez Wielkie Równiny. Obecność silnego niskiego prądu strumieniowego sugerowała, że pojawią się burze. W sezonie tornad LLJ często przenosi ciepłe wilgotne powietrze z południa do Alei Tornad. To tropikalne powietrze, jak próbowałem wytłumaczyć Chuckowi podczas naszej pierwszej pogoni za burzą, jest kluczowe dla pojawiających się w ślad za nim gwałtownych zjawisk pogodowych.

Podniecenie Ricka musiało mieć związek z LLJ (mam na myśli to, że drużyna futbolowa Sooner miała kiepski rok) – cóż innego mogło go aż tak poruszyć?

Rick siedział tam, gdzie zawsze siadywał w swoim pokoju w akademiku: przed komputerem. Był to ogromny desktop z typowym dla lat dziewięćdziesiątych dużym monitorem kineskopowym. Przykucnąłem obok niego. Rick był na stronie internetowej, która wyświetlała mapę przedstawiającą część równin. Wokół kilku stanów zaznaczono żółty zniekształcony okrąg. Linia okrężała północno-środkową i północno-wschodnią Oklahomę.

– SPC mówi, że dziś mogą się zdarzyć wielkie rzeczy – stwierdził Rick. – Wydało prognozę konwekcyjną. Zagrożenie umiarkowane.

– Naprawdę? – zapytałem podniesionym głosem. – Powiedz mi jeszcze raz. Gdzie znalazłeś tę informację?

Rick zamrugnął powoli.

– Zróbmy powtórkę – powiedział z westchnieniem. Już raz (albo i trzy razy) oprowadził mnie po portalach internetowych związanych z pogodą.

Rick poradził mi zrobić sobie zakładkę do portalu SPC, czyli Storm Prediction Center (Centrum Prognoz Burzowych). SPC jest oddziałem

National Weather Service (Krajowej Służby Pogodowej) mającym siedzibę w Norman mniej więcej z tego samego powodu, dla którego w Norman znaleźliśmy się Rick i ja. To miejsce jest strefą zero dla najbardziej ekstremalnych zjawisk konwekcyjnych w kraju. Główne zadanie SPC polega na dostarczaniu prognoz zjawisk konwekcyjnych (burzowych) w Stanach Zjednoczonych. Groźne konwekcyjne zjawiska pogodowe to takie, które są wywoływane przez wznoszące się gorące powietrze, i obejmują burze powodujące gwałtowne wiatry prostoliniowe (niezwiązane z rotacją), duży grad i oczywiście tornada.

Wiedziałem, że meteorolodzy i badacze z SPC nigdy nie chcą podnosić fałszywego alarmu – wydają poważne ostrzeżenia tylko wtedy, gdy naprawdę obawiają się, że warunki pogodowe, które obserwują, wywołają burzę. Nawet prognoza „umiarkowanego zagrożenia”, o której mówił Rick, oznaczała, że powstanie tornada jest rzeczywiście możliwe. Potem ostrzeżenia SPC stają się coraz bardziej złowieszcze. Całościowe prognozy zjawisk konwekcyjnych, które często skupiają się na jakimś regionie Stanów Zjednoczonych, mogą także zaktualizować ostrzeżenie do „wysokiego zagrożenia”. Po tych prognozach może nastąpić coś, co się nazywa „omówieniem mezoskali”, a następnie „czuwanie”. Z każdym krokiem przewidywania brzmią coraz groźniej i skupiają się na mniejszym obszarze geograficznym. Najbardziej złowieszcza prognoza – „ostrzeżenie” – jest wydawana przez poszczególne biura prognoz National Weather Service rozsiane po całym kraju. Ostrzeżenie (takie jak ostrzeżenie przed tornadem lub gwałtowną burzą) oznacza, że katastrofalne warunki pogodowe są nieuniknione lub już się pojawiły w określonych hrabstwach.

– Widzisz tę żółtą linię? – zapytał Rick, pokazując mapę na ekranie. Linia otaczała część środkowej Oklahomy. – I to, co w środku – mówił

dalej. – To obszar umiarkowanego zagrożenia. Prognozowany na dzisiejsze popołudnie.

Studiowałem przez minutę obraz na ekranie. Zaczynałem rozumieć, dlaczego Rick nie może się oderwać od monitora i dlaczego ma już ponad dwadzieścia zakładek do portali internetowych związanych z pogodą. Internet mógł dostarczyć najświeższych informacji o pogodzie – znacznie więcej, niż dało się ustalić na podstawie zwykłego patrzenia w niebo.

– Początkowo wszystkie te szczegóły dostępne w sieci mogą sprawiać wrażenie przeciążenia informacją – powiedział, opierając łokieć na biurku, a czoło na dłoni, i klikając myszką, przechodził z jednego ekranu na drugi w obrębie portalu SPC. – Ale gdy tylko zorientujesz się, jak uporządkować dane, zdasz sobie sprawę, że są naprawdę cenne. Potem działają jak narkotyk. Nie możesz bez nich żyć.

Rick miał oczywiście rację. W następnych latach ja także stałem się niezłym maniakiem internetowym i wspominałem swoje pierwsze elektroniczne pomoce do śledzenia burz – najświeższe doniesienia telewizyjne i audycje odbierane na przenośnym radiu ustawionym na serwisy pogodowe – jako prymitywne narzędzia.

Mimo to tamtego dnia na początku października lekcja udzielona mi przez Ricka sprawiła, że w głowie kręciło mi się od szczegółów i terminologii. Chciałem zacząć działać.

– No więc jakie są szanse, że tornado zejdzie dzisiaj? – zapytałem go, krzyżując ramiona.

Rick poklikał na kilku stronach na portalu SPC.

– Mniej więcej piętnaście procent – powiedział.

Serce zaczęło mi walić.

– Kiedy wyruszamy? – zapytałem.

Rick spojrzał na mnie i pokręcił głową.

– Dzisiaj oglądam stąd – powiedział, pokazując na ekran. – Nie chcę uganiać się za nimi wszystkimi.

Ale ja chciałem ścigać tę burzę. Chciałem ścigać je wszystkie.

– Nie chcesz mieć tej samej frajdy co parę tygodni temu? – zapytałem Ricka. – Tego gradu? Tych piorunów? Kto chce utknąć w czterech ścianach, kiedy można zasmakować pogody w 3D?

Rick wzruszył ramionami.

– Czasami chętnie oglądam przedstawienie stąd – powiedział.

Z czasem miałem się przekonać, że punkt widzenia Ricka jest powszechnie podzielany. Okazało się, że wielu moich kolegów z wydziału meteorologii, nawet jeśli byli pasjonatami paskudnej pogody, często zadowalało się śledzeniem gwałtownych zjawisk pogodowych i tornad na ekranie. Oprócz tego czasami utrzymywali, że wszystko zdecydowanie przemawia przeciwko przechwyceniu jakiegoś konkretnego tornada. Albo od czasu do czasu rezygnowali z tropienia burzy, bo twierdzili, że odkryli jakiś zniechęcający szczegół wśród danych, które jej dotyczyły. Albo po prostu przyznawali, że łowienie burz zajmuje za dużo czasu.

W nadchodzących latach uznałem, że pesymizm i apatia nie mają sensu – opuszczenie pogoni za burzą było jak niepodrapanie się w swędzące miejsce albo zrezygnowanie z okazji siedzenia tuż przy boisku podczas meczu koszykówki tylko dlatego, że mecz mógłby się okazać łatwym zwycięstwem. A co by się stało, gdyby zarządzono dogrywkę, a ty utknąłbyś przed telewizorem, wściekając się, bo mogłeś tam być?

Niezależnie od całej przydatności internetu nigdy nie uważałem go za coś więcej niż fantastyczne udogodnienie i marną namiastkę rzeczywistości.

Pożegnałem się z Rickiem i szybko wróciłem do swojego pokoju. Podniosłem słuchawkę i wykręciłem numer Chucka.

– Gotowy na kolejne łowienie burzy? – zapytałem go.

– No, nie wiem, Reed – powiedział. – Mam zadanie domowe.

– Storm Prediction Center mówi, że to może być niesamowity dzień – stwierdziłem, trochę naciągając fakty. Powiedziałem mu, że mam najnowszą prognozę. Nie jestem pewien, czy to kupił. – To może być jedyna taka okazja w życiu – dodałem.

Wierzcie lub nie, ale im częściej łowiłem burze, tym częściej miałem w końcu takie wrażenie przy każdym pościgu.

Ale Chuck był z Oklahomy. Powiedział, że widywał tornada. Ja upierałem się, że jest różnica między chowaniem się przed nimi a polowaniem na nie, żeby być świadkiem ich wspaniałości.

– Spotkamy się przy moim samochodzie – powiedział w końcu.

Pół godziny później gnaliśmy na północ autostradą międzystanową numer 35 rozklekotanym SUV-em Chucka.

– SPC mówi, że burze są na północny zachód od nas. Będą się przesuwać na północny wschód – powiedziałem, starając się, żeby zabrzmiało to tak bardzo wiarygodnie, jak bardzo kręciło mi się w głowie, gdy przechylałem ją, żeby popatrzeć w niebo przez przednią szybę.

Ale szczerze mówiąc, to były dopiero moje drugie łowy na Alei Tornad. Tłumiłem czyste młodzieńcze podniecenie. Jeśli chodzi o łowienie burz, wciąż byłem kompletnym amatorem. Jednak Chuck nie musiał o tym wiedzieć.

– Powinniśmy dać radę wyprzedzić te burze – powiedziałem mu, kładąc sobie ręce na karku, zanim znów oparłem się plecami o samochodowe siedzenie. – Potem znajdziemy odpowiednie stanowisko, żebyśmy mogli obserwować schodzące tornada.

Niebo nad Oklahoma szybko wynagrodziło nam, że odważyliśmy się wyruszyć tamtego dnia. Już na samym początku jazdy napotkaliśmy

mammatusy. Te dziwacznie wyglądające chmury sprawiają wrażenie, jakby zwisały z wyższych chmur, a ich workowate kształty przypominają krowie wymiona (stąd nazwa). Mammatusy są utworzone przez wypukłości związane z ruchem opadającym zachodzącym w wysokich poziomych chmurach, które są zwiewane z wiatrem z wierzchołka chmury burzowej. Nie są niebezpieczne ani nie wskazują jednoznacznie na zbliżanie się burz czy tornad. Ale zwieszają się z chmur, które niekiedy rozciągają się poza rejon odległych burz. Mammatusy są niewątpliwie pięknymi i egzotycznymi chmurami.

– Takie chmury jak te widziałem dotąd tylko w podręcznikach – powiedziałem, gdy poprosiłem Chucka o zjechanie na pobocze, żebyśmy mogli się nacieszyć widokami. – Masz takie szczęście, że jesteś stąd.

Trochę dalej widoki okazały się jeszcze lepsze.

Na zachód od nas była niesamowita formacja chmur burzowych. Ich główna część miała charakterystyczny pionowy element, któremu towarzyszyła „chmura szelfowa”. Już sama nazwa daje pewne pojęcie o budowie tej chmury: chmura szelfowa rozciąga się poziomo znacznie poza strukturę pionowej chmury burzowej. Ale ten „szelf” może być zarówno gładki i okrągły jak latający spodek, jak i wić się niczym jakiś pozaziemski wąż wymyślony do kontynuacji *Avatara*.

Rzeczywiście, niebiescy ludzie mogliby wyskoczyć zza wielowarstwowej, wijącej się chmury szelfowej, którą napotkaliśmy z Chuckiem. Była biało-czarno-zielona.

Czyżby SPC wywiązało się z obietnicy?

– Jest tornado! – krzyknąłem, wskazując równocześnie ręką przez okno.

Chuck gwałtownie nacisnął na hamulec.

– Przepraszam – powiedziałem, ale zaraz znów dałem się ponieść emocjom chwili. – Jeszcze jedno! – zawołałem, wskazując na czoło chmury

szelfowej.

Chmura była dokładnie na zachód od nas. Poruszała się pełzającym ruchem obrotowym.

– Gdzie? Gdzie? – dopytywał się Chuck, próbując prowadzić.

– Kolejne! – krzyknąłem, pokazując dalej na lewo, na pewien punkt na chmurze.

Chuck zjechał na bok.

Przed chmurą pojawiło się i zniknęło kilka niemal niewidocznych wirów, czyli spiralnych powiewów wiatru. Zorientowałem się wtedy, że chmura szelfowa i idący w ślad za nią układ burzowy zmierzają prosto na nas.

– Musimy znaleźć schronienie – powiedziałem na wpół spanikowanym głosem, a Chuckowi wkrótce udzielił się mój niepokój.

Przycisnął pedał gazu i prowadził jak szalony, aż dojechaliśmy do wiaduktu na autostradzie. Zatrzymał się i wyłączył silnik. Wdrapaliśmy się po jednej ze skarp budowli, żeby móc ucześcić się jej stalowych dźwigarów.

Zaczęło padać, a wyjący wiatr zawiewał deszcz wprost na nas, chociaż byliśmy pod wiaduktem. Ale nie było widać żadnego tornada.

– Właściwie nie jestem pewien, czy to, co widzieliśmy wcześniej, to były tornada – przyznałem się Chuckowi, kiedy deszcz zelżał.

Przeczekując burzę pod wiaduktem, trochę sobie przemyślałem zaobserwowane zjawiska. Do jakiego wniosku doszedłem? Fałszywy alarm. Widzieliśmy tak zwane gustnada, czyli słaby, niegroźny wirujący wiatr podrywający kurz na niespokojnym przednim skraju burzy.

Wróciliśmy do samochodu kompletnie przemoczeni. Chuck nie od razu wyłączył silnik. Wydawał się poirytowany.

– Co robimy? – zapytał, odchylając się do tyłu na siedzeniu kierowcy, ze skrzyżowanymi ramionami. – W którą stronę?

Przydałaby mi się porada. Naprawdę mogłem wykorzystać SPC i kogoś takiego jak Rick, żeby powiedział mi, czego dokładnie szukać na portalu SPC. Ale czy internet miałby odpowiedzi na wszystkie pytania? Przecież mimo całego swojego internetowego sprytu Rick nie doprowadził nas do tornada podczas naszych ostatnich łowów.

– Jedź na południe – powiedziałem, chcąc być stanowczy, a może i sprytny. – Jeśli za tą burzą jest więcej superkomórek, będziemy się kierować na południe autostradą I-35. To idealna pozycja do obserwacji. – Wytarłem wodę skapującą mi z włosów na twarz. – Tornada powstają po południowej stronie burz – dodałem.

Nie do końca wiedziałem, czy to ostatnie zdanie jest zawsze prawdziwe, ale Chuck pytał o kierunek. Poza tym droga na południe prowadziła do domu.

Nastawiliśmy radio na stację nadającą wiadomości na falach średnich. Pomyślałem, że mamy szczęście. Podawano ostrzeżenia przed tornadem dla kilku miast leżących na południe od miejsca, w którym się znajdowaliśmy.

– Przejedziemy przez grad i deszcz w strefie burzy – powiedziałem, gdy Chuck przyśpieszył. Byliśmy w pobliżu granicy Oklahomy z Kansas. – Tornada często występują zaraz po drugiej stronie silnych opadów.

Dzięki Bogu moja rada nas nie zabiła. Tornada mogą posuwać się blisko intensywnych opadów deszczu i gradu pochodzących z tej samej burzy. Wielu łowców burz nie chce się przedzierać przez obfite opady pochodzące z superkomórki burzowej – jest to strategia nazywana w społeczności łowców burz „przebijaniem rdzenia” – bo grad może zniszczyć przednie szyby samochodów i wgnieść każdy centymetr kwadratowy karoserii. Co gorsza, możesz wjechać na oślep wprost w tornado, które bywa otoczone pasem opadów burzowych.

W dalszym ciągu swojej kariery łowcy burz zachowywałem się rozsądniej, gdy decydowałem się na przebijanie rdzenia, ale do pojawienia się takiej poziomu intuicji musiały jeszcze upłynąć lata. Chuck i ja byliśmy gotowi wjechać wprost w lej kondensacyjny.

Minimalnie przegapiliśmy okazję, żeby zobaczyć tornado (i dać się wessać do nieba) w pobliżu małej miejscowości Tonkawa w Oklahomie. Chuck nadal prowadził w deszczu i gradzie, aż minęliśmy jeszcze mniejsze miasteczko Perry. Zaraz potem spojrzałem na wschód.

– Co to jest? – zapytałem, wskazując na dwa ciemne leje widoczne w odległości może niecałych 15 kilometrów.

– To, mój przyjacielu, są tornada – powiedział Chuck.

– Zatrzymaj się! – ryknąłem.

Z naszego punktu obserwacyjnego te dwa tornada wydawały się całkiem niepozorne – były cienkimi pionowymi liniami na horyzoncie. Ale ja miałem bujną wyobraźnię, więc ich odległa moc i tak podsyciała moje emocje. Staliśmy z Chuckiem na poboczu, a ja przybiłem mu mnóstwo piątek, żeby uczcić to wydarzenie.

Wkrótce się ściemniło, a my nadal radośnie przemykaliśmy się między pociskami w drodze do domu. Gdy w końcu Chuck wysadził mnie pod akademikiem, chciałem wbiec do środka i dowiedzieć się czegoś nowego. Nie mogłem się doczekać, żeby odkryć, co tylko się da, na temat burz szalejących tamtego dnia. Czy SPC właściwie mną pokierowało? Ile było tornad? Ale nie uszedłem zbyt daleko, gdy natrafiłem na ścianę ludzi. Opuszczali budynek.

– Wszyscy do piwnicy – warknął jeden z porządkowych. – Ostrzeżenie przed tornadem. Kampus jest zagrożony.

Do piwnicy? Nie ma mowy.

Sprzeciwiłem się poleceniu, jakie wydał porządkowy. Nie było to nic nowego. Kiedyś przekonałem nauczycielkę, żeby pozwoliła mi zostać w klasie, kiedy wszyscy inni ewakuowali się z powodu burzowej pogody. A sposób, w jaki swego czasu podchodziłem jadłowite węże i wspinałem się na wierzchołki dziesięciometrowych drzew, doprowadzał moją matkę do szaleństwa.

Tak więc podczas gdy moi koledzy z kampusu OU zeszli do podziemi, ja popędziłem przed siebie. W końcu wylądowałem o rzut beretem od akademików, jako jedyny klient pizzerii, która z niewyjaśnionych przyczyn pozostała otwarta. Wkrótce chrupałem pizzę pepperoni i z wielką niecierpliwością wyglądałem przez okno restauracji, tak jakby ulicą miało się przetoczyć coś równie niegroźnego jak parada z okazji 4 Lipca.

A co z tym nocnym tornadem, na które tak uparcie czekałem i które mogło uderzyć w Norman, mój akademik i budę z pizzą? Nigdy się nie zmaterializowało. Jeśli chodzi o tornada, które wtedy widziałem, były one jedynie dwoma z dwudziestu ośmiu, które przeszły tamtego dnia przez Oklahomę, dzięki czemu 4 października 1998 roku jest datą godną uwagi. Nastąpiło wtedy największe jesienne nasilenie tornad, jakie kiedykolwiek odnotowano w tym stanie. Ja jednak przegapiłem niemal wszystkie z nich. Musiałem się jeszcze dużo nauczyć.

Kiedy obudziłem się 5 października i usłyszałem o rozmiarach żywiołu, zadałem sobie jedno pytanie: gdzie były te tornada?

– Miało kształt stożka. Było ogromne. To niesamowite być świadkiem czegoś takiego – powiedział Danny, kolega z pierwszego roku meteorologii, który nosił okulary, kozią bródkę i nie krył się ze swoim wybujałym ego. Miał okazję dobrze się przyjrzeć jednemu z dużych tornad, które przeszły

tamtego dnia. Było to w pobliżu miasteczka Dover w Oklahomie. – Miałem wrażenie, że oglądam pazur szarpiący ziemię – dodał.

Danny, ja i dwudziestu kilku innych studentów meteorologii zgromadziliśmy się w pomieszczeniu zwanym salą map na trzynastym piętrze budynku o nazwie Sarkeys Energy Center. Sarkeys jest ceglanym monolitem mieszczącym biura, laboratoria, sale wykładowe i bibliotekę, usytuowanym w pobliżu północno-wschodniego narożnika kampusu OU. Wtedy w tym siedmioletnim wówczas gmachu mieścił się wydział meteorologii, a sala map była nieoficjalnym miejscem spotkań studentów wydziału. Codziennie ktoś z meteorologii przypinał komputerowy wydruk prognozowanej pogody dla stanu. Potem przez całe popołudnie i do późna w nocy wchodzili i wychodzili pogodowi maniacy, wypełniając salę zapachami meksykańskiego jedzenia na wynos, zaśmiecając podłogę pustymi butelkami po coca-coli i pokrywając znajdujące się tam tablice równaniami fizycznymi. Sala map oferowała komputery i panoramiczny widok na południowy zachód. Niemal z każdego biurka można było zobaczyć burze nadciągające z odległości 100 kilometrów.

W sali map toczyły się również niekończące się rozmowy o gwałtownych zjawiskach pogodowych – w jaki sposób powstają, do czego mogą doprowadzić i jak najlepiej je obserwować.

– Lej kondensacyjny był idealny, dokładnie taki, jaki moglibyście sobie wyobrazić – dodał Danny, rysując na tablicy tornado, które widział, dla niewielkiej grupki studentów. – Był piękny i przerażający. I fantastyczny.

Danny zwrócił się do mnie.

– Hej, Reed – powiedział. – A co ty widziałaś?

Pokrótce opowiedziałem o ciemnych bliźniaczych prążkach, które dostrzegłem ze sporej odległości. Byłem o wiele za daleko, żeby zobaczyć poszarpaną ziemię czy podać więcej szczegółów.

Danny, jak się później zorientowałem, przyjął podręcznikowe podejście nowicjusza do łowienia burz. Poprzedniego dnia wyruszył ze znacznie bardziej doświadczonymi ludźmi. Jestem pewien, że dużo się od nich nauczył i wrócił do sali map z niesamowitą opowieścią wojenną. Ja zastosowałem inną metodę. Byłem początkującym łowcą burz pracującym z partnerem, który wiedział jeszcze mniej ode mnie. Chuck przygotowywał się do studiów prawniczych.

Ściganie burz metodą Danny'ego – z wytrawnymi łowcami burz – prawdopodobnie pozwoliłoby mi osiągnąć lepsze rezultaty, ale mój wrodzony upór kazał mi robić to na własny sposób. Nie chciałem, żeby mama wskazywała mi, którego węża mam podchodzić, albo żeby porządkowy z akademika (choć może zachowałem się nierozsądnie) mówił mi, że mam się schować w piwnicy. Nie chciałem również, żeby inny łowca burz prowadził mnie na smyczy. Chciałem samodzielnie zrozumieć, jak się łowi burze, i obserwować pogodę po swojemu. To wynikało po prostu z mojego charakteru.

Na szczęście czas działał na moją korzyść. Przejście tornad 4 października stanowiło zakończenie sezonu 1998 roku, więc miałem przed sobą długą zimę.

W tym okresie nadal przychodziłem do sali map. Nie miałem oporów przed prowadzeniem rozmów ze studentami starszych lat i z kadrą OU z wydziału meteorologii. Przecież niektórzy z moich profesorów zajmowali się łowieniem burz od dziesięcioleci. Próbowałem zrozumieć zaawansowane koncepcje w rodzaju CAPE, co jest skrótem od „convective available potential energy” (energia potencjalna dostępna konwekcyjnie) i służy do pomiaru energii unoszącej się cząsteczki powietrza. CAPE pomaga łowcom burz poznać aktualne możliwości unoszenia się ciepłego powietrza – a tym samym możliwość powstawania burz – w atmosferze.

Nauczyłem się również doceniać znaczenie punktu rosy, to znaczy temperatury, w jakiej skrapla się para wodna. Punkt rosy powyżej 16 stopni Celsjusza, jak się dowiedziałem, oznacza, że w powietrzu jest wystarczająco dużo wilgoci, żeby przykuć uwagę łowców burz i, jak sobie wyobrażałem, żeby zasilić tornado.

Zacząłem się także przykładać do zajęć. Błagałem o czas przy komputerach – albo pożyczalem go i kradłem – gdziekolwiek udawało mi się je znaleźć, żeby dowiedzieć się, jakie informacje związane z meteorologią są dostępne w internecie. Równocześnie Rick i ja mobilizowaliśmy się wzajemnie, żeby regularnie wstawać wcześniej rano i opanowywać materiał do kursu meteorologia 1004, który był uciążliwym przeciwieństwem podstawowej (przynajmniej dla nas) meteorologii 1111. Na met 1004 było mnóstwo matematyki i fizyki. Patrzyłem, jak inni studenci zdradzają oznaki znudzenia, gdy wszyscy przerabialiśmy długie i skomplikowane cykle termodynamiczne i równania wiatrów.

Ponieważ czułem się coraz pewniej ze swoją wiedzą meteorologiczną i umiejętnościami prognozowania, na wiosnę 1999 roku przyłączyłem się do organizowanej co dwa tygodnie gry internetowej pod nazwą National Collegiate Weather Forecast Contest (Krajowy Akademicki Konkurs Prognozowania Pogody). Konkurs miał zasięg ogólnokrajowy. Przyznawano w nim punkty, a uczestnicy, których było około tysiąca, musieli przewidzieć najwyższe i najniższe temperatury oraz ilość opadów dla wybranych miast w całym kraju. Przez jakiś czas strasznie się miotalem, zajmując w pewnym momencie miejsce w trzeciej setce wśród swoich rywali, gdy usiłowałem przewidzieć pogodę w Chicago.

Jednak kiedy trzeba było sporządzić dwutygodniową prognozę dla miejscowości Pueblo w Kolorado, spróbowałem innej taktyki. Jeśli chodzi o pogodę, Pueblo jest niewdzięcznym miejscem – leży tuż na wschód od

Gór Skalistych, co oznacza, że szybko powstające górskie burze mogą zniweczyć prognozy. Przeprowadziłem wszechstronną analizę atmosfery w Pueblo. Czy wiatr wieje z zachodu, czy z południa? Czy na ten obszar napływają jakieś układy baryczne? Gdzie są burze? Niektóre prognozy dla Pueblo przewidywały zimowe temperatury i opady na poziomie połowy lutego. Ja jednak uznałem, że wilgoć zostanie wyżęta z burzowych chmur na długo, zanim dotrą one do tego miasta z południa Kolorado, albo że może się tam nasunąć układ wysokiego ciśnienia, a to trzymałoby chmury z daleka. Przepowiedziałem łagodną pogodę.

Dwa tygodnie później chciałem sprawdzić swoje wyniki. Potrzebowałem dostępu do komputera.

– Używasz swojego peceta? – zapytałem Ricka, gdy odebrał telefon w akademiku. Było to o północy w któryś poniedziałek.

– A jak myślisz? – odparł. – Dobra. Przyjdź na górę. Tylko się pośpiesz.

Pognałem do windy i dwie minuty później siedziałem przy biurku Ricka.

– Wiesz, miałem rację – powiedziałem, klikając na stronę konkursu. – Wiosna przysłała wcześniej do Pueblo. Przynajmniej tymczasowo.

– Jak na to wpadłeś? – zapytał Rick między łykami mountain dew.

– Po prostu nie zgadzałem się z tym, co przewidywały wzorcowe prognozy. Szczerze mówiąc, przeprowadziłem pewne badania. Załóż się o jutrzejszy lunch w Wendy's, że w tej rundzie znajdę się w pierwszej pięćdziesiątce – powiedziałem, klikając na inną stronę, żeby odszukać swój wynik.

Rick i ja uwielbialiśmy Wendy's.

– Gdzie wylądowałeś po tak fatalnej prognozie dla Chicago? – odparł. – Na siedemsetnym miejscu?

– Na trzysta któryms – sprostowałem.

– Przyjmuję zakład – odpowiedział.

Przejąłem. Dzięki swojej pracowitości i tym wszystkim badaniom zarobiłem przynajmniej darmowego burgera.

W połowie marca już mnie świerbiło, żeby znów zabawić się w meteorologa w terenie. Chciałem zastosować coś ze swojej nowo nabytej wiedzy i przemyśleń do prawdziwego łowienia burz. Zamiast tego czekała mnie kolejna nauczka.

– Co jest w tym plecaku? – zapytał Aaron z siedzenia kierowcy swojego samochodu.

Aaron był skromnym, tyczkowanym studentem meteorologii z Maryland, który grywał ze mną w koszykówkę na terenie uczelni i chciał łowić burze. Przyjąłem z zadowoleniem jego zainteresowanie, zwłaszcza gdy Chuck uznał, że nie ma już czasu ani cierpliwości na długie i ryzykowne wypadki w celu uganiania się za burzami. Jeszcze nawet nie ukończyłem pierwszego roku, a już straciłem partnera.

– Moja praca domowa z matmy – odpowiedziałem Aaronowi, rzucając plecak z książkami na tylne siedzenie. – Muszę skończyć zadania.

Za nic nie chciałem przegapić okazji zobaczenia tornada, ale też nie zamierzałem olewać prac zadawanych na uczelni. Samochód Aarona miał się okazać pierwszym z długiego szeregu pojazdów do łowienia burz, które w ciągu mojej studenckiej kariery służyły mi równocześnie za pokój do nauki.

Naszym celem była zachodnia część Arkansas. Prawdopodobieństwo, że przechwycimy tornado, rzeczywiście istniało, ale nie było duże – wartość CAPE wynosiła poniżej 1000, co oznaczało, że skierowany do góry ruch powietrza w atmosferze może nie być wystarczająco silny. Poza tym prognoza konwekcyjna SPC wskazywała na jedynie niewielkie ryzyko

powstawania gwałtownych zjawisk pogodowych na tym obszarze. Na Wielkich Równinach tornada rzeczywiście pojawiają się już w marcu, ale z niezbyt dużą regularnością. Często brakuje niektórych elementów meteorologicznej układanki.

Po czterech godzinach jazdy dotarliśmy z Aaronem do Arkansas. Było późne popołudnie. Trafiliśmy też na groźną pogodę i nie mieliśmy żadnych trudności ze zlokalizowaniem ogromnej nawałnicy w skłębionej czarnej superkomórce burzowej. Wiedzieliśmy obaj, że deszcz pojawia się zwykle na przednim skraju burzy oraz że burze na ogół przesuwiają się na północny wschód. Jednak niezależnie od tego, w jakim kierunku jechaliśmy, wydawało się, że deszcz posuwa się za nami. Wtedy jeszcze nie wiedzieliśmy, że prawdopodobnie znaleźliśmy się w strefie burzy wielokomórkowej, to znaczy skupiska burz, które mogą obejmować kilka prądów zstępujących połączonych z opadami deszczu, kilka mezocyklonów i wreszcie wywołać kilka tornad.

– Może zobaczymy arkę Noego – powiedział Aaron, podczas gdy wycieraczki na przedniej szybie jego samochodu pracowały pełną parą.

– Lepsze to, niż natknąć się na tornado – powiedziałem. – Jak my się stąd wydostaniemy?

W końcu udało nam się wyjechać z burzy, ale zaraz wjechaliśmy w następną, natrafiając na jeszcze silniejszy deszcz. Wszechobecna ulewa całkowicie nas dezorientowała, jakbyśmy się znaleźli w jakiejś gigantycznej myjni samochodowej. Tamtego wieczoru pojechaliśmy z powrotem, niemal nic nie zobaczywszy.

– Czy łowcy burz często wracają do domu z pustymi rękami? – zapytał Aaron, parkując samochód.

Niestety tak właśnie było.

– To się nazywa kłapa – powiedziałem, otwierając drzwi od strony pasażera.

Ale nie byłem zniechęcony i powiedziałem Aaronowi, że on też nie powinien być. Podczas moich zimowych wizyt w sali map kilku wytrawnych łowców burz powiedziało mi, że żadne łowy nie idą na marne. A to dlatego, że każdy wyjazd daje ci możliwość patrzenia w niebo, obserwowania chmur, wążania wilgoci, poczucia wiatru. Wszystkie te doświadczenia się sumują, mówiono mi. Nauczenie się interpretowania warunków pogodowych, kiedy jest się w terenie, zapewniano mnie, jest w każdym calu tak samo ważne jak zrozumienie praw termodynamiki czy poznanie najlepszych portali internetowych z prognozami.

Toteż kiedy tamtej wiosny raz za razem wracałem z pustymi rękami, powtarzałem sobie, że wszystkie te niewypały naprawdę składają się na moją edukację łowcy burz – wszystkie brały się z pogoni za marzeniem, którym było obserwowanie niesamowitych tornad. Tamtej wiosny, zanim skończyły się egzaminy końcowe na OU, łowiłem burze dziesięć razy i widziałem jedno tornado. Ale nie straciłem wiary. Wreszcie, na dzień przed moim egzaminem z analizy matematycznej, zadzwonił Rick.

– Coś się szykuje – powiedział. – Na jutro prognozują wyjątkowo gorącą, słoneczną i wilgotną pogodę. W dodatku wietrzną.

– Gdzieś w Alei Tornad? – zapytałem.

– Tak – odparł. – Dokładnie tutaj.

Następnego dnia na egzaminie z analizy matematycznej oddałem swoją pracę, zanim skończyłem rozwiązywać zadania. Kogo obchodziły pochodne i całki, kiedy tuż za drzwiami sali egzaminacyjnej zanosilo się na potencjalnie wielkie tornado? Ciągle myślałem, że ta burza będzie rekompensatą za wszystkie wiosenne niewypały z przewidywaniem burz.

Myślałem również, że ta burza, po tak wielu nieudanych próbach, wywoła tornado, które będę ścigał w idealny sposób: wraz z trzema kolegami zamierzałem trzymać się z dala od deszczu i zbliżyć się do rotujących wiatrów. Miało to być niezapomniane wydarzenie.

Z pewnością było niezapomniane, i to dla całego stanu Oklahoma, a dla mnie w szczególności. Potworne tornado z 3 maja 1999 roku zmusiło mnie, żebym po raz pierwszy w życiu zadał sobie pytanie, dlaczego właściwie zajmuję się łowieniem burz.

– Włącz radio – powiedział Rick, spoglądając w górę na chmury przez boczne okno samochodu. – Na razie nie widzę, żeby działo się coś szczególnego.

– Próbuje się zorganizować – powiedział mój przyjaciel Matt, który jednym okiem patrzył na drogę, prowadząc swój niewielki, przypominający dzipa samochód i kierując się na południowy zachód od Norman autostradą międzystanową numer 44. Drugim okiem śledził chmury. Nad pobliskimi wzgórzami zdążyła się już utworzyć duża jasnoszara superkomórka. – Wkrótce do tego dojdzie – dodał.

– Kierujcie się po prostu zdrowym rozsądkiem – radził podekscytowany prezenter wiadomości radiowych przez nasz samochodowy zestaw stereofoniczny, kiedy tak pędziliśmy przed siebie, a część nieba nad naszymi głowami pociemniała o mniej więcej siedem odcieni czerni. – Postarajcie się, żeby jak najwięcej ścian dzieliło was od otwartej przestrzeni.

Na długo zanim wyruszyliśmy z akademika – nasz zespół składał się tamtego dnia z Ricka, naszych dwóch kolegów z meteorologii Matta i Harolda oraz mnie – Storm Prediction Center wspomniało już, że tornado może wkrótce zejść w pobliżu jakiegoś gęsto zaludnionego ośrodka, takiego jak Oklahoma City, Norman czy Moore. O 11.15 przed południem

SPC wydało komunikat o umiarkowanym zagrożeniu, ale niecałe cztery godziny później zmieniło go na wysokie zagrożenie. Komunikat o wysokim zagrożeniu jest wydawany tylko kilka razy w roku, bo, jak mówi samo SPC, jest on „zarezerwowany dla najbardziej ekstremalnych zjawisk o najmniejszej niepewności w prognozowaniu”.

Do wszczęcia alarmu skłoniło meteorologów nasunięcie się nad Wielkie Równiny rozległej zatoki niżowej. Obszary niskiego ciśnienia przypominają gigantyczne zbiorniki ściąające otaczające powietrze. 3 maja gorące powietrze wpłynęło do obszaru niskiego ciśnienia z pustynnego południowego zachodu, podczas gdy wilgotne powietrze znad Zatoki Meksykańskiej popłynęło gwałtownie na północ. Następnie całe to ciepło i wilgoć zaczęły się szybko unosić do góry, skraplać i tworzyć gigantyczne superkomórki burzowe. Nad całym stanem.

Mniej więcej w tym samym czasie kiedy Storm Prediction Center wydało poważne ostrzeżenie, Matt zjechał na bok. Ale ja nie zamierzałem szukać schronienia. Prawdę mówiąc, wysiadłem z samochodu na utwardzone pobocze autostrady i próbowałem ponaglić matkę naturę.

– No, dalej! Spójrz, jak wiruje! – wrzasnąłem do nikogo konkretnego, idąc w roztargnieniu wzdłuż pędzących samochodów. – Zrzuć je! Wiesz, że tego chcesz! – dodałem, co zabrzmiało tak, jakbym był raczej rozochocionym nastolatkiem na meczu zapaśniczym, a nie żadnym studentem meteorologii.

– Natychmiast się ukryjcie! – ostrzegł spiker radiowy.

Wtedy, niemal jak na komendę, utworzyło się jedno tornado i zaraz potem następne. Wiry były cienkie, białe i znajdowały się kilka kilometrów od nas. Niczym niepewne, gigantyczne odnóża pająka, dźgały zielone pola i wzgórze znajdujące się na obrzeżach Norman i sąsiedniego miasta Moore.

– To jest absolutnie niesamowite – powiedział Rick, który stał obok mnie.

– Spójrzcie na te ssawki! – krzyknął Harold. Obok nas pędziły samochody.

Oba tornada wkrótce się rozwiały, ale to był dopiero początek. Dokładnie przed nami błyskawicznie utworzyła się szybko wirująca chmura stropowa. Trwało to zaledwie piętnaście minut. Chmury stropowe to te wyrzuczenia wywołane zwiększoną kondensacją pary wodnej, które tworzą się poniżej innych chmur i w pobliżu najsilniejszych wirujących wiatrów burzy unoszących się do góry. Są one często prekursorami tornad.

W krótkim czasie utworzyło się szerokie tornado.

– Spójrzcie na tego potwora! Jest rozjuszony – powiedział Matt. Głos trochę mu zadrżał. – Idzie w naszą stronę?

Matt mówił tak, jakby już dość zobaczył. Rick i Harold byli podnieceni. Ja dostawałem świra.

– Musimy jechać – oznajmiłem i Matt najwyraźniej poczuł ulgę. A potem dodałem: – Ruszajmy za nim!

To tyle na temat przemyślanego podejścia do tropienia tornad. Do głosu doszedł młodzieńczy entuzjazm. Miałem dziewiętnaście lat i pewnie mi się wydawało, że jestem nieśmiertelny. Chciałem gnać naprzód niczym kawaleria.

Podczas gdy my zajmowaliśmy się łowieniem burz w naszej okolicy, tornada schodziły w całej południowej części Alei Tornad. W podręcznikach do historii 3 maja 1999 roku zostanie odnotowany z powodu jednych z najbardziej niespotykanych w dziejach Stanów Zjednoczonych zjawisk meteorologicznych związanych z tornadami. Zanim burze osłabły, na obszarze obejmującym Oklahomę, Kansas i Teksas zeszło ponad siedemdziesiąt tornad. W sumie trąby powietrzne spowodowały

szkody, których wartość przekroczyła miliard dolarów, i spustoszyły miasto Moore w Oklahomie. W wyniku tej apokaliptycznej pogody śmierć poniosło prawie pięćdziesiąt osób, a ponad osiemset zostało rannych. Zniszczenia powstałe w wyniku burz były tak poważne, że Federal Emergency Management Agency (Federalna Agencja Zarządzania Kryzysowego) i inne organizacje rządowe musiały się ponownie zastanowić, gdzie ludzie powinni szukać schronienia przed tak drastycznymi zjawiskami.

Ściskając kierownicę jak w imadle, Matt ścigał tornado po kolejnych polnych drogach Oklahomy. Spadł ulewny deszcz, a potem zobaczyliśmy na ziemi kawałki gradu wielkości śnieżek. Ponagliłem Matta, żeby kontynuował pościg. Jego samochodem zarzucało na błotnistych ścieżkach.

– Liczne doniesienia o zniszczeniach! – trąbiło radio.

Jednak gdy tylko tornado, które mieliśmy przed sobą, się rozwiało, naszym oczom ukazało się kolejne, w odległości zaledwie kilku kilometrów przed nami, i skierowało się w naszą stronę. Było grube, okropnie szare i posuwało się w naszym kierunku tak szybko, że zaczęło zasysać otaczające powietrze z potworną siłą. Opuszczany dach samochodu Matta zaczął drżeć i świstać. Wysokie, grube drzewa zginały się pod naporem wyjącego wiatru.

Nie dało się już zapanować nad niewielkim dżipem Matta. Na drodze było coraz więcej wody. Zobaczyliśmy jakąś rodzinę kryjącą się w zakamarkach wiaduktu i uznaliśmy, że jeśli się do niej przyłączymy, będziemy mieli największe szanse uniknąć niebezpieczeństwa. Zaparkowaliśmy samochód i pobiegliśmy.

Potem tornado ruszyło wprost na nas. Grube konary drzew trzaskały jak zapałki, tyle że wydawały dźwięki podobne do strzałów karabinowych przebijające się przez barytonowe wycie tornada. Wszędzie fruwało błoto.

Zasysane przez tornado powietrze błyskawicznie przeciskało się przez każdą spoinę wiaduktu.

– O Boże! – jęknął Rick, gdy tornado się zbliżyło.

Przyjrzałem się przyjacielowi i zobaczyłem na jego twarzy i w jego nieruchomym spojrzeniu prawdziwy strach. Zdałem sobie wtedy sprawę, że pościg przestał być zabawą. Przyływ adrenaliny i przeciążenie sensoryczne należały do przeszłości. W ślad za nimi pojawiło się przerażenie.

Wiedziałem, że musimy się stamtąd wydostać. Jednak nie chciałem odchodzić. Strach, ale i dreszczyk emocji związany z tym, że znalazłem się tak blisko, całkowicie mną zawładnęły.

Potem znów spojrzałem na Ricka i zobaczyłem w jego oczach łzy.

– Uderzy w nas! – krzyknął, patrząc na ogromny klin, który był coraz bliżej. – O Boże!

ROZDZIAŁ 2

Czy to się dzieje naprawdę?

Kiedy patrzyłem, jak potężne tornado z Oklahomy kierowało metalową wieżę radiową, zbliżając się do wiaduktu, przyszła mi do głowy tylko jedna myśl: czy to się dzieje naprawdę? Co najdziwniejsze, po tym jak w cudowny sposób przeżyłem tamtą burzę, miałem mnóstwo powodów, żeby wciąż zadawać sobie to samo pytanie.

Żaden inny stan z Alei Tornad nie ucierpiał w wyniku tornad, które rozpętały się 3 i 4 maja 1999 roku, tak bardzo jak Oklahoma. W ciągu tych dwóch dni na terenie Oklahomy zeszło czterdzieści trąb powietrznych. Tornado, które obserwowaliśmy spod wiaduktu, okazało się najniebezpieczniejszym i najbardziej niszczycielskim lejem kondensacyjnym z nich wszystkich. Ostatecznie zostało zaklasyfikowane jako F5, bo prędkość wiatru (zmierzona za pomocą radaru mniej więcej 30 metrów nad ziemią) dochodziła aż do 512 kilometrów na godzinę. To największa prędkość wiatru, jaką kiedykolwiek zarejestrowano.

Oczywiście mogło się to dla nas skończyć znacznie gorzej. Furia tornada to słabła, to się nasilała, a lej był jeszcze groźniejszy, zanim się zbliżył do wiaduktu. Potem mieliśmy szalone szczęście – tornado skręciło nagle w lewo, zanim zdążyło pochłonąć Matta, Ricka, Harolda i mnie.

Tornado powstało 25 kilometrów od miejsca, w którym się znajdowaliśmy, mniej więcej o 18.30, i zaczęło swój żywot jako F3 z szacunkową prędkością wiatru między 260 a 320 kilometrów na godzinę.

To konkretne tornado krótko po zejściu na ziemię stawało się coraz potężniejsze. Może piętnaście minut po tym jak się utworzyło, wzmogło się

i powiększyło, osiągając szerokość 1200 metrów, a następnie zaatakowało niewielką miejscowość Bridge Creek. Unicestwiło tam nawet solidne domy o szkieletowej konstrukcji, zabijając trzytygodniowe niemowlę i trzymającą je kobietę, która schroniła się pod schodami. Zdarło asfalt z drogi i dachy z budynków, rozłożyło na części ciężkie maszyny i umieściło na odległych polach oderwane skrzydła samolotu.

Tornado jest jednak nieprzewidywalną bestią. Mają na nie wpływ zmiany w otaczających je wiatrach, intensywność jego prądu wstępującego, przemieszczanie się towarzyszącej mu burzy i panujące w niej warunki oraz tarcie wywołane wszystkim, co stanie mu na drodze. Z tych powodów, i z wielu innych, nie ma na świecie specjalisty od tornad, który mógłby wam powiedzieć ze stuprocentową pewnością, co dokładnie zrobi tornado w danej chwili, a co w następnej.

Kapryśność tornada F5 uratowała nas i kilka innych osób. Kiedy posuwało się w naszym kierunku, lej kondensacyjny uniósł z ziemi przyczepę kempingową, ale zaraz postawił ją z powrotem. Rodzinie, która była w środku, nic się nie stało. Inna rodzina straciła wszystkie drzewa orzecha włoskiego dające cień przed domem, ale w samym budynku nie została uszkodzona choćby jedna listwa wykończeniowa przy oknach. Matka i córka, które kulily się w domu w jednej z szaf ściennych, wyszły bez szwanku. Ich modlitwy zostały wysłuchane.

Matt, Rick, Harold i ja czuliśmy, że bardzo nam się poszczęściło. Widok nadciągającego w moją stronę tornada, po którego bokach pełno było różowej izolacji ze zniszczonych domów, a także gałęzi, części samochodowych i tamta pogięta wieża radiowa, był surrealistyczny. Ta masa chmur, wiatru i wilgoci wydawała się tak żywa i pełna buty.

A potem nie wiem, co się stało. Jakaś drobna przeszkoda przy zasysaniu gorącego i wilgotnego powietrza? Głęboko zakorzenione drzewo, które nie

chciało ustąpić i popchnęło tornado w innym kierunku? Niezależnie od tego, jaki był powód gwałtownego skrętu leja w lewo, kiedy patrzyliśmy, jak się od nas oddala, doznaliśmy niemal pozacielesnego uczucia ulgi.

Inni, którzy także kulili się pod wiaduktami na autostradzie, nie mieli tyle szczęścia. W pewnym momencie podczas przejścia tornada zabiło ono jedną osobę i zraniło mniej więcej jedenaście innych, które sądziły, że znalazły bezpieczne schronienie, kryjąc się pod autostradą. Podobnie jak ja uznały, że ogromny wiadukt może być przeszkodą dla nadciągającego wiatru i zapewnić im schronienie przed burzą.

Wszyscy się myliliśmy. Wiadukt jeszcze bardziej wzmacnia siłę wiatrów tornada i to aż o 25 procent, bo są one zmuszone przeciskać się przez stosunkowo małe otwory i szczeliny tej budowli. Ponadto wiadukty są położone wyżej, wobec tego kiedy się wspinasz, żeby się ukryć wśród podpierających je konstrukcji, również znajdujesz się wyżej. Ponieważ ziemia powoduje tarcie, które spowalnia wiatry tornada, wspinanie się pod wiadukt wystawia cię na większą furję żywiołu. Najgorsze ze wszystkiego jest to, że przebywanie pod wiaduktami naraża ofiary tornada na niebezpieczeństwo wywołane chmurą odłamków, czyli wszelkimi materiałami pochodzenia roślinnego i wyprodukowanymi przez człowieka, które są porywane do góry, miażdżone i miotane dokoła przez burzę. 3 maja ci nieszczęśnicy chroniący się pod wiaduktami, w których wiatr uderzył z prędkością ocenianą na ponad 320 kilometrów na godzinę, odnieśli przerażające obrażenia – rozczłonkowanie, roztrzaskanie kości i poprzębienie ciała. Jedna z osób, które wówczas zginęły, została później znaleziona pod mniej więcej dwuipółmetrową warstwą gruzu. W wyniku jej śmierci agencje rządowe i środki masowego przekazu zorganizowały zakrojoną na szeroką skalę kampanię informacyjną, żeby ostrzec ludzi przed wspinaniem się pod wiadukty w czasie tornad.

Gdy tornado zostawiło nasz wiadukt za sobą, skierowało się na północny wschód, posuwając się równolegle do autostrady międzystanowej numer 44, jakby wybierało się do Oklahoma City na kolację. Na pewno miałyby towarzystwo: był poniedziałkowy wieczór 3 maja 1999 roku i około 19.00 bardzo wielu mieszkańców miasta było w domach.

Burza rzeczywiście zahaczyła o południowo-środkową część Oklahoma City, miażdżąc osiedle mieszkaniowe znajdujące się naprzeciw Westmoore High School. Ale potem tornado skierowało się bardziej na wschód niż na północ, co było pomyślną wiadomością dla półmilionowej rzeszy mieszkańców stolicy stanu. Jednak Moore, czterdziestotysięczne przedmieście położone dokładnie na południe od Oklahoma City, nie miało tyle szczęścia. Według późniejszych raportów radarowych właśnie w Moore tornado osiągnęło niektóre ze swych szczytowych prędkości.

Zrównało z ziemią budynki komercyjne z taką łatwością, z jaką zmiata się okruchy ze stołu. Potem zaatakowało Regency Park, jedną z najgęściej zabudowanych dzielnic mieszkaniowych Moore, i pozostawiło po sobie szeroki pas okaleczonej ziemi. Pochłonęło domy i wypluło gruz w kolorach żółtym, niebieskim i jasnobrązowym – strzępy izolacji dachowej, kawałki płytek łazienkowych i dwumetrowej długości fragmenty desek podłogowych spadające z nieba. Samochody zaparkowane w Regency Park zostały porzucane i stały na dachach niczym psy leżące na plecach w geście uległości.

Mniej więcej dziesięć minut po tym jak tornado skręciło, wyszliśmy spod wiaduktu, pod którym się ukryliśmy. Jadąc samochodem Matta, podążaliśmy wzdłuż ścieżki zniszczeń najlepiej, jak umieliśmy, i szybko odkryliśmy chaos w zachodnim Moore. Osiemnastokółowa ciężarówka z naczepą rzucona na bok zniszczonego budynku, zerwane przewody elektryczne leżące w poprzek dróg, dezorientowane konie błąkające się po

jednej z ulic. Domyśliłem się, że ogrodzenie, za którym je trzymano, dawno zniknęło.

Rick, Matt, Harold i ja wyskoczyliśmy z samochodu, żeby spróbować pomóc członkom Gwardii Narodowej – którzy byli w gotowości, przewidując taką katastrofę – kierować ruchem. Małe odłamki unosiły się na wieczornym niebie niczym płatki śniegu. Czuliśmy woń gazu ziemnego i wiedzieliśmy, że jedna iskra może spowodować potężną eksplozję. To był straszny widok, więc wkrótce wróciliśmy na kampus. Zrozumieliśmy, że nie możemy się na wiele przydać. Musieliśmy się wycofać.

Tamtej nocy siedzieliśmy z Rickiem przed jego telewizorem, szczęśliwi, że mamy prąd, podczas gdy 145 000 innych mieszkańców stanu było zmuszonych gromadzić się przy świecach i radioodbiornikach. Byliśmy szczęściarzami także dlatego, że mieliśmy schronienie. Tornado nie przeszło przez Norman. OU musiał przełożyć część egzaminów, ale trudno było nazwać ten logistyczny problem tragedią.

Obrazy telewizyjne były niesamowite: zakrwawieni ludzie ocalali z katastrofy wyciągani z gruzów i pokryte sadzą niemowlę, które uszło z życiem i beczało jak jagniątko. Zdrętwiali gliniarze, którzy powiedzieli reporterom, że są zdezorientowani. Całe dzielnice zmieniły się w coś, co wyglądało jak sterty żużlu, a policjanci usiłowali odgadnąć, gdzie jest która ulica. Mieszkańcy Moore byli wyraźnie przybici. Niektórzy byli zbyt wstrząśnięci, żeby mówić. Inni otwarcie płakali.

Rick i ja byliśmy bardzo spokojni. Zastygliśmy w bezruchu w zimnej poświacie ekranu. Jak można powiedzieć coś stosownego, kiedy czuje się taki lęk i żal?

– Czy to się dzieje naprawdę? – powiedział drętwym głosem Rick. – Zniszczenia są po prostu ogromne.

– Ci biedni ludzie – dodałem. – Co za masakra. Nie mogę uwierzyć, że uganiałem się za tym tornadem – powiedziałem, zaciskając pięści.

To była prawda. Gdy tornado nas oszczędziło, zaczęła u mnie działać adrenalina i wystartowałem szalonym sprintem w ślad za nim. Tak jakby tornado bało się mnie. Mało brakowało, żebym zabił siebie i swoich przyjaciół, nalegając, by dostać się bliżej i bliżej. Wepchnąłem nas wprost na drogę nadciągającego tornada F5. Ładny był ze mnie łowca burz.

– Jak bardzo nam się poszczęściło? – zapytał Rick.

– Jak bardzo byliśmy głupi? – zapytałem. – Jak bardzo ja byłem głupi?

Żaden z nas nie chciał oglądać zniszczeń dobytku czy domów innych ludzi ani słuchać o ranach i śmierci. Nikt z naszej grupy nie wyjechał tamtego dnia z myślą, że podejmuje samobójczą misję. W moich marzeniach takie spektakularne tornado miało się pojawić i rozwiać w powietrzu na pustej przestrzeni, nie wyrządzając żadnych szkód, albo tylko niewielkie, w czymkolwiek dobytku. Niczyje życie nie miało być zagrożone, a tym bardziej nikt nie miał zginąć. Ale widok następstw tornada niszczącego miasto skłonił mnie do zastanowienia. Czy naprawdę potrafiłem znieść ten nieunikniony aspekt pościgu? Gra na oboju z pewnością miała swoje dobre strony.

Jednak obaj z Rickiem patrzyliśmy nadal. Obraz destrukcji całkowicie nas pochłonął. I wtedy przyszła mi do głowy inna myśl. Choć brzmi to ponuro, nie mogłem przestać patrzeć, bo chciałem zobaczyć, do czego jest zdolna pogoda. Oczywiście nie odczuwałem żadnej radości, ale potęga tornada mną zawładnęła. Byłem osłupiały i zaskoczony, widząc, co może zrobić trąba powietrzna.

Czy tylko ja miałem takie sprzeczne uczucia? W naszym akademiku – ba, w całym kraju – byli ludzie, którzy nie mogli oderwać wzroku od telewizora. Wszystkich nas przyciągał ten rzadki, wielki dramat, jakiego

dostarcza kłęska żywiółowa: widowisko, tragedia i brawura. W ciągu kilku godzin do środkowej Oklahomy miały ściągnąć zespoły kamerzystów i gwiazdy reporterskie z największych w kraju agencji informacyjnych. Przyjadą szukać wszelkich niesamowitych historii i materiałów filmowych, jakie da się znaleźć, na przykład moich opowieści spod wiaduktu i taśmy wideo, która tkwiła w mojej kamerze.

3 maja zabrałem ze sobą kamerę wideo. Chciałem upamiętnić to wydarzenie, a poza tym pomyślałem, że będzie zabawnie podzielić się ze swoimi przyjaciółmi czymś, co, jak miałem nadzieję, okaże się niewinną, ale wielką przygodą. Nie miałem pojęcia, że gdy nadejdzie 4 maja, to, co nagrałem, zmieni moje życie.

Poprzedniej nocy, kiedy wreszcie wyłączyliśmy wiadomości, pokazałem swoje nagranie wideo innym studentom z akademika. Szybko się rozniosło, że jest szokujące.

Scott Currens, inny student mieszkający w pobliżu, był doświadczonym łowcą burz, który odniósł pewien sukces, rzeczywiście sprzedając materiały filmowe przedstawiające tornada agencjom informacyjnym. Wtedy, w 1999 roku w całym kraju było może kilkadziesiąt osób zarabiających spore pieniądze ze sprzedaży nagrań wideo z burzami, podczas gdy wszystkich łowców burz było w Stanach pewnie kilkuset. Te liczby miały w końcu znacznie wzrosnąć. Ale kiedy byłem na pierwszym roku, nie wiedziałem, kim są ci ludzie, nie licząc kilku studentów i wykładowców OU, którzy byli łowcami burz, oraz paru filmowców od dawna zajmujących się burzami, takich jak Tim Marshall i Jeff Piotrowski, których nagrania oglądałem od dzieciństwa w programach meteorologicznych i informacyjnych. Z pewnością nie wiedziałem, że jest coś takiego jak społeczność łowców burz.

4 maja wcześniej rano Scott zadzwonił do mnie do pokoju, żeby zapytać, czy byłbym zainteresowany sprzedażem swojego nagrania wideo. Jasne, powiedziałem. Bawiła mnie sama myśl, że ktoś mógłby brać pod uwagę zakup mojego surowego materiału.

Niedługo potem Scott pukał do moich drzwi w towarzystwie zwalistego, wygadane go realizatora pracującego dla *Real TV*. W tamtych czasach był to program telewizyjny nadawany przez różne stacje specjalizujący się w wideoklipach i często pokazujący ekstremalne zjawiska uchwycone przez filmowców amatorów.

Realizator wyciągnął rękę na powitanie i zaraz wszedł do środka.

– Podobno znalazłeś się blisko tego zabójczego tornada – powiedział, marszcząc nos. Natychmiast dotarł do niego smród panujący w pokoju. – Mogę to zobaczyć?

– Oczywiście – odpowiedziałem, nie mogąc uwierzyć, że w moim pokoju w akademiku faktycznie jest realizator telewizyjny.

– Wie pan, byliśmy naprawdę blisko – dodałem, próbując wywołać trochę emocji.

Puściłem początek pościgu, kiedy Rick, Matt, Harold i ja staliśmy na poboczu autostrady i obserwowaliśmy dwa cienkie tornada dotykające ziemi w oddali. Zauważyłem, że na filmie dużo krzyczę i praktycznie pękam z dumy. Byłem naprawdę podniecony.

– To nudne – powiedział producent.

Jeśli może być coś gorszego od niespodziewanego przesłuchania, to niespodziewane przesłuchanie, które idzie kiepsko.

– No, hm, no tak – bąknąłem, próbując wymyślić jakąś mądrą odpowiedź. – Wrzeszczymy, bo, wie pan, jesteśmy meteorologami. To są niesamowite burze.

Wzruszył ramionami.

– Coś jeszcze?

Przewinałem taśmę do przodu. Producent rozejrzył się po pokoju. Panował w nim bałagan. Sprzątanie w ciągu roku akademickiego nadal miało niski priorytet – znacznie niższy niż łowienie burz, nauka czy słuchanie jakiejś dobrej piosenki dziewięć razy z rzędu.

Puściłem fragment nagrania od momentu, kiedy schroniliśmy się pod wiaduktem. Widać było samochód Matta i wznoszące się nad nim drzewa targane wiatrem. Było błoto i kępki trawy miotane w powietrzu. Były połamane gałęzie ciskane na wszystkie strony. W tle słychać było, jak Rick krzyczy: „O Boże!”. I było ogromne, ciemne, złowieszcze tornado zbliżające się w naszą stronę między drzewami.

– Okej – powiedział producent. – To jest dobre. Ile?

Ile... pieniędzy? Nie mogłem w to uwierzyć. Mój amatorski film miał się pojawić w ogólnokrajowej telewizji? Najpierw omal nie straciłem życia podczas burzy, potem otrzeźwiła mnie jej potworna niszczycielska siła, a teraz ktoś chciał mi zapłacić za moje wideo? Co będzie następne? Moja rodzina i przyjaciele w Michigan będą zachwyceni. Ale też się wkurzą, kiedy obejrzą nagranie i zobaczą, jak mało brakowało, żebym został poszkodowany przez to tornado.

Zgodziliśmy się na 500 dolarów. Uważałem, że to dużo pieniędzy. Nie miałem pojęcia, że realizator właśnie zapłacił komuś kilka tysięcy za gorszy materiał filmowy z tego samego tornada.

Niedługo po tym jak Scott i realizator wyszli, zadzwonił telefon. To był Scott.

– Posłuchaj – powiedział. – Sprzedaj swój materiał jeszcze raz.

– Jeszcze raz? – zdziwiłem się.

Scott wyjaśnił mi, że jest mnóstwo innych możliwości: programy podobne do *Real TV* nadające wideoklipy, standardowe telewizyjne kanały

informacyjne i wytwórnice telewizyjne, które robią filmy dokumentalne i inne programy o pogodzie.

– Właśnie teraz, kiedy to tornado jest takim gorącym tematem – powiedział – powinieneś pójść do stacji informacyjnych.

Scott udzielił mi wskazówek, radząc, żebym czym prędzej zasuwał do wozów transmisyjnych należących do stacji informacyjnych, które rozłożyły się obozem w Moore, w pobliżu ruin będących kiedyś dzielnicą Regency Park. Tam ktoś zdecyduje, czy mój materiał jest wart wykorzystania.

Kręciło mi się od tego w głowie. Miałem chodzić od drzwi do drzwi wozów transmisyjnych, zachwalając swój filmowy towar? Czy już i tak nie wykorzystywałem nieszczęścia innych ludzi? Czy to nie było niewłaściwe? Ale brnąłem dalej. Matt podrzucił mnie do Moore. Kiedy tam przyjechałem, poczułem się jeszcze bardziej nieswojo.

Nie sposób było przeoczyć tak wielu wozów transmisyjnych. Nie licząc wszystkich pojazdów służb ratowniczych, monstrualne ciężarówki z zabudowanym nadwoziem i kilkoma antenami satelitarnymi zaparkowane w rzędzie przed kościołem baptystów w Moore były jedynymi rzeczami w okolicy, które nie zostały poharatane czy obrócone w gruzy.

Kościół mocno ucierpiał. Duży krzyż i szyld, które wcześniej były umieszczone wysoko w górze na słupie, zwisały teraz do góry nogami, a szyld był kompletnie pogięty. W jedną ze ścian budynku wbiła się w dziwny sposób kantówka o przekroju 5 na 10 centymetrów. W pobliżu leżały w gruzach domy osiedla Regency Park, które wcale nie wyglądały jak domy. Wyglądały tak, jakby były efektem jakiejś ogromnej akcji wyburzania, mającej na celu zrównanie z ziemią starych budynków, żeby zastąpić je nowymi. Tylko że nie było żadnych planów przebudowy tej dzielnicy...

Jednak w wozach transmisyjnych nie było czasu na snucie refleksji. W tych pojazdach panował ruch jak w ulu: były to studia na kołach pełne ludzi pracujących przy stacjach roboczych wyposażonych w ekrany, przyciski i pokręta.

– Dam ci za to 100 dolarów – zaproponował realizator z ABC po obejrzeniu mojego materiału nakręconego spod wiaduktu.

Nie zawracałem sobie głowy proponowaniem mu, żeby obejrzał resztę taśmy. Pełna przerażenia scena spod wiaduktu była najwyraźniej tym, czego potrzebowały media.

Skinąłem głową z roztargnieniem. Bardzo odczuwałem ciężar całej serii przytłaczających zdarzeń. Podpisałem jakieś papiery i ruszyłem do wyjścia.

– Zaczekaj – powiedział realizator. – Nie jesteś ciekaw, kogo jeszcze to zainteresuje?

Byłem zdezorientowany. Czy nie sprzedałem właśnie swojego materiału temu facetowi? Do ABC?

Wyjaśnił, że przesłał moje nagranie drogą satelitarną, żeby rywalizujące ze sobą stacje mogły równocześnie obejrzeć mój materiał filmowy. W sensie handlowym oznaczało to, że nadal mogłem sprzedać nagranie. Producent wyświadczał mi przysługę, wystawiając moje wideo na swojego rodzaju wirtualnym bazarze medialnym.

Po chwili w wozie transmisyjnym zadzwonił telefon. Realizator z ABC przeprowadził krótką rozmowę z kimś po drugiej stronie linii.

Dzień 4 maja robił się coraz bardziej niesamowity.

– CNN chce to nagranie – powiedział producent. – Chcą też przeprowadzić wywiad – dodał. – Lepiej leć do nich.

Kogo, u licha, obchodziło, co jakiś dziewiętnastoletni student pierwszego roku myśli o pogodzie? Oklahoma i jej tornada bezsprzecznie były

w tamtym momencie najważniejszą wiadomością, ale CNN mogło zaprosić niejednego doświadczonego meteorologa, ekologą czy nawet którąś z dziarskich osobistości telewizyjnych zajmujących się pogodą, żeby przekazać Amerykanom więcej informacji na temat tego, co właśnie zeszło z nieba nad Aleją Tornad. Po co tuż po potężnej klęsce żywiołowej dawać czas antenowy dzieciakowi z jakimś wideo, które szczęśliwym trafem nakręcił, i ma za sobą zaledwie pięć miesięcy podstawowego kursu meteorologii?

Zasługę za moje pierwsze otarcie się o sławę należy przypisać dziwnej mieszance następujących elementów: cieplejszej pogodzie, pewnemu politykowi, zbieżności sił medialnych i grupie osobliwych sportowców. Innymi słowy wszystko, od dziwnego samochodu po kilku szalonych podniebnych surferów, pomogło mi wylądować przed kamerami CNN.

Już wtedy, w 1999 roku, zanim jeszcze tornado F5 pojawiło się w granicach Oklahomy i w obiektywie mojej kamery, Ameryka była coraz bardziej zaabsorbowana pogodą. W dużej mierze przyczynił się do tego Al Gore. W 1992 roku, kiedy był jeszcze senatorem Stanów Zjednoczonych z Tennessee, Gore napisał książkę zatytułowaną *Earth in the Balance. Ecology and the Human Spirit*. Może i nie wymyślił terminu „globalne ocieplenie” ani nie był pierwszym, który opisał jego potencjalnie potężne skutki zarówno dla pogody, jak i dla całej planety, ale książka spopularyzowała koncepcję, że nasza coraz cieplejsza pogoda źle wróży na przyszłość.

„Prawdziwe niebezpieczeństwo wynikające z globalnego ocieplenia nie polega na tym, że temperatura podskoczy o kilka stopni – napisał Gore dziesięć lat wcześniej, zanim globalne ocieplenie stało się gorącym tematem, jakim jest teraz. – Chodzi o to, że cały globalny system klimatyczny może sfiksować”. Jeszcze zanim Gore został wybrany na

wiceprezydenta pod koniec 1992 roku, jego książka *Earth in the Balance* stała się bestsellerem w całym kraju.

Książka nadała również większe znaczenie słowom naukowców i klimatologów, którzy wcześniej występowali z przesadnymi przepowiedniami dotyczącymi globalnego ocieplenia. Pewien profesor z Massachusetts Institute of Technology utrzymywał, że globalne ocieplenie może pewnego dnia spowodować, iż burze będą wytwarzały 50 procent więcej energii kinetycznej i w związku z tym wywoływały huraganowe wiatry, których prędkość może przekraczać 350 kilometrów na godzinę. Z kolei jeden z czołowych naukowców z NASA ostrzegł, że globalne ocieplenie może doprowadzić do katastrofalnej suszy. Inni badacze wiązali globalne ocieplenie z okresowym, znacznym wzrostem temperatury wód Oceanu Spokojnego, czyli zjawiskiem nazywanym El Niño, i zastanawiali się, czy czekają nas lada moment przerażające powodzie. Te teorie i te wypowiedzi nie od razu się sprawdziły, ale od czasu gdy huragan Katrina wykorzystał swą szatańską energię, czerpiąc ją z ciepłych wód oceanicznych, zanim zaatakował w 2005 roku południowe wybrzeże Stanów Zjednoczonych – a gdy zaatakował, zabił prawie 2000 osób – naukowcy mają obsesję na punkcie tezy, że nasze cieplejsze środowisko doprowadzi do klęsk żywiołowych na niespotykaną skalę.

Oczywiście firmy już dawno dostrzegły w globalnym ociepleniu okazję dla siebie, a dyskusyjne rozwiązania w produktach konsumenckich pojawiły się już w 1997 roku, kiedy to Toyota oceniła, że pojawi się nowy rynek: kierowców, którzy będą chcieli wypuszczać do atmosfery mniej gazów cieplarnianych. We wspomnianym roku ten ogromny japoński koncern samochodowy wyprodukował swój pierwszy spalinowo-elektryczny samochód hybrydowy.

Mniej więcej w tym samym czasie kiedy Toyota przedstawiła Priusa, media promowały pogodę tak, jakby była jakąś znakomitością. Jeśli przegapiłeś codzienną prognozę w *USA Today*, z jej barwną planszą poświęconą pogodzie, mogłeś się przełączyć na Weather Channel. Pod koniec lat dziewięćdziesiątych ta sieć oferowała dużo więcej niż zaktualizowane informacje pogodowe dla osób dojeżdżających do pracy i zaniepokojonych warunkami w godzinach szczytu czy nieostre obrazy satelitarne zrozumiałe tylko dla maniaków pogodowych takich jak Rick i ja.

Zamiast tego Weather Channel przeobraził się w sieć kierującą się przesłaniem „człowiek kontra przyroda”. Stacja stworzyła coś, co nazywała „więzią emocjonalną” z widzami, wysyłając armię swoich meteorologów ze studia telewizyjnego pod gołe niebo. Im gorsza pogoda, tym lepsza okazja: Jim Cantore, najbardziej znany synoptyk stacji, jest nazywany „aniołem śmierci”, bo zjawia się w miastach i miasteczkach tuż przed nadejściem klęski żywiołowej. Jednak z biegiem lat Cantore i jego sieć jeszcze zyskali na popularności. Weather Channel, który na początku lat osiemdziesiątych walczył o przetrwanie, w 2001 roku gościł w osiemdziesięciu milionach amerykańskich domów. Dzisiaj ta liczba wynosi mniej więcej sto milionów.

W międzyczasie *Twister* sprawił, że tornada stały się atrakcyjne. Jedne z najbystrzejszych umysłów w przemyśle rozrywkowym – między innymi Michael Crichton (autor scenariusza), Steven Spielberg (producent wykonawczy) i Jan de Bont (reżyser) – dostosowały filmowe tornada do srebrnego ekranu, tworząc warczące, żądne krwi leje, które zrobiły się jeszcze bardziej intrygujące, gdy Helen Hunt i jej partner Bill Paxton podpełzali coraz bliżej do szalejącego żywiołu. W 1996 roku film dostał dwie nominacje do Oscara (za najlepszy dźwięk i najlepsze efekty specjalne) i zarobił na całym świecie prawie 500 milionów dolarów brutto, ale niemal każdy kinoman wychodził po seansie, myśląc to samo:

w rzeczywistości żaden autentyczny łowca burz nigdy nie wściubiłby nosa w tornado.

Czasami prawda jest dziwniejsza niż Hollywood. W latach dziewięćdziesiątych pojawił się również nowy typ celebrytów nazywanych sportowcami ekstremalnymi. Podejmowali się oni wyczynów uważanych przez większość ludzi za szalone lub niewykonalne. Skakali z samolotu na miniaturowych deskach surfingowych i wykonywali podniebne akrobacje, zanim otworzyli spadochrony. Wskakiwali z rampy typu half pipe na rowerach i wirowali na nich szaleńczo, zanim wylądowali na ziemi. Skakali na bungee, jeździli na deskach snowboardowych i śmigali po utwardzonych drogach na sankorolkach. Od połowy lat dziewięćdziesiątych stacja telewizyjna ESPN organizuje imprezę pod nazwą X Games, dając w ten sposób sportowcom ekstremalnym ich własną olimpiadę. Nieprawdopodobne występy złotych medalistów sprawiają, że telewidzowie w całym kraju wciąż zadają sobie pytanie: jak ktoś zdoła to przebić?

Kiedy 4 maja 1999 roku szedłem do wozu transmisyjnego CNN wzdłuż niewielkiego odcinka niesamowitej ścieżki zniszczeń pozostawionej przez tornado, nie zdawałem sobie sprawy, że wszystkie te elementy połączą się ze sobą, urzeczywistniając mój zbliżający się występ telewizyjny. Prawdę mówiąc, myślałem tylko o tym, jak bardzo jestem zdenerwowany. Miałem świadomość, że istnieje ogromna różnica między moimi dawnymi doświadczeniami medialnymi – przedstawianiem prognozy pogody przed małą kamerą wideo innym uczniom w mojej szkole średniej w zachodnim Michigan – a rozmawianiem na żywo o tornadach w ogólnokrajowej telewizji. Byłem maniakiem meteorologii – nawet dość wygadany – ale martwiłem się, że zabraknie mi słów, zacznę się strasznie pocić i zrobię z siebie głupka.

Jednak chłopak, który zapukał do drzwi tamtego samochodu CNN, nieświadomie trafił w sedno zainteresowań Amerykanów. Miał bzika na punkcie pogody. Pragnął na tyle zbliżyć się do tornada, żeby zobaczyć każdą jego zmarszczkę czy odcień. I podobnie jak ówcześni ekstrawaganccy, zwariowani sportowcy oddawał się swojej pasji z pozornie lekkomyślnym zapamiętaniem.

Wkrótce miliony ludzi miały się spotkać z Reedem Timmerem, który przez przypadek został pierwszym w Ameryce ekstremalnym łowcą burz.

Przeszedłem już bardzo dużo w ciągu ostatnich dwudziestu czterech godzin, a teraz zastanawiałem się, jak mam się zachować przed ogromną publicznością telewizyjną. Nie miałem pojęcia. W „studio” CNN, na które składała się tylko kamera telewizyjna, jakieś światła, parę krzeseł i ruiny Moore służące za tło, usiadłem obok Martina Savidge’a, jednego z najlepszych, wygadanych reporterów tej sieci.

CNN nadało krótkie urywki mojego nagrania w ciągu kilkunastu sekund poprzedzających wywiad prowadzony przez Savidge’a. Przez słuchawkę, którą realizator umieścił mi w uchu, słyszałem ścieżkę dźwiękową. Były to te szalone chwile, które spędziliśmy pod wiaduktem, kiedy zbliżało się do nas tornado. Słyszałem, jak drażnię się z matką naturą, zaklinając ją, żeby spuściła na ziemię tornado.

Wtedy Savidge zapytał mnie pełnym szacunku tonem, czy trudno było zbliżyć się do tornada tak bardzo, jak my to zrobiliśmy.

Uznałem, że mój głos powinien brzmieć zdecydowanie i nonszalancko.

– Wie pan, kilka razy omal nie zostaliśmy zmieceni z drogi – powiedziałem swobodnie. – Całe życie błyskawicznie przebiegło mi przed oczami.

Savidge zapytał mnie, czy drugi raz zaryzykowałbym w tak szalony sposób.

– To było warte wszystkiego: zobaczyć gniew matki natury – odparłem, przytakując. – Chcę przez to powiedzieć, że matka natura nieźle dawała nam w kość.

Kilka sekund później zgasły jasne światła umieszczone za kamerą telewizyjną. Ale zanim miałem czas przetrwać to, o co pytał mnie Savidge – albo to, jak odpowiadałem – wokół mnie zaroilo się od ludzi. O wywiad prosiły krajowe wiadomości NBC. Tak samo oddział telewizji Fox. Oraz MSNBC. Krążyłem od jednego wozu transmisyjnego do drugiego.

– Marzyłem, żeby zobaczyć F5, odkąd miałem cztery lata – stwierdziłem w wywiadzie dla MSNBC.

– Trudno uwierzyć, że coś tak pięknego może zabić tak wiele osób – powiedziałem lokalnemu oddziałowi telewizji Fox.

Kilka godzin po przyjeździe byłem gotowy do opuszczenia tej dziwacznej sceny i powrotu do akademika. Pomyślałem, że to wszystko, moje piętnaście minut sławy. Ale później tego samego dnia, kiedy byłem w swoim pokoju, dostałem telefon z Los Angeles. Dzwoniła realizatorka programu *Leeza*, nadawanego w ciągu dnia talk-show NBC prowadzonego przez niejaką Leezę Gibbons. Czy mógłbym przyjechać następnego dnia do Los Angeles, żeby nagrać program? Zapytałem realizatorkę, czy mogę do niej oddzwonić za chwilę.

Gibbons była hollywoodzką reporterką i szczerze mówiąc, jej program nie był zbyt rzeczowy, ale postanowiłem nie roztrząsać sytuacji i wyrazić zgodę.

W 1999 roku byłem po prostu dzieciakiem, który chciał pojechać do Kalifornii. Nigdy tam nie byłem. Zadzwoiłem do Ricka.

– Realizatorka chce nas obu – powiedziałem. – Wyjechalibyśmy jutro rano.

– Ja rezygnuję – odparł Rick.

– Przeloty i hotel za darmo – dodałem. – Odbiorą nas limuzyną.

– Muszę się uczyć – powiedział Rick.

Ja musiałem się przygotować do tego samego egzaminu co on – końcowego testu z kursu fizyka 2514. Obaj dostawaliśmy najwyższe oceny na tych zajęciach. Uznałem, że będę się uczył podczas nocnych lotów. W końcu miałem bardzo dobre oceny ze wszystkich innych przedmiotów, częściowo dzięki temu, że uczyłem się na siedzeniu pasażera podczas łowienia burz na obszarze rozciągającym się od Arkansas do Teksasu. Byłem pracowity i umiałem się skupić. Potrafiłem znaleźć czas na wszystko.

Gibbons zaprosiła oprócz mnie dwóch innych łowców burz, którzy o tropieniu tornad mówili z pokorą.

Ponieważ nadal nie wiedziałem prawie nic o kulturze łowienia burz ani jak ja do niej pasuję, podtrzymywałem swój wizerunek à la John Wayne. Z perspektywy czasu mogę sobie jedynie zadać pytanie: co ja wtedy myślałem?

– Wiecie, w pewnym momencie pomyślałem, że może to już koniec – powiedziałem podczas nagrywania programu.

Ten komentarz sprawił, że jeden z pozostałych łowców burz się wzdrygnął.

Przynajmniej objazd limuzyną po Beverly Hills przebiegał gładko.

Byłem już spakowany przed wyjazdem do Michigan na wakacje, kiedy dotarła do mnie pewna opinia dotycząca mojego medialnego sukcesu. Była to zwięzła, surowa recenzja tamtego krótkiego występu w CNN.

„Reedowi Timmerowi należałoby spuścić za to lanie” – napisał autor, którym był ktoś, kogo nie znałem.

Przeczytałem tę uwagę na komputerze Ricka. Przesłał mi ją jeden z przyjaciół. Wiadomość zdążyła już obieć ekskluzywne kręgi łowców burz.

Przeczytałem ją kilka razy, a potem poprosiłem Ricka, żeby też ją przeczytał.

Pokręcił głową.

– Nie wygląda na wielbiciela – powiedział.

Odwróciłem się od monitora.

– To chyba żart, co? – spytałem. – To nawet zabawne. Wiem, że trochę się zagalopowałem podczas tego wywiadu i mówiłem zwariowane rzeczy, kiedy tam byliśmy, ścigając tornado, ale kto by mnie brał aż tak poważnie? I kim jest ten facet? Dlaczego go to oburzyło?

Jak się miałem przekonać, mój występ oburzył więcej osób, niż się spodziewałem. O wiele więcej. Kiedy otarłem się o sławę po przejściu tornada F5 przez Moore w Oklahomie, po raz pierwszy wszedłem w kontakt ze społecznością łowców burz, która, jak się miałem zorientować, bywa grupą bardzo czułą na punkcie swego wizerunku. Rzeczywiście, dowiedziałem się później, że niektórzy bardziej zdeklarowani członkowie tej społeczności uważali, iż łowców burz obowiązuje swoisty protokół i zasady postępowania. Uwaga o „laniu” była pierwszą oznaką, że ja nie stosowałem się do protokołów ani zasad.

Jak już powiedziałem, w 1999 roku nie wiedziałem o istnieniu sformalizowanej społeczności łowców burz. Mieszkałem w Oklahomie od dziewięciu miesięcy i byłem pochłonięty próbami zaliczania przedmiotów na celujący i wyjazdami pod niebo Alei Tornad przy każdej okazji. Myślałem, że wszelkie bractwa łowców burz sprowadzają się do grupy

osobników takich jak ja, na których od czasu do czasu natykałem się na drogach Wielkich Równin, kiedy garść tego rodzaju ludzi gromadziła się na tym samym odcinku pobocza, żeby popatrzeć na formacje chmur, a potem rozjechać się w różne strony. Było jeszcze tych kilku innych łowców burz, którym niekiedy udawało się umieścić swoje materiały wideo w filmach dokumentalnych, wiadomościach albo w Weather Channel, a także moi koledzy po fachu z OU.

Z czasem zorientowałem się, że jeśli chodzi o łowców burz, widziałem zaledwie wierzchołek góry lodowej. Istniała prawdziwa społeczność złożona z naukowców, intelektualistów, pogodowych świrów, miłośników przyrody, bezwzględnych biznesmenów, fotografów i filmowców, przewodników wycieczek i poszukiwaczy niebezpiecznych przygód. Łowcy burz mieli własny biuletyn, własnych bohaterów, odkrycia naukowe, pikniki i kilkudziesięcioletnią historię. Wśród wszystkich tych ludzi była osoba, która radziła, żeby mi „spuścić lanie”, bo ewidentnie nie spodobały jej się moje słowa w CNN, że matka natura, hm, dawała nam w kość.

Ten e-mail niewątpliwie mnie zawstydził i nieco wprawił w zakłopotanie w związku z moimi telewizyjnymi występami. Kiedy po latach oglądam niektóre z tamtych nagrań, w pełni zdaję sobie sprawę, że moje komentarze mogły być odebrane jako niestosowne. Ludzie stracili swoje domy, firmy, a w niektórych wypadkach przyjaciół i rodziny. Podczas szalejących przez dwa dni tornad w maju 1999 roku zginęły dziesiątki osób.

Kiedy jeszcze siedziałem przed komputerem Ricka, postanowiłem napisać odpowiedź osobie, którą uraziłem. Pomyślałem o ułożeniu przeprosin – że dopiero zacząłem łowić burze i wciąż się uczę, jak to się robi. Albo mógłbym powiedzieć, że miałem swoje pięć minut w centrum uwagi i że widzowie nigdy więcej o mnie nie usłyszą. Ale uznałem, że wcale nie chcę tego wszystkiego powiedzieć. To był mój wybór, żeby

śledzić F5 z tak bliska. Co do moich wypowiedzi w mediach, były niezręczne i trochę niestosowne, ale nie złośliwe. Zrzuciłem to na karb swojej młodości i braku doświadczenia w łowieniu burz.

Postanowiłem, że odpowiedź będzie prosta i wesoła.

„Chciałbym uniknąć lania – wystukałem na klawiaturze. – Wolałbym w tym czasie łowić burze”. Wysłałem e-maila. Wkrótce dostałem odpowiedź: „Dowiedz się, z kim rozmawiasz, zanim skomentujesz zdanie o spuszczeniu lania”.

Ta uwaga nie miała większego sensu, chociaż chyba zrozumiałem, o co w niej chodziło: zachowuj się, jak należy.

Nie zamierzałem dać się przyłapać na tym, że próbuję postępować w taki sposób, w jaki zdaniem innych powinienem. Jako nastolatek byłem maniakiem nauk ścisłych i przyrodniczych i dobrze się z tym czułem, mimo że piłkarze z mojej szkoły średniej odgrządzali się, że zamkną mnie w szafce w szatni. Nigdy mi też nie przeszkadzało, że słucham innej muzyki niż pozostałe dzieciaki. Na uniwersytecie myślałem o wstąpieniu do stowarzyszenia studentów, ale szybko zdałem sobie sprawę, że być może moi „bracia” będą mi mówić, co mam robić. Dziękuję, nie skorzystam. Krótko mówiąc, niezależnie od tego, czy chodziło o eksplorowanie lasów w Michigan, czy nieba nad Wielkimi Równinami, wolałem raczej przewodzić, niż się podporządkować.

Dlatego nie zamierzałem wkładać zbędnego wysiłku w kontynuowanie dialogu z tym konkretnym łowcą burz. Odsunąłem krzesło od biurka Ricka, nie napisawszy kolejnej odpowiedzi. Chciałem, żeby moja ogromna pasja do pogody zabrała mnie, gdziekolwiek zamierzała się udać.

ROZDZIAŁ 3

Badanie możliwości

Ledwie zaczął się semestr jesienny mojego drugiego roku na OU, kiedy zadzwonił telefon. Po drugiej stronie linii był jeden z realizatorów *Leezy*. Zapytał, czy łowię huragany.

Nie powiedziałem, że nie, chociaż nie tylko nigdy nie łowiłem huraganów, ale wiedziałem o tym tyle co nic. Takie burze – są to właściwie układy burzowe – mają szerokość setek kilometrów i często atakują wybrzeża ze zdumiewającą zajadłością. Gdzie się należy ustawić? Jak blisko można się znaleźć? Jak długo trwa huragan?

Zanim zdążyłem cokolwiek powiedzieć, realizator zadał kolejne pytanie: czy razem z innym łowcą poleciałbym na wybrzeże atlantyckie, żeby obserwować huragan Floyd? Program pokryłby wszystkie wydatki. Gdybyśmy nagrali świetny materiał wideo, powiedział, on mógłby poświęcić pościgowi za huraganem długi blok programowy.

Realizator miał jeszcze jedno pytanie: jak szybko moglibyśmy wyruszyć? Przewidywano, że huragan uderzy w ląd już 15 września, czyli akurat następnego dnia.

Śledziłem wcześniej trasę huraganu Floyd w Weather Channel i w internecie. Meteorolodzy przewidywali, że kiedy Floyd przekroczy linię brzegową w Karolinie Północnej, może zostać zaklasyfikowany jako huragan kategorii 4 w tak zwanej skali intensywności huraganów Saffira-Simpsona, co oznaczałoby, że wywoływałyby ciągłe wiatry o prędkości przekraczającej 210 kilometrów na godzinę. Ta pięciostopniowa skala stworzona w 1969 roku przez pracującego na Florydzie inżyniera

budownictwa i eksperta od zniszczeń powodowanych wichurami Herberta Saffira – rozszerzona później przez Roberta Simpsona, byłego dyrektora National Hurricane Center (Krajowego Centrum Huraganów) – stanowiła postęp w ocenie huraganów, ponieważ łączyła siłę i energię układu burzowego konkretnie z poziomem zniszczeń, do jakich mógł doprowadzić. Zanim powstała ta skala, huragany określano tylko jako „duże” albo „małe”.

Skala Saffira-Simpsona wyraźnie określa intensywność huraganu, od kategorii 1 (charakteryzującej się wiatrami o prędkości od 119 do 153 kilometrów na godzinę, które mogą zrywać linie energetyczne albo łamać duże gałęzie drzew) do kategorii 5 (wiatry wiejące z prędkością ponad 250 kilometrów na godzinę, z łatwością niszczące budynki o konstrukcji szkieletowej). Dzisiaj wszystkie służby ratownicze, ubezpieczyciele, meteorolodzy i osoby mieszkające w strefie huraganów doskonale znają skalę Saffira-Simpsona.

Ponieważ miałem bzika na punkcie pogody, zdawałem sobie sprawę, że wiatry towarzyszące huraganowi kategorii 4 mogą uszkodzić sieci energetyczne na wiele miesięcy, wyrwać z korzeniami duże drzewa i spowodować falę powodziową – czyli wywołany burzą przyptyw – wysoką na 6 metrów, a więc wystarczająco wielką, żeby pochłonąć wiele nadbrzeżnych nieruchomości. Huragan Opal, którego siła wahała się między kategoriami 3 i 4, a wiatry wiały z prędkością aż 232 kilometrów na godzinę, zaatakował w 1995 roku północno-zachodnią Florydę. Zmył warty 3 miliardy dolarów odcinek autostrady oraz domy mieszkalne i inne nieruchomości stojące na nabrzeżu i zabił dziewięć osób.

Realizator telewizyjny powiedział, że czeka, wyrrywając mnie z natłoku galopujących myśli. Chciał usłyszeć odpowiedź.

Fakt, że niewiele wiedziałem o łowieniu huraganów, powodował, że zaproszenie wydawało się jeszcze bardziej kuszące. Pomyślałem, że byłbym głupcem, gdybym odrzucił hollywoodzką propozycję dotowania mojej edukacji łowcy burz. Dlatego w tamtym momencie dokonałem wyboru, jakiego konsekwentnie dokonuję w życiu: badać możliwości. Jeszcze jako dziecko pakowałem się na oślep w szalone przygody albo realizowałem pomysły, które wzbudzały moje zainteresowanie – na przykład łapanie żywcem szopów praczy, kiedy miałem jedenaście lat. Razem z jedną z moich sióstr wpadłem na świetny pomysł, postanawiając wykopać w ziemi dół, żebym mógł bezpiecznie chwytać te zwierzęta wyposażone w mocne pazury. Ostatecznie wykopaliśmy z siostrą trzymetrową jamę i nazwaliśmy ją pułapką. Ale nie złapaliśmy nic, nie licząc bury od matki. Ten projekt przekształcił nasz ogród na tyłach domu w strefę zagrożenia.

– Pojedziemy – powiedziałem realizatorowi programu *Leeza*, a potem zacząłem się zastanawiać, jak przekonam Ricka, żeby się do mnie przyłączył.

Ja i Rick mieszkaliśmy wtedy razem, ale nie było go w domu, kiedy przystałem na tamtą propozycję. Na drugi rok studiów przeprowadziliśmy się wraz z dwoma innymi chłopakami do skromnej stancji z czterema sypialniami w studenckiej dzielnicy miasta. Było to dość przyzwoite miejsce, ale w końcu pewnego dnia gospodarz poprosił mnie i Ricka, żebyśmy opuścili jego lokal. Powód? Szalone świętowanie po zdaniu egzaminu z fizyki. Narobiliśmy dziur w ścianach i omal nie puściliśmy domu z dymem, podpalając notatki z wykładów. Ale ten pokaz fajerwerków miał się odbyć dopiero za kilka miesięcy. Za to inny, związany z niesamowitym wiatrem, był tuż-tuż.

– Masz ten swój błysk w oku – powiedział Rick, wchodząc koło południa przez frontowe drzwi. – Zaglądałem wcześniej na stronę SPC. Nie widziałem, żeby szykowały się jakieś tornada.

– Pewien realizator *Leezy* chce, żebyśmy obserwowali z bliska huragan Floyd – powiedziałem, stojąc w kuchni.

– Co? – zapytał Rick, marszcząc brwi. – Huragan? Reed, przecież on ma jutro uderzyć w Karolinie Północnej – powiedział, odkładając plecak z książkami. – Będzie potężnie wiało.

– Wypożyczymy samochód i znajdziemy sobie kryjówkę – powiedziałem, przeciągając się leniwie, jakbym już załatwił wszystkie kwestie logistyczne. Nie martwiłem się. Byłem podniecony. – Zgadza się, burza będzie potężna. Właśnie dlatego jedziemy – dodałem. – Program za wszystko zapłaci.

Oczekiwałem, że Rick będzie się opierał. To miała być długa podróż. Czterogodzinny lot do Charlotte, a potem jazda samochodem 320 kilometrów na wschód do Wilmington. Następnie musielibyśmy znaleźć jakieś miejsce, gdzie moglibyśmy się zatrzymać i zdecydować, jak uchwycić na filmie najlepsze momenty huraganu. Poza tym ledwie zaczęliśmy rok akademicki, a Rick już narzekał na całą tę matematykę i elementy nauk ścisłych wplecione w nasze nowe przedmioty meteorologiczne. Sądziłem, że zaprotestuje, mówiąc, że nauka jest wystarczająco trudna bez opuszczania kilku dni zajęć na obserwowanie Floyda.

Z perspektywy czasu ta podróż wydaje się czymś w rodzaju szalonej powtórki *Przygód Hucka Finna* połączonych z nowoczesną meteorologią. Tym bardziej mnie dzisiaj dziwi, że udało mi się przekonać Ricka do tej wyprawy.

– Warunki atmosferyczne będą niesamowite – powiedziałem. – To będzie gwałtowna wichura. Potem skrzyżowałem ręce i spytałem go: – Po co wyjeżdżałeś z domu na studia, jeśli nie po to, żeby ryzykować? Nie chcesz tego przeżyć?

Rick powoli skinął głową.

– Jedźmy – powiedział. – To będzie przygoda.

Mieszkańcy Karoliny Północnej byli szczególnie zaniepokojeni Floydem. Deptał on po piętach huraganowi Dennis, słabszemu układowi burzowemu, który mimo wszystko spowodował ulewne deszcze w tym stanie kilka tygodni wcześniej. Floyd miał wystarczający potencjał, żeby uderzyć w wybrzeże porywistymi wiatrami, a potem ponownie podtopić Karolinę Północną.

Nie oznacza to, że istnieje coś takiego jak huragan bez opadów. Huragany są wirującymi burzami, które powstają i nabierają energii wyłącznie nad oceanami. W różnych częściach świata określa się je różnymi nazwami: na północnym Pacyfiku są tajfunami, na Oceanie Indyjskim i w zachodniej części południowego Pacyfiku cyklonami tropikalnymi, a na północnym Atlantyku, na Morzu Karaibskim, w Zatoce Meksykańskiej i we wschodniej części północnego Pacyfiku przylegającej do Stanów Zjednoczonych huraganami. Systemy burzowe tworzą się przede wszystkim w lecie i na jesieni, które na obu półkulach wypadają w przeciwstawnych porach roku. Szczyt sezonu huraganów w Ameryce Północnej przypada na ogół na sierpień i wrzesień, chociaż oficjalnie trwa od 1 czerwca do 30 listopada.

Huragany bardzo przypominają tornada w tym sensie, że są wirującymi burzami podsycanymi unoszeniem się ciepłego, wilgotnego powietrza. Ale huragany otrzymują dużą część swojego „paliwa” z ciepłych oceanów, a nie

poprzez wąskie strefy szybkiego przepływu ciepłego powietrza, takie jak niski prąd strumieniowy, który przyczynia się do powstawania tornad na Wielkich Równinach.

Huragany często zaczynają się jako skupisko burz nad oceanem nazywanych zaburzeniami tropikalnymi, które pod wpływem wiatru skupiają się wokół obszarów niskiego ciśnienia (wiatr powstaje wtedy, gdy cząsteczki powietrza są w naturalny sposób wypychane z obszarów wysokiego ciśnienia, gdzie mają one dużą gęstość, w kierunku obszarów niskiego ciśnienia i niskiej gęstości).

Wiecie, jak powstaje burza: gorące powietrze jest rzadsze niż zimne i dlatego się unosi. To powietrze, które niesie ze sobą parę wodną pochodzącą z ciepłych (a konkretnie mających temperaturę 27 stopni Celsjusza lub wyższą) wód oceanicznych poniżej, ochładza się, w miarę jak unosi się coraz wyżej w atmosferze. Na skutek kondensacji para wodna zmienia się w kropelki wody, które łączą się, tworząc wypiętrzone cumulonimbusy i wywołując ulewny, gnany wiatrem deszcz. Tymczasem sam proces kondensacji uwalnia ciepło, co powoduje unoszenie się większej ilości powietrza w obrębie chmur burzowych. Unoszenie się większej ilości powietrza oznacza, że burza wciąga jeszcze więcej ciepłej oceanicznej pary z powierzchni wody. Dopóki burze są zlokalizowane nad ciepłymi wodami oceanu, dopóty nadal same się zasilają, nawet jeśli spada z nich aż 25 milimetrów deszczu na godzinę.

W miarę jak te burze się wzmagają i uwalniają więcej ciepła, doprowadzają z kolei do umacniania się pierwotnego obszaru niskiego ciśnienia, wokół którego wszystkie one się skupiają. Ponadto podstawy tych gęstniejących chmur burzowych działają jak miniodkurzacze, zasysając do góry coraz więcej ciepła i wilgoci z oceanu. Te siły przyciągają także wiatr.

Podczas gdy obszar niskiego ciśnienia wewnątrz skupiska burz nadal się umacnia, do jego środka ze wszystkich kierunków wieją gwałtowne wiatry.

Jednak wiatry nie uderzają bezpośrednio w skupisko burz. Skręcają, a raczej Ziemia obraca się pod nimi, kiedy wieją, co na półkuli północnej oznacza, że, praktycznie rzecz biorąc, skręcają w prawo (na półkuli południowej skręcają w lewo, a wiatry wiejące bezpośrednio nad równikiem w ogóle nie ulegają odchyleniu). Im szybciej wieją wiatry, tym bardziej skręcają na skutek obrotu Ziemi. To zakrzywienie nazywa się efektem Coriolisa (na cześć dziewiętnastowiecznego francuskiego uczonego Gustave'a-Gasparda Coriolisa) i pomaga zapoczątkować rotację burz w kierunku przeciwnym do ruchu wskazówek zegara – ponieważ przypomina to coś, co się dzieje, gdy zakręcisz w prawo karuzelę na placu zabaw.

Ale warunki do powstania huraganu jeszcze nie zostały do końca spełnione. Pamiętajcie ten obszar niskiego ciśnienia w środku skupiska burz, który przede wszystkim spowodował, że się zgromadziły? W miarę jak wiatry zbliżają się do tego środka z niskim ciśnieniem, wieją z większą prędkością, a nasilający się efekt Coriolisa odchyła je jeszcze bardziej w prawo. Ale równocześnie umacniający się obszar niskiego ciśnienia w istocie ściąga wiejące w prawo wiatry z powrotem w lewo. To znaczy, że obszar niskiego ciśnienia ściąga wiejące w jego stronę wiatry w innym kierunku, chociaż nie na tyle, żeby osiągnąć coś więcej, niż tylko zmusić je do trzymania się skupiska wirujących burz i sprzyjać ich krążeniu w kierunku przeciwnym do ruchu wskazówek zegara. Obszar niskiego ciśnienia w środku burzy pozostaje spokojny i jeśli warunki są idealne, może zmienić się w obszar wolny od chmur, który przypomina dziurkę w pączku. Nazywa się on okiem.

Jeśli oko tworzy się w środku wirującego teraz szybko skupiska burz, istnieje prawdopodobieństwo, że utworzy się również huragan.

Jednak zanim ten układ burzowy będzie można nazwać huraganem, musi on wykroczyć poza niższe kategorie burz „cyklonicznych”, które na ogół powstają w tropikach: „depresja tropikalna” oznacza wiatry wiejące z prędkością nieprzekraczającą 61 kilometrów na godzinę, a „burza tropikalna” – wiatry o prędkości od 62 do 118 kilometrów na godzinę.

Prędkość wiatru huraganowego przekracza 119 kilometrów na godzinę, a 14 września, kiedy Rick i ja przyjechaliśmy późną nocą do Karoliny Północnej, huragan Floyd dotarł już do Bahamów i zbliżał się do kategorii 5 w skali Saffira-Simpsona. Miał podręcznikowe oko wolne od chmur. Jego wiatry gnały z prędkością niemal 250 kilometrów na godzinę.

W całym porcie lotniczym w Charlotte monitory telewizyjne pokazywały wiadomości o burzy. Floyd miał w przybliżeniu szerokość 650 kilometrów, czyli był o mniej więcej 25 procent większy od przeciętnego huraganu (choć rozmiary huraganów bywają bardzo różne). To był czwarty huragan, który powstał w tym sezonie – sezonie, przed którego końcem padł rekord pięciu huraganów kategorii 4. Kiedy skończył się sezon 1999 roku, to zjawisko skłoniło naukowców do natarczywego stawiania pytań, czy istnieje jakiś związek między globalnym ociepleniem a występowaniem czy nasilaniem się huraganów. Kiedy ten sam wynik powtórzył się sześć lat później (w 2005 roku, w którym uderzył huragan Katrina), te pytania i dyskusje łączące gwałtowne zjawiska pogodowe z globalnym ociepleniem stały się jeszcze głośniejsze.

Ale kiedy patrzyliśmy z Rickiem na szklane ekrany telewizorów w oczekiwaniu na bagaż, byliśmy pochłonięci tą najbliższą burzą. Monitory wciąż pokazywały zdjęcia satelitarnie, na których huragan Floyd wyglądał

jak gigantyczna piła tarczowa kręcąca się w kierunku przeciwnym do ruchu wskazówek zegara. A my zmierzaliśmy wprost ku niej.

Próbowałem bagatelizować nasz niefortunny początek.

– Mamy pecha, ale to jeszcze nie koniec świata. Coś wymyślimy – powiedziałem do Ricka po obejściu wszystkich stanowisk wynajmu samochodów.

Rick czekał na mnie na lotniskowej ławce. Żaden z nas nie miał dwudziestu pięciu lat, co oznaczało, że byliśmy za młodzi, żeby wypożyczyć samochód. Nie przemyśleliśmy tego przed wyruszeniem w drogę, chociaż szczerze mówiąc, mieliśmy tylko parę godzin, żeby przygotować się do podróży i odbycia lotu.

Witajcie na łowach burz na wycucie.

We wczesnych godzinach porannych znaleźliśmy w końcu taksówkę, która miała nas zabrać 320 kilometrów w stronę Wilmington i wschodniego wybrzeża stanu. Podróż przebiegała w niespokojnej atmosferze i była kosztowna. Mimo że wciąż obiecywałem taksiarzowi duży napiwek, był wyraźnie podenerwowany przez całą drogę autostradą międzystanową numer 74. Nasz samochód jako jedyny zmierzał na wschód, podczas gdy na pasach w przeciwnym kierunku panował nieprzerwany ruch. Gigantyczna przymusowa ewakuacja terenów nadbrzeżnych zmuszała ludzką falę do podróżowania na zachód.

– Proszę się tutaj zatrzymać – powiedziałem do kierowcy, kiedy znaleźliśmy się przed niewielkim hotelem w Wilmington, którego parking był zapełniony samochodami.

Zapłaciłem kierowcy 300 dolarów. W hotelu hol pękał w szwach od ludzi szukających jakiegoś miejsca, w którym mogliby przeczekać burzę.

Rick zdrzemnął się na fotelu w hotelowym holu, mnie pozostawiając sprawę załatwienia pokoju. Ustawiłem się w długiej kolejce prowadzącej do recepcji i nawiązałem rozmowę z bardzo miłym wysokim czarnoskórym facetem stojącym przede mną. Po kilku minutach opuściłem tę ogromną kolejkę, żeby zakomunikować Rickowi świetną wiadomość.

– Znalazłem dla nas doskonale miejsce do obserwowania huraganu – powiedziałem, budząc go swoim donośnym głosem. Potrzęsnałem go delikatnie za ramię, chcąc się upewnić, że nie zamknie oczu. – Będziemy mieli maksymalną ilość porywów wiatru. Po drodze nie będzie zbyt dużo ładu, który mógłby im przeszkodzić.

Rick zamrugnął powoli. Jego brązowe oczy nabiegły krwią.

– Nie zostajemy w hotelu? – zapytał, dochodząc do siebie. Wyglądał na zdezorientowanego.

Wróciliśmy do długiego szeregu ludzi czekających, żeby się zameldować. Dokonałem prezentacji:

– Rick, to jest Ernest. Ernest, Rick – powiedziałem.

Uścisnęli sobie ręce.

– Rick, powiedziałem Ernestowi, że zamierzamy filmować i że może powstanie program telewizyjny wykorzystujący nasze nagranie wideo huraganu Floyd. Ernest zaproponował, że pozwoli nam zostać w swoim domu nad wodą, żebyśmy przetrzymali burzę. Możemy filmować i równocześnie pilnować domu Ernesta.

Worki pod oczami Ricka zmarszczyły się, kiedy spiorunował mnie wzrokiem.

– Jest bezpieczny, prawda, Ernest? – upewniłem się.

– Powinien się wam spodobać – powiedział powoli, drapiąc się w głowę. – Stoi nad ziemią. Jest mnóstwo jedzenia. Jeśli zgłodniejecie w moim domu, to znaczy, że coś jest z wami nie w porządku.

Rick nagle się przygarbił. Wyglądał na wyczerpanego i zrezygnowanego. Nic nie powiedział. Już wcześniej widział u mnie ten rodzaj maniakalnej energii. Byłem tak samo rozgorączkowany jak wtedy w Oklahomie, gdy próbowaliśmy przeciąć drogę tornadu F5 z Moore. Teraz, zaledwie kilka miesięcy później, Rick podążał za mną w szpony kolejnej potężnej burzy.

Ernest mieszkał w małej przyczepie na surowym osiedlu domów na kółkach leżącym zaledwie jakieś 1,5 kilometra od wybrzeża. Ono także znajdowało się w strefie przymusowej ewakuacji. Kiedy przyjechaliśmy tam jego furgonetką, cały ten teren wyglądał na opuszczony. Nie było nikogo, nie licząc żony i syna Ernesta, którzy pakowali stare walizki i oglądali wiadomości w małym telewizorze. Spiker lokalnej stacji właśnie ostrzegał mieszkańców osiedli domów na kółkach, żeby się ewakuowali. Ernest nas oprowadził. Przyczepa mieszkalna była schludna. Na ścianach wisiało kilka rodzinnych zdjęć, a przed wysłużoną wyściełaną kanapą stał plastikowy stół. Lodówka była pusta, nie licząc mortadeli, mleka i starej musztardy.

W ciągu kilku minut rodzina Ernesta załadowała się do furgonetki, żeby schronić się w hotelu.

– Wrócę po was jutro. Najszybciej, jak będę mógł – powiedział, sadowiąc się na siedzeniu kierowcy. – Jak tylko burza przejdzie.

Patrzyliśmy z Rickiem, jak Ernest odjeżdża. Zaczęło się ściemniać. Z północy nadciągały silne podmuchy pochodzące z zewnętrznych warstw krążących wiatrów huraganu, co prawdopodobnie oznaczało, że nie doświadczymy najmocniejszego uderzenia Floyda.

Huragany na ogół wieją silniej z jednej strony niż drugiej, co ma związek z prędkością posuwania się burzy. Innymi słowy, jeśli oko jakiegoś fikcyjnego huraganu, w którym wirujące wiatry wieją z prędkością 160

kilometrów na godzinę, posuwa się w kierunku wybrzeża z prędkością 30 kilometrów na godzinę, ta strona burzy, w której wiatry wieją zgodnie z kierunkiem jej ruchu do przodu z prędkością 30 kilometrów na godzinę (na ogół prawa strona huraganu względem kierunku, w którym zmierza) będzie generowała wiatry o prędkości 190 kilometrów na godzinę, podczas gdy przeciwna wiatry o prędkości 130 kilometrów na godzinę. Huragan Floyd nie był fikcyjny i ostatecznie miał dotrzeć do lądu, posuwając się na północny wschód z prądem o prędkości 39 kilometrów na godzinę. A zatem po jednej stronie huragan wiał o 78 kilometrów na godzinę szybciej niż po drugiej. Ponieważ my znajdowaliśmy się przypuszczalnie po lewej stronie burzy, mieliśmy mieć „nieco” spokojniejsze warunki.

I tak szykowało się niezłe zamieszanie. Pomyślałem, że Rick i ja mamy wielką szansę nakręcenia imponującego materiału wideo. Ponieważ byliśmy tak blisko wybrzeża i ciepłych wód Prądu Zatokowego, wiedziałem, że Floyd może korzystać z wielkiej ilości czerpanego z oceanu „paliwa” aż do momentu przekroczenia linii brzegowej, a my z Rickiem dysponowaliśmy odpowiednikiem miejsc w pierwszym rzędzie w meteorologicznej kolejce górskiej.

Jednak gdy na opustoszałym osiedlu przyczep mieszkalnych wzmógł się wiatr, w mojej głowie odezwał się jakiś głos. Jesteśmy łowcami burz czy łatwym celem? Chociaż byłem tak bardzo podniecony, nie całkiem zapomniałem o przerażeniu i smutku związanym z tornadem F5, przed którym ledwie uszliśmy z życiem pod tamtym wiaduktem. Poprzysiągłem sobie, że już nigdy nie postawię swoich przyjaciół ani siebie w tak niebezpiecznej sytuacji, a jednak byłem tutaj, obserwując pod wpływem kaprysu huragan kategorii 4 z domu na kółkach i wlokłem ze sobą Ricka. Odkąd przyjechaliśmy do przyczepy, niemal się nie odzywał. Myślę, że był więcej niż tylko wyczerpany. Myślę, że był wściekły, a także wystraszony.

Ja też miałem niezłego stracha, ale u mnie strach zawsze szedł łeb w łeb z podnieceniem. Mimo wszystko tamten głos wciąż mnie pytał, czy to naprawdę jest warte ryzykowania naszym życiem.

Nie miałem rzetelnej odpowiedzi. Jeszcze nie wiedziałem, co tak naprawdę zmusza mnie do ścigania burz. Nie wiedziałem, kiedy powinienem je ścigać. Ani kiedy nie powinienem.

Podjmując pośpieszną decyzję zostania łowcą huraganów, nie miałem czasu posłuchać głosu rozsądku. Później dowiedziałem się, że jedna z pierwszych zasad łowienia huraganów głosi, że trzeba mieć plan odwrotu. My z Rickiem nie mieliśmy takiego planu. Nie mieliśmy środka transportu. Nie mieliśmy ze sobą telefonów komórkowych (w ogóle ich nie mieliśmy) ani nawet przenośnego radia nadającego komunikaty pogodowe. Naprawdę byliśmy zdani wyłącznie na siebie.

Niebo nad Karoliną Północną gwałtownie zapełniło się nisko płynącymi, nieco pierzastymi ciemnymi chmurami warstwowymi, które są złowieszczą wizytówką wielu huraganów. Te chmury mogą często pokazywać niemal jednolitą podstawę pozbawioną cech charakterystycznych, ale ponieważ poruszają się tak szybko, nie masz żadnych wątpliwości, że tam w górze coś się dzieje. Po prostu nie jesteś w stanie zobaczyć struktury huraganu ani pojawiającego się niekiedy tornada, które może zejść, kiedy skraj huraganu dociera do lądu, a poszarpane fragmenty systemu burzowego związane z zewnętrznymi wirującymi wiatrami wywołują wystarczające tarcie w zetknięciu z ziemią, żeby wytworzyć lej kondensacyjny.

Powietrze w Karolinie Północnej było niezwykle wilgotne, a silny wiatr miał słonawy posmak dzięki wodzie z oceanu zasysanej przez Floyda. Temperatura wahała się w okolicy 21 stopni Celsjusza. Nakręciliśmy z Rickiem kilka ujęć pobliskich dużych dębów, które kołysały się

gwałtownie na wietrze, i szybko przemoczyliśmy ubranie. Czym prędzej wróciliśmy do środka.

Zjedliśmy kilka plasterków mortadeli i oglądaliśmy telewizję w maleńkim odbiorniku Ernesta. Pojawiły się najświeższe informacje pogodowe, więc Rick poprawił antenę pokojową, żeby zminimalizować śnieżenie na ekranie.

Prezenter wiadomości poinformował, że Floyd może dotrzeć do wybrzeży Karoliny Północnej jako huragan kategorii 4. Rick wreszcie się odezwał.

– Ciągłe wiatry wiejące z prędkością przekraczającą 210 kilometrów na godzinę – powiedział, patrząc bez wyrazu przez okno i recytując z pamięci parametry skali Saffira-Simpsona. Skończył jeść i zapalił papierosa. Zaciągnął się głęboko, zdradzając niepokój. – Wiesz, że większość domów na kółkach ulega zniszczeniu podczas huraganu kategorii 4 – powiedział z pełnym rezygnacji spokojem. – Nawet jeśli ta przyczepa wytrzyma napór wiatru, może zostać rozdarta na strzępy przez odłamki.

Bąknąłem coś o tym, że burza prawdopodobnie straci impet.

Rick tylko na mnie popatrzył.

– Jestem pewien, że nic nam nie będzie – powiedziałem. – Prezenterzy wiadomości zawsze przedstawiają najgorsze możliwe scenariusze.

Jednak nasze nadzieje na nakręcenie świetnego filmu wideo były skazane na niepowodzenie. Telewizyjni meteorolodzy przepowiadali teraz zgodnie, że huragan dotrze do lądu w środku nocy. Zarejestrowanie dobrego materiału filmowego byłoby całkowicie niemożliwe w ciemności, a zaoferowanie realizatorom *Leezy* tylko dobrej opowieści zapewne na nic by się nie zdało. Przecież to moje wideo, a nie umiejętności udzielania wywiadów, zapewniło mi zainteresowanie mediów po przejściu F5 przez Oklahomę. Jednak cały ten materiał dla telewizji miał dla mnie drugorzędne

znaczenie. Bez względu na to, co się miało wydarzyć, i tak musiałem stawić czoła huraganowi Floyd.

– Idę się położyć – powiedział Rick.

Wstał od małego kuchennego stołu i przeszedł przez słabo oświetloną przyczepę do jednego z łóżek. Zgasił papierosa i zdjął cienki, wąski materac ze stelaża ze sprężynami. Zataszczył materac do kanapy. Potem położył się na niej i przykrył się tym cienkim materacem niczym kocem.

– Co robisz? – zapytałem.

– Zawsze to coś – odparł. – Będziemy mieli kompletnie przesrane, jeśli ściany się zawalą.

– Co będziesz pod tym robił? – spytałem, patrząc na wybrzuszony materac i leżącego pod nim Ricka.

– Jestem wykończony – odpowiedział. – Prześpię się.

Spać? Nocą mój umysł działał na wysokich obrotach, nawet jeśli nie siedziałem w przyczepie mieszkalnej na opuszczonym osiedlu domów na kółkach leżącym na drodze potężnego huraganu. Kiedy byłem mały, jak już mówiłem, miałem nadmiar energii. Nocą mój silnik nie przestawał pracować, więc miałem kłopot z zasypianiem, odkąd byłem niemowlęciem. W pewnym momencie mama zabrała mnie do pediatry i zapytała go, dlaczego odpoczywam nie więcej niż sześć godzin dziennie. Lekarz powiedział, żeby się nie martwiła, że mój mózg rozwija się szybciej niż ciało. Nie sposób się było przekonać, czy to rzeczywiście prawda, ale z następną rzeczą, którą powiedział lekarz, moja matka z pewnością by się zgodziła: pani dziecko jest okablowane inaczej niż wszystkie.

Około dziesiątej wieczorem w przyczepie wysiadł prąd. Bez szumu telewizora wycie wiatru stało się wyraźniejsze. Deszcz walił teraz w słabe okna i dach przyczepy, wydając takie odgłosy, jakby wylewano go z wiadra, a nie spadał w postaci szeregu kropel.

W końcu ja też wcisnąłem się pod materac, ale miałem wątpliwości, czy zasnę. Przez chwilę robiłem coś, czego nigdy nie robię, to znaczy wstrzymałem oddech. Zastanowiłem się nad sytuacją. Pomimo szalejącego na zewnątrz żywiołu i niebezpieczeństw, na które byliśmy narażeni z Rickiem, zachwyciłem się fenomenem rozgrywającym się nad moją głową – elegancką strukturą spiralnych pasm deszczu pędzących wokół oka huraganu. Zastanawiałem się, jak to jest, że te zdumiewające, ale rzadkie zjawiska przyrody mają tak niezwykły wpływ na wielkie skupiska ludzi. A potem wreszcie zapadłem w niespokojny sen.

Huragan Floyd uderzył w wybrzeże Karoliny Północnej około 2.30 w nocy i głośno zapukał do drzwi przyczepy. Na dobre czy na złe, znajdowaliśmy się z Rickiem bezpośrednio pod ścianą oka huraganu, która jest gęstą ścianą burz otaczającą oko i najgwałtowniejszą częścią żywiołu. Ściana oka jest tam, gdzie zbiegają się wszystkie wiatry wiejące w stronę huraganu i gdzie niesamowita ilość powietrza wędruje wprost do góry, wytwarzając więcej energii wewnątrz burz szalejących wokół oka, a to z kolei generuje więcej deszczu, ciepła i wiatru.

W dole, na ziemi, huragan już nie miotał małą przyczepą Ernesta. On ją ścisnął. Ocknąłem się i usłyszałem, że deszcz wydaje takie odgłosy, jakby był pod ciśnieniem, jakby był wyrzucany z węża strażackiego i wżerał się w liche panele przyczepy. Wiatr z kolei wydawał odgłosy niczym pociąg towarowy, tyle że od czasu do czasu przyśpieszał tak gwałtownie, że żaden pociąg towarowy nie mógłby mu dorównać. Pod wpływem podmuchów dom Ernesta przesunął się znacząco raz w przód, raz w tył, więc pomyślałem, że to tylko kwestia czasu, kiedy huragan wsadzi palce pod całą konstrukcję i podrzuci nas do góry. Nawet kiedy wiatr się cofał, pociecha była niewielka. Dom nadal się trząsł, a woda w akwarium Ernesta

krążyła wkoło. Poza tym wiedziałem, że lada moment wycie wiatru zacznie się od nowa.

– Rick! Rick! Nie śpisz?! – krzyknąłem spod swojego materaca. Już przestałem się dobrze bawić.

– Co się dzieje? – zapytał Rick słabym głosem.

Ledwie go słyszałem. Potem całkiem się rozbudziłem. Był gdzieś blisko mnie. W przyczepie panowały kompletne ciemności.

– Nic ci nie jest?

– To musi być pełna siła huraganu – powiedziałem, podnosząc głos. – No bo cóż innego?

Nagle na tyłach przyczepy z hukiem pękła szyba. Czyżby wiatr wybił okno? A może odłamki? Nic nie widziałem, a nie chciałem wstawać, żeby się przekonać. Co by było, gdyby uderzył we mnie jakiś zabłąkany konar? Słyszałem, jak na zewnątrz niezliczone gałęzie odłamują się od pni z głośnym trzaskiem. Przywarłem do materaca i poczułem, że podłoga pod mną wibruje. Dach zatrzeszczał.

– Zerwie go? – zapytał Rick spod swojego materaca podniesionym, przerażonym głosem. – Błagam, trzymaj się!

Wraz z zacinającym deszczem przez wybite okno przyczepy napłynęło do środka ciepłe, wilgotne powietrze, toteż wkrótce materac nade mną i wykładzina podłogowa pod mną wyraźnie przypominały w dotyku oślizłą gąbkę. Dach nie odleciał, a mimo to Rick i ja byliśmy przemoczeni do suchej nitki.

Kuliliśmy się w milczeniu pod materacami, a we krwi buzowała nam przez kilka godzin czysta adrenalina. Nasłuchiwaliśmy odgłosów szalejącej wokół nas burzy. Dopiero kiedy wiatr zaczął słabnąć, uwierzyliśmy, że huragan może się oddalić. Jakimś cudem drzemaliśmy i kiedy w końcu obaj

się ocknęliśmy gdzieś o świcie, burza już przeszła. A może była to tylko cisza przed jej dalszym ciągiem?

– Jesteśmy w oku? – zapytał Rick, podnosząc się sztywno i wyglądając przez jedno z niewielu nienaruszonych okien przyczepy.

Niebo nad nami było błękitne. Jednak nieprawdopodobnie spokojne oko huraganu może mieć nawet 65 kilometrów szerokości, a ponieważ bywa, że huragany przemieszczają się z prędkością zaledwie 30 kilometrów na godzinę, niczego niepodejrzewające ofiary mogą nabrać błędnego przekonania, że najgorsze mają już za sobą na wiele godzin. Nie wiedzą jednak, że można siedzieć spokojnie w oku huraganu, kiedy nagle – bum! – lekki powiew wiatru może się niemal natychmiast nasilić, osiągając prędkość ponad 210 kilometrów na godzinę.

Przemoczona czarna koszulka przykleiła się Rickowi do klatki piersiowej, a brązowe włosy przyłgnęły mu do czaszki. Mnie z kolei zrobił się pęcherz na czole od mokrej czapeczki baseballowej, którą miałem na głowie przez całą noc.

Rozejrzeliśmy się dokoła. Dom Ernesta był w opłakanym stanie. Wszędzie wałało się rozbite szkło, rozsypane kartki i inne przedmioty. Zdjęcia spadły ze ścian, a w środku było tak dużo liści, że wydawało się, jakby ktoś użył specjalnej dmuchawy, żeby wtłoczyć je do przyczepy. Co nie było zbyt dalekie od prawdy. Jednak ściany nadal stały pionowo. Odważyliśmy się wyjść na zewnątrz.

Inne domy na kółkach były w znacznie gorszym stanie. Jedna z przyczep miała zerwany dach, a reszta domu wyglądała jak dwupokojowy kabriolet. Ściany innego domu były wgniecione do środka. Wiele drzew zostało powalonych – jedno z nich oderwało kuchnię od czyjejs podwójnej przyczepy.

Na całym osiedlu przyczep huragan pozostawił po sobie ogromne kałuże i pozrywane przewody elektryczne. Wróciliśmy z Rickiem do przyczepy Ernesta i zjedliśmy mortadelę na śniadanie. Znow się zdrzemnęliśmy. Huragan co prawda już się nie pojawił, ale zrobił to w końcu Ernest, przyjeżdżając tamtego popołudnia swoją furgonetką.

– Udało wam się, chłopaki! – wykrzyknął, chichocząc radośnie. – O! Dom! Ciągłe tu stoi!

– Co za noc, Erneście – powiedziałem, nie mogąc wydusić z siebie wiele więcej. – Myślałem, że to się nigdy nie skończy.

Ernest rozejrzał się po swoim mieszkaniu, najwyraźniej niewzruszony chaosem.

– Coś wiecie o huraganie? – zapytał.

Odpowiedzieliśmy, że nie.

Opowiedział nam, co się wydarzyło. Zanim Floyd dotarł do lądu, wpadł na niewielki obszar suchego powietrza, co spowodowało, że jego oko straciło swój kształt. Nawet chwilowo zniekształcone oko może sprawić, że wirujący huragan zostanie wybity z rytmu, i doprowadzić do osłabienia całego systemu burzowego. To właśnie stało się z Floydem.

Usterka w pogodowej maszynerii być może uratowała nam życie: huragan Floyd dotarł do lądu jako huragan kategorii 2, z ciągłym wiatrem wiejącym z prędkością do 177 kilometrów na godzinę. Wiatr o takiej prędkości nadal jest ogromnie silny, ale był na tyle umiarkowany, że dom Ernesta ocalał – i jego opiekunowie też.

Ernest zrobił nam krótką wycieczkę po okolicy. Przyływ sztormowy, to znaczy ściana wody, która tworzy się, gdy huragan przetacza się po powierzchni oceanu, miał trzy metry wysokości i spowodował znaczne zniszczenia na wybrzeżu. Widzieliśmy również wiele szkód

spowodowanych wiatrem, a niektóre tereny znajdowały się pół metra lub metr pod wodą.

Jednak do najgorszych zniszczeń miało dojść już po naszym powrocie do domu następnego dnia. Podobnie jak w wypadku większości huraganów moc Floyda została nadwątlona, gdy dotarł nad ląd i stracił źródło energii, którą czerpał z ciepłej wody, ale kiedy przemierzał stan w kierunku północnym, został wchłonięty przez zatokę niskiego ciśnienia, która już od pewnego czasu przemieszczała się nad północno-wschodnimi rejonami Stanów Zjednoczonych. Zatoka wyciągnęła całą wilgoć z dogorywającego huraganu i spowodowała niesamowite ulewy. Łącznie w wyniku przejścia huraganów Floyd i Dennis na niektórych obszarach Karoliny Północnej i Południowej spadło w ciągu dwóch tygodni około 100 centymetrów wody. Ulewy wywołały katastrofalne powodzie. Straty z powodu burz oszacowano na 6 miliardów dolarów. Powodziom po przejściu huraganu Floyd przypisywano prawie sześćdziesiąt ofiar śmiertelnych.

W następstwie tej klęski żywiołowej Karolina Północna podjęła bezprecedensowe kroki, żeby zapobiec powtórzeniu się takiego spustoszenia w przyszłości. Stan wyasygnował dziesiątki milionów dolarów na sporządzenie szczegółowych map swoich terenów zalewowych. Przeznaczył też setki milionów dolarów z funduszu dla ofiar klęsk żywiołowych na spłacenie właścicieli domów i farmerów mieszkających na nisko położonych terenach i zachęcał ich, żeby przenieśli się wyżej. Straty uznano oczywiście za niespotykane, spowodowane „powodzią pięćsetlecia”. Mimo to była nadzieja, że Karolina Północna rzeczywiście wyciągnie, w sensie metaforycznym, nogawki z wody i nigdy więcej nie straci kolejnych 4100 domów w takiej powodzi.

Rick i ja mieliśmy szczęście, że uciekliśmy z Karoliny Północnej, nie ponosząc większych strat niż urwana sznurówka, ale Floyd wywarł na nas

niezatarte wrażenie.

– Nie jestem pewien, czy nadal jestem gotów robić tego rodzaju rzeczy – oznajmił mi Rick wkrótce po naszym powrocie z Karoliny Północnej. Siedzieliśmy przy kuchennym stole w naszym mieszkaniu w Norman. – F5, a teraz Floyd – dodał. – Dość się napatrzyłem.

– Nie wszystkie muszą być aż tak silne. To było pouczające doświadczenie – powiedziałem. – Następnym razem będziemy przygotowani. Zabierzemy więcej zapasów, będziemy mieli strategię odwrotu. Będziemy wiedzieli, że trzeba się do tego zabrać inaczej.

Kilka lat później znów ścigałem niszczycielski huragan i robiłem to zupełnie inaczej. Spakowałem ogromne ilości jedzenia i wody pitnej. Zabrałem ze sobą nieprzemakalne ubranie, piłę łańcuchową i inny sprzęt umożliwiający przetrwanie w trudnych warunkach. Przygotowałem się na Armagedon i nie pożałowałem.

Jednak na myśl o Floydzie ciągle się uśmiechałem. Byłem przerażony tą wredną burzą, ale równocześnie dodawała mi ona energii. Nie mówię tylko o nagłym przyplywie adrenaliny, chociaż czyste podniecenie pościgiem bezsprzecznie miało dla mnie ogromny urok. Było coś jeszcze, coś, co czułem w tej krótkiej chwili wytchnienia, kiedy po raz pierwszy naciągnąłem materac na głowę w przyczepie Ernesta: zadowolenie. Mimo że znajdowaliśmy się z Rickiem w małej przyczepie, przemoczeni, wyczerpani i czasami przerażeni, ja i tak byłem dokładnie tam, gdzie chciałem być. Łowienie burz przynosiło mi satysfakcję, jakiej nie dawały mi zajęcia, wyjścia na mecze drużyny futbolowej OU czy spotkania ze wspaniałymi przyjaciółmi i rodziną. Moja przyjaźń z Rickiem nie ulotniła się wraz z Floydem, ale po tej wyprawie wiele się zmieniło. On już nigdy nie ścigał naprawdę imponujących burz.

Jeszcze szerzej uśmiechałem się przy tamtym stole kuchennym, kiedy myślałem o dwóch poprzednich dniach.

Rick także się uśmiechnął.

– Znam to spojrzenie – powiedział.

– Co? – spytałem, wzruszając ramionami. – O czym ty mówisz?

– Potrafię docenić twoją pasję – powiedział. – Dla mnie to było doświadczenie, które wystarczy mi na całe życie.

– Ja mógłbym jutro wyruszyć po następne – odparłem.

Rzeczywiście, doświadczenie z huraganem Floyd miało dla mnie duże znaczenie. W ciągu kilku następnych lat moje priorytety zaczęły się zmieniać. Coraz mniej interesowała mnie gra w kosza z przyjaciółmi i picie piwa ze współlokatorami, a coraz bardziej pociągała meteorologia i łowienie burz. Brałem udział w wielu szokujących czy ryzykownych przygodach związanych z pogodą. Mój apetyt na burze nie miał nic wspólnego z lądowaniem przed mikrofonami *Leezy* czy CNN, chociaż zawsze zabierałem ze sobą kamerę wideo. Szukałem gwałtownych zjawisk pogodowych na Alei Tornad – i dużo dalej – bo z wielu powodów obserwowanie nieba dawało mi niesamowitą satysfakcję. To była nauka, przygoda i wolność w jednym.

Pewnego wieczoru, gdy byłem z powrotem u swojej mamy w Michigan na wakacjach, zadzwonił mój stary przyjaciel Chris Chittick z pytaniem, czy chciałbym się z nim spotkać i pogadać.

Miałem lepszy pomysł.

– Chcesz łowić burze? – spytałem w odpowiedzi.

SPC wydało prognozę konwekcyjną, ostrzegając przed wysokim zagrożeniem gwałtownymi zjawiskami pogodowymi na sporym obszarze

Nebraski, co oznaczało, że były całkiem niezłe szanse na wystąpienie burz w tamtym rejonie. Nieczęsto trafiały się takie otrzeźwiający prognozy.

Nie obchodziło mnie, że mieliśmy obaj do pokonania gigantyczną przeszkodę: byliśmy oddaleni mniej więcej o trzynaście godzin jazdy samochodem od miejsca, gdzie, jak sądziłem, utworzą się superkomórki burzowe – te niezwykle wysokie chmury ze wznoszącymi się i wirującymi wiatrami w swoim wnętrzu. Poza tym Chris i ja musieliśmy być za trzydzieści godzin z powrotem w Michigan w związku z naszą wakacyjną pracą przy obsłudze technicznej miejscowego klubu golfowego Grand Rapids. Nasz szef był absurdalnie wymagający.

Ale Chris, z tym swoim wiecznie beztroskim uśmiechem, wkrótce zjawił się przed frontowymi drzwiami domu mojej mamy. Załadowaliśmy rzeczy do mojego małego sedana, a ten, jak większość samochodów, które kiedykolwiek miałem, przypominał mój pokój w akademiku: prezentował się okropnie, i to nie tylko w środku. Amortyzatory były do niczego, tłumik przerdzewiał, a silnik miał już przebieg 270 000 kilometrów. Ale samochody, tak jak moje sypialnie, nigdy nie były dla mnie priorytetem. Na przykład rozmawianie przez cały dzień o tornadach w sali map wydawało się znacznie bardziej pociągające niż zadbanie o wymianę oleju.

Podczas długiej drogi do Nebraski przynajmniej samochód stanął na wysokości zadania. Chris i ja w żadnym momencie nie zdejmowaliśmy nogi z gazu, zmieniając się za kierownicą i żywiąc się przez następne trzydzieści godzin hot dogami z 7-Eleven, frytkami, coca-colą i mountain dew. Przyjechaliśmy do Kearney w Nebrasce wczesnym popołudniem i przez jakiś czas jeździliśmy tam i z powrotem polnymi drogami. Ale widzieliśmy tylko bezchmurne niebo – w języku łowców burz był to jeden z tych nieszczęsnych przykładów „przekleństwa błękitnego nieba”. Tak zwana cap (przykrywka, zatyczka) – warstwa ciepłego stabilizującego

powietrza, która regularnie umiejscawia się w atmosferze mniej więcej na wysokości 1500 metrów – nie rozerwała się w taki sposób, w jaki na ogół powinna, żeby ciepłe, wilgotne powietrze wystarczająco uniosło się do góry i wywołało burzę. Zawróciliśmy, jechaliśmy całą noc i wróciliśmy do Michigan akurat na czas, żeby następnego dnia rano zacząć pracę.

Niedługo potem Chris jeszcze raz wyruszył w drogę z mojego powodu, chociaż tym razem nie przypuszczał, że podróż będzie się wiązała z łowieniem burz. Ale tak właśnie było.

W październiku 2000 roku Chris przyjechał samochodem z Michigan z trzema kumplami, żeby dołączyć do mnie na wielkim meczu futbolowym drużyny OU. Soonersi z Oklahomy mieli się zmierzyć ze swoim rywalem Nebraska Cornhuskers. Tamtego roku Cornhuskersi zostali sklasyfikowani na pierwszym miejscu w krajowej lidze futbolu akademickiego. Oklahoma zajmowała trzecie miejsce.

W nocy poprzedzającej mecz koczowałem w kolejce przed stadionem, żeby dostać najlepsze miejsca. Pomalowałem ciało i swój samochód na karmazynowy kolor Soonersów, albo przynajmniej na zbliżony. Mecz był niesamowity: drużyna OU odrobiła stratę 14 punktów z pierwszej kwarty i rozniosła Cornhuskersów, wygrywając 31:14. Potem zapanował kompletny chaos: studenci obejmowali się i tańczyli na całym boisku, a nawet rozbierali stadionowe bramki. Chris nastawił się na całonocne imprezowanie. Ja musiałem być gdzie indziej.

– Co? – zapytał Chris, trzymając w ręku piwo i nachylając się, żeby usłyszeć, co mówię.

– Pytałem, czy chcesz pojechać ze mną tropić burze – wrzasnąłem mu do ucha, żeby przekrzyczeć zgiełk panujący wokół nas na boisku.

Rozejrzał się wokół po wszystkich tych dzieciakach z uczelni świętujących wygrany mecz. Tamtej nocy w Norman zanosilo się na

szaleństwo.

– Teraz? – zdziwił się.

Po usłyszeniu tego samego popołudnia obiecujących doniesień o uskoku wiatru w górnych warstwach atmosfery na południowym zachodzie (uskok wiatru, przypominam, jest zjawiskiem, które sprzyja tworzeniu się wewnątrz superkomórki wznoszących się, wirujących wiatrów), wyruszyłem ścigać burze w najbardziej na północ wysuniętej części Teksasu. Miałem nadzieję, że Chris się nie obraził. Mój wyjazd nie miał z nim nic wspólnego. Wolę polować, niż świętować, pomyślałem, widząc we wstecznym lusterku swojego samochodu, jak przyjaciel macha mi na pożegnanie.

Rzeczywiście, całe to studenckie życie – imprezy w akademikach, jedzenie nachos w The Mont, uczelniane mecze koszykówki (moja drużyna nazywała się oczywiście Weather Channel) – także stopniowo traciło blask, kiedy ostro zabrałem się do książek. Czułem się lepiej, gdy się uczyłem. Praktycznie unosiłem się w chmury i zaczynałem je rozumieć. Doszedłem do wniosku, że jeśli cokolwiek tracę z życia towarzyskiego, będę mógł to nadrobić innym razem.

Szło mi wtedy całkiem dobrze. Uczyłem się do białego rana w swoim domu albo na kampusie, w sali w suterenie. Wkuwałem teksty pełne naukowej wiedzy tajemnej, takiej jak newtonowska mechanika cząstki czy dynamika obracających się planet, i, co dziwne, cieszyłem się każdą minutą. Tymczasem moja grupa – grupa 2002 Instytutu Meteorologii – wyraźnie kurczyła się z każdym semestrem. Wydaje mi się, że statystycznie tylko około 25 procent studentów pierwszego roku OU rozpoczynających naukę kończy po czterech latach studia z dyplomem z meteorologii. Przysięgam, że co semestr traciliśmy dwadzieścia kilka osób, a ci, którzy

odpadli, zawsze narzekali na to samo: za dużo matematyki, za dużo nauk ścisłych, za dużo pracy.

W drugim semestrze mojego trzeciego roku OU stracił także mnie. Ale tylko chwilowo.

Często zastanawiałem się, jak wygląda pogoda – jak wygląda życie – w innych częściach świata. Nigdy nie wyjeżdżałem za granicę, ale nie mogłem się doczekać na okazję. Na wiosnę 2001 roku zostałem jednym z zaledwie dwóch studentów Instytutu Meteorologii OU spośród wszystkich uczestniczących w wymianie międzynarodowej, których przyjęto na brytyjski Uniwersytet w Reading leżący w południowej Anglii, 65 kilometrów na zachód od Londynu. Pierwsze siedem miesięcy 2001 roku miałem spędzić, studiując w Wielkiej Brytanii.

Jeśli chodzi o studia meteorologiczne, Uniwersytet w Reading jest czołową uczelnią europejską. Tamtejsi profesorowie prowadzą najważniejsze badania w dziedzinie tak zwanej meteorologii synoptycznej, czyli zajmującej się warunkami atmosferycznymi na przestrzeni wielu setek, a nawet tysięcy kilometrów. Było to znacznie szersze spojrzenie na pogodę – bo obejmujące warunki wpływające na całą Europę i nie tylko – niż to, do którego byłem przyzwyczajony w Oklahomie. OU skupiał się na zjawiskach meteorologicznych zachodzących w mezoskali, to znaczy na badaniu mniejszych układów pogodowych, czyli takich, które zachodzą na przestrzeni od kilku do kilkuset kilometrów.

Semestr spędzony za granicą otworzył mi oczy na pogodę panującą z dala od Stanów Zjednoczonych, i to nie tylko na szkocką mgłę. Zaciekały mnie gwałtowne zjawiska pogodowe na całym świecie: australijskie burze piaskowe, indyjskie monsuny i argentyńskie tornada. Nauczono mnie, że warunki klimatyczne od bieguna do bieguna być może

powiedzą mi coś o stanie naszej planety. Przysiągłem sobie, że pewnego dnia spędzę więcej czasu, badając pogodę na świecie, doświadczając jej na własnej skórze.

Semestr za granicą uświadomił mi, co tracę, nie będąc w tym czasie w Stanach (gdybyście nie wiedzieli, angielskie tornada są małymi, gównianymi lejkami spowitymi deszczem). Pewnego dnia, kiedy byłem w Anglii, zadzwoniłem do Ricka, żeby zapytać, co słyhać. Powiedział mi, że superkomórka burzowa wisi dokładnie nad naszym domem w Norman. Brakowało mi tego widowiska bardziej niż czegokolwiek innego.

Gdy o tym myślę, dochodzę do wniosku, że nie przez przypadek pociąga mnie coś, co wygląda jak lejek. Klasyczny kształt tornada jest metaforą mojego wychowania. Szersza część lejka symbolizuje cały wachlarz zainteresowań i różnych hobby, które uprawiałem w dzieciństwie. A węższa – wylot w stylu tornada u dołu – wiele mówi o tym, w jaki sposób uprawiałem te, na których się koncentrowałem: robiłem to z niesamowitą – wręcz kosmiczną – dozą koncentracji. Zanim wyjechałem z domu na studia, stałem się bardzo poważnym nastolatkiem. I byłem gotów zwariować na punkcie tylko jednej rzeczy.

Lubię przypominać swojej rodzinie, że urodziłem się w Grand Rapids w stanie Michigan podczas gwałtownego załamania pogody. Była śnieżna marcowa noc 1980 roku, a ja przyszedłem na świat o 23.17. O tej porze wieczorne programy informacyjne w telewizji kierują swoje kamery na meteorologów.

Pogoda ciekawiła mnie od najmłodszych lat. W zachodnim Michigan jest dużo burz i błyskawic, więc gwałtowne zjawiska pogodowe szybko mnie zaintrygowały. Dlaczego niebo wydawało te świetne wybuchowe odgłosy i czasami rozświetlało się w nocy? Kiedy miałem cztery lata, tato

ciągnął moją starszą siostrę Cortney i mnie w małym wózku po chodniku, gdy zawyły syreny, ostrzegając przed tornadem. Mama zaprowadziła nas, razem z moją młodszą siostrą Dayną, do piwnicy. Nie mogłem się doczekać, kiedy tornado ruszy w naszą stronę. Niestety (w każdym razie w moim dziecięcym pojęciu) ostrzeżenie okazało się fałszywym alarmem.

Ale to był ostatni raz, jaki pamiętam, kiedy moja matka, która była siłą napędową w moim dzieciństwie po rozwodzie rodziców w 1991 roku, chciała, żeby troje dzieci Timmerów siedziało spokojnie. Mama pochodzi z długiej linii osób przebojowych – jej ojciec (inżynier mechanik) w czasie drugiej wojny światowej odbywał loty bojowe bombowcem, jej pradziadek prowadził gospodarstwo rolne w Nebrasce, a wśród przodków rodziny był też pewien krewny, który walczył w wojnie o niepodległość Stanów Zjednoczonych. Dziedzina, którą wybrała moja mama, są nauki przyrodnicze. Na uczelni studiowała biologię, ochronę środowiska i geologię, ma tytuł magistra (tak jak szóstka jej rodzeństwa) i nadal uczy przedmiotów przyrodniczych w gimnazjum w Adzie, na poły wiejskim przedmieściu w południowo-wschodniej części Grand Rapids, gdzie dorastałem. Mama chciała, żeby jej dzieci też do czegoś w życiu doszły.

W naszym domu nie było gier wideo. Rodzinnym ośrodkiem rozrywki był za to zalesiony teren na tyłach domu, rojący się od owadów i małych gadów. Codziennie przez okrągły rok mama wysyłała nas na dwór, więc ja i moje siostry spędzaliśmy w tym lesie długie godziny. Często trzymałem w jednej ręce siatkę na motyle, a w drugiej przeźroczyste perforowane plastikowe pudełko do przenoszenia schwytanej zdobyczy. Owady mnie intrygowały. Oczywiście uważałem, że ich obserwowanie jest super. Podobało mi się też, że są nieprzewidywalne i trudne do znalezienia. Zauważenie jakiegoś owada nie oznaczało, że mogłem go złapać. Musiałem się nauczyć, jak go złowić.

Miałem dopiero sześć czy siedem lat, kiedy matka wręczyła mi moją pierwszą książkę o owadach, a kiedy szybko przeczytałem ją od deski do deski, kupiła mi następną, a potem jeszcze jedną. Chociaż byłem mały i często się niecierpliwiłem, umiałem skupić uwagę na tych książkach. Nikt z mojej rodziny nie wie dokładnie, skąd wzięła się u mnie ta cecha – nawet mama nie angażuje się tak jak ja. Ale ją wciąż ekscytowało zaspokajanie mojego pragnienia nauki.

– Znajdziemy ci każdą książkę, jaką kiedykolwiek napisano na ten temat – mawiała, i zanim się spostrzegłem, miałem już przewodnik terenowy Audubon i trzy inne do kompletu.

Po jakimś czasie książki przestały mi wystarczać. Zacząłem rysować owady, ale nie tylko skrzydła, odnóża i ciało. Rysowałem wszystkie części, a nawet je podpisywałem: głowa, tułów, odwłok i tak dalej. Kiedy to przestało mnie satysfakcjonować, łapałem owady i pracowicie umieszczałem je w szklanych gablotkach, żebym mógł podziwiać ich cechy w przyszłości.

Łowienie owadów również całkowicie mnie pochłaniało. Podobnie jak moja mama, która uwielbiała pracować w ogrodzie na tyłach domu, kiedy nie gotowała ani nie uczyła w szkole, byłem obdarzony ogromną energią. Zabierałem ze sobą Daynę, młodszą o cztery lata ode mnie, na trasy przyrodoznawcze, które ciągnęły się kilometrami. Czasami zapominałem się zatrzymać. Bynajmniej nie próbowałem wycieńczyć swojej siostry – bardzo się lubiliśmy, a ona także miała bzika na punkcie nauk przyrodniczych i ścisłych. (Dzisiaj Dayna jest farmaceutką nuklearną. Pracuje z wybranymi materiałami radioaktywnymi stosowanymi w medycynie). Po prostu koncentrowałem się na misji. Uwielbiałem czuć nagły przypływ adrenaliny, gdy wspinałem się na wysokie drzewa, żeby

dotrzeć do gniazd gąsienic barczatki pierścieniówki i cykad, albo szedłem przez wysoką trawę, żeby łapać pełzające węże gołymi rękami.

– Przez ciebie zamartwiam się na śmierć – mawiała moja matka, kiedy wracaliśmy po ciemku z takich eskapad. Stała w ogrodzie na tyłach domu z rękami na biodrach i patrzyła na węża wijącego się w moim plastikowym pudełku. – Zbierasz, co popadnie.

Przeważnie tolerowałem szkołę. Sama praca była okej, chociaż nigdy do końca nie rozumiałem, dlaczego zawsze mi mówiono, co mam robić: czytałbym niezależnie od tego, czy ktoś nade mną stał, czy nie. Ale bycie moim książkowym miało swoje złe strony, bo bardzo mi dokuczano. Byłem klasycznym przykładem zamyślonego maniaka – nosiłem za duże okulary, byłem niski jak na swój wiek i uchodziłem za prymusa na lekcjach z przedmiotów ścisłych i przyrodniczych – ale to mi nie przeszkadzało.

Szczerze mówiąc, moją ulubioną imprezą, czymś, co najbardziej uwielbiałem w szkole, była Olimpiada Naukowa. Jest to ogólnokrajowy system konkursów, które sprawdzają wiedzę z zakresu nauk ścisłych i przyrodniczych zarówno u poszczególnych uczniów gimnazjów i szkół średnich, jak i drużyn szkolnych podczas edycji regionalnych, stanowych i krajowych. Te wyzwania były idealne dla takiego poważnego dziecka jak ja, bo chociaż lubiłem gry zespołowe, nie byłem na tyle wysoki czy sprawny fizycznie, żeby robić postępy w szkolnych drużynach. Niektórzy chłopcy mieli ojców, którzy nauczyli ich grać w baseball, ale moi rodzice rozstali się w atmosferze wrogości, a ja i moje siostry właściwie nie kontaktowaliśmy się z ojcem do czasu, aż dorośliśmy. Miałem za to mamę, która przygotowywała mnie do turniejów naukowych.

Olimpiada Naukowa dała mi kolejną sposobność, żebym wykorzystał swoją obsesję na punkcie nauk ścisłych i przyrodniczych. Rywalizowałem

w wielu przedmiotach, między innymi chemii i biologii, gromadząc dziesiątki medali i nagród.

Najlepszy był dla mnie rok 1996. Postanowiłem zostać ekspertem od drzew i wkuwając całymi nocami, nabijałem sobie głowę mało znaną wiedzą o platanach zachodnich, wiązach czerwonych i dębach ostrolistnych. Nawet moi kumple biorący udział w Olimpiadzie Naukowej uważali mnie za czubka – co to za uczeń szkoły średniej, który zakuwa po nocach, żeby zapamiętać nazwy jakichś drzew? Ale ja uwielbiałem ten materiał i lubiłem stawiać sobie wyzwania, żeby się przekonać, jak dużo mogę wchłonąć. W tamtym roku zostałem mistrzem krajowej Olimpiady Naukowej w kategorii rozpoznawania drzew, a także wykorzystałem swoją głęboką wiedzę naukową do zdobycia 21 sprawności skauta. Poza tym codziennie ćwiczyłem grę na oboju. Tak, niezły czad, co? Ale i wariactwo.

No i była jeszcze pogoda.

Jak już powiedziałem, zawsze mnie intrygowała. Wybiegałem przed dom, ilekroć zagrzmiało, uderzył piorun czy zaczynał padać śnieg. Moja starsza siostra Cortney i ja byliśmy fanatykami Weather Channel, jedynej stacji telewizyjnej, której programy mama pozwalała nam systematycznie oglądać. Wybieraliśmy swoich ulubionych meteorologów i nabraliśmy pojęcia o funkcjonowaniu radaru dopplerowskiego (ogromnej anteny służącej do przewidywania pogody, wysyłającej fale radiowe, które wracając, zmieniają się w zależności od tego, w jakich warunkach zostały odbite). Ale nawet kiedy byłem w szkole średniej, właściwie nie miałem aż takiej obsesji na punkcie pogody jak na punkcie nauk ścisłych i przyrodniczych. Trudno ją było śledzić – pogoda zmieniała się codziennie, czasami co godzinę. Nie dało się jej zakonserwować pod szkłem do dalszych badań.

Potem, pewnego dnia na początku zimy, kiedy byłem w ostatniej klasie szkoły średniej, nad zachodnią część Michigan nadciągnęła potężna burza – deszcz, grad i gwałtowny wiatr. Wpadłem wtedy na pewien pomysł. Byłem w domu i zbierałem się do wyjścia, gdy spostrzegłem starą rodzinną kamerę wideo. Było to przedpotopowe urządzenie, z którego rzadko się korzystało. Złapałem ją, włożyłem kurtkę i wyszedłem do ogródka przed domem.

Zarejestrowałem wszystko, co widziałem – wyjąty wśród drzew wiatr wiejący z prędkością 70 kilometrów na godzinę, czarne chmury pędzące po niebie oraz deszcz i grad bębniący w dach naszego domu.

Jestem pewien, że gdyby ktoś mnie wtedy obserwował, pokręciłby głową ze zdziwienia. Filmować ulewę? Cóż ten dzieciak wyprawia? Po chwili kamera przestała działać.

Nie zaszedłem zbyt daleko, ale uważam to za swój pierwszy pościg za burzą.

Od tego momentu pogoda coraz bardziej absorbowwała moją uwagę. Uwielbiałem owady i drzewa, ale pogoda była bardziej ekspresyjna i chaotyczna. Miała więcej energii niż ja.

Cortney i ja bez przerwy pisaliśmy listy do Weather Channel, aż wreszcie dostaliśmy zaproszenie dla całej rodziny na wycieczkę do głównej siedziby sieci w Atlancie w stanie Georgia. Wysłałem wiadomość do Tima Marshalla, który był wtedy jedynym łowcą burz, o jakim słyszałem, bo jego filmy wideo pojawiały się w Weather Channel. Poprosiłem go o zdradzenie sekretów zawodowych. Pogoda pomogła mi nawet zyskać większą popularność w szkole średniej: zacząłem podawać codzienne prognozy w szkolnej sieci telewizyjnej. Zamieniłem okulary na soczewki kontaktowe i nosiłem przed kamerą hawajskie koszule.

W ostatniej klasie dostałem też swój pierwszy samochód, który był oczywiście starym gratem. Pamiętam, że jeździłem nim na randki, zagrać

w koszykówkę z kolegami i dojeżdżałem na staż do biura National Weather Service w Grand Rapids, gdzie nagrywałem regionalne obserwacje meteorologiczne dla południowo-zachodniego Półwyspu Dolnego.

Ale najlepsze w posiadaniu własnego samochodu było to, że mogłem ścigać burze, aczkolwiek tylko trochę tak, jak robił to łowca tornad Tim Marshall. Pod koniec 1997 i na początku 1998 roku nieraz mówiłem mamie, że zaraz wracam, a potem jechałem 30 kilometrów na południe. Nie miałem pojęcia, co robię, a jednak chciałem dogonić burzę.

W zachodnim Michigan często dochodzi do burz śnieżnych wywołanych tak zwanym efektem jeziora. Pod wpływem tego efektu śnieg może spaść wszędzie tam, gdzie zimne powietrze przemieszcza się nad stosunkowo ciepłymi zbiornikami wodnymi, a dokładnie takie warunki można spotkać późną jesienią i na początku zimy w rejonie Wielkich Jezior. Mniej więcej od listopada do stycznia Wielkie Jeziora nie są jeszcze zamrożone, ale na południe i wschód przez terytorium Stanów Zjednoczonych zaczyna napływać zimne arktyczne powietrze.

Jeździłem samochodem na południe i obserwowałem nadciągające burze. Lodowaty wiatr wiał zwykle z zachodu, od jeziora Michigan, nad którym najniższe warstwy powietrza nagrzewają się, zgarniając wilgoć z powierzchni wody. Następnie ogrzane powietrze zaczyna się unosić i oziębiać, a zawarta w nim dodatkowa wilgoć skrapla się, co powoduje gwałtowne powstawanie chmur burzowych.

Co prawda burze śnieżne zaczynają się nad jeziorem Michigan, ale nasilają się, kiedy wyhamowują po dotarciu do wschodniego brzegu jeziora. Właśnie wtedy dochodzi do konwergencji – zjawiska, w wyniku którego chmury dosłownie układają się w stosy. Patrzyłem z podziwem, jak niebo zmienia się w maszynę do naśnieżania. Wszystko – krzewy, chodniki, zaparkowane samochody – robiło się tak białe, jakby zostały pomazane

jakimś gigantycznym wałkiem malarskim. Ruch uliczny stopniowo zamierał. Burze śnieżne wywołane efektem jeziora mogą przynosić intensywne opady śniegu sięgające dwunastu centymetrów na godzinę, a nawet więcej. To wyjątkowo dużo w porównaniu z innego rodzaju śnieżycami.

Początkowo udawało mi się przekonać kumpli ze szkoły, żeby jeździli ze mną oglądać śnieżycę wywołaną efektem jeziora, ale wkrótce poszli po rozum do głowy. Warunki na drogach były strasznie zdradliwe, a ja niebawem miałem zbyt wielką obsesję na tym punkcie, żeby wycofać się nawet przed wielką burzą.

Byłem w swoim żywiole. Nie obchodziło mnie, co myślą moi koledzy, ani nie przejmowałem się korkami tworzącymi się na drogach. Ten śnieg był taki piękny, był takim meteorologicznym cudem. Padał tak szybko, że nie tylko tłumił wszelkie dźwięki na zewnątrz, ale także uspokajał mój umysł i pomagał skupić myśli.

Wiele lat później, kiedy mama dowiedziała się o tych pościgach, powiedziała to, co teraz często mówi o moim łowieniu burz: „Nie chcę znać szczegółów, Reed. Martwiłabym się jeszcze bardziej”.

Ale w moim przekonaniu szczegóły tych pierwszych pościgów były wspaniałe: pamiętam, że czasem wjeżdżałem w tak gęstą śnieżycę, że musiałem wystawiać głowę przez okno po stronie kierowcy, żeby widzieć drogę.

W tych zimnych chwilach nie zdawałem sobie jednak sprawy z tego, że sposobie się, żeby zostać tego rodzaju łowcą burz z Alei Tornad, jakim jestem teraz. Może i byłem tylko dzieciakiem ze szkoły średniej, ale uczyłem się wściubiać nos w sam środek burzy.

Naturalne środowisko

Chciałem, żeby prowadził Aaron. Jechałem swoim samochodem na wschód drogą międzystanową numer 380 w północno-środkowym Teksasie i mijalem właśnie maleńkie miasteczko Throckmorton. W górze przed nami przeżyła muskuły potężna burza, która wyglądała tak, jakby szykowała się do wyciągnięcia leja w stronę ziemi. Widziałem, jak na naszych oczach burza się nasila. To dobrze. Gdyby mogła zorganizować parę składników – na przykład zmienić intensywny uskok wiatru w silny mezocyklon, czyli szybko wirujące i wznoszące się wiatry – mielibyśmy do czynienia z niesamowitą pogodą.

– Przygotuj się, żeby przejąć kierownicę – powiedziałem do Aarona, swojego przyjaciela i kolegi z meteorologii, przekładając dłoń przez uchwyt kamery wideo. Spojrzał na prędkościomierz. Pędziliśmy 180 kilometrów na godzinę.

W pobliżu nie było żadnych innych samochodów, więc byłem całkiem spokojny, kiedy Aaron wyciągnął swoje długie ręce z siedzenia pasażera, żeby utrzymać kierunek na łagodnie skręcającej drodze.

Czy Aaron, nie mówiąc o trzech pozostałych łowcach burz jadących na tylnym siedzeniu chevroleta luminy, także był całkowicie spokojny, to już zupełnie inna sprawa. Działo się to 7 kwietnia 2002 roku, a ja byłem na ostatnim semestrze studiów licencjackich na wydziale meteorologii OU, jednak w pewnym sensie czułem się tak jak w ostatniej klasie szkoły średniej.

Cztery lata wcześniej w zachodnim Michigan moi koledzy przestali mi towarzyszyć podczas tamtych chaotycznych burz śnieżnych wywołanych efektem jeziora. To zbyt ryzykowne – mawiali. Nigdy nie wiesz, kiedy odpuścić – skarżyli się.

Teraz, pod koniec studiów licencjackich, moje energiczne podejście do pogoni za tornadami wywoływało często takie same reakcje. Ludzie mówili, że robię to zbyt emocjonalnie, że chcę podejść zbyt blisko. Jednak gdy namierzyłem superkomórkę mogącą wywołać tornado, nie było niczego ani nikogo – wliczając w to niechętnych partnerów pościgu, zrządzających przeciwników i moje dziewczyny – kto mógłby mnie skłonić do zwolnienia tempa. Zmieniłem się w drapieżnika, a Aleja Tornad była moim naturalnym środowiskiem.

– Naprawdę chcę ją dogonić – powiedziałem do Aarona, podczas gdy lumina gnała z piskiem opon przez teksaskie odludzie.

Mocno naciskałem pedał gazu, a kamerę wycelowałem przez przednią szybę w superkomórkę widoczną kilka kilometrów przed nią.

Owszem, filmowałem na pamiątkę, ale utrwaląłem burzę na taśmie także po to, żeby sprzedać ten materiał mediom i w ten sposób pokryć koszty wyprawy. Wśród łowców burz, których liczbę szacowano wówczas na setki, a nawet tysiące osób, było nas mniej więcej kilkudziesięciu, którzy zarabiali trochę pieniędzy, robiąc to, co uwielbiali robić. 100 dolarów tu, 200 dolarów tam, czasami znacznie więcej. Ale nawet 30 dolarów wystarczyłoby, żeby zatankować samochód. Oznaczało to, że mogłem przejechać następne 500 kilometrów i nie przerywać pościgu. Rywalizacja o zdobycie najlepszego materiału filmowego była bezwzględna, a to jeszcze pogłębiało moją obsesję na punkcie łowienia burz.

– Możemy tu być zupełnie sami! – krzyknąłem radośnie, jadąc pustą drogą, bo wiedziałem, że jeśli zejdzie tornado, mam szansę nakręcić

unikatowy materiał. – To chyba jakieś żarty!

Aaron oraz studenci meteorologii z tylnego siedzenia: Adam, Wally i Holly, śmiali się nerwowo. Przed wyjazdem poprosiłem swojego starego przyjaciela Ricka, żeby wybrał się ze mną, ale grzecznie odmówił. Całkowicie zrezygnował z meteorologii i robił dyplom z botaniki.

– Wkrótce zobaczymy coś wspaniałego – powiedziałem, mrużąc jedno oko, bo cały czas patrzyłem przez wizjer kamery.

Rzeczywiście burza się zorganizowała i niebo się rozszalało. Tornado, które wyłoniło się z superkomórki, szybko nabrało ogromnych rozmiarów – miało 800 metrów szerokości – i sunęło przez pola tuż obok nas. Szybko przemieszczający się lej wzbił w powietrze wielki tuman kurzu, a kolor chmur zmieniał się z czarnego na biały, potem na brązowy o odcieniu kurzu i wreszcie na różowy. Ten ostatni kolor odzwierciedlał barwę nieba wokół leja. Tornado przeorało otwarte pola i spłoszyło krowy, ale (na szczęście) ominęło zbiory, budynki gospodarskie i ludzi, robiąc to na pozór równie celowo jak F5, które przeszło w 1999 roku przez Moore w Oklahomie, wyszukując ludzi i ich dobytek. Aaron, Adam, Wally, Holly i ja mieliśmy miejsca w pierwszym rzędzie, oglądając tornado. Prawie wszyscy inni łowcy burz przegapili okazję.

– O kurczę! – jęknęła Holly z oczami wbitymi w trąbę powietrzną.

– Mamy tu gigantyczne tornado! – krzyknąłem. – To jest prawdziwe monstrum! Potwór! Posłuchajcie, jak ryczy!

– O Boże – powiedział Adam, rozdziawiając usta.

Kiedy tornado się rozproszyło – rozwiało – wszyscy odetchnęliśmy z ogromnym zadowoleniem. Na każdy raz, kiedy odnajdywałem tornado, przypadało pewnie z dziesięć wypraw, podczas których nic nie widziałem.

Jednak ten dzień w północnym Teksasie miał się okazać zupełnie wyjątkowy.

– Nie wydaje mi się, żeby to był już koniec – powiedziałem, zerkając w niebo, a potem skręciłem na północ w jakąś polną drogę.

Gdy tornado zaniknęło, zauważyłem kolejny niewielki obszar przejaśnień w chmurach. Naukowcy badający burze nie są zupełnie pewni, ale uważają, że takie przejaśnienie jest szczeliną w superkomórce, przez którą ciepłe powietrze przemieszcza się w dół, otaczając mezocyklon i nasilając jego rotację do tego stopnia, że powstaje tornado. To gwałtownie opadające powietrze jest często suche, ale niekiedy niesie ze sobą opady. Nosi nazwę tylnego prądu zstępującego (RFD – rear flank downdraft).

Przejaśnienie – które obserwowałem niemal za każdym razem, kiedy odnajdywałem tornado – stanowi piękny widok: często jest to jasna plama w chmurach burzowych, nawet z przeświecającymi przez nią promieniami słońca, zlokalizowana dokładnie w tylnej części (w przypadku większości burz na południowym zachodzie) szarej, gęstej, nisko zawieszonyj chmury stropowej, która wywołuje tornado. Przejaśnienie kontrastuje z niebem, nadając ciemnościom głębię i ciekawą strukturę.

Jeździliśmy przez jakiś czas po okolicy, ale nie widzieliśmy, żeby coś się szykowało. Kiedy jednak zatrzymaliśmy się, żeby zorientować się w sytuacji, stało się coś dziwnego. W trawach porastających prerię wokół nas głośno szumiał ciepły wiatr. Czyżby to był RFD? Ale co z rotacją? I gdzie był lej kondensacyjny?

Aaron wystawił głowę przez okno i popatrzył wprost do góry.

– Jest nad nami! – wrzasnął.

Popatrzyłem do góry. Widok wirujących chmur bezpośrednio nad nami był dziwaczny i niesamowity – ogromna masa wyglądała niczym pociemniała, obracająca się drożdżówka z cynamonem.

– Nic nam nie będzie – powiedziałem, wysiadając z samochodu i kierując kamerę na to widowisko. – Jesteśmy bezpieczni.

Holly zachichotała nerwowo.

– Stary, musimy stąd spieprzać – ponaglił mnie Wally.

– Idzie wprost na nas – powiedział Aaron przez zaciśnięte zęby.

– Jak to wygląda z tyłu? – zapytałem, siadając z powrotem za kierownicą.

Zerknąłem przez ramię, zanim wrzuciłem wsteczny bieg. Miejsce, które opuściliśmy, wkrótce wypełniło się wirującym wiatrem.

W jaki sposób piątka naiwnych łowców burz z OU znalazła się wśród nielicznych osób, które były świadkami najdramatyczniejszych zdarzeń na Alei Tornad tamtego wiosennego dnia? 7 kwietnia 2002 roku wypadł w niedzielę, co oznaczało, że setki łowców burz na Wielkich Równinach zapewne miało czas, żeby wejść na stronę internetową SPC, sprawdzić punkty rosy, przestudiować dane z radarów meteorologicznych i obserwować niski prąd strumieniowy, choćby tylko wyglądając przez kuchenne okno. Wcześniej tamtego dnia Aaron i ja też podjęliśmy takie kroki i już same imponujące dane dotyczące uskoków wiatru – wskazujące, że na terenie Teksasu wiatr będzie wiał z różnych kierunków, z różną szybkością i na różnych wysokościach, co mogło przyczynić się do powstania mezocyklonu – sprawiły, że szaleliśmy z niecierpliwości. Ale ja, tak jak tylko najwięksi maniacy wśród łowców tornad, chciałem wykorzystać wszelkie możliwe środki, które pomogłyby mi ustalić, gdzie dokładnie może się pojawić ta magiczna pogoda.

7 kwietnia klucz do naszego sukcesu był faktycznie setki kilometrów na północ od miejsca, w którym się znajdowaliśmy. Joel Taylor, wysoki, spokojny student meteorologii OU, z którym poprzednio tropiłem burze, nie mógł się wybrać do północnego Teksasu. Utknął w swoim mieszkaniu w Norman. Ale Joel uwielbiał tropienie burz, dlatego wiedziałem, że będzie

śledził na swoim komputerze dokładnie te same zjawiska pogodowe, które my będziemy mieli nad głowami, jadąc samochodem. Pomyślałem, że jego spostrzeżenia mogą się okazać pomocne. Joel zgodził się wspierać ten pościg na odległość, służąc dodatkową parą oczu i pełniąc funkcję tak zwanego nowcastera.

W tamtych czasach, kiedy łowcy burz nie dysponowali jeszcze dostępem do mobilnego internetu, najbardziej zdeterminowani z nas wynajdowali przeróżne sposoby, żeby otrzymywać po drodze bardzo szczegółowe, najświeższe informacje o pogodzie. Jeden z nich polegał na tym, żeby utrzymywać kontakt z kimś, kto może uważnie śledzić w komputerze pogodę w dniu pościgu, czyli z nowcasterem.

Łowcy burz wymyślali także sposoby samodzielnego uzyskiwania aktualnych danych. Zatrzymywali się przed motelami rozszanymi po Wielkich Równinach, wchodzili do holu z laptopem i prosili o kilkuminutowy dostęp do internetu.

No, a zanim wszyscy mieliśmy laptopy? Szukaliśmy bibliotek publicznych. Biblioteki – choćby nie wiem jak skromne – zawsze miały dostęp do internetu, więc po kilku latach, odkąd zostałem łowcą burz, mój portfel pęczniał od kart bibliotecznych z wielu najmniejszych miasteczek Ameryki. Jestem zapisany do publicznych bibliotek między innymi w Scottsbluff w Nebrasce, Woodward w Oklahomie i Russell w Kansas. Po drodze szybko nauczyłem się pewnej podstawowej zasady, jaką należy się kierować przy tych krótkich postojach: przyjeżdżać przed końcem lekcji. Nie chcielibyście przecież tracić cennych minut podczas pościgu, czekając, aż dzieciaki przestaną sobie wyrywać klawiatury.

7 kwietnia korzystaliśmy z jednego z telefonów komórkowych moich partnerów, żeby dostawać uaktualnione dane od Joela. W 2002 roku nie

miałem jeszcze własnej komórki i nie zdawałem sobie sprawy, jak telefonia komórkowa zrewolucjonizuje w końcu łowienie burz.

– Co widzisz? – zapytałem przez telefon, patrząc w górę na teksaskie niebo mniej więcej godzinę wcześniej, zanim dogoniliśmy pierwsze tornado w Throckmorton.

– Gdzie jesteście? Szanse nie wyglądają dobrze – powiedział Joel. Słyszałem, jak stuka w klawiaturę komputera, przeskakując z jednej internetowej strony meteorologicznej na drugą. – Dużo czerwonego i żółtego przesuwają się razem – dodał, a ja wiedziałem, że Joel patrzy na obraz radarowy. Czerwone i żółte obszary na jego ekranie oznaczały intensywne opady. – Linia szkwału – dodał.

Joel potwierdził to, czego się obawiałem, patrząc na szare, deszczowe niebo. Linia szkwału to seria burz, które są dosłownie ustawione w jednej linii. Chociaż taki układ mógłby się wydawać optymalny – wiele burz oznacza kilka okazji do zejścia tornad – w rzeczywistości jest na odwrót. Wszystkie burze rywalizują ze sobą o dostępne ciepłe powietrze z otaczającej je atmosfery, które jest niezbędnym warunkiem do powstania tornada. W końcu burze głodzą się nawzajem. Burze z linii szkwału mogą wywoływać potężne wiatry prostoliniowe (nierotacyjne) i imponujące ulewy, ale na ogół nie zapoczątkowują tornad.

– Co powinniśmy teraz zrobić? – zapytałem przez telefon, patrząc w niebo.

Wcześniej zaparkowałem na poboczu dwupasmówki w pobliżu Aspermont w Teksasie. Szyby zaparowały w zatłoczonym samochodzie. Pozostali siedzieli w milczeniu, zastanawiając się, czy zobaczymy coś oprócz deszczu.

– Obserwować – powiedział Joel, a ja znów usłyszałem przez telefon stukanie w klawiaturę. – Być może coś się pojawi na wschód od was. To

może być ciekawe.

Joel opisał to, co zwróciło jego uwagę. W porównaniu z linią szkwału była to zaledwie mała plamka czerwieni na ekranie radaru. Radar nie rejestrował również żadnych opadów w pobliżu czerwonego obszaru. W sumie to mogły być dobre wiadomości.

– Poza tym jest hak – powiedział, podnosząc głos z podniecenia. – Powinniście pomyśleć o jeździe na wschód, i to szybko.

Joel zobaczył samotną superkomórkę burzową (nazywaną także zbuntowaną komórką), która powstała przed migrującą na wschód linią szkwału i znajdowała się poza nią. Obaj wiedzieliśmy, że ponieważ ta burza jest osamotniona – jak wskazywał radar – istnieje szansa, że wykorzysta otaczające ją ciepłe powietrze potrzebne do utworzenia tornada. Ale musiałoby do tego dojść, zanim posuwająca się naprzód linia szkwału dogoni tę samotną burzę.

„Hak” opisany przez Joela był charakterystycznym dodatkiem w kształcie haka, który ciągnął się za południowo-zachodnim rogiem chmury burzowej i był typową cechą superkomórki wywołującej tornado. Pojawienie się tak zwanego hook echo, echa radarowego w kształcie haka, wskazuje, że opady burzowe otaczają mezocyklon, a to dowodzi, że burza wiruje. Tornado może być niedaleko za nią.

– Samotna komórka to dla was najlepsza szansa – powiedział Joel. – Jest jakieś 65 kilometrów od was. Zasuwaszcie na wschód.

Uruchomiłem silnik. Aaron popatrzył na mnie.

– Co powiedział? – zapytał.

– Ruszajmy na wschód – odparłem.

Powiedziałem Aaronowi, Wally’emu, Adamowi i Holly, co Joel zobaczył w internecie. Wszyscy zgodziliśmy się ścigać samotną komórkę burzową, wiedząc, że to ryzykowna decyzja. Było mało prawdopodobne, że

zobaczymy tornado wyłaniające się z jednej z burz w linii szkwału. Mogło się zdarzyć, że pognamy na wschód tylko po to, żeby się przekonać, że samotna burza z „hakiem” zdążyła się rozpaść przed naszym przyjazdem albo została szybko wchłonięta przez posuwającą się linię szkwału. Musieliśmy się również liczyć z trudnymi warunkami na drogach. Pomiędzy tą samotną burzą a nami wiały wiatry związane z linią szkwału, osiągające prędkość 110 kilometrów na godzinę, i mogły się zdarzyć intensywne opady deszczu. Wiedziałem, że moi partnerzy są zaniepokojeni, mając mnie za kierownicą.

Wkrótce znaleźliśmy się pod ostrzałem, bo wjechaliśmy w strefę intensywnych opadów burzowych.

– Będzie dużo gorzej? – zapytała Holly z tylnego siedzenia. Z jej głosu wyraźnie przebijał niepokój. Ledwie ją słyszałem z powodu bębniącego deszczu i ciągle machających wycieraczek. – Widzisz, dokąd jedziesz?

Deszcz był mniej lub bardziej ulewny, a ja rzeczywiście niewiele widziałem i właśnie dlatego, przejeżdżając przez burzę, nie przekraczałem 130 kilometrów na godzinę. Droga była przeważnie prosta i pusta, więc wydawało mi się, że kontroluję sytuację. Mimo to muszę przyznać, że gwałtowny wiatr i deszcz nie były jedynymi siłami wpływającymi na moją jazdę samochodem. Obsesyjne pragnienie dogonienia burzy nie pozwalało mi zwolnić do znacznie bezpieczniejszych 95 kilometrów na godzinę.

Zanim mogłem oderwać wzrok od drogi, żeby zerknąć na Holly w lusterku wstecznym, byliśmy już po wschodniej stronie linii szkwału i wyjechaliśmy z burzy. Pędziliśmy w kierunku Throckmorton. Gdy znów popatrzyłem przez przednią szybę, zobaczyłem przed nami samotną superkomórkę. Ciemna chmura wyglądała tak, jakby miała za chwilę utworzyć niepowtarzalne tornado.

– Jest! – wykrzyknął Aaron, wskazując na chmurę burzową.

Słyszając to, wcisnąłem pedał gazu luminy do podłogi, sięgnąłem po kamerę wideo i ruszyłem w pościg za superkomórką.

Z pewnością nie jestem pierwszą osobą, która nie widzi świata poza tornadami, ale niedługo po pościgu w Throckmorton w kwietniu 2002 roku przekonałem się raz na zawsze, że ogromny entuzjazm wobec tornad, który dzielę z innymi łowcami burz, nie wystarcza, żeby nas połączyć. Mój agresywny, drapieżny styl łowienia burz bardzo różni się od podejścia prezentowanego przez niektórych wpływowych łowców burz, którzy zaczęli przede mną. Jestem skłonny twierdzić, że moje fanatyczne metody oznaczają ewolucję w tej dziedzinie. Część moich kolegów jest jednak innego zdania. Moje ekstremalne metody i zmiany w podejściu do łowienia burz w ogóle uważają oni za krok w złym kierunku.

Łowienie burz nie zawsze wiązało się z właściwym lub niewłaściwym podejściem do rzeczy. Początkowo nie było żadnych wytycznych, pewnie dlatego, że był tylko jeden łowca burz.

Kiedy zaczynał, David Hoadley, uprzejmy i niedoceniany były urzędnik państwowy, którego wielu uważa za dziadka łowienia burz, nie miał jakiegoś typowego dla siebie „stylu”. Hoadleyowi, którego tornada pociągały, odkąd był nastolatkiem, przyświecał tylko jeden ulotny cel: zaobserwować jakiegokolwiek tornado. Zaczął łowić burze na wschodzie Dakoty Północnej w 1956 roku, kiedy nie było jeszcze nowoczesnych technik śledzenia pogody ani nie istniał system autostrad międzystanowych. Prawdę mówiąc, łowienie burz na rojących się od owadów drugorzędnych drogach Dakoty Północnej czasami powodowało, że Hoadley miał trudności z zobaczeniem czegokolwiek przez przednią szybę swojego oldsmobile’a. W ciągu pierwszych sześciu lat łowienia burz widział tylko dwa tornada.

Hoadley – i kilku innych, którzy wkrótce przyłączyli się do jego poszukiwań – łowił burze w tych trudnych warunkach przez mniej więcej dwie dekady. Na szczęście poprawił swoją średnią. W ciągu tych dwudziestu lat zaobserwował mnóstwo trąb powietrznych na terenie całej Alei Tornad. Ale niezależnie od bardzo luźno związanych ze sobą pionierów łowienia burz, którzy uważali swoją rozrywkę na świeżym powietrzu właśnie za rozrywkę, pojawiły się inne osoby, które w tornadach interesowało jeszcze coś innego. Byli badaczami i pracownikami państwowymi.

Podobnie jak hobbyści, ci pierwsi maniacy danych uganiający się za tornadami także byli pełni podziwu dla zjawisk, które potrafi tworzyć atmosfera ziemiska. Jednak oprócz fascynacji tornadami badacze chcieli dowiedzieć się jak najwięcej o tym, jak one działają. Robili to w imię nauki i bezpieczeństwa. Zależało im między innymi na tym, żeby Amerykanie byli lepiej chronieni przed szalonym gniewem tego rodzaju burz.

Badacze i pracownicy państwowi z lat pięćdziesiątych i sześćdziesiątych prowadzili sporadyczne badania w terenie, a to utrwalając tornado na filmie, a to próbując prowadzić obserwacje z samolotu. Mniej więcej w tym samym czasie rząd federalny zaczął budować infrastrukturę mającą na celu zajmowanie się gwałtownymi zjawiskami pogodowymi, tworząc najpierw Severe Local Storms Unit (Zespół do spraw Gwałtownych Burz Lokalnych) w stolicy kraju, a następnie, w 1964 roku, National Severe Storms Laboratory (Krajowe Laboratorium Gwałtownych Burz). NSSL powstało w Norman i współpracowało z istniejącym teraz już od pięćdziesięciu lat Instytutem Meteorologii Uniwersytetu Oklahomy. Jedno z zadań NSSL polegało na tym, żeby lepiej zrozumieć, a zatem przewidywać, gwałtowne zjawiska pogodowe.

W 1972 roku zapoczątkowano Tornado Intercept Project (Projekt Obserwacji Tornad), prowadzony wspólnie przez Uniwersytet Oklahomy i NSSL. Był to pierwszy zorganizowany naukowo-badawczy projekt łowienia burz. TIP, jak go w skrócie nazywano, zatrudniał studentów meteorologii OU do obserwacji burz na Wielkich Równinach. Do ich obowiązków należało między innymi filmowanie i fotografowanie tornad, co doprowadziło do tego, że bardzo szybko zaczęto znacznie lepiej rozumieć budowę superkomórek burzowych, które często tworzą warunki sprzyjające powstawaniu trąb powietrznych.

TIP utorował również drogę do dalszych badań. W latach osiemdziesiątych naukowcy zajmujący się łowieniem burz rozmieszczali na drodze tornad sondy, mając nadzieję, że umieszczony w nich sprzęt pomiarowy zostanie wessany przez rotujące wiatry i dostarczy cennych danych. W latach dziewięćdziesiątych i na początku nowego tysiąclecia w ramach sponsorowanych przez władze projektów łowienia burz pod nazwą VORTEX naukowcy wyruszali w teren w nadziei, że nie tylko lepiej zrozumieją, jak powstają tornada, ale też nauczą się skuteczniej przewidywać ich występowanie. Słowo „vortex” (wir) oznacza każdą masę wirującego płynu lub powietrza, ale jako nazwa projektu jest skrótem od „verification of the origins of rotation in tornadoes experiment” (eksperyment mający na celu zweryfikowanie pochodzenia rotacji w tornadach).

Wysiłki podejmowane przez VORTEX były szczególnie godne podziwu, a dane zgromadzone w wyniku tych projektów zdumiewające. W 1994 i 1995 roku w ramach pierwotnego projektu VORTEX wysłano w teren około dziesięciu pojazdów wyposażonych w sprzęt badawczy, a także ciężarówkę wiozącą czaszę radaru Dopplera oraz dwa samoloty z radarami dopplerowskimi do zbierania danych dotyczących tornad

zaobserwowanych w północno-środkowym Teksasie. W 2009 i 2010 roku w ramach projektu VORTEX2 wysłano na Wielkie Równiny około czterdziestu pojazdów, z których wiele wyposażono w podobny sposób, z tym że sprzęt był znacznie bardziej zaawansowany pod względem technicznym.

Te projekty doprowadziły do zgromadzenia ogromnej ilości danych. Fale radiowe wysyłane przez anteny radarów dopplerowskich z odległości kilku kilometrów od burz dostarczyły naukowcom obrazy w wysokiej rozdzielczości przedstawiające liczne wiatry wiejące do wewnątrz i na zewnątrz superkomórek burzowych, a nawet wewnątrz samych tornad, jak również obrazy struktury chmur i przemieszczania się opadów. Tak precyzyjne dane, które nie mogą być rejestrowane przez odległe stacjonarne radary dopplerowskie, pomagają naukowcom zbliżyć się do odpowiedzi na odwieczne pytanie: dlaczego niektóre superkomórki burzowe wywołują tornada, a inne nie?

Jednak w ciągu ostatnich mniej więcej dwudziestu lat także pogoń za tornadami stała się nauką samą w sobie. Chociaż żadna rządowa instytucja oficjalnie nie nadzoruje łowienia burz, społeczność badaczy, którą reprezentuje część starej gwardii łowców, usiłuje kodyfikować postępowanie podczas łowienia burz trochę w taki sposób, w jaki naukowcy kodyfikują dane. Ta grupa zaczęła się wyrażać coraz bardziej otwarcie od czasu, gdy *Twister* wszedł na ekrany kin w 1996 roku. Działo się tak nie bez powodu: *Twister* dostarczył motywacji tysiącom ludzi, którzy nie mieli pojęcia o łowieniu burz, żeby wzięli pod uwagę tropienie tornad.

Jest jednak także mnóstwo łowców burz, którzy nie stosują się do przyjętych reguł, i ja właśnie do nich się zaliczam. Zawsze byłem typem człowieka, który zabierał się do różnych rzeczy po swojemu. Nie oznacza

to, że nie biorę pod uwagę, iż moje działania są niekiedy uważane za bardzo niebezpieczne.

Po swoim przesadnym wystąpieniu w mediach w następstwie pogoni za tym zabójczym F5 z Oklahomy w 1999 roku szperałem w sieci, szukając odpowiedzi na pytanie, jaką logiką kierował się ktoś, kto napisał, że powinno mi się „spuścić lanie” za to, jak się zachowałem.

Pewne odpowiedzi znalazłem u legendarnego łowcy burz, którego znało i szanowało wielu jego kolegów. Według doktora Charlesa Doswella, uhonorowanego wieloma odznaczeniami sześćdziesięcioletniego naukowca z OU, niegdysiejszego łowcy burz i badacza biorącego udział w pierwotnym uniwersyteckim Tornado Intercept Project, istnieje właściwy i niewłaściwy sposób łowienia burz.

Ja wtedy tylko słyszałem o doktorze Doswellu, który jest „celebrytą” wśród łowców burz, ponieważ często przemawia na sympozjach poświęconych gwałtownym zjawiskom pogodowym i jest regularnie cytowany przez myślących podobnie jak on łowców burz na różnych forach. Nic jednak nie wiedziałem o przykazaniach Doswella dotyczących łowienia burz. Na swojej stronie internetowej rozpisywał się na temat tego, co wolno, a czego nie wolno łowcy burz: całkowicie zjeżdżaj z drogi, zanim wysiądziesz z samochodu. Nie przebijaj rdzenia, czyli nie przejeżdżaj przez intensywne opady burzowe w poszukiwaniu tornada. Unikaj jazdy w pobliżu wirujących chmur stropowych. Uważaj, w jaki sposób publicznie zachwycasz się tornadami. Niestosowne wiwatowanie na widok pięknego tornada, twierdził Doswell, może sprawić, że jedna osoba popsuje wizerunek całej społeczności łowców burz.

Nawet dzisiaj Doswell, który jest natychmiast rozpoznawany dzięki dużemu kowbojskiemu kapeluszu i wysokiemu wzrostowi, narzeka, że łowienie burz może się zmienić, i to na gorsze. Ze względu na wpływ, jaki

na łowców burz mają media, Doswell martwi się, że ściganie tornad ma coraz więcej wspólnego z adrenaliną niż z nauką czy rozumieniem meteorologii. Obawia się, że wkrótce jakiś łowca burz może ponieść śmierć albo jadąc samochodem z nadmierną prędkością w pogoni za tornadem, zabić przypadkowego obserwatora stojącego przy drodze. Niepokoi się, że jeśli wizerunek łowców burz zostanie zbyt zszargany, funkcjonariusze policji i pracownicy służb ratowniczych mogą się stać nieufni i podejrzliwi wobec nich. Tacy ludzie mają potencjalnie prawo, żeby nakazać zmianę trasy osobom ścigającym burze po publicznych drogach.

Gdybym w swoich studenckich czasach wiedział to, co wiem teraz, musiałbym przyznać, że obawy Doswella zawsze były w pewnym sensie prorocze. Łowienie burz rzeczywiście bardzo się zmieniło. Dzisiejsi łowcy stanowią ogromnie zróżnicowaną grupę obejmującą naukowców, entuzjastów pogody, miłośników przyrody i ludzi uzależnionych od adrenaliny. Są to osoby w każdym wieku (i nadal, ku dużemu niezadowoleniu wielu z nich, przeważają mężczyźni), kierujące się różnymi motywacjami, takimi jak obserwowanie chmur, chęć ruszenia się z domu, film o łowieniu burz, który obejrżeli w internecie lub telewizji, albo potrzeba kontaktów towarzyskich. W końcu niektórzy ludzie po prostu uwielbiają stać razem na poboczu pustej wiejskiej drogi, patrzeć na superkomórkę na horyzoncie i rozmawiać o pogodzie.

Jednak jestem także skłonny twierdzić, że ogromna większość dzisiejszych łowców burz, których liczba prawdopodobnie sięga kilku tysięcy (choć brak wiarygodnych danych), szanuje zasady łowienia burz. Większość z nich nie podjeżdża blisko burz ani nie chce sprzedawać mediom zwariowanych filmów wideo. Zważają na funkcjonariuszy policji oraz na służby ratownicze i są zainteresowani pomaganiem w ratowaniu życia: za pośrednictwem internetu łowca burz może przekazywać w czasie

rzeczywistym relacje dotyczące zmian warunków pogodowych w terenie, a meteorolodzy z National Weather Service mają dostęp do tego rodzaju informacji. Takie doniesienia od łowców burz wnoszą wkład do prognoz przygotowywanych przez synoptyków.

Dlatego, chociaż uważam, że Chuck Doswell i inni bardziej konserwatywni lub tradycyjni łowcy burz mają dobre intencje, muszą powiedzieć, że sprawiają wrażenie, jakby bali się nieznanego. Nie każdy nowy łowca burz będzie szedł krok w krok za starą gwardią, która zna meteorologię na wylot, nigdy nie ryzykuje zbyt bliskiego podejżdżania do burz i zawsze parkuje jak należy, głęboko na poboczu, z dala od strumienia przejeżdżających samochodów. To jednak nie oznacza, że ktoś, kto przypadkowo zaparkuje krzywo samochód albo nie za dobrze zna się na chmurach, które ma nad głową, jest zły, niebezpieczny albo nie zasługuje na podziwianie burzy. Może pewnego dnia ten sam nowicjusz zostanie meteorologiem z doktoratem i wykombinuje, dlaczego niektóre burze wywołują tornada, a inne nie. Dopóki taki ktoś szanuje swoje środowisko i ludzi wokół siebie, powinien móc realizować swoje ukochane hobby.

Oczywiście w dzisiejszych czasach nie każdy łowca burz ma dobre intencje. Zdarzały się odosobnione utarczki z policjantami, pracownikami służb ratunkowych, a nawet z tornadami. Widywałem łowców burz filmujących ludzi, którzy opłakiwali swoje zniszczone domy i utracony dobytek, i zawsze byłem za tym, żeby wyłączyli kamery. Rejestrowali ogromne nieszczęście innych, podczas gdy ofiarom tornada należy się co najmniej szacunek i prawo do prywatności.

Moja osobista filozofia łowienia burz jest prosta: robić to w granicach własnych możliwości. Krótko mówiąc, im bardziej zbliżę się do burzy, tym więcej zobaczę, tym więcej mam szansę się dowiedzieć i tym bardziej będę usatysfakcjonowany.

Trzeba przyznać, że w swoich studenckich latach na OU postępowałem wbrew niektórym roztropnym sugestiom z listy Doswella. W CNN, a zwłaszcza w programie *Leeza* zaprezentowałem się niemal jak buntownik wśród łowców burz, który robi wszystko, co musi zrobić, żeby być świadkiem niesamowitej gwałtowności matki natury i utrwalić to na taśmie. Nie byłem bynajmniej wzorowym łowcą burz, przynajmniej według ludzi z obozu Doswella.

Po tamtym występie i w następnych latach skutki mojej ewidentnej reputacji renegata nie były zbyt dotkliwe. Inni studenci meteorologii OU regularnie odrzucali moje zaproszenia do wspólnego łowienia burz, a kiedy opuszczałem zajęcia, żeby tropić tornada, paru moich profesorów robiło złośliwe uwagi: „Wszyscy wiemy, gdzie jest dzisiaj Reed”, mówili głośno; chociaż wiedzieli też, że zawsze mam odrobione zadania. Co do Doswella, zdarzało mi się widywać go od czasu do czasu w sali map i na uczelni, ale nigdy go bliżej nie poznałem. A kiedy w końcu stanęliśmy twarzą w twarz i nasze oczy się spotkały? Wtedy zasłużony meteorolog potraktował mnie jak powietrze.

Ten cichy ostracyzm zwykle mi nie przeszkadzał. Zważywszy, że zajmowałem się łowieniem burz, uczyłem się na zajęcia i miałem obsesję na punkcie śledzenia pogody w całym kraju i na świecie, nie zostawało mi zbyt wiele godzin w ciągu dnia na to, żeby znaleźć sobie dziewczynę, a co dopiero przejmować się tym, co doborowa grupa łowców burz myśli o mojej taktyce.

Jednak od czasu do czasu krytyka sprawiała mi przykrość. Wyjeżdżałem samotnie łowić burze albo uczyłem się do późna w nocy w jakiejś w sali w suterenie i zastanawiałem się, dlaczego wytyka się mnie palcami.

Legendarny łowca burz David Hoadley latami wydawał skromną publikację dla społeczności łowców burz zatytułowaną „Storm Track”. W każdym egzemplarzu była zawsze jedna z „Funnel Funnies” Hoadleya, to znaczy zabawnych jednoczęściowych karykatur, które łagodnie drwiły z łowców burz z powodu ich licznych oczywistych wad: zbyt szybkiej jazdy, niebezpiecznie bliskiego podjeżdżania do burz, trochę zbyt głośno okazywanej radości na widok niesamowitego tornada i tak dalej. A jednak Hoadley, który jeszcze dziś łowi burze, dostaje wyłącznie pochwały od bractwa ze starej gwardii i łowców burz nastawionych na badania. Nawet Doswell, którego uważam za wyjątkowego naukowca i który ma imponujący życiorys, przyznał na swojej stronie internetowej, że od czasu do czasu jest winny „naginania przepisów”. Mnie nie potraktowano równie tolerancyjnie.

W tych cichych chwilach za kierownicą lub nad książkami dochodziłem do wniosku, że moim problemem jest szczerłość. Łowiłem burze tak, jak studiowałem albo grałem na oboju, albo słuchałem wielokrotnie tych samych piosenek Toma Petty’ego. To znaczy robiłem wszystko z autentyczną pasją graniczącą ze skrajnością. Czy mogłem być obsesyjnym łowcą burz, a równocześnie nie zapominać o innych? Uważałem, że tak. Nigdy nie byłem na tyle zaabsorbowany pogonią za burzą, żeby spowodować wypadek, i zawsze wyrażałem szczerą troskę i przerażenie, widząc, jak tornado pochłania w całości jakiś dom. Nigdy nie próbowałem polować na zdjęcia ludzi pogrążonych w cierpieniu po przejściu burzy. Nie wchodziłem w drogę pracownikom służb ratunkowych i proponowałem pomoc, ilekroć mogłem się na coś przydać. Wkrótce po występie w CNN zorientowałem się, że sprawiam wrażenie młodego i naiwnego, co było krępujące. Ale co będzie, jeśli pomnoży się mój donośny głos i głęboką miłość do gwałtownej pogody przez nieumiejętność

skrywania emocji? Wyjdzie łowca burz, który prawdopodobnie wygląda na kogoś bardziej niż trochę dziwnego.

Wkrótce po pościgu za tornadem w Throckmorton w Teksasie w kwietniu 2002 roku mój styl jeszcze bardziej powiększył rozdzźwięk pomiędzy mną a łowcami burz ze starej szkoły.

W drodze powrotnej po naszej udanej misji zatrzymałem się pod siedzibą oddziału telewizji ABC w Wichita Falls w Stanie Samotnej Gwiazdy¹, żeby pokazać miejscowemu zespołowi wiadomości niesamowity materiał, który nakręciłem wcześniej tego samego dnia. Tamto tornado rzeczywiście było potworem.

Zanim dogoniłem burzę w Throckmorton, przez kilka lat sprzedawałem swoje filmy wideo różnym sieciom telewizyjnym, takim jak ABC, CBS, NBC, Fox i Weather Channel.

Na ludziach z Wichita Falls mój materiał zrobił tak wielkie wrażenie, że przesłali go realizatorom programu *Good Morning America* nadawanego przez ich sieć. Szybko dostałem zielone światło – ten popularny program chciał pokazać mój film i był skłonny zapłacić mi okazałą sumę 2000 dolarów. Sieć ABC chciała również, żebym wystąpił w *Good Morning America* już następnego dnia i opowiedział o pościgu i o samej burzy.

Kiedy wyjeżdżaliśmy z Wichita Falls, wszyscy w samochodzie wiwatowali. 2000 dolarów! Taka kwota wystarczała na sfinansowanie mnóstwa kolejnych pościgów.

– Denerwujesz się przed występem w ogólnokrajowej telewizji? – zapytał Aaron, który prowadził w drodze powrotnej do Norman.

Ja siedziałem na przednim fotelu pasażera. Cała nasza piątka była zmęczona i brudna po całodziennym podróży. Dochodziła północ.

– Trochę – odpowiedziałem, obracając w palcach długopis. – Ale bardziej mnie martwi, czy zdążę zrobić do jutra te zadania na mezo.

W ciągu całego dnia wracałem co jakiś czas do rozwiązywania równań na zajęcia z meteorologii mezoskalowej. Zajęcia były absurdalnie przeładowane matematyką, a zadania, nad którymi się męczyłem podczas podróży do Throckmorton i z powrotem, dotyczyły skośnej niestabilności konwekcyjnej, zawiłego pojęcia związanego z wypornością powietrza unoszącego się nad powierzchnią nachyloną. Gdy rozmawiałem z Aaronem, byłem w trakcie tworzenia równania, które już zajmowało pół strony.

W pewnym momencie zadzwonił telefon komórkowy, którego używaliśmy wspólnie przez cały dzień. Telefonowała realizatorka *Good Morning America*. Chciała przeprowadzić ze mną wstępny wywiad, zanim wystąpię następnego dnia z prezenterką ABC Diane Sawyer. Realizatorka chciała poznać wszystkie szczegóły pościgu.

Wyjaśniłem jej, że uznaliśmy, iż zanoszą się na burzę w pewnym rejonie północnego Teksasu, a potem obserwowaliśmy, jak szanse wyłonienia się tornada z tej burzy gwałtownie maleją. Słuchając rad naszego przyjaciela oglądającego zdjęcia satelitarne w Norman – powiedziałem jej – podjęliśmy szybką, przemyślaną decyzję, żeby pognać na wschód i znaleźć się pod inną komórką burzową. Przechytrzyliśmy wielu rywali – dodałem. Byłem bardzo z siebie dumny.

Potem realizatorka zapytała, jak szybko jechaliśmy, żeby dotrzeć na czas do nowego obszaru docelowego i zaobserwować tornado.

– Mniej więcej 160 kilometrów na godzinę, ale, proszę, nie wspominajcie o tym na antenie – powiedziałem, bo w głowie zapaliła mi się czerwona lampka.

Po co pogarszać swoje stosunki ze społecznością bardziej konserwatywnych łowców burz? Wiedziałem, że Diane Sawyer nie da mi szansy na wyjaśnienie, że łamaliśmy przepisy, jadąc po pustej drodze.

Następnego dnia rano wpatrywałem się w kamerę telewizyjną w studiu KOCO, oddziału ABC w Oklahoma City. Diane Sawyer przedstawiła mnie na żywo w ogólnokrajowej telewizji.

– Wczoraj w północnym Teksasie – powiedziała Sawyer – łowca burz Reed Timmer jechał 160 kilometrów na godzinę, żeby dogonić tornado...

Niewiele więcej pamiętam z tamtego wywiadu. Byłem w stanie myśleć tylko o tym, że środowisko łowców burz oskarży mnie o łamanie prawa. Znowu zjawia się ten wyszczekany Reed Timmer, łamiąc etyczny kodeks łowców burz i wypaczając obraz całej społeczności w ogólnokrajowej telewizji.

Przez kilka następnych dni dostawałem przepełnione złością e-maile od łowców burz i wiadomości na tematycznych forach internetowych. Ze wszystkich stron sypały się na mnie obelgi: „Jesteś lekkomyślny!”, „Gdzie twoja etyka zawodowa?”, „Czy wiesz, w jak złym świetle nas przedstawiłeś?”, „Gliny nas znienawidzą!”, „Na wydziale meteorologii wszyscy o tobie mówią!”, „Przeraża mnie myśl, że mogę się znaleźć gdzieś w pobliżu twojego samochodu!”, „Gdzie twoja uczciwość?”.

Moja uczciwość? Jest jak na dłoni. Każdy może ją zobaczyć. Uwielbiałem łowienie burz. Żyłem dla niego. Robiłem wszystko, co w mojej mocy, żeby poprawić swoje szanse zaobserwowania tornada, i zmuszałem się do odrabiania prac domowych w samochodach podczas pościgów, aż dostawałem od tego zezna, bo chciałem w pełni zrozumieć to, co widzę na niebie. Pewnie, jechałem za szybko i przyznałem się do wykroczenia, ale przecież nie jestem jedyną osobą, która kiedykolwiek prowadziła za szybko w pogoni za burzą, a ja byłem na całkowicie opustoszałej drodze.

Postanowiłem, że nie będę się martwił, jak zmienić to, kim jestem albo w jaki sposób łowię burze. W następnych dniach po moim występie

w *Good Morning America* życie toczyło się jak zwykle. To znaczy nikt mi nie powiedział w twarz niczego na temat mojej szybkiej jazdy ani wywiadu w telewizji. Nikt się do mnie za dużo nie odzywał.

OU mógł mieć nadzieję, że ma mnie z głowy, ale ja jeszcze nie skończyłem z OU ani z Wielkimi Równinami.

Wiosną 2002 roku moja kurcząca się grupa na studiach licencjackich – została nas jakaś dwudziestka – zbliżała się do końca ostatniego roku w Instytucie Meteorologii. Niektórzy moi koledzy ze studiów liczyli, że znajdą pracę związaną z prognozowaniem, czy to w sektorze prywatnym, w branżach uzależnionych od pogody, na przykład w rolnictwie lub energetyce, czy w instytucjach państwowych, takich jak National Weather Service. Inni chcieli zostać na uczelni i starać się o pracę związaną z badaniami naukowymi. Kiloro liczyło na zdobycie posad w mediach i zostanie pogodowymi celebrytami. Co do mnie, chciałem nadal łowić trąby powietrzne na Alei Tornad.

Powody były oczywiste. Będąc na ostatnim roku studiów licencjackich, czułem takie samo podniecenie na myśl o obserwowaniu tornad wszelkich rozmiarów i kształtów – klina, komina, trąby słońca, liny, co tylko chcecie – jak cztery lata wcześniej, w dniu, w którym po raz pierwszy przyjechałem do Norman. Ale było coś jeszcze. Przez te ostatnie cztery lata widziałem na własne oczy także zniszczenia, jakich dokonują gwałtowne zjawiska pogodowe. Poranionych ludzi, zburzone domy, przewracane samochody. Ponieważ tornada (i huragany) tak bardzo mi się podobały, wiedziałem, że moja wrażliwość jest skrzywiona. Tego rodzaju pogoda napełniała przerażeniem przeważającą większość ludzi, i nie bez powodu. Jeśli zamierzałem kontynuować łowienie burz, powinienem także nadal chłonąć wiedzę na temat pogody. Pewnego dnia, myślałem, będę chciał wnieść wkład w naukę zajmującą się gwałtownymi zjawiskami pogodowymi.

Chciałem się zaangażować w pomaganie ludzkości w lepszym zrozumieniu tornad i w lepszym przygotowaniu się do schodzenia im z drogi.

Nie byłem całkiem pewien, w jaki sposób mam osiągnąć ten ostatni cel, ale wiedziałem, jak kontynuować studiowanie meteorologii. Mogłem złożyć podanie na studia podyplomowe.

Niektóre z najbardziej prestiżowych programów podyplomowych z dziedziny meteorologii – na takich uczelniach jak Penn State, Florida State i OU – znajdują co roku miejsca tylko dla jednego na czterech czy pięciu kandydatów. Ja na szczęście zyskałem prawo do złożenia papierów w którejkolwiek z tych instytucji. Byłem na najlepszej drodze do ukończenia studiów z najwyższym wyróżnieniem. Na żadnych zajęciach na OU nigdy nie dostałem niższej oceny niż „dobry”. Moi doradcy na uczelni powiedzieli mi, że być może dobrze bym zrobił, gdybym spojrzał na meteorologię z odmiennej perspektywy innego uniwersytetu.

Mimo wszystko nie chciałem opuszczać Norman. Zaprzyjaźniłem się tam z wieloma wspaniałymi ludźmi i wiedziałem, że nie ma takiego miejsca, w którym wolałbym się znaleźć bardziej niż na Wielkich Równinach. Złożyłem podanie na studia podyplomowe tylko na OU i zostałem przyjęty jeszcze tej samej wiosny. Szczerze mówiąc, pierwszą rzeczą, jaką zrobiłem po otrzymaniu zawiadomienia o przyjęciu na studia, było snucie fantazji o elastycznym programie zajęć umożliwiającym łowienie burz.

– Spanie do późna, lunch i praca. Albo w twoim przypadku pewnie praca i łowienie burz – powiedział mój przyjaciel Don Giuliano, który był o rok wyżej ode mnie i już studiował na studiach magisterskich. Zasugerował, że mógłbym uzupełniać swoje niewielkie stypendium magisterskie, sprzedając filmy wideo z burzami.

Gdyby tylko to było takie proste. Jako przyszły magistrant meteorologii musiałem jeszcze zdobyć wymagającą posadę asystenta badawczego. Pomaganie profesorowi w badaniach jest zasadniczym elementem studiów magisterskich na OU, a w moim wypadku oczywistym wyborem byłoby objęcie takiego stanowiska u jednego ze sławnych badaczy tornad w naszym instytucie. Jednak żaden z nich się ze mną nie skontaktował. Nigdy nie miałem absolutnej pewności, czy i dlaczego tamtejsza społeczność badaczy tornad umieściła mnie na czarnej liście, ale przeczuwałem, że tak właśnie zrobili. Mogłem zaryzykować twierdzenie, że moje dziwaczne wypowiedzi w mediach i agresywny styl łowienia burz miały coś wspólnego z tą ciszą.

Mimo wszystko mój telefon zadzwonił przed majową promocją. Zostałem zaproszony na spotkanie z pewnym wykładowcą – doktorem Peterem Lambem, surowym i bardzo poważanym klimatologiem OU z Nowej Zelandii – żeby porozmawiać o jego potrzebie zatrudnienia asystenta badawczego. Słyszałem krążące o Lambie plotki, że robi sześciogodzinne egzaminy, wymaga od studentów pracy w godzinach nadliczbowych przy badaniach i nie popiera łowienia burz, bo to koliduje ze studiami magisterskimi.

– Jak rozumiem, bardzo dobrze ci idzie, Reed. Liczę, że nadal będziesz się starał – powiedział mi z silnym nowozelandzkim akcentem pewnego popołudnia tamtej wiosny. – Mam fundusze na projekt klimatyczny. Obaj moglibyśmy odnieść korzyści z twojego udziału.

Pięćdziesięciocześcioletni wówczas, siwowłósy wykładowca mówił dalej, wyjaśniając, w jaki sposób mógłbym mu pomóc w opracowaniu wskaźników łączących klimat Ameryki Północnej ze zużyciem gazu ziemnego przez jej mieszkańców. Awangardowe badania tornad to to nie były, ale wtedy jeszcze nie wiedziałem, że ten niejasny projekt klimatyczny

pomoże rzucić światło na gwałtowne zjawiska pogodowe w przyszłości. Poza tym doktor Lamb był bardzo szanowany w społeczności meteorologów i wiedziałem, że pracując z nim, stanę się lepszym badaczem i naukowcem.

Gdy nasze pierwsze spotkanie dobiegało końca, powiedziałem doktorowi Lambowi, że chcę się u niego zatrudnić. Nie uśmiechnął się, ale skinął głową i wyglądał na zadowolonego. Szykowałem się do wyjścia z jego gabinetu, czując ulgę, że udało się uniknąć rozmowy o tornadach.

Nagle doktorowi Lambowi przyszło coś jeszcze do głowy.

– Aha, Reed – dodał – będziemy musieli porozmawiać o łowieniu burz. Absolutnie nie możemy się rozpraszać.

Z trudem przełknąłem ślinę. Potrzebowałem tej posady, ale nie bardzo mogłem powiedzieć doktorowi Lambowi, żeby się nie martwił.

Norman, do którego wróciłem jesienią 2002 roku, było znacznie bardziej przyjazne od Norman, z którego wyjechałem zaledwie kilka tygodni wcześniej. Wiosną, po promocji, wybrałem się na dwa pełne przygód połowy burz i wróciłem do domu z wynikiem gorszym od zera, jeśli coś takiego jest możliwe. Nie dość, że te długie wyprawy okazały się przekleństwem błękitnego nieba, to jeszcze straciłem samochód.

Tamtej wiosny pojechałem z innym łowcą burz do wschodniej Montany, gdzie na płaskowyżach mogą powstawać gwałtowne burze. I rzeczywiście, tamtego dnia SPC poinformowało o istnieniu piętnastoprocentowych szans na pojawienie się tornad w okolicy maleńkiej miejscowości Biddle. Gdy tylko tam dotarliśmy, pojechaliśmy prosto na południe, do północno-wschodniego Wyoming, i zatrzymaliśmy się pod niesamowitą superkomórką. Chmury były spiętrzone jak naleśniki i miały niebieskawoszary odcień. Wirująca burza wisiała nad otwartą przestrzenią

porośniętą żółtą trawą preriową i odcinała się od krystalicznie błękitnego nieba. Trudno o piękniejszą scenerię. Brakowało tylko, żeby lej kondensacyjny sięgnął do ziemi, ale w ogóle do tego nie doszło. Wilgoć opuściła powietrze i widziałem, jak mezocyklon – ten wirujący prąd wznoszącego się powietrza – zanika na moich oczach. To była najpiękniejsza burza, jaka nigdy nie wytworzyła tornada, niemal warta trzydziestu sześciu godzin jazdy, które musiałem spędzić w swojej starej luminie.

Niedługo potem zdechło coś jeszcze. Przekonałem całą załogę – swoich starych kumpli: Ricka i Joela, oraz współlokatora Hala – żebyśmy pojechali przechwycić cel w południowej Minnesocie, w pobliżu miasteczka Albert Lea. Model komputerowy wskazywał, że uskok wiatru będzie niesamowity. Ale z niewytłumaczalnego powodu temperatura gwałtownie spadła, przynajmniej na zewnątrz. W ogóle nie było burzy.

W drodze powrotnej mój samochód się zagotował. Prawdę mówiąc, od dawna się na to zanosilo. Znacnie mnie – w tamtych czasach, zanim zostałem dumnym i troskliwym posiadaczem swojego obecnego pojazdu (zbudowanego na zamówienie samochodu pancernego do ścigania tornad zwanego pieszczotliwie Dominatorem, którym teraz jeżdżę po całych Wielkich Równinach), naprawdę bujałem w obłokach, jeśli chodzi o dbanie o samochody i mieszkania. Lumina już wcześniej miała stłuczkę, z której wyszła bez przednich świateł. Maskę zabezpieczyłem rolką taśmy izolacyjnej. Nigdy nie zrobiłem ponownego przeglądu silnika, mimo przejechanych dziesiątków tysięcy kilometrów. W drodze powrotnej z Minnesoty około pierwszej w nocy, gdy do domu zostało nam jeszcze 200 kilometrów, spod maski zaczął się wydobywać dym i swąd. Zostawiliśmy samochód na poboczu. Moi kumple byli naprawdę wściekli. Tamto lato okazało się pechowe na całej linii.

Ale jesień 2002 roku była inna. Strasznie się cieszyłem, że widzę Niki i że znów jestem w Norman. Po raz pierwszy, odkąd przyjechałem tam jako pierwszoroczniak, zawarłem w Oklahomie znajomość z kimś, kto nie miał związku z moimi studiami ani z łowieniem burz.

Niki Darnaby była niska, miała ciemne włosy i duże brązowe oczy. Była w moim wieku – oboje mieliśmy wtedy po dwadzieścia dwa lata – i pochodziła spod Tulsy. Ukończyła studia na OU i pracowała w banku, ale była znacznie bardziej energiczna, niż mógłby na to wskazywać jej zawód. Uwielbiała oglądać Comedy Central i śmiała się z moich dowcipów. Często razem jeździliśmy po Norman na rolkach. Zaczęliśmy się spotykać tuż przed moim wyjazdem na wakacje. Na jesieni ta znajomość odżyła. Nasz związek szybko się rozwijał, a Niki uważała, że moje życie łowcy burz jest dziwne i tajemnicze. Przynajmniej na początku.

– Więc jeśli przepowiadają złą pogodę dla północno-wschodniej Nebraski, skąd dokładnie wiesz, gdzie jechać? – spytała mnie pewnego słonecznego ranka przy śniadaniu. – Kiedy decydujesz, o której godzinie musisz wstać z łóżka i wyruszyć? Skąd wiadomo, kiedy tornado spadnie z nieba?

Wyjaśniłem jej, że zlokalizowanie superkomórek burzowych wywołujących tornada wymaga umiejętności, wiedzy, doświadczenia i szczęścia.

– Twoje przewidywania pomagają ci zlokalizować miejsce, w którym spotykają się wszystkie elementy konieczne do powstania tornada – wyjaśniłem. – Musisz mieć niestabilne powietrze, to znaczy takie, które ma temperaturę wyższą od temperatury otoczenia i unosi się do góry. Musisz mieć także wiatr, no i wilgoć.

– A jak masz wszystkie te elementy, wtedy tornado jest gwarantowane? – zapytała, podnosząc nasze puste talerze i zabierając je do

zlewu.

– Wtedy może się pojawić tornado – powiedziałem. – Bywa, że warunki gwałtownie się zmieniają, w ciągu zaledwie kilku minut. Musisz podejmować szybkie decyzje, które chmury na niebie mogą wywołać tornado. Przez cały czas dosłownie na moich oczach rozpętują się burze.

– To takie wspaniałe: zobaczyć tornado?

– Za każdym razem – powiedziałem – ma się wrażenie, że to jedyna taka okazja w życiu.

Uśmiechnęła się.

– A jak się czujesz, kiedy jedziesz taki kawał drogi i nic nie widzisz? – spytała. – Tak, jakbyś zmarnował cały ten czas?

– Nigdy – odparłem. – Mam jeszcze większą ochotę zrobić to znowu.

Niki zajęła się zmywaniem talerzy i chyba nie rozpamiętywała mojej wyraźnej manii na punkcie gwałtownej pogody. Ta strona mojej osobowości miała się w pełni ujawnić dopiero później.

Tamtej jesieni Niki rzadko widywała we mnie ogarniętego obsesją łowcę burz. Niebo było zniechęcająco spokojne, a przedmioty na studiach magisterskich trudne. Regularnie zarywałem noce, wkuwając fizykę i analizę matematyczną na zajęcia z dynamiki atmosferycznej. Doktor Lamb, jak się szybko przekonałem, był perfekcjonistą. Pierwsza praca, którą mu oddałem jako asystent badawczy, wróciła do mnie pokreślona czerwonym atramentem, z prośbami o wprowadzenie zmian. Lamb skrytykował moje opracowanie i uznał, że zawarte w nim wnioski wymagają dalszych badań. Wielokrotnie musiałem poprawiać przygotowywane dla niego materiały. Jednak nie miałem mu tego za złe. Ani trochę. Wiedziałem, że chce ze mnie zrobić automat do pisania tekstów technicznych, zmuszając mnie do zwracania uwagi na najdrobniejsze szczegóły. Jego wymagania miały mi ostatecznie pomóc zarówno jako

naukowcowi, jak i przedsiębiorcy prowadzącemu firmę związaną z łowieniem burz.

Ja jednak potrzebowałem czegoś więcej niż dziewczyny i wyzwań stawianych przez doktora Lamba. Potrzebowałem wielkich łowów. Ale pierwsze wyprawy wiosennego sezonu 2003 okazały się niewypałem. Najgorzej było wtedy, gdy SUV Joela z czterema łowcami burz w środku wpadł w poślizg na mokrej drodze w Kansas. Obróciło nas dwukrotnie przy prędkości 130 kilometrów na godzinę, zanim Joel odzyskał panowanie nad samochodem.

– Tak się cieszę, że nic ci nie jest! – powiedziała Niki, kiedy zadzwoniłem do niej później z samochodu Joela, z telefonu komórkowego, który w końcu sobie kupiłem. Powiedziałem jej, że wszyscy czterej czujemy się szczęśliwi, że żyjemy. – Kiedy wracasz? – spytała jeszcze.

Wróciłem tamtej nocy, ale nie zagrzałem zbyt długo miejsca w domu. Zaledwie kilka dni później nadarzyła się ogromna okazja: SPC wydało na 15 maja rzadko spotykany komunikat o wysokim zagrożeniu dla terenów obejmujących wysuniętą najbardziej na zachód część Oklahomy i północ Teksasu. Innymi słowy, prawdopodobieństwo powstania tornada było wysokie. Prognozowano, że temperatura punktu rosy osiągnie 15,5 stopnia Celsjusza, a wartości CAPE (energii potencjalnej dostępnej konwekcyjnie, mogącej wskazywać, jak szybko jest się w stanie unosić ciepłe i wilgotne powietrze) wzrosną do 3000 dżuli na kilogram. Tego rodzaju liczby sugerowały pojawienie się niezwykle gwałtownych zjawisk pogodowych.

Wczesnym popołudniem pognaliśmy z Joelem do północno-zachodniego zakątka Teksasu. Nad nijakimi, cuchnącymi terenami zajmowanymi przez hodowle krów, nad słupami telefonicznymi i równinami unosiła się ogromna owalna superkomórka burzowa z wirującą

chmurą stropową u podstawy. Do szczęścia brakowało nam tylko, żeby ta chmura zapoczątkowała tornado.

– Zbiera się w sobie – powiedziałem, obserwując burzę przez wizjer kamery wideo. – Zejdzie bardzo szybko!

Burzowe chmury wytworzyły kilka lejów kondensacyjnych, które jednak nie sięgnęły ziemi. To były tylko irytujące zwiastuny. Czekaliśmy i czekaliśmy, aż pojawi się tornado. W końcu zaczęliśmy się niecierpliwić.

– Myślę, że powinniśmy pojechać na południe – powiedział Joel zza kierownicy, rzucając okiem to na niebo, to na pustą drogę przed nami.

– Może wciąż się umacnia – upierałem się. – Nie chcę tu niczego przegapić.

– Lepiej ruszajmy na południe, Reed. W poszukiwaniu innej burzy – powiedział stanowczo Joel. – Ta tutaj słabnie.

Gdy jeździliśmy wkoło pod tą niesamowitą superkomórką, zastanawiałem się poważnie nad propozycją Joela. Nie zawsze przykładałem wagę do opinii swoich partnerów podczas łowienia burz, bo większość z nich nie robiła tego tak często jak ja ani nie miała tak gruntownego wykształcenia meteorologicznego. Oczywiście w grę wchodziła także ta część mojej natury, która nie lubiła nikogo słuchać.

Czułem jednak, że mogę zaufać Joelowi. Od dziecka miał świra na punkcie pogody tak jak ja, był dobrym studentem meteorologii i od dawna zagorzałym łowcą burz. Na pierwszym roku studiów Joel także ścigał F5, które w 1999 roku spustoszyło Moore w Oklahomie. On też uwielbiał zbliżać się do tornad – byłem świadkiem jego odwagi w 2001 roku, kiedy goniliśmy burzę, która zniszczyła miasteczko Elk City w Oklahomie. Poza tym udzielił mi świetnej rady jako nowcaster wiosną 2002 roku, kiedy słusznie zasugerował, żebym skierował się na wschód podczas pościgu za tornadem z Throckmorton.

Ponownie podniosłem wzrok na teksaskie niebo i monstrualną superkomórkę.

– Masz rację – powiedziałem w końcu. – Ta rzeczywiście zanika.

Joel popędził na południe i przebiliśmy rdzeń kolejnej superkomórki na wschód od Dalhart w Teksasie. Grad przez kilka minut walił w przednią szybę i bębnił w dach samochodu, a my nie wiedzieliśmy, czego się spodziewać po drugiej stronie opadów. Mogliśmy wjechać prosto w tornado.

„Opuście przyczepy mieszkalne!” – poradził spiker w NOAA, radiu pogodowym włączonym w samochodzie Joela.

Nagle grad ustał, a dokładnie na południowy zachód od nas pojawiło się ogromne, czarne tornado w kształcie klina, szerokie na 400 metrów.

– Spójrz! – krzyknąłem, wskazując na odległe o kilka kilometrów tornado. – Ależ szybko wiruje!

Tornado przedzierało się przez pustkowie.

– Nakręcę świetny film – powiedziałem. – Podjedźmy jak najbliżej!

Joel dzielnie pojechał dalej tą samą drogą.

– Jesteśmy w odległości stu metrów – powiedział z szerokim uśmiechem na twarzy. – Przejdzie przez drogę tuż przed nami.

Właśnie wtedy zadzwoniła moja komórka. Spojrzałem na identyfikator dzwoniącego. To był numer telefonu Niki.

Mając na uwadze decyzję, którą miałem za chwilę podjąć, wcisnąłem telefon z powrotem do kieszeni bez odbierania.

Nikt – ani stara gwardia łowców burz, ani wymagający profesor, ani nawet ukochana dziewczyna – nie odwróci mojej uwagi, kiedy mam przed sobą burzę.

Drobne decyzje

Jaka jest różnica między przechwyceniem tornada a doświadczeniem przekleństwa błękitnego nieba? Między sprzedaniem nagrania tornada a wrzuceniem taśmy wideo na półkę? Triumfalnym powrotem z łowienia burz a powrotem w stanie szoku? Albo raczej z radością, że się żyje?

Bardzo mała.

W miarę jak moja obsesja na punkcie łowienia burz się pogłębiała, coraz częściej zdawałem sobie sprawę, że najdrobniejsze spostrzeżenia i decyzje, odpowiednie wyczucie czasu i oczywiście odrobina szczęścia często odgrywały ogromną rolę w tym, czy rzeczywiście udawało mi się zrealizować cel, który stawiałem sobie za każdym razem: znaleźć, podziwiać i lepiej zrozumieć tornada.

Joel na przykład podjął właściwą decyzję w północnym Teksasie w maju 2003 roku. Szybciej niż ja doszedł do wniosku, że mezocyklon wewnątrz pierwszej burzy nie przybiera na sile. Chmura stropowa pod tym gigantycznym jajem zawieszonym na niebie co prawda wirowała, ale nie kręciła się zbyt energicznie, a to zawsze niepokoi łowcę burz. Ja jednak nie wychyciłem tego szczegółu. Myślałem, że burza nadal zbiera siły. Mogliśmy siedzieć pod tą chmurą przez następne dwadzieścia minut i wrócić z całych łowów z kwitkiem. Joel mądrze zrobił, nalegając, żebyśmy jechali dalej. Opierał się na intuicji i drobnej wskazówce dostrzeżonej na niebie.

Teraz chciałem mu się zrewanżować.

24 czerwca 2003 roku zatoka niżowa ciągnąca się na północny wschód od środkowej części Gór Skalistych miała się przemieszczać wysoko w atmosferze nad pewnymi obszarami Nebraski i Dakoty Południowej. Zatoka niżowa to niewidzialna niecka na niebie, a ponieważ jest zasadniczo ogromną strefą wypełnioną zimnym powietrzem, wszelkie masy ciepłego powietrza znajdujące się bliżej ziemi, ale w okolicy zatoki niżowej, mają tendencję do unoszenia się z prędkością balonu na ogrzane powietrze. Jeśli inne warunki okażą się odpowiednie, unoszące się do góry ciepłe powietrze będzie sprzyjało powstawaniu chmur, a nawet burz.

Tym razem warunki wyglądały na odpowiednie, przynajmniej dla mnie. Jeśli dodać do siebie wysoki punkt rosy (większa wilgoć oznacza zwiększone prawdopodobieństwo powstawania burz), nadciągający ciepły front (jeszcze bardziej przyśpieszający unoszenie się ciepłego powietrza) i zapowiedź silnych wiatrów wiejących z różnych kierunków na różnej wysokości (co w końcu powoduje, że chmury burzowe obracają się i wirują), warunki panujące na północnym odcinku Alei Tornad wydawały się idealne dla superkomórek burzowych. Łowcy burz lubią określać taki potężny pionowy profil atmosfery mianem „załadowanego karabinu”. Każdy element był na swoim miejscu, umożliwiając ciepłemu, wilgotnemu powietrzu zgromadzić dość energii, żeby doprowadzić do rozpętania się burzy w stratosferze i wywołania gwałtownych zjawisk pogodowych.

– Nie – powiedział Joel.

Właśnie go zaprosiłem przez telefon, żeby pojechał ze mną łowić burze. Było to na parę dni przed spodziewanym spotkaniem się wszystkich tych pogodowych składników.

– Co to znaczy, że nie? – zapytałem ze swojego końca linii. – Musisz pojechać. Sytuacja jest idealna. Możesz nigdy więcej nie spotkać takich warunków.

– Cap będzie zbyt silna – powiedział, mając na myśli warstwę względnie ciepłego powietrza tuż nad ziemią, która czasami nie chce się rozproszyć i uniemożliwia powstawanie burz, działając jak przykrywka hamująca ich rozwój. – To będzie przekleństwo błękitnego nieba.

– Burze eksplodują do góry – odparłem – i przebiją cap.

– Kłapa – powiedział Joel.

– Eksplozja – upierałem się.

– Cap – powtórzył Joel.

Nie doszliśmy do porozumienia i jeden z nas miał pożałować, że w swojej prognozie błędnie ocenił ten jeden szczegół.

Szczerze mówiąc, to ja miałem żałować bardziej niż Joel.

Rok wcześniej Joel i ja ukończyliśmy równocześnie studia na OU, uzyskując licencjat z meteorologii. On jednak, chociaż uwielbiał łowienie burz i badanie zjawisk atmosferycznych, chciał mieć stałe dochody i był w trakcie zdobywania uprawnień pośrednika w handlu nieruchomościami. Ja natomiast wciąż byłem bardzo zadowolony, przeżywając na jawie swój sen łowcy burz: chociaż moje „codzienne zajęcie” polegało na dowiadywaniu się coraz więcej o zmienności klimatu podczas pracy pod kierownictwem doktora Lamba, nadal przy każdej okazji ścigałem tornada, stając się dzięki temu sprytniejszym łowcą burz i bystrzejszym obserwatorem nieba. Moje skromne stypendium magisterskie i niewielkie zastrzyki gotówki ze sprzedaży filmów wideo z nagraniami burz zapewniały mi na tyle duże dochody, żebym mógł podsycać swoją obsesję. W tamtych czasach to mi, szczerze mówiąc, wystarczało. W przeciwieństwie do wielu dzieciaków, które ukończyły studia licencjackie, nie myślałem zbyt dużo o przyszłości. Jak zawsze dałem się pochłonać wspaniałej, interesującej nauce. Niestety moje zainteresowania były strasznie niepokojące dla bliskich mojej dziewczyny.

– Nad większą częścią północnych równin wartości CAPE prawdopodobnie przekroczą 5000 dżuli na kilogram, panie Darnaby – powiedziałem tacie Niki po południu przed wyjazdem na połów burz. – To może być burza, na którą czekałem przez całe życie.

Przyjechaliśmy z Niki do jej rodzinnego domu w ramach weekendowego wypadu nad jezioro, a jej tato zapytał mnie o plany na nadchodzący tydzień. Jak zwykle słowa, które padły z moich ust, zdumiały go i zaniepokoiły. Popatrzył na mnie, nic nie rozumiejąc, i zmarszczył brwi. Jestem pewien, że kiedy podałem mu więcej zawiłych meteorologicznych szczegółów na temat nadciągającego załamania pogody, pan Darnaby zaczął się zastanawiać, co jego mała córeczka robi z takim dziwnym facetem mającym osobliwe hobby.

– Nie wiem, czy jeszcze kiedyś będziemy świadkami takiej burzy jak ta – dodałem.

Doskonale zdawałem sobie także sprawę z tego, że od czasu do czasu wyolbrzymiam sprawę łowienia burz. Wbrew temu, co często twierdzę, nie każdy taki wyjazd jest przygodą zmieniającą całe życie. Muszę przyznać, że mam skłonność do przesady i nadmiernego optymizmu. Nic na to nie poradzę.

Jednak ani pan Darnaby, ani ja nie wiedzieliśmy, że tę konkretną burzę oceniałem zbyt nisko. Tornado, które 24 czerwca miało się wyłonić z superkomórki nad Dakotą Południową, okazało się jednym z najbardziej pamiętnych w historii łowienia burz, koniec, kropka. Miało ściągnąć na mnie jeszcze więcej niespodziewanej uwagi mediów i przynieść mi mnóstwo niespodziewanych pieniędzy. Tamto tornado miało mnie również otrzeźwić, całkowicie zmiatając z powierzchni ziemi małe miasteczko Manchester.

23 czerwca wyjechałem z Norman na drogę wylotową wraz z Jimem Bishopem i Stefanem Zackiem. Podróżowaliśmy zaniedbanym samochodem Jima. Jim był jeszcze jednym znanym mi zagorzałym łowcą burz, a Stefan niemieckim studentem biorącym udział w wymianie międzynarodowej, z którym zetknąłem się na studiach magisterskich w Instytucie Meteorologii OU. Stefan już wcześniej łowił burze, ale nigdy nie był zbyt blisko akcji. Utrzymawał, że chce zobaczyć każdy szczegół tornada. Wzruszyłem ramionami. Stefan był miłym facetem, więc powiedziałem mu, żeby się do nas przyłączył.

Tamtego wieczoru zatrzymaliśmy się na noc w motelu w maleńkiej miejscowości O'Neill w północno-wschodniej Nebrasce. Nawet dla takiego naukowca jak ja niebo miało nadprzyrodzony wygląd. Dokładnie o zmierzchu wszędzie dokoła nas zaczęły złowieszczo wystrzeliwać w górę ciemnoniebieskie i czarne superkomórki burzowe, jakby były oddechami smoków. Powietrze było ciepłe, wietrzne i wilgotne, a na północ płynął, unoszony niskim prądem strumieniowym, nieprzerwany pas chmur, jakby prowadzono je do ataku. Gdy zapadła noc, niebo uraczyło nas fenomenalnym pokazem błyskawic, które rozświetliły pastwiska i pola kukurydzy wokół miasteczka. Poprzedniej nocy na niektórych obszarach Nebraski z nieba spadło 15 centymetrów gradu. Jim, Stefan i ja nie mogliśmy się doczekać nadejścia poranka.

Nie spotkał nas zawód. O 10.00 strzeliste cumulonimbusy zaczęły już nabierać kształtów, chociaż jeszcze nie wywoływały opadów ani błyskawic. Cap (inwersja hamująca rozwój konwekcji), której spodziewał się Joel, na ogół ustalająca się na wysokości około 1500 metrów, nie pozwalała wieżom chmur urosnąć na tyle wysoko w atmosferze, żeby dojrzeć w postaci burz. Ale to nam nie przeszkadzało. Powietrze już było cudownie niestabilne i sprzyjało powstawaniu burz. Gdyby cap mogła przez jakiś czas pozostać

nienaruszona, przyczyniłaby się do jeszcze większego wzrostu temperatury i wilgoci. W idealnych warunkach pogodowych atmosfera zmieniałaby się w beczkę prochu, a tłumione burze ostatecznie wystrzeliłyby w górę w którymś momencie popołudnia, dysponując takim zasobem energii, że rozerwałyby cap i rozciągnęłyby się, tworząc gigantyczne piętnastokilometrowe superkomórki.

– Ta cap może zostać łatwo przerwana – orzekł Jim, zaglądając mi przez ramię i patrząc na temperatury panujące w atmosferze, które wyświetliłem na monitorze komputera w bibliotece publicznej w O’Neill.

Ponownie sprawdzaliśmy prognozy i informacje pogodowe na stronie internetowej National Center for Atmospheric Research (NCAR, Krajowego Centrum Badań Atmosfery). Potem kliknąłem na stronę SPC. Donosiła o piętnastoprocentowym prawdopodobieństwie wystąpienia tego dnia tornad na pewnych obszarach Nebraski i Dakoty Południowej. Na ekranie niektóre części obu stanów były zakreskowane lub zaciemnione, co wskazywało, że na tych terenach mogą wystąpić silne tornada.

– Zostajemy tutaj czy ruszamy na północ? – zapytał Jim, krzyżując ramiona.

„Układ” w Nebrasce, czyli pogoda, której można się było tam spodziewać, obejmował suchą linię. Powstaje ona wtedy, gdy z zachodu lub południowego zachodu napływa gorące, suche powietrze, a ciepłe i wilgotne z południa lub południowego wschodu. Tam, gdzie gorące powietrze napiera na ciepłe i wilgotne, to ostatecznie jest wypychane wysoko w górę. Piękno suchej linii polega na tym, że długi, przebiegający z północy na południe obszar stykania się gorącego powietrza z ciepłym i wilgotnym może również tworzyć długą linię izolowanych superkomórek burzowych, a także zapewniać świetną widoczność.

Jednak układ z Dakoty Południowej też wyglądał intrygująco. Przesuwał się tamtędy ciepły front, a ciepłe fronty wywołują ścierające się ze sobą wiatry, co prowadzi do powstania uskoku wiatru niezbędnego do tworzenia się tornad. Punkty rosy były już imponująco wysokie, powodując te astronomiczne wartości CAPE, o których opowiadałem w kółko ojcu Niki. Gdyby zerwał się wiatr i gdyby ciepły front rozwinął się bez niemal typowej dla siebie powłoki chmur, wschodnia Dakota Południowa mogłaby się zmienić w maszynkę do produkcji tornad. Burze mogłyby się pojawiać jak grzyby po deszczu. Było jednak zbyt dużo znaków zapytania.

Czy chcieliśmy zaryzykować? Mogliśmy pojechać do Dakoty Południowej, ale jeśli ciepły front nie zechciałby współpracować, wyprawa pewnie zakończyłaby się klapą. Jednak najlepszy możliwy scenariusz w Dakocie byłby niesamowity, a ja, jak wspomniałem, jestem tego rodzaju facetem, dla którego szklanka jest do połowy pełna.

W przeciwieństwie do wielu łowców burz, którzy tamtego dnia wyruszyli w teren, my postawiliśmy na Dakotę Południową. Pojechaliśmy na północ drogą międzystanową numer 281, opuszczając Nebraskę i przez parę godzin posuwając się przez pofałdowaną i zieloną piękną dolinę Missouri. Niedaleko przed skrzyżowaniem z autostradą międzystanową numer 90 Jim przerzucił się na sieć znacznie mniejszych dróg. Jadąc na północ i mijając przed obiadem maleńkie miasteczko Mitchell, Jim, Stefan i ja zaczęliśmy wierzyć, że opuszczenie Nebraski było słuszną decyzją.

– No tak! Ta po lewej stronie jest bardzo wyraźna – powiedział Jim, który zza kierownicy rzucał szybkie spojrzenia w kierunku zabarwionej na pomarańczowo superkomórki widocznej dokładnie na północy.

Odcinała się wyraźnie na tle nieba i sprawiała wrażenie mocnej, jakby była chmurą, która ćwiczyła na siłowni.

– Te prądy wstępujące są twarde jak skała! – rzucił Jim.

Siedziałem na przednim siedzeniu pasażera i wpatrywałem się w coś, co było widać daleko przed nami na północy. Dosłownie na moich oczach zabarwione na pomarańczowo superkomórki łączyły się ze sobą na horyzoncie i wystrzeliwały w niebo. Co dziesięć czy piętnaście minut budziła się do życia nowa superkomórka. One nie wyrastały jak grzyby po deszczu. Ta scena była znacznie bardziej surrealistyczna. Szybko powstające chmury burzowe przypominały raczej gwałtownie wyrastające ogromne sekwoje. Przez chwilę nie było nic, a potem, kilka minut później, pojawiał się las chmur burzowych. Albo metropolia pełna drapaczy chmur, zależnie od waszej wyobraźni.

Jim docisnął pedał gazu. Po chwili majaczące w oddali superkomórki wydały się znacznie większe.

– Widać, jak tworzy się lej kondensacyjny – powiedział Jim i spojrzał na zachód.

U dołu ogromnej, niesfornej superkomórki migotało tornado.

– Fajny stożek! – krzyknął Jim. – Piękny stożek!

Podświetlone od tyłu tornado, które miało kształt idealnie zwężającego się ku dołowi różka (ale bez lodów), było mniej więcej 8 kilometrów od nas.

– Możemy pojechać na zachód? – zapytał Stefan. – Możemy się przybliżyć?

Jim kluczył po wąskich drogach, aż to podświetlone od tyłu niebiesko-czarne tornado znalazło się niecały kilometr od nas. Zachowywało się jak narowisty byk, pędząc na oślep przez otwarte pola i wzbijając wielkie tumany kurzu. Nad górną krawędzią tornada rozciągało się krystalicznie błękitne niebo. Nakręciłem świetny materiał.

– Niesamowite! – wykrzyknął Stefan z silnym niemieckim akcentem.

Patrzyliśmy, jak tornado rozwiewa się po mniej więcej piętnastu minutach od powstania. Potem z dolnej części tej samej superkomórki wypadła kolejna chmura stropowa. Warunki atmosferyczne były znakomite.

Chmura stropowa była na północny wschód od nas i oddalała się, a my chcieliśmy się znaleźć przed nią. Jednak żeby się tam dostać, musieliśmy jechać w deszczu i gradzie, które owijały się wokół tej nowej chmury stropowej. Przez chwilę panował chaos, bo wycieraczki pracowały najszybciej, jak się dało, ale nie były w stanie oczyścić szyby. Potem grad, niezbyt duży, lecz głośny, zmienił dach samochodu w werbel.

Kiedy przebiliśmy się na wschód przez te opady otaczające chmurę stropową (pamiętacie, łowcy burz nazywają je „hakiem”), wyjechaliśmy w miejscu, nad którym rozpościerało się czyste, błękitne niebo. To tak, jakby w górę poszła kurtyna. Tamta ogromna chmura stropowa, przed którą chcieliśmy się znaleźć, była teraz dokładnie na południe od nas i wirowała niezwykle blisko ziemi. Łowcy burz nazywają tego rodzaju chmury stropowe „drapaczami ziemi”, bo zwykle unoszą się w powietrzu na wysokości zaledwie paruset metrów. Ciemnoszara chmura stropowa obracała się szybciej niż jakakolwiek chmura stropowa, którą do tej pory widziałem. Wiatry wznoszące się wewnątrz tego potwora wirowały bardzo szybko. Założyłbym się o ostatniego centa, że zbliża się tornado.

I wygrałbym zakład.

Obserwowaliśmy we trzech liczne małe wiry odrywające się od chmury stropowej. Schodziły w dół, tańczyły wokół siebie i zaraz rozpływały się w powietrzu.

To było dopiero preludium. Potem niebo nad Dakotą Południową zaprezentowało prawdziwe widowisko: szerokie na 800 metrów tornado w kształcie klina – szersze niż wyższe – które usadowiło się na zielonej prerii. Ponieważ światło słoneczne padało prostopadle od tyłu, tornado było

szare, a nawet wpadało w brąz. Jego kontury były obrysowane pomarańczową barwą promieni słonecznych. Znajdowało się mniej więcej 900 metrów od nas i kotłowało się na otwartej przestrzeni. Nie przesunęło się za bardzo w żadnym kierunku, jakby zadowalało się utrzymującym się jeszcze ciepłem gasnącego dnia i po prostu stało na jałowym biegu, zwiększając obroty swego potężnego silnika. Pytanie brzmiało, kiedy i czy tornado zamierza dodać gazu.

Jim i ja byliśmy oszołomieni szybko rosnącymi rozmiarami i siłą tornada. Cieszyłem się, że w pobliżu nie ma żadnych zabudowań.

– Jestem w siódmym niebie – powiedział Jim.

– Spójrz na tę meteorologiczną ślicznotkę – odparłem, przyglądając się tornadu przez wizjer kamery wideo.

Także dla mnie była to chwila czystej ekstazy – zapłata za wszystkie moje intensywne badania i determinację. Zwycięstwo w zakładzie o burzę, nagroda za to, że zdecydowaliśmy się skierować na północ, do Dakoty Południowej, zamiast jechać dalej w głąb Nebraski.

Ale Stefan nagle zaczął inaczej patrzeć na to całe przeżycie. Wyglądało, jakby chciał się znaleźć gdziekolwiek, byle nie w Manchesterze w Dakocie Południowej.

– Jedź! Jedź! Jedź! – krzyknął z tylnego siedzenia, a ja odwróciłem się do tyłu, żeby na niego spojrzeć. Miał rozbiegany wzrok i trzęsły mu się ręce.

Co się stało temu facetowi? – pomyślałem. Zaledwie kilka minut wcześniej był taki podekscytowany.

Jim i ja byliśmy zaskoczeni.

– Jesteśmy spory kawałek na północ od niego, Stefan – powiedziałem, próbując go uspokoić. – Nie zabije cię. Samochód jedźcie szybciej, niż to tornado może się poruszać. Zaufaj mi.

– Chcę, żebyś się ze mną liczył, Reed – powiedział Stefan drżącym głosem. – Proszę, jedźmy na wschód.

Przyjechałem do Dakoty Południowej dokładnie dla tej chwili. Nie miałem ochoty rezygnować z pościgu dlatego, że Stefan stracił nagle zimną krew.

– Tutaj jesteśmy bezpieczni – zapewniłem go, unosząc obie ręce do góry.

Stefan usiadł wygodniej i wziął parę głębokich oddechów.

Wysiedliśmy z samochodu i przez kilka minut obserwowaliśmy tornado. Napływające powietrze przesycone wonią powyrywanych przez tornado roślin pachniało jak powietrze w środku lasu, jakby wszędzie wokół nas rosły drzewa. Wiatr przyginał do ziemi rosnącą dokoła wysoką trawę, a tornado wydawało odgłos bardzo przypominający samolot odrzutowy.

– Posłuchajcie tego ryku! – zawołałem.

Wkrótce jednak stało się coś dziwnego. Tornado zaczęło się poruszać tak, jakby faktycznie było samolotem odrzutowym, niespodziewanie skręcając na północ, w naszą stronę.

– Do samochodu! Do samochodu! – wrzasnąłem i wszyscy załadowaliśmy się do starego grata Jima, pracującego przez ten czas na jałowym biegu.

Ale ja nie chciałem już teraz rezygnować z widowiska. Chciałem, żeby tornado znalazło się bliżej. Kamera wideo oczywiście pracowała, jak prawie zawsze, kiedy byłem świadkiem zejścia tornada. To była rzadka okazja przyjrzenia się każdej fałdzie i skłonnościom tej nadciągającej bestii, żebym mógł ją lepiej zrozumieć. Chodziło o to, żeby poczuć energię tornada, tę nadzwyczajnie skoncentrowaną siłę, z którą mogłem się całkowicie identyfikować.

– Teraz wrzuć wsteczny i czekaj – powiedziałem do Jima, cały czas filmując przez przednią szybę. – Stój – przypomniałem mu. – Stój, czekaj na wstecznym.

Jim trzymał stopę na pedale hamulca i jedną rękę na kierownicy. Czekał na moją komendę.

– Jedź! Jedź! Jedź! – błagał Stefan.

– Jesteśmy teraz bezpieczni – powiedziałem, przerywając mu. – Ale przygotuj się do odjazdu.

– Jedź! Jedź! – nalegał Stefan.

To była niesamowita chwila, a ja kręciłem jedne z najbardziej dramatycznych ujęć, jakie kiedykolwiek zrobiłem podczas burzy. Tornado zbliżało się do linii wysokiego napięcia, która przebiegała prawdopodobnie zaledwie trzydzieści metrów od naszego samochodu i pustej drogi. Wizjer kamery wypełniły mroczne kolory tornada. Najszersza część klina wirowała teraz nad nami.

– Proszę, odjedź, odjedź – powtarzał Stefan. – Reed! – wrzasnął.

Nagle w wizjerze nie było już nic widać, tylko czarny wiatr.

– Cofaj! Cofaj! – krzyknąłem, a Jim popędził dwupasmówką na wstecznym biegu. – Nie zatrzymuj się!

Wciąż patrzyłem, wciąż czułem energię burzy, wciąż filmowałem. Słyszałem jedynie niespokojny oddech Stefana, jęk skrzyni biegów i wycie burzy. Gdy Jim jechał pełnym gazem do tyłu, nagle w moim wizjerze pojawił się dom. Była to jedyna rzecz stojąca między tornadem a nami.

Dach, jak to zwykle bywa, gdy duże tornado uderza prosto w dom, odleciał pierwszy. To zasługa efektu Bernoulliego, nazwanego tak na cześć osiemnastowiecznego holendersko-szwajcarskiego matematyka Daniela Bernoulliego. Był on znawcą mechaniki płynów, a jedno z jego odkryć

(równanie Bernoulliego) pomaga wyjaśnić, dlaczego płyn, kiedy płynie poziomo po górnej powierzchni danego przedmiotu szybciej niż po jego dolnej powierzchni, tworzy różnicę ciśnień – ciśnienie jest niższe na górnej powierzchni niż na dolnej. Różnica ciśnień wywołuje siłę nośną. Efekt Bernoulliego wyjaśnia wobec tego, dlaczego skrzydła unoszą samoloty z ziemi (powietrze, zwróćcie uwagę, jest „płynem”). Wyjaśnia również, dlaczego kiedy powietrze niesione przez tornado pędzi nad dachem domu, ten unosi się jak skrzydło. Potem tornado, jeśli jest wystarczająco silne, zrywa dach.

Tornado z Manchesteru wymierzyło drugi cios. Gdy nie ma już dachu na swoim miejscu, ściany każdego budynku są znacznie mniej sztywne, dlatego, jak można się było spodziewać, ściany drugiej kondygnacji tamtego domu runęły.

Na Alei Tornad obowiązują przepisy budowlane, które mają na celu zapobiegać zniszczeniom powodowanym przez tornado, ale dotyczą one przed wszystkim budowy betonowych lub żelbetowych „schronów” na terenie domu lub pod nim. (Budowanie całych domów zdolnych wytrzymać atak tornado jest powszechnie uważane za zbyt kosztowne, tym bardziej że nawet na Alei Tornad prawdopodobieństwo, że tornado uderzy bezpośrednio w jakiś konkretny dom, wynosi, według pewnych szacunków, sporo poniżej 0,1 procenta). Szacuje się, że w samej Oklahomie w ciągu ostatniej dekady powstało 6000 „schronów”, z których wiele zbudowano za pieniądze z funduszu federalnego zarezerwowanego na tego rodzaju zabezpieczenia w następstwie potwornych zniszczeń dokonanych przez tornado F5 3 maja 1999 roku.

Potem tornado pochłonęło resztę budynku i wkrótce w wirującym powietrzu pełno było gruzu ze zniszczonego domu. Te kawałki wydawały się prawie tak drobne jak konfetti.

Wcześniej kilka razy uchwyciłem na filmie podobne zniszczenia i zawsze mnie to krępowało. Filmowanie tornada, które niszczy dom, porywa zwierzęta gospodarskie albo zwiewa samochód, jest bolesne, bo wiesz, że ofiary tych zniszczeń cierpią z powodu strasznych nieszczęść. Życie ludzi się zmienia, o ile go nie tracą, tuż przed moim elektronicznym okiem.

Jednak nadal filmowałem. Jestem naukowcem i badaczem, a inżynierowie i naukowcy już od dawna dużo się dowiadują na temat gwałtownych zjawisk pogodowych, analizując spowodowane przez nie zniszczenia (przypomnijcie sobie, że Herbert Saffir, twórca skali Saffira-Simpsona służącej do klasyfikacji huraganów, był inżynierem specjalizującym się w ocenie szkód wywołanych wiatrem). Ja wciąż oglądałem nagrania wideo z tornadami, żeby więcej się o nich dowiedzieć, przekonać się, do czego są zdolne.

Jednak zaraz potem, jak tornado z Manchesteru wyżyło się na tamtym domu, musiałem pomóc nieoczekiwanej ofierze naszego pościgu. Stefan przeszedł kompletne załamanie nerwowe.

Gdy trąba powietrzna zniszczyła dom, skręciliśmy, oddalając się od burzy. Mogliśmy już przestać jechać na wstecznym biegu, zjechaliśmy na bok i wysiedliśmy z samochodu, żeby oglądać i filmować pędzące w oddali tornado.

Kiedy na moment oderwałem wzrok od wizjera, zauważyłem, że Stefan stoi za samochodem Jima. Miał torsje i trzął się niekontrolowanie. Podbiegłem do niego.

– Co jest? – zapytałem. – Co się stało?

Stefan stał zgięty wpół i teraz powoli się wyprostował.

– Wraca w naszą stronę – powiedział, wskazując na mały niegroźny słup deszczu utrzymujący się w pobliżu na niebie.

– Nie, Stefan, tornado minęło. Odeszło – powiedziałem, ostrożnie obejmując go ramieniem. – Wszystko będzie dobrze.

Jim oddalił się wcześniej od samochodu, ale teraz biegł szybko z powrotem.

– Trzy nowe tornada są na ziemi i kierują się na wschód. Ta burza wcale się nie kończy – powiedział podnieconym głosem.

Mój wzrok napotkał wzrok Jima. Posłałem mu spojrzenie, które miało znaczyć: „wyluzuj”. Jim popatrzył na Stefana.

– Nic ci nie będzie, Stefan – stwierdził Jim. – Nie sądzę, żeby tornada były na ziemi. Nie ścigamy ich.

– Nie, nie – powiedział Stefan.

Pot wystąpił mu na czoło i zaczął spływać po twarzy. Potem się rozpłakał.

Spojrzałem na Jima i pokręciłem głową. Aż za dobrze rozumiałem jego reakcję. Jim uwielbiał tornada tak samo jak ja. Są na tyle rzadkim zjawiskiem, że kiedy jedno z nich znajdzie się na twoim celowniku, zrobisz wszystko, żeby nie stracić go z oczu. W takich chwilach nie liczy się nic więcej.

To znaczy prawie nic. Stefan był wrakiem człowieka i najwyraźniej nie był w stanie znieść kolejnych dramatycznych wydarzeń. Pościg dobiegł końca.

Posadziłem Stefana na tylnym siedzeniu samochodu i usiadłem obok niego. Cały się trząśł. Wyjaśnił później, że już wcześniej cierpiał na napady paniki, ale ucieczka przed tornadem wywołała największy, jaki mu się dotychczas zdarzył. Stefan obawiał się, że będzie miał atak serca.

– Chcę pojechać do szpitala – powiedział w samochodzie, a ja objąłem go mocno, starając się go uspokoić.

Nie poszło mi najlepiej.

Uciekanie przed tornadem jest stresujące, pomyślałem, zanim puściłem Stefana. Czułem bicie jego serca, które waliło jak bęben basowy. Chociaż nie mogę powiedzieć, że uciekanie przed tornadem stanowi element mojego codziennego rytuału, dla mnie było to coś, czego raczej należy się spodziewać podczas łowienia burz. Ale zaraz pomyślałem, że ucieczka przed takim meteorologicznym potworem jest naprawdę przerażająca.

Czy powinienem był się wykazać większą ostrożnością, zanim zaprosiłem Stefana? – zastanawiałem się, podczas gdy on oddychał głęboko na siedzeniu obok mnie. Był blady i wyglądał strasznie.

Pomyślałem, że należało ostrzec Stefana przed tym, co mogło się zdarzyć – z czym należy się liczyć – podczas łowienia burz. Może powinienem był mu zadać więcej pytań, zanim go zaprosiłem. Powiedzenie Stefanowi „tak” wydawało się drobną decyzją, ale zabranie go z nami zmieniło wszystko. Dla mnie, dla Jima, dla pościgu, ale głównie dla niego.

Ucieczka przed tornadem, rozmyślałem nadal. Któż myśli o czymś takim? Załamanie Stefana przypomniało mi, że żyję w równoległym świecie, innym niż większość ludzi. Bardzo obcym, równoległym świecie. Musiałem brać to pod uwagę, kiedy zabierałem innych na łowienie burz. Albo kiedy rozmawiałem z nimi w ich salonie.

Jim usiadł za kierownicą i ruszyliśmy w drogę, przejeżdżając przez maleńką miejscowość Manchester. Nie tylko nie było tam szpitala. Nie było niczego. Pół tuzina domów w miasteczku uległo zniszczeniu, a leżące na uboczu farmy zostały unicestwione. Ogromne drzewa były ogołoczone z liści, a ich grube pnie złamane na pół. W sumie to była jedna z najgorszych ścieżek zniszczeń, jakie widziałem, porównywalna z ruinami, na jakie natrafiłem po przejściu tornada F5, które w 1999 roku spustoszyło Moore w Oklahomie.

Później mieliśmy się dowiedzieć, że pobliskie miasteczko Woonsocket w Dakocie Południowej zostało poważnie zniszczone przez inne tornado z tego samego systemu pogodowego i że tornado z Manchesteru sklasyfikowano jako F4, czyli wiejące w nim wiatry wirowały z prędkością do 418 kilometrów na godzinę. „National Geographic” opublikował później artykuł na temat tamtej burzy i zamieścił zdjęcia fruwających słupów telefonicznych, roztrzaskanych drewnianych dźwigarów i wieszaka wbitego głęboko w pień drzewa.

Jakimś cudem w wyniku burzy w Manchesterze nikt nie zginął ani nie został poważnie ranny. Jim i ja oraz kilku innych łowców burz, którzy znaleźli się w okolicy (dopiero później odkryłem, że jeszcze kilku ścigało tę burzę), robiliśmy wszystko, co w naszej mocy, żeby pomóc, dzwoniąc systematycznie do lokalnego biura prognoz National Weather Service i przekazując synoptykom najświeższe informacje o lokalizacji i ewidentnej gwałtowności tornad. W zasadzie używane przez meteorologów radary mogą wykryć jedynie rotację wiatru na większą skalę niż wiatry wijące w tornadach i zwykle śledzą tylko zachowanie się burzy na wysokości setek metrów.

Oczywiście działanie w charakterze oczu synoptyków w terenie nie było niczym nowym. Od dziesiątków lat „obserwatorzy burz” – członkowie całkowicie ochotniczej, luźno powiązanej sieci na terenie całego kraju, której liczebność National Weather Service raczej optymistycznie ocenia na 300 000 osób – obserwują pogodę i przekazują telefonicznie swoje spostrzeżenia państwowym meteorologom. Niektórzy z dawniejszych łowców burz także przekazywali swoje obserwacje, za pośrednictwem amatorskich radiostacji. Wkład łowców burz stanowił uzupełnienie informacji od obserwatorów, bo o ile obserwatorzy burz dostarczają

spostrzeżeń z wyznaczonej lokalizacji, o tyle lokalizacja łowcy burz zmienia się wraz z przemieszczaniem się burzy.

Przekazywanie informacji o warunkach atmosferycznych było natomiast nowością dla mnie. W późniejszym okresie swojej kariery dodałem na swojej stronie internetowej funkcję, która pewnego dnia, mam nadzieję, spowoduje wielki postęp w dziedzinie powiadamiania o gwałtownych zjawiskach pogodowych, znacząco przyspieszając ostrzeżenia przed tornadami wydawane przez władze. Rozwiązanie techniczne konieczne do wprowadzenia tej innowacji powstało na bazie dokładnie takiego przedmiotu, jaki ścisnąłem w ręce przez cały dzień podczas naszego pościgu za tornadem z Manchesteru: telefonu komórkowego, który w końcu sobie kupiłem.

Gdy wieczorem w dniu, w którym rozpętało się tornado, Jim i ja wyjeżdżaliśmy z Manchesteru na zachód z trupiobladyim Stefanem, rozdzwoniła się właśnie tamta komórka.

– Czy możesz sekundę poczekać? – poprosiłem przez komórkę realizatora z ABC, podczas gdy Jim jechał na wschód autostradą międzystanową numer 90 w kierunku Sioux Falls.

Zawiesiłem połączenie z realizatorem i przełączyłem się na rozmowę przychodzącą. Dzwonił realizator z NBC. Ledwie rozłączyłem się z obydwojema, gdy zadzwonił realizator z CNN.

To było szaleństwo. Przez lata znosiłem uciążliwe sprzedawanie nagrań wideo przedstawiających gwałtowne zjawiska pogodowe, bo wiedziałem, że pomaga mi ono finansować mój nałóg łowienia burz. Poza tym miałem obsesję na punkcie tego, żeby sprzedając nagrania wideo, robić to dobrze, dlatego że, no cóż, do czegokolwiek się zabierałem, dostawałem obsesji na punkcie tego czegoś. Jednak nigdy wcześniej nie zdarzyło mi się, żeby aż

tyle sieci telewizyjnych równocześnie dobijało się do moich drzwi, chcąc ubić interes. Ale z drugiej strony nie codziennie schodzi sześćdziesiąt siedem tornad w samej tylko Dakocie Południowej, a tak było tamtego dnia w 2003 roku, nazwanego przez miejscowych „wtorkiem tornad”.

W tamtych czasach z pewnością nie było tłoku na rynku mediów zajmujących się pogodą i często nie była to dochodowa branża – tak jak nigdy wcześniej nie była zbyt dochodowa dla mnie. Panowała w niej jednak ostra konkurencja, oczywiście wśród garstki przedsiębiorczych filmowców i fotografów, o których wiedziałem, facetów takich jak Doug Kiesling, Simon Brewer, Jim Leonard, Warren Faidley i Roger Hill. Wyglądało na to, że ta grupa odnosiła mniejsze czy większe sukcesy. Faidley – dziennikarz, ale także fotograf – zawsze pojawiał się w ogólnokrajowej telewizji i pamiętam, że miał bardzo fajny samochód do łowienia burz. Kiesling, którego firma nosi nazwę Breaking News Video Network, miał sztab pracujących dla niego ludzi. Ja natomiast zawsze jeździłem gratami, od czasu do czasu żyłem na kredyt i miałem jednoosobową firmę. Co ja mówię? Nie miałem żadnej firmy.

Ponieważ jednak nie potrafiłem sobie wyobrazić, że mógłbym robić coś innego, w chwilach zwątpienia zawsze przekonywałem sam siebie, że powinienem się trzymać tego interesu. To były słuszne decyzje. Pewnego dnia moje nagrania wideo miały się dla mnie okazać odskocznią do ogólnokrajowego forum, na którym mogłem regularnie podnosić świadomość dotyczącą gwałtownej pogody i tornad, występując przed telewidzami z całego kraju.

W pierwszych latach sprzedawania nagrań nauczyłem się, jak wyrobić sobie pozycję zadziornością. Po pierwsze byłem bardzo aktywny. Wszystkie telewizyjne stacje informacyjne chciały dostać materiał jako pierwsze, i to szybko. Po każdym udanym pościgu za tornadem upierałem

się, żeby moi partnerzy zatrzymywali się przy pierwszym napotkanym automacie telefonicznym. Moje plany nie zawsze podobały się kumplom biorącym udział w wyprawie, którzy zwykle chcieli coś zjeść, przespać się albo jechać prosto do domu po długim dniu tropienia burz. Ja też tego chciałem, ale z drugiej strony nie chciałem dawać szansy konkurencji.

Wrzucałem zatem ćwierćdolarówki do automatów telefonicznych. Początkowo miałem tylko kilka kontaktów w mediach, jednak moja lista realizatorów telewizyjnych nieustannie się wydłużała. Nawiązałem znajomości z ludźmi z małych oddziałów różnych stacji na całej Alei Tornad, a także z dużych sieci, od ABC przez Weather Channel po Univision, ogromną hiszpańskojęzyczną stację telewizyjną z siedzibą w Miami.

Negocjując pod gołym niebem, czasami byłem smagany deszczem lub wiatrem z tej samej superkomórki, z której wyłoniło się dopiero co sfilmowane przeze mnie tornado. Starłem się zawrzeć uczciwą transakcję. Jeśli realizator chciał mi dać 250 dolarów, a poprzednio zapłacił 300, przypominałem mu o tym i próbowałem uzyskać kwotę, która według mnie była przyzwoita.

Dowiedziałem się, że moi rywale, prowadząc interesy, często posługują się terminem „wyłączność”, więc uznałem, że ja też powinienem. Sprzedawałem na przykład jakieś nagranie stacji CBS z wyłącznością obowiązującą przez tydzień, dzięki czemu nadal miałem prawo sprzedać je później sieciom kablowym lub programom typu reality show. Albo nawet ABC czy NBC.

Rzeczywiście, gdy Jim, Stefan i ja zbliżaliśmy się do Sioux Falls po przejściu tornada w Manchesterze, bardzo często używałem słowa „wyłączność” w rozmowach prowadzonych przez telefon komórkowy.

Uważałem, że mam wyjątkowy materiał filmowy przedstawiający niesamowite tornado.

Poza tym walczyłem trochę bardziej bezpardonowo, wystawiając jedną stację przeciwko drugiej. Cały czas uważałem, że nawet tylko trochę większa kwota oznacza więcej możliwości łowienia burz.

– CBS chce wyłączności tylko na tydzień – powiedziałem realizatorowi z NBC.

Potem rozmawiałem z realizatorką z ABC, która powiedziała mi, że chce mieć wyłączność na dziesięć dni.

– Dlaczego miałbym się zgodzić na tę ofertę, skoro CBS przystanie na krótszą wyłączność? – powiedziałem, oglądając się do tyłu na Stefana. Spał.

– Pozwól nam chociaż rzucić okiem – błagała realizatorka z ABC. – Nie mogę się doczekać, żeby zobaczyć ten materiał.

Weszliśmy do siedziby oddziału ABC w Sioux Falls i zostaliśmy natychmiast skierowani do wozu transmisyjnego. Pracujący w nim realizatorzy byli zafascynowani. Tornado, które przeszło przez Manchester, było niesamowite – to samo zjawisko przybierało różne formy, a my widzieliśmy je wszystkie. W różnych momentach pościgu tornado było czarne, podświetlone od tyłu przez słońce, albo białe, oświetlone z przodu, zwężające się ku dołowi jak cienka trąba słońca albo szersze niż wyższe – klasyczny klin.

Kilka minut później rozmawiałem przez telefon w wozie transmisyjnym z realizatorką ogólnokrajowej sieci ABC z Nowego Jorku.

– Ten moment, kiedy jedzicie tyłem, jest naprawdę niebezpieczny – powiedziała. – Rzeczywiście nie dajesz za wygraną w takich sytuacjach.

Dosłownie w tym momencie do wozu transmisyjnego wpadł Roger Hill, łowca burz z Kolorado kręcący mnóstwo filmów, jeden z moich

bezpośrednich rywali.

– Ludzie, musicie to koniecznie zobaczyć – powiedział, unosząc do góry kamerę wideo, ale ramiona mu opadły, kiedy mnie zauważył.

Wkrótce tylko ja ubiłem interes z tą siecią.

Jim, Stefan i ja wyszliśmy z siedziby oddziału w radosnym nastroju. ABC zgodziło się zapłacić nam 5000 dolarów za dziesięciodniową wyłączność dla swojej sieci, a ja w dalszym ciągu mogłem sprzedać swój materiał stacjom telewizji kablowej.

– Już mi lepiej – powiedział chwilę później Stefan przy piwie w barze w centrum Sioux Falls.

Następnego dnia pojechaliśmy z powrotem do Norman przez wschodnią Nebraskę. Zatrzymaliśmy się po drodze, żebym mógł wystąpić przed kamerą podczas wywiadu prowadzonego przez Andersona Coopera z CNN. Przedstawił mnie takimi słowami: „Timmer jest dosłowne okiem burzy. Ściga tornada i robi im zdjęcia”.

– Jak to jest – zapytał Cooper, podczas gdy na ekranie leciał mój film pokazujący, jak pędzimy tyłem, cofając się przed nadciągającym tornadem w Manchesterze – być aż tak blisko?

Znów byłem w ogólnokrajowej telewizji i znów mój występ i brawurowy film miały wywołać wielkie poruszenie wśród bardziej konserwatywnych łowców burz. Na swoich forach internetowych bardzo narzekali na moją agresywną taktykę i późniejszy wywiad w mediach. Ci, którzy umieszczali tam wpisy, obrzucali mnie obelgami, wymyślali przezwiska w rodzaju „Need Glimmer”² i zarzucali mi, że pojawiając się tylko wtedy, gdy są „wielkie” burze, żebym mógł się popisywać wyczynami kaskaderskimi, takimi jak jazda tyłem przed nadciągającym tornadem, dla pieniędzy i sławy.

Gdybym tylko umiał przewidzieć, kiedy pojawią się „wielkie” burze, pomyślałem, czytając te wiadomości kilka dni po występie w CNN. Nie odpowiadałem na nie, bo doszedłem do wniosku, że nie ma wielkich szans na zmianę sposobu myślenia moich krytyków. Mieli rację w jednej kwestii: nie łowiłem burz tak jak oni. Ale czy mój styl był zły? Załamane nerwy Stefana oczywiście utwierdziło mnie w przekonaniu, że to, co robię, nie jest dla każdego.

Pomyślałem również, że moi krytycy są zazdrośni. W tamtych czasach były setki zapalonych łowców burz przemierzających drogi na Alei Tornad i chociaż zdecydowana większość z nich nie zdobywała w związku z tym pieniędzy ani uznania, niektórzy żalowali, że tak nie jest. Wiedziałem, że to prawda. Moje sporadyczne występy przed kamerami i znacznie rzadsze znaczące wypłaty nie były częścią jakiegoś wielkiego planu. Były produktem ubocznym mojej pasji. Dla mnie naprawdę nie miało znaczenia, czy podczas pościgu samochód jechał przodem, czy tyłem. Zależało mi tylko na samym łowieniu burz.

Wkrótce po powrocie do domu z Dakoty Południowej rozmawiałem z realizatorami z innych sieci telewizyjnych o swoim materiale filmowym z nagraniem tornada z Manchesteru. Ostatecznie zawarłem umowy z Weather Channel, Univision i programem *Inside Edition* nadawanym przez różne stacje.

Podliczyłem wszystkie zyski ze sprzedaży filmu z tego jednego pościgu za tornadem i wyszło mi w sumie ponad 20 000 dolarów. Zamierzałem się nimi podzielić z Jimem i Stefanem, ale nawet wtedy mnie przypadła ogromna kwota. Kiedy zorientowałem się w rozmiarach tego nieoczekiwanego przyływu gotówki, znów przyszła mi do głowy tylko jedna myśl: więcej paliwa w baku samochodu do łowienia burz.

Oczywiście mogłem poradzić wielu moim krytykom, żeby dokładniej się przyjrżeli, jak silna może być obsesja łowcy burz. Mogłem im powiedzieć: „Dlaczego nie pójdziecie zapytać jakiegoś innego łowcy burz z Alei Tornad, w jaki sposób podejmuje decyzje?”.

Na przykład takiego faceta jak Simon Brewer.

Zaledwie kilka tygodni przed ogromnym tornadem w Manchesterze wyruszyłem na wyprawę, z której wróciłem sfrustrowany i blady jak trup. Dokładnie tego samego dnia Simon Brewer zaliczył fantastyczne łowy, chociaż drogo go to kosztowało. Simon od dawna ma świra na punkcie tornad i jest moim zaprzyjaźnionym rywalem. 8 maja 2003 roku obaj przeżyliśmy szalone przygody łowców burz.

Simon zbudził się w tamten majowy czwartek przekonany, że nie pojedzie łowić burz. Był wtedy studentem meteorologii OU na studiach licencjackich i następnego dnia zdawał egzamin końcowy z dynamiki atmosferycznej. W pracy dostał tydzień wolnego – pracował jako sprzedawca w Kentucky Fried Chicken – żeby mógł się skupić na nauce. Simon miał wówczas dwadzieścia dwa lata i pochodził z Dayton w stanie Ohio, a studiowanie na OU nie przychodziło mu łatwo. Potrzebował tego dnia na przygotowanie się do egzaminu.

Ja zbudziłem się tego samego dnia z innym planem. Razem z Joelem i trzema innymi łowcami burz wyruszyliśmy wcześniej rano do miasteczka Emporia w środkowo-wschodniej części stanu Kansas. Układ pogody był klasyczną suchą linią: gorące, suche powietrze napływało z zachodu i południowego zachodu, a ciepłe i wilgotne z południa i południowego wschodu.

Simona dręczyło, że nie mógł łowić burz tamtego dnia. Wiedział o możliwości wystąpienia tornad, których pojechałem szukać ja i wielu

innych łowców burz. Tak jak niejeden z nas, Simon od najmłodszych lat fascynował się pogodą. Gdy był mały i mama zabierała go wraz z dwoma starszymi braćmi do biblioteki, bracia siadali z historyjkami dla dzieci i książkami z serii *Hardy Boys*, a Simon zawsze szedł do działu z literaturą faktu. Chciał oglądać książki o wulkanach, oceanach i o pogodzie.

Gdy nadszedł czas, żeby pójść na studia, Simon musiał wybierać między meteorologią na Uniwersytecie Saint Louis w Missouri a tym samym kierunkiem na Uniwersytecie Oklahomy. Program w Saint Louis był bardziej nastawiony na kształcenie, a w OU na odsianie tych, którzy nie dawali sobie rady. Mogli się utrzymać tylko pilni i zdeterminowani. Simona kusило łagodniejsze podejście SLU, ale OU leżał w samym środku Alei Tornad. Simon był także lekkoatletą – wysokim, szczupłym chłopakiem z dobrze umięśnionymi udami, uprawiającym biegi w szkole średniej i na tyle szybkim i silnym, żeby zapewnić sobie miejsce w uczelnianej drużynie. Zdecydował się na OU. Uważał, że może rywalizować zarówno w biegach przełajowych, jak i na bieżni, studiować i znaleźć trochę czasu na łowienie burz. Musiał także zarabiać na swoje utrzymanie.

Gdy Simon zajął się porządkowaniem notatek z zajęć w swoim domu w Norman – wynajmował mieszkanie do spółki z kilkoma innymi biegaczami z OU – Joel, ja i trzej nasi koledzy byliśmy już w drodze, jadąc białym fordem explorerem Joela. Był dopiero początek sezonu, więc strasznie chcieliśmy zobaczyć tornada. Do południa przejechaliśmy 420 kilometrów dzielących nas od Emporii, ale na razie nic szczególnego się nie działo. Godzina była zbyt wczesna.

Wobec tego zdecydowaliśmy się na małą zmianę planów. Postanowiliśmy pojechać jeszcze dalej na północ, 130 kilometrów za koniec autostrady I-70, w kierunku Manhattanu, w poszukiwaniu tak zwanego punktu potrójnego. Formalnie rzecz biorąc, punkt potrójny to

miejsce, w którym przecinają się trzy granice atmosferyczne. 8 maja punkt potrójny, którego szukaliśmy, był tam, gdzie dwa główne elementy suchej linii – napływające ciepłe, wilgotne powietrze z jednego kierunku i gorące, suche powietrze z innego – miały się skrzyżować z zimnym powietrzem z północy. Poza tym na wschód od przecięcia się suchej linii z zimnym frontem rozciągał się ciepły front, co jeszcze bardziej powinno było nasilić wybuchowe warunki atmosferyczne panujące tamtego dnia.

Mniej więcej w tym samym czasie tamtego przedpołudnia Simon, który ślęczał nad książkami, postanowił zerknąć na internetowe modele prognoz pogody. Tylko szybki rzut oka. Wszedł na stronę College of DuPage, która była przeładowana danymi. Nie chciało mu się logować do Storm Prediction Center, żeby przyjrzeć się prognozom z innej perspektywy. Mapy SPC były proste i nieskomplikowane, a dane, także statystyczne, bardziej strawne.

Simon był wyznawcą starej szkoły – przed wyruszeniem w pościg lubił na ogół tworzyć ręcznie rysowane mapy pogodowe i miał obsesję na punkcie analizowania zdjęć satelitarnych obejmujących duży obszar, pokazujących chmury, zatoki niżowe i „jet streaks” (bardzo szybkie wiatry w prądzie strumieniowym, które mogą doprowadzić do powstania burzy). „Stara szkoła” prognozowania pogody oznacza wiele godzin spędzonych z ołówkiem i mapą synoptyczną, na którą starannie nanosi się przepływ wiatru na obszarze docelowym, temperaturę, punkty rosy oraz wiele innych wejściowych danych meteorologicznych. Sporządzający prognozę ma nadzieję odkryć pewne trendy i niuanse, żeby znaleźć najlepsze miejsce do łowienia burz, być może zupełnie inne od tego, które rekomenduje SPC. Przed epoką internetu i witryn zamieszczających symulacje komputerowe wielu łowców burz tworzyło własne mapy, posługując się długopisem i ołówkiem, a i dziś trafiają się ludzie, którzy uważają, że te ręcznie

sporządzane analizy są pożyteczne i zabawne. Ja się do nich nie zaliczam. Nie mam cierpliwości, żeby rysować własne mapy, skoro można je wygenerować komputerowo, i zawsze będę twierdził, że na ogół tworzę solidną prognozę w swojej głowie w oparciu o dane zebrane z wielu stron internetowych z modelami komputerowymi. Ponadto jestem otwarty na uwzględnianie innych opinii, takich jak komunikaty SPC, które Simon całkowicie odrzuca. Czasami wydaje mi się, że przez swój upór przegapia tornada.

Ale dzisiaj Simon miał się uczyć do egzaminu. Żadnych prognoz. Strona internetowa, na którą wszedł, pokazywała wysoką wartość CAPE i ogromny uskoki wiatru w rejonie Oklahoma City – zaledwie trzydzieści minut drogi od domu Simona. W dodatku temperatura wysoko w atmosferze wskazywała, że cyklon nad obszarem metropolitalnym Oklahoma City może zostać przerwany.

Simon musiał podjąć decyzję: ścigać burzę powstającą praktycznie tuż za jego oknem czy uczyć się do egzaminu na następny dzień?

Tymczasem Joel i ja dotarliśmy na miejsce, gdzie spodziewaliśmy się fajerwerków związanych z punktem potrójnym i korzystniejszych warunków do powstawania silnych tornad niż bardziej na południe, w Oklahomie. Myliliśmy się. Zimne powietrze popłynęło dalej na południe, a sucha linia dosłownie zrobiła przed nim unik, przesuując się bardziej na wschód. Była jakieś 80 kilometrów przed nami i nadal przemieszczała się na wschód. My tymczasem wjechaliśmy w mgłę i zimne powietrze. Zaskoczyło nas to, ponieważ zimne powietrze płynęło na południe szybciej, niż się spodziewaliśmy. Nadszedł czas, żeby podjąć szybką decyzję: czy robimy desperacki krok i jedziemy na wschód, żeby spróbować dogonić suchą linię i być może jakieś burze, czy trzymamy się prognozowanego punktu potrójnego, licząc, że mgła wyparuje?

Simon powiedział sobie, że przede wszystkim musi zdać dynamikę. Studiował na OU już cztery lata i nie zanosilo się, że w najbliższym czasie uzyska dyplom. Kiedy przyjechał do Oklahomy, łowienie burz ostatecznie zdominowało jego harmonogram. Przestał startować w biegach przełajowych oraz na bieżni i opuszczał mnóstwo zajęć. Kiedy szef chciał go zrobić kierownikiem w KFC, Simon odmówił. To była zbyt duża odpowiedzialność. Tolerował tę posadę tylko dlatego, że przynosiła mu pieniądze, a godziny pracy były na tyle elastyczne, że mógł łowić burze.

A kiedy już Simon łowił burze, nie był zainteresowany powrotem do domu na kolację, podobnie jak mnóstwo innych łowców burz, którzy mieli żony, dzieci, psy i pracę. Zawsze był zbyt zajęty, żeby wziąć udział w dorocznym pikniku łowców burz w Piedmont nieopodal Oklahoma City, i nigdy się nie zatrzymywał, żeby pogadać, kiedy łowcy burz gromadzili się na poboczach dróg i wysiadali z samochodów wyposażonych sprzętem radiowym i antenami. Tymczasem Simon, we flanelowej koszuli, nieogolony, jeżdżący starą czerwoną furgonetką, wyglądał trochę jak łowca burz w wersji grunge.

Simon, podobnie jak ja, sprzedawał nagrania wideo i szło mu całkiem nieźle, ale pracował tylko z kilkoma klientami i nie zależało mu, żeby robić interesy z ponad dziesięcioma, do których ja teraz regularnie dzwoniłem. Poza tym, jeśli ktoś nie zaoferował Simonowi co najmniej 200 dolarów, był przygotowany na przerwanie negocjacji. Dla niego faksowanie bladym światem papierków tam i z powrotem nie było warte zachodu, nawet jeśli potrzebował gotówki.

Joel i ja postanowiliśmy wydostać się z mgły i łowić burze na wschód od nas. Nie było innego wyjścia: albo to, albo przekleństwo błękitnego nieba. Joel docisnął pedał gazu i pomknęliśmy autostradą numer 24 w kierunku Topeki.

W tym samym czasie Simon przekonał samego siebie, że może zda egzamin bez przygotowania i niebawem siedział już w swojej furgonetce, próbując odgadnąć, gdzie w rejonie Oklahoma City rozpęta się burza. Jechał na wschód autostradą międzystanową numer 40, bombardowany gradem wielkości piłek baseballowych. Wiedział, że tornado może się pojawić tuż za opadami i wstrzymał oddech – była godzina szczytu i na autostradzie roiło się od wystraszonych kierowców, którzy zwolnili, wlokąc się w żółwym tempie, i nie wiedzieli, czego się spodziewać. Simon niepokoił się, że tornado może się przetoczyć dokładnie przez korek uliczny.

Kiedy gradobicie osłabło i Simon popatrzył w górę, zamiast tornada zobaczył pasmo chmur przemieszczające się ze wschodu na zachód. To nie był normalny kierunek. Zwykle powietrze płynie w przeciwną stronę. Jednak te chmury to był tak zwany inflow band burzy – wilgotne powietrze, które zasysał system burzowy, wykorzystując je w charakterze paliwa.

Simon wydostał się w końcu z korka i dotarł do południowo-wschodniej części miasta, skąd miał bardzo blisko do drogi I-240 oraz do ogromnej fabryki General Motors produkującej SUV-y. Niebo było teraz zaciągnięte i miało kolor brudnej wody po kąpieli. Mrok i opary mogły być efektem pożarów szalejących akurat w Meksyku, bo dym przemieszczał się stamtąd na północ. Wył wiatr.

Uznaliśmy z Joelem i trzema innymi osobami jadącymi w jego SUV-ie, że jesteśmy dość blisko jakiejś burzy, bo nawierzchnia autostrady była teraz mokra po wcześniejszym deszczu. Sądziliśmy, że są to opady podążające w ślad za burzą. Joel jeszcze mocniej nacisnął na gaz. Nagle samochód zaczął się ześlizgiwać na prawo.

Simon wciąż patrzył na zachód, ponad pasmem trawiastych pagórków. W radiu spiker właśnie ogłosił „stan zagrożenia tornadem”, co jest

poważnym ostrzeżeniem National Weather Service przed znacznymi, rozległymi zniszczeniami powodowanymi przez gwałtowne tornado. Simon usłyszał również, że tornado kieruje się na północny wschód, co oznaczało, że prawdopodobnie znalazł się w świetnym miejscu, żeby je zaobserwować. Był coraz bardziej zadowolony ze swojej decyzji. Nagle na zachodniej linii grzbietów trawiastych wzgórz pojawiła się ciemna plama – tornado w kształcie komina, które pełząc po zboczach, zmieniło się w ogromny, bezładny klin. Miało około 800 metrów szerokości i było ciemne od odłamków, bo zdążyło już zniszczyć kilka hoteli i restauracji.

Joel zakręcił kierownicą w lewo, żeby skontrolować poślizg tego dużego samochodu, i przez minutę wydawało się, że uchronił naszą piątkę przed strasznym wypadkiem, ale zaraz potem explorer zaczął się ślizgać w stronę pasa rozdzielającego jezdnie. Joel znów skontrolował kierownicą, ale było już za późno. Samochód pędzący czteropasmową autostradą zaczął się obracać w lewo niczym tornado. Pamiętam, że gdy sunęliśmy w stronę rowu biegnącego wzdłuż drogi, pomyślałem: to będzie bolało.

Simon wyskoczył z furgonetki, żeby sfilmować tornado w Oklahoma City, i cierpliwie czekał, aż zbliży się do niego, bo kierowało się wprost na północ. Nie groziło mu, że zostanie wciągnięty przez wir tornada, ale zaskoczyła go siła otaczających je prądów zstępujących, wypychanych poza trąbę powietrzną. Te wiatry zaczęły okładać Simona pięściami, najpierw niczym bokser wagi ciężkiej, a potem tak, jakby chciały go wywiać do sąsiedniego hrabstwa. Stał bliżej furgonetki, ale gdy tornado przechodziło w odległości niecałych stu metrów od niego, samochód zaczął się trząść.

Simon cofnął się od furgonetki, ale natychmiast został obrzucony odłamkami – dachówkami, fragmentami izolacji i kawałkami drewna, które trąba powietrzna niosła ze sobą prawdopodobnie od poprzedniego hrabstwa. Postanowił wtedy zrobić w tył zwrot i uciec przed tornadem.

Następnego dnia Simon oblał egzamin i nie zanosilo się, że szybko skończy studia na OU. Sfilmował za to tornado F4, które, jak się okazało, przetoczyło się obok niego przez fabrykę GM i sąsiednią okolicę. Później sprzedał to nagranie wideo.

Explorer cudem wyszedł z poślizgu po wykonaniu dwóch obrotów na czteropasmówce. Chociaż wszyscy byliśmy mocno wstrząśnięci, jeszcze bardziej czuliśmy się rozczarowani, bo okazało się, że przegapiliśmy każde z pięćdziesięciu czterech tornad, które tamtego majowego dnia 2003 roku zeszyły na Alei Tornad. Joelowi mocno trzęsły się ręce, gdy próbował przytrzymać kierownicę po wyjściu z poślizgu, i miał przyśpieszony oddech. Wszyscy wiedzieliśmy, że uniknęliśmy najgorszego.

Czy tamtego dnia Simon Brewer powinien był postąpić inaczej? Dogonił burzę i nakręcił film, ale odłożył naukę na później i zapłacił za to wysoką cenę. My omal nie dachowaliśmy i kompletnie przeoczyliśmy tornada. Powinienem był ustawić statyw z kamerą w swoim oknie, bo trąba powietrzna, którą sfilmował Simon, znalazła się zaledwie kilka kilometrów od mojego domu, kiedy po raz pierwszy dotknęła ziemi! Tak to jest z łowieniem burz.

Oceńcie sami, który z nas, jeśli w ogóle, podjął błędną decyzję.

Uważam się za optymistę, nawet gdy siedzę w wirującym samochodzie, ale muszę się przyznać, że po zarobieniu całkiem sporej sumy ze sprzedaży nagrania wideo z Manchesteru w Dakocie Południowej zastanawiałem się, czy jeszcze kiedykolwiek zrobię coś takiego. Nie próbowałem sobie wyobrazić, że kolejne tornado w rodzaju F4 z Manchesteru pojawi się przede mną w najbliższej przyszłości. Rozważałem natomiast inny pomysł, który mógłby posłużyć do sfinansowania całego sezonu łowienia burz.

Kiedy nie łowiłem burz ani nie spędzałem czasu ze swoją dziewczyną, przesiadywałem godzinami w sali przeznaczonej dla magistrantów, pracując, ucząc się i razem z przyjaciółmi z wydziału meteorologii OU śniąc na jawie o groźnej pogodzie. Oni zawsze ubolewali, że nie możemy być wiecznie magistrantami. Nasi koledzy, którzy już harowali w prawdziwej pracy, lubili nam wszystkim przypominać, że i dla nas nadejdzie taki dzień. Mówili, że w końcu wylądujemy gdzieś w biurowym boksie, pracując godzinami pod kierownictwem jakiegoś bezwzględnego szefa.

Ja od czasu do czasu rzucałem sugestię, że moglibyśmy na stałe uniknąć egzystencji wyznaczonej pracą od dziewiątej do piątej.

– A może poprowadzimy wspólnie meteorologiczną firmę konsultingową? Moglibyśmy na zmianę pilnować interesu – myślałem głośno późnym popołudniem pewnego dnia na wiosnę 2003 roku w obecności kolegów ze studiów magisterskich: Dona Giuliana i Johna Esterhelda. Znajdowaliśmy się w sali numer 1510 gmachu Sarkeys, gabinecie dla magistrantów, który dzieliłem z Donem, Johnem i paroma innymi chłopakami. Sala na piętnastym piętrze zapewniała fantastyczny widok na burze nadciągające od południa. – Założę się, że wspólnie moglibyśmy tworzyć prognozy dla wszelkich przedsiębiorstw uzależnionych od pogody. Gdybyśmy wszyscy mieli udziały w firmie – dodałem – każdy z nas mógłby generować pewne dochody i mieć wolne w niektóre dni.

– Wszyscy wiemy, gdzie taki jeden spędzałby swoje wolne dni, co? – powiedział Don, przeglądając przy biurku jakieś badania dotyczące uskoju wiatru. Nie musiał podnosić wzroku. Obaj z Johnem wiedzieliśmy, że ma na myśli mnie. – Trzy osoby powinny zarabiać trzy pensje i każda z nich

musiałyby ciężko pracować – mówił dalej. – Sam nie wiem. Może rozwiązaniem jest praca naukowa.

Jeśli praca dla doktora Lamba miałyby stanowić jakąś wskazówkę, nie byłem przekonany, czy jestem stworzony do życia w środowisku akademickim, mimo miłości do nauki i badań. Lamb był bardzo wymagający i spełnianie jego żądań było dla mnie bardzo uciążliwe. Wtedy przygotowywałem dla niego skomplikowane sprawozdanie dotyczące anomalii temperatury powierzchni Pacyfiku. Lamb chciał się więcej dowiedzieć o związku między anomaliami SST (sea surface temperature – temperatura powierzchni oceanu) na Pacyfiku, takimi jak El Niño – zjawisko charakteryzujące się wyraźnie podwyższoną temperaturą Pacyfiku w strefie równikowej – a zużyciem energii w Stanach Zjednoczonych. Nie miałem nic przeciwko tej tematyce i właściwie lubiłem analizować zróżnicowanie klimatu, ale pisałem to sprawozdanie już dwa razy. Kolejną wersję miałem mu oddać następnego dnia.

– Idę do domu zatankować kofeinę, coś zjeść i doprowadzić do końca te poprawki – powiedziałem, zbierając swoje papiery. – Do zobaczenia jutro, chłopaki.

To, co powiedziałem, było tylko w połowie prawdą. Późnym wieczorem spotkałem się ze swoim przyjacielem Deanem Schoenickiem. Chodziliśmy kiedyś z Deanem na zajęcia z meteorologii, łączyliśmy czasem siły, łowiąc burze, i zdobyliśmy trochę punktów w tej samej lidze kręglarskiej. Poza tym Dean zarabiał na życie, projektując strony internetowe i kombinując, jak zwiększyć na nich ruch.

– To nic ciekawego – powiedział mi Dean – ale można z tego wyżyć.

Przez moment nosiłem się z zamiarem rozpoczęcia pracy na zlecenie, robiąc to samo co Dean, ale potem wpadłem na lepszy pomysł: stworzyć własną stronę internetową. Wyobraziłem sobie portal, który pozwoliłby mi

sprzedawać niektóre z moich nagrań wideo z łowienia burz na DVD. Już wcześniej próbowałem zarobić trochę pieniędzy, rozprowadzając takie płyty DVD w społeczności łowców burz dzięki umieszczaniu informacji na forach internetowych, ale bez większego powodzenia. Zastanawiałem się, czy jest jakiś sposób, żeby dotrzeć do szerszej publiczności i sprzedawać nagrania na masową skalę. Pomyślałem, że inni maniacy pogody i ludzie, którzy uznają, że to, co robię, jest interesujące, odważne albo dziwaczne, kupią mój towar.

Przedstawiłem Deanowi swoje pomysły. Zaświeciły mu się oczy.

– Umieść w internecie urywki swoich nagrań wideo. Tylko tyle, żeby skusić kogoś, kto chce kupić DVD – powiedział. – Daj klientowi odrobinę na spróbowanie, a potem możliwość kupienia tego samego w większej ilości.

Myślałem o sugestii Deana. W internecie były już portale poświęcone pogodzie, ale większość z nich nie pokazywała „teaserów”, czyli próbek, filmów wideo. W 2003 roku wśród łowców burz panowało przekonanie, że im więcej ludzi zobaczy za darmo twoje ciężko zdobyte wideo, tym mniej powodów będą mieli, żeby je kupić.

Dean uważał, że jest dokładnie na odwrót. Na wiosnę 2003 roku przekonał mnie do założenia strony internetowej odtwarzającej urywki filmów z łowienia burz, żeby promować moje DVD.

Byłem zbyt spłukany, żeby wynająć kogoś do zrobienia projektu, ale Dean był maszyną do projektowania stron internetowych, więc stworzyliśmy spółkę, żeby dzielić się dochodami ze sprzedaży DVD, i sami zaprojektowaliśmy stronę. (Dean pokazał mi, jak się posługiwać programami do projektowania i edytowania stron, a ja zarwałem kilka nocy, żeby nauczyć się pisać w HTML). Po tygodniu harówki miałem już podstawową stronę internetową gotową do odpalenia. Dean przeanalizował

terminy używane do wyszukiwania filmów wideo z burzami i postawiliśmy na najbardziej oczywistą nazwę: www.tornadovideos.net.

Strona była prymitywna – był dopiero 2003 rok i internet wciąż szybko ewoluował. Portal Tornadovideos.net oferował odwiedzającym tylko krótki podgląd filmów wideo oraz informował, jak kupić moje DVD. Nie był to Amazon, ale ja od samego początku uważałem, że pomysł się sprawdził. Od razu sprzedawałem co miesiąc płyty za kwotę 300 dolarów. Dla mnie było to jak prezent, a ta suma wystarczała na opłacenie czynszu.

Portal dawał także inną możliwość osiągnięcia dochodów. Tornadovideos.net był sklepem internetowym sprzedającym moje klipy wideo z łowienia burz. Teraz realizatorzy programów prezentujących klipy wideo, takich jak *World's Most Amazing Videos* albo *Nova* w sieci PBS, mogli wyszukać moją stronę w Google i za pewną opłatą ściągnąć potrzebny im materiał filmowy. Wkrótce przekonałem się, że wideo przedstawiające F5 z 3 maja 1999 roku jest dla widzów równie szokujące w roku 2003 jak w 1999.

Tamtej wiosny mój film z wyprawy do Manchesteru w Dakocie Południowej – z wyprawy, podczas której Stefan dostał ataku paniki – wciąż przynosił zyski. Realizatorzy zgodnie pytali o to samo: o materiał nakręcony w momencie, kiedy nasz samochód pędził tyłem, uciekając przed tornadem, a ja wrzeszczałem: „Cofaj!”. Z każdą sprzedażą zarabiałem pieniądze, ale i dowiadywałem się więcej o tym, jakiego rodzaju połowy burz chce zobaczyć Ameryka.

Nie wiedziałem, co zrobić z pieniędzmi trafiającymi do mojej kieszeni. Natychmiastowy, wyraźny napływ gotówki dzięki Tornadovideos.net spadł mi jak z nieba. Mogło to być 20 dolarów od jakiegoś maniaka pogody z Tennessee, który kupił płytę DVD, albo 315 dolarów od BBC za materiał

filmowy trwający siedem sekund. Niemal każdy dzień przynosił nowy zakup na mojej stronie internetowej, a ja wtedy naprawdę potrzebowałem pieniędzy.

Nigdy nie miałem dużo kasy. Kiedy dorastałem, nigdy mi niczego nie brakowało, chociaż nie mogę powiedzieć, żebym miał duże wymagania. Moja mama zawsze była bardziej zainteresowana zapewnianiem nam przeżyć i wiedzy niż dawaniem przedmiotów. Gdy była dzieckiem, rodzice zabierali ją na rodzinne wakacje edukacyjne. Byli w Mount Vernon, w Monticello i zwiedzali pola bitew z czasów wojny secesyjnej. Kiedy ja dorastałem, matka często zabierała mnie i moje siostry w podobne miejsca. Na święta i urodziny mama obsypywała nas książkami, materiałami dla plastyków i siatkami na motyle, a nie zabawkami. Kiedyś dziadek podarował moim siostrom żywe kurczątko, mając nadzieję, że nauczą się hodować drób.

Zaraz po tym jak z mojej strony internetowej zaczęły napływać pieniądze, postanowiłem zrobić coś, co wyglądało na umiarkowane szaleństwo zakupów. Kupiłem trochę nowego sprzętu elektronicznego dla swojej firmy. Chciałem mieć profesjonalny sprzęt fotograficzny i do obróbki filmów wideo, niezbędne akcesoria i obiektywy oraz mocny laptop. Pod koniec wiosny 2003 roku zainwestowałem w ten sprzęt 25 000 dolarów. Była to kwota znacznie przekraczająca moje oszczędności w banku, więc obciążylem zakupami karty kredytowe, w przekonaniu, że wkrótce Tornadovideos.net i moje kolejne połowy burz przyniosą mi wystarczająco dużo pieniędzy, żebym mógł spłacić długi, a nawet więcej.

Poza tym bardzo chciałem pokazać Niki, że potrafię być żywicielem rodziny. Gdy zaczęliśmy się spotykać, nie miałem nawet samochodu i często nosiłem tandetne T-shirty, które zdarzało mi się wkładać na lewą stronę, kiedy nie miałem czasu na pranie. Niki nie narzekała zbyt głośno.

Służyła za kierowcę i od czasu do czasu pożyczła mi samochód (ale nie do łowienia burz). Kiedy zmieniałem wygląd swoich koszul, odcinając rękawy, próbowała się powstrzymać od komentarzy. Na wielu randkach dzieliliśmy się wydatkami, dlatego teraz chciałem jej okazać wdzięczność.

– Mam dla ciebie niespodziankę z okazji naszej pierwszej rocznicy – powiedziałem pewnego wieczoru latem 2003 roku. Byliśmy w grill barze w Moore i gdy kelner podszedł z rachunkiem, chwyciłem paragon, żeby zapłacić całą kwotę. – Zabieram cię w podróż.

– Aaaach – powiedziała z uśmiechem. – A dokąd jedziemy?

Parę tygodni później zabrałem Niki na kilka dni do San Antonio. Zatrzymaliśmy się w miłym hotelu, zwiedziliśmy Alamo, jedliśmy wspaniałe potrawy i spacerowaliśmy wzdłuż River Walk, trzymając się za ręce podczas ciepłych teksaskich wieczorów.

Przez całe tamto lato wszystko układało się wspaniale. Łączył mnie silny związek uczuciowy z moją dziewczyną, chodziłem na fascynujące zajęcia na uczelni i robiłem trochę interesów dzięki swojej pasji – ściganiu tornad i badaniu ich furii. Miałem dobrą passę i szykowałem się do zainwestowania pieniędzy na giełdzie.

Na początku lipca dostałem cynk od pewnego funduszu inwestycyjnego noszącego nazwę Roller Coaster Stocks, żeby zainwestować w firmę Ivanhoe Energy poszukującą ropy naftowej i gazu.

Roller Coaster Stocks, pomyślałem sobie, to firma w sam raz dla takiego faceta jak ja.

Nie miałem pojęcia o inwestowaniu ani o giełdzie, ale skorzystałem z rady i za około 7000 dolarów kupiłem akcje Ivanhoe, które kosztowały mniej więcej dolara od sztuki. Na jesieni cena akcji wzrosła do ponad 5 dolarów, ponieważ ogłoszono, że Ivanhoe przystępuje do realizacji obiecującego projektu w bogatym w gaz rejonie Chin. Zwłaszcza jednego

dnia, kiedy uważnie śledziłem notowania giełdowe, wydawało się, że cena idzie w górę równie szybko, jak szybko byłem w stanie klikać na przycisk „odśwież” w swojej przeglądarce internetowej.

Tak, moje życie bardzo przypominało giełdowe wyczyny firmy Ivanhoe. Szkoda, że inwestycje i moje szczęście nie mogły trwać wiecznie.

ROZDZIAŁ 6

Wiatr w oczy

Joel westchnął. Miał zwyczaj komunikować w ten sposób, że łowy poszły źle, nie musząc mówić tego wprost. Nigdy nie lubiłem wysłuchiwać tych jego westchnień, bo oznaczały porażkę i wcale nie pomagały zbliżyć się do tornad. Wychowałem się w domu, w którym rzadko wyrażało się negatywne myśli. Nawet dzisiaj moja mama unika okazywania na głos niepokoju w związku z moim dziwnym zajęciem. „Och, Reed, nie jestem pewna, czy chcę dokładnie wiedzieć, co robisz – mawia. – Najlepiej, żeby nic nie stanęło ci na drodze”.

Niestety w 2004 roku napotkałem przeszkody. Słyszałem westchnienia w stereo i to całymi miesiącami. Pochodziły od mojego długoletniego przyjaciela i partnera do łowienia burz Joela, innych ludzi, z którymi miałem do czynienia, a nawet z mojej własnej głowy. Akurat wtedy, gdy wszystko szło dobrze, w moim życiu obracającym się wokół tornad nieoczekiwanie coś zaczęło się psuć.

– W Kansas będzie lepiej – powiedziałem do Joela, starając się, żeby rozmowa miała pozytywny wydźwięk. – Południowy zachód Kansas. Tam będzie lepiej.

Szczerze mówiąc, sam też miałem trudności z zachowaniem optymizmu. Był wtorek 11 maja. Przejeżdżaliśmy drogą międzystanową numer 83 koło Valentine w Nebrasce moim bardzo wysłużonym czerwonym pick-upem. Obaj byliśmy brudni i niewyspani. Nie spaliśmy przez większą część ostatnich trzydziestu godzin, to znaczy odkąd późnym popołudniem poprzedniego dnia podjęliśmy decyzję, żeby wyruszyć

z Norman do północnej Nebraski w pogoni za burzą. Kiedy jednak po przejechaniu 1060 kilometrów bez przerwy dotarliśmy do hrabstwa Cherry, zobaczyliśmy tylko niegroźne puszyste białe chmury. Punkt rosy w północnej Nebrasce wcale nie wzrósł tak bardzo, jak miałem nadzieję. Powietrze było suche, co sprawiało, że mieliśmy zerowe szanse na zobaczenie tornada.

– Dlaczego cię posłuchałem? – powiedział w końcu Joel, patrząc wprost przed siebie i niemal nie poruszając rękami spoczywającymi na kierownicy, bo jechaliśmy drogą prostą jak strzała.

– Zgodziłeś się ze mną, że warto spróbować – przypomniałem mu, pociągając łyk kawy. – No i wiesz, że jutrzejszy układ atmosferyczny prognozowany dla południowo-zachodniego Kansas wygląda niesamowicie.

– To przesada – powiedział. – Poza tym mam jutro spotkanie w Norman. Wracamy.

– Joel...

– Reed, ja się kieruję prognozami, nie pobożnymi życzeniami – przerwał mi. – Nie zamierzam zawalić jutrzejszych zobowiązań w Oklahomie, żeby ścigać jakieś urojone tornado.

– Mylisz się co do Kansas. Tak samo jak się myliłeś co do Manchesteru – powiedziałem.

– Okej, Reed, znów będziemy się w to bawić? – odpowiedział. – Tak samo jak ty myliłeś się co do Minnesoty i tej piekielnej przejażdżki, na którą wybraliśmy się twoim dogorywającym samochodem.

Joel miał rację. Popełniłem mnóstwo błędów i podjąłem mnóstwo złych decyzji w związku ze ściganiem burz. Od lat byliśmy przyjaciółmi i wspólnie łowiliśmy burze, ale on kiedyś lepiej przyjmował liczne niepowodzenia, które towarzyszyły stosunkowo nielicznym, ale

niesamowicie satysfakcjonującym sukcesom. Obaj rozumieliśmy, że porażka jest częścią tej gry. Wyglądało na to, że teraz szybciej traci cierpliwość. Joel coraz gorzej tolerował mój nieustanny entuzjazm, coraz mniej chętnie wyjeżdżał ze mną na długie wyprawy i był coraz bardziej zainteresowany rozwijaniem swojej firmy handlującej nieruchomościami. Miałem wrażenie, że rosnące obowiązki wieku dojrzałego chyba odciągają Joela ode mnie, a także od tornad. Rozumiałem to. Nie każdy ustala priorytety w taki sam sposób. Poza tym podziwiałem, jak Joel buduje swoją karierę.

Jednak tak czy inaczej, w następstwie mojego zeszłorocznego ogromnego sukcesu w Manchesterze w Dakocie Południowej – natrafienia na tamto niesamowite tornado F4, które obserwowałem z samochodu jadącego na wstecznym biegu – Joel i ja zgodziliśmy się bez słów co do tego, że mam świetną rękę do łowienia burz. Na przykład wcześniej wiosną 2004 roku przekonałem Joela do wspólnego wyjazdu, który zakończył się udanymi łowami w zachodniej Oklahomie, chociaż SPC uznało, że szanse wystąpienia tornada są bardzo małe. Joel był wtedy zmuszony przyznać, że jest mile zaskoczony, widząc tornado.

Jadąc przez Nebraskę autostradą numer 83 na południe, dotarliśmy do miejscowości Thedford i do rozwidlenia drogi. Znowu upierałem się, że powinniśmy jechać dalej na południe w kierunku południowo-zachodniej części Kansas, a nie na południowy wschód, w stronę Oklahomy i domu. Naprawdę byłem pewien, że to właściwa decyzja. I to była chyba pierwsza wskazówka, że czarne chmury zbierają się na moim własnym horyzoncie. Miałem trochę pieniędzy w kieszeni, a przez to moją uwagę zaprzętały inne rzeczy, takie jak wyjścia do miasta i wycieczki z Niki. Być może stałem się trochę zarozumiały, jeśli chodzi o umiejętności odnajdywania burz. Może Joel nie był jedyną osobą, którą zaczynały odrywać inne sprawy.

– Jestem przekonany, że jutro południowy zachód Kansas eksploduje – powiedziałem. – Wysokie wartości CAPE, powietrze zatokowe napływające w stronę Oklahomy i Kansas, sucha linia od zachodu. Chyba zwariowaliśmy, skoro wracamy do domu.

– Czasami najmądrzejsza decyzja to spasować – powiedział Joel, skręcając w lewo na przecinającą Nebraskę autostradę numer 2, która prowadziła do miasteczka Grand Island. Stamtąd mieliśmy pojechać na południe, do Oklahomy.

Jechaliśmy w milczeniu setki kilometrów. Jak on mógł sobie darować tak potężny układ atmosferyczny? Oczami wyobraźni widziałem nasilający się niski prąd strumieniowy przenoszący ciepłe, wilgotne powietrze znad Zatoki Meksykańskiej na równiny, gdzie zostanie ono wypchnięte do góry przez suche i gorące wiatry zachodnie wiejące z za podręcznikowej suchej linii. Później nastąpi kondensacja i pozornie znikąd pojawi się rosnąca superkomórka burzowa, wysoka na 15 kilometrów chmura w kształcie kalafiora, którą wiejące z przeciwnych kierunków wiatry będą obracać tak długo, aż zaczną wirować niczym bąk. Potem, gdy wirujące do góry wiatry się nasilą i znajdą po omacku drogę na ziemię, pojawi się tornado, początkowo ledwie widoczne, prawie jak zjawy. Gdy już się umocni, będzie zmieniało kształt i osobowość dosłownie na moich oczach. Przez chwilę będzie niespokojnym, długim i cienkim świdrem, ale zaraz stanie się powyginaną, zakrzywioną trąbą słonia, która chętnie będzie tkwiła w jednym miejscu, a potem nagle zmieni się w przysadzisty klin sapiący nad powierzchnią ziemi. Dlaczego Joel nie chciał obejrzeć tego widowiska, którego nadejścia ja byłem tak pewien?

Cóż, skoro zamierzał się upierać, ja też się uparłem. Postanowiłem znaleźć sobie kogoś innego do łowienia burz.

Joel zostawił mnie pod domem o szóstej rano. Byłem wykończony, ale chętnie wróciłbym tego samego dnia do południowo-wschodniego Kansas, choćby tylko z powodu urażonej dumy. Później tego samego ranka zadzwoniłem do Deana Schoenicka z pytaniem, czy jest zainteresowany wyjazdem. Wkrótce byłem w drodze z Deanem i jego dziewczyną Ehle. Pędziliśmy w kierunku odległej o 370 kilometrów miejscowości Attica w stanie Kansas. Aplikowałem sobie napoje energetyzujące i uważałem, że jestem gotowy do pościgu.

Godzinę po naszym wyjeździe z Norman zadzwonił mój telefon. To był Joel. Zmienił zdanie. Chciał jechać. Powiedziałem, że już za późno i że nie wrócimy po niego.

Jednak Joel nie pożałował, że przegapił akurat tę wyprawę. Z perspektywy czasu uważam, że lepiej bym zrobił, gdybym został w Norman i przespał cały dzień 12 maja 2004 roku. To nie była wina nieba – wykonało swoje zadanie, ale nawet tornada nie mogły mi zaoszczędzić przeżycia prawdziwego koszmaru.

– Którą ścigamy? – zapytał Dean, zjeżdżając na pobocze dwupasmowej utwardzanej drogi w pobliżu maleńkiej miejscowości Attica w Kansas.

Nasza trójka wysiadła z jego czarnego isuzu rodeo, żeby rozejrzeć się po okolicy. Ken Cole, Harold Peterson i żona Harolda Kelly – inni zaprzyjaźnieni łowcy burz, którzy jechali za nami drugim samochodem – zrobili to samo.

Wszędzie dokoła nas rozciągały się pola uprawne i zielona preria. Nad nami był nie jeden, lecz dwa szalone cumulonimbusy i oba miały wystarczający potencjał, żeby wytworzyć tornada. Dzieliło je tylko kilka kilometrów i każdy z nich wyglądał imponująco, bo oba były zwieńczone gigantycznym „kowadłem”. Jest to rozciągnięta poziomo, stosunkowo

płaska szczytowa część pionowej kolumny chmury burzowej, będąca bardzo dobrym wskaźnikiem siły burzy i jej pełnego rozwoju. Kowadła chmur są skutkiem ubocznym szybkiego unoszenia się wilgotnego powietrza w chmurze burzowej, które teraz uległo ochłodzeniu i rozpościera się w górnych warstwach atmosfery. Najbardziej obiecujące kowadła są grube i mają ostre krawędzie. Jest to dowód, że cumulonimbus ma mnóstwo wilgoci i silny prąd wstępujący, czyli wiatry wiejące do góry.

Obie te chmury burzowe miały wyraźne kowadła, które błyszcząły olśniewającą bielą, bo odbijały promienie zachodzącego powoli słońca. Mając przed sobą dwie takie burze, stanęliśmy w obliczu kłopotu z nadmiarem. Przez kilka minut próbowałem się zdecydować na jedną z nich. Którą ścigać? Nie spodziewałem się, że moje niezdecydowanie dosłownie wywróci tamtego dnia naszą operację do góry nogami.

– Jedźmy na południe – powiedziałem w końcu, zerkając na południową burzę. Ponieważ tropikalne powietrze zatokowe napływało z południa, uznałem, że południowa burza będzie pierwsza w kolejce do tej fali ciepłej wilgoci. Ponownie usiadłem na przednim siedzeniu pasażera, a kiedy Dean zawiózł nas kilka kilometrów w kierunku południowej chmury burzowej, ta zaczęła wirować. Bingo! Oznaczało to obecność mezocyklonu – wirującego prądu wstępującego wewnątrz superkomórki. Obserwowałem stalowe chmury obracające się na niebie, zachwycając się tym, że ich rotacja sprawiała wrażenie, jakby burza zyskała nagle pulsujące serce i mózg. Utworzyła się już także chmura stropowa – ten dodatek w postaci gęstej kondensacji pojawiający się poniżej reszty chmury burzowej i wskazujący na obszar najsilniejszego mezocyklonu. Była niebezpieczna, ciemnoszara i wirująca. Kiedy burza zdecyduje się spuścić tornado? To jedna z wciąż nierozwiązanych tajemnic nauki zajmującej się tornadami.

Znów się zatrzymaliśmy i wysiedliśmy z SUV-a. Dean zostawił włączony silnik.

– Teraz naprawdę się umacnia – powiedziałem, kierując swoją nową kamerę wideo na wirującą chmurę stropową.

Ehle i Dean stali obok mnie i też patrzyli w niebo. Nie widziałem Kena i Harolda.

– Próbuje się pozbierać – dodałem.

– Jesteśmy w niebezpiecznym miejscu? – zapytała Ehle z niepokojem w głosie, spoglądając na niebo, a potem rozglądając się wokół. – Może do nas przyjść?

Zapewniłem Ehle, że jesteśmy daleko przed burzą, więc nic nam nie grozi, i natychmiast przypomniał mi się mój przyjaciel Stefan panikujący podczas naszej wspólnej wyprawy do Dakoty Południowej. Miałem nadzieję, że nigdy więcej nie zdarzy mi się coś podobnego.

Wirowanie komórki było imponująco szybkie – jakby się je oglądało na filmie wideo w trybie szybkiego podglądu – ale potem minęła minuta, pięć minut, dziesięć, i nic.

Miałem złe przeczucia. Nie było tornada. Nikt dokładnie nie wie, dlaczego komórki burzowe, w których panują idealne warunki do powstania tornad, czasami ich nie tworzą.

W stojącym na jałowym biegu rodeo było włączone pogodowe radio Deana i w pewnym momencie usłyszałem frustrującą wiadomość. Tornado pojawiło się na ziemi w pobliżu miejscowości Pratt na północ od Attiki. A my znajdowaliśmy się na południe od Attiki! Czyżby podążanie za południową burzą było błędem? W ułamku sekundy podjąłem decyzję.

– Ehle, Dean, wsiądźcie do samochodu! – krzyknąłem. – Jedziemy na północ! Wybuchowa pogoda jest na północ od nas! Tornado zeszło koło Pratt z północnej burzy!

To było ryzykowne posunięcie. A jeśli burza, którą zostawimy za sobą, nagle wytworzy tornado? A jeśli nie dotrzemy do drugiej burzy na czas?

Wsiedliśmy do rodeo i pomknęliśmy na północ, przedzierając się przez gęstą sieć dróg gruntowych południowego Kansas. Tym razem jednak mój optymizm nie wyszedł mi na dobre. Superkomórka była znacznie dalej, niż myślałem. Próbowaliśmy ją dogonić przez trzydzieści minut i w końcu dojechaliśmy do północnej burzy, ale tornado już zniknęło. Superkomórka rozwiąła się na naszych oczach.

Dean znów zjechał na pobocze.

– Co teraz? – zapytał.

Przez chwilę siedziałem w samochodzie i rozmyślałem. Miałem gówniane szczęście. Wczoraj przekleństwo błękitnego nieba w Nebrasce i kłótnia z Joelem. Dzisiaj miotałem się między jedną a drugą burzą i zostałem z pustymi rękami. Poza tym byłem bardzo zmęczony. Nie spałem od dwóch dni.

Zadzwoiła moja komórka. To był Ken.

– Widzicie to, chłopaki? – zapytał podekscytowanym głosem, szybko wyrzucając z siebie słowa. – Co my tu mamy? – słyszałem przez telefon, jak Ken zwraca się do Harolda. – Piąte tornado?

– Co?! – wykrzyknąłem. – Gdzie jesteście? – zapytałem, czując nagle, że robi mi się niedobrze.

– Jesteśmy na południe od Attiki – odparł Ken. – A wy?

– My postanowiliśmy pojechać na północ. Uznaliśmy, że to dobry pomysł.

– Dużo tracie – powiedział Ken. – Właśnie patrzę na tornado. Wielki stożek. Jest ogromne.

Rozłączyłem się z Kenem i zerknąłem na Deana i Ehle.

– Musimy wrócić do południowej burzy! – krzyknąłem. – Natychmiast!

Przejechaliśmy połowę drogi do miejsca, w którym byli Ken i Harold, kiedy dotarliśmy do peryferii Attiki i natrafiliśmy na ścieżkę poważnych zniszczeń. Zobaczyliśmy pozbawiony dachu dom, wokół którego stały pojazdy z błyskającymi światłami – smutna, lecz pewna wskazówka, że przeszło tamtędy silne tornado. Na pobliskich polach leżały fragmenty stolarki i izolacji. Powietrze było gęste od wilgoci i miało charakterystyczny zapach świeżo wzruszonej ziemi. Strażak stojący obok zniszczonego domu dał nam i innym kierowcom znak, żebyśmy przejechali.

Ścieżka zniszczeń – szeroki pas zrytej ziemi i pokiereszowanej roślinności – prowadziła wprost na wschód, chociaż patrząc w tamtym kierunku, nie widzieliśmy tornada. Zobaczyliśmy natomiast wielką szarą ścianę opadów odcinającą się na tle niebieskiego poza tym nieba. Ta wilgoć oznaczała prawdopodobnie strefę opadów w kształcie haka owiniętą wokół tylnej części superkomórki. Prawdę mówiąc, dokładnie po przeciwnej stronie ściany deszczu było wielkie tornado w kształcie komina. Szkoda, że nie udało nam się go dogonić.

Najkrótsza trasa, którą można było próbować dogonić ten komin, biegła 15 kilometrów na wschód wiejską drogą gruntową. Oznaczała kolejne niebezpieczeństwo: związana z burzą strefa opadów w kształcie haka mogła zmienić nawierzchnię gruntowej drogi w śliskie, lepkie błoto. Mogliśmy w nim ugrzęznąć. Musielibyśmy również wjechać wprost w opady – przebić rdzeń – żeby dogonić tornado. Jak już wyjaśniałem, niektórzy łowcy burz utrzymują, że przebijanie rdzenia jest niebezpieczne, bo można wyjechać bezpośrednio z niemal oślepiającej (i potencjalnie niszczycielskiej) nawałnicy z gradem wprost w wirujące wiatry tornada. Jednak ja od lat przebijam rdzenie i zawsze przekonywałem się, że opady słabną, a widoczność znacznie się poprawia, zanim natrafiam na tornado.

(Muszę was jednak ostrzec, że podejmowanie tego rodzaju ryzyka wymaga dużego doświadczenia i nie jest czymś dla łowcy burz amatora).

– Jedźmy na wschód – powiedział Dean, kiwając głową. – W tym samochodzie nic nam nie grozi. Bardzo prawdopodobne, że tornado jest tuż za strefą opadów.

Entuzjazm Deana podziałał na mnie motywująco. Byłem zmęczony, ale zaszedłem za daleko w ciągu ostatnich kilku dni, żeby wszystko przegapić.

– Jedźmy na wschód – zgodziłem się.

Dean ostrożnie przyśpieszył, wjeżdżając na pierwszą drogę gruntową i natychmiast stało się jasne, że drogi są rozmiękłe. Gdy SUV tracił od czasu do czasu przyczepność, Dean wyprowadzał go z poślizgu i nadal jechał prosto.

Gdy przejechaliśmy kilka kilometrów, widoczna przed nami szara masa chmur burzowych znacznie się przybliżyła. Dean nabrał większej pewności siebie i zwiększył prędkość z 30 do 55 kilometrów na godzinę.

– Jesteśmy prawie na miejscu – powiedział.

Spojrzałem na nawierzchnię drogi. Była teraz połyskująca, błotnista i brązowa. Silne opady burzowe przeszły tuż przed nami.

Spojrzałem także w górę. Tylna część komórki burzowej była piękna. Hak utworzony przez deszcz miał intensywny granatowy kolor i był bardzo wyraźny – wyglądał jak peleryna owinięta wokół chmur. Nad strefą opadów w kształcie haka wznosiła się pionowa część superkomórki, oświetlona jasnym białym światłem przez gasnące za naszymi plecami słońce. Nad nią znajdowało się kowadło. Wysyłało pioruny uderzające w jasnozielone pola obsiane pszenicą ozimą, rozciągające się wszędzie dokoła. Wewnątrzchmurowe wyładowania atmosferyczne zwane „anvil crawler” przeskakiwały także w obrębie kowadła. Oświeślały szczyt chmury burzowej, jakby chodziło o billboard na Times Square.

Gdy wjechaliśmy w zewnętrzną część strefy opadów deszczu i gradu, otworzyłem do połowy okno po swojej stronie i podniosłem wizjer kamery do oka, spodziewając się, że wkrótce zauważę tornado. Tylne koła SUV-a znów straciły przyczepność i w efekcie doszło do niewielkiego poślizgu. Dean zakręcił kierownicą, żeby wyprowadzić samochód na prostą, ale to nie poskutkowało. Wcale nie jechaliśmy przed siebie. Gdy sunęliśmy w poprzek błotnistej kansaskiej polnej drogi, wiedziałem, że nie uda nam się wyjść z poślizgu.

Następne kilka sekund trwało całą wieczność. Opuściłem kamerę i dostrzegłem niepokój w oczach Deana, bo samochód nadal ześlizgiwał się w lewo. Popatrzyłem na głębokie rowy po obu stronach drogi i ciągnące się za nimi gigantyczne nasypy. Zobaczyłem grad uderzający w przednią szybę.

Jednak w rzeczywistości wcale nie posuwaliśmy się powoli i gdy samochód zbliżył się do lewego skraju drogi, wiedziałem, że czeka nas wywrotka i gwałtowne zderzenie. Ledwie mrugnąłem, a już zanurzaliśmy się w rowie. Wszyscy mieliśmy zapięte pasy, a mimo to siła, z jaką lewy przedni błotnik uderzył w dalszą ścianę rowu, sprawiła, że szarpnęło nami gwałtownie, a wszystko, co było w samochodzie, zostało wprawione w ruch. Mój nowy aparat fotograficzny walnął w deskę rozdzielczą, mój nowy laptop spadł na podłogę, a moja nowa kamera wideo znalazła się nie wiadomo gdzie. SUV odbił się od ściany rowu i odskoczył do tyłu, lądując na stromej pochyłości terenu, a następnie przewrócił się na drzwi od strony pasażera i znieruchomiał. Wszystko spadło na moją stronę samochodu, który szybko zaczął się napełniać mętną wodą.

– Wszyscy cali? – zapytał głośno Dean. Nadal był przypięty pasami, które przytrzymały go na siedzeniu. Znajdował się nade mną, więc woda do niego nie sięgała.

– Chyba tak – odezwała się Ehle. – O rety! To było straszne.

– Nic mi nie jest. Na pewno – powiedziałem.

Przez kilka minut próbowaliśmy się pozbierać, a potem otrzeźwiła mnie zimna woda.

– O nie! – jęknąłem, usiłując odpiąć pasy. Brązowa woda sięgała teraz nad drzwi po mojej stronie i nadal się podnosiła. – Mój sprzęt!

Schyliłem się, unosząc równocześnie brodę, żeby trzymać głowę nad wodą, i wyciągnąłem jak najdalej prawe ramię, próbując namacać coś prawą ręką pod wodą wokół swoich stóp. Pierwszą rzeczą, której dotknąłem, był aparat fotograficzny. Wyłowilem go.

– Potrzyj – powiedziałem do Deana.

Wziął ode mnie zalany wodą aparat. Potem znów zanurzyłem rękę i złapałem kamerę wideo. Schyliłem się po raz trzeci, żeby znaleźć swój nowy laptop.

– Wszystko zniszczone! Nie do wiary! – krzyknąłem.

Dean trzymał mój zepsuty sprzęt i patrzył na wodę w swoim samochodzie.

– Czy to się dzieje naprawdę? – zapytał.

Ehle usiłowała dosięgnąć wewnętrznej klamki lewych tylnych drzwi, która znajdowała się nad nią. Ja wyginałem się teraz w stronę Deana, żeby trzymać się z dala od podnoszącej się wody. Nie za bardzo udawało mi się nie zmoczyć.

– Co tak śmierdzi? – zapytała Ehle.

– Może woda? Jest obrzydliwa – powiedział Dean.

Zaczęliśmy się zastanawiać, jak się wydostaniemy z samochodu, gdy ktoś zszedł z drogi gruntowej i zbliżył się do drzwi od strony kierowcy.

– Co z wami? – zapytał wysoki, chudy mężczyzna, zaglądając z góry do samochodu. Miał na sobie kowbojski kapelusz i mocno wytarte dżinsy. Byliśmy przekonani, że nikomu z nas nic się nie stało. – Trzeba was stąd wyciągnąć – powiedział. – Siedzicie w odpływie ścieków.

Fuj! Wyślizgnęliśmy się z samochodu, jak najszybciej się dało. Mężczyzna nachylił się i pomógł każdemu z nas wydostać się na zewnątrz.

Odeszliśmy wszyscy od samochodu i stanęliśmy na drodze. Facet był rolnikiem, a my wrzuciliśmy rodeo Deana do rowu tuż przed jego gospodarstwem. Dał nam kilka ręczników i w końcu za pomocą traktora wyciągnął auto z rowu, chociaż dopiero wtedy, gdy SUV całkowicie zanurzył się w kanale burzowym. Samochód był wypełniony błotem. Dean o mało się nie rozplakał.

– Możecie nas zabrać? – zapytałem Harolda przez komórkę, która jakimś cudem nadal działała.

Wykonałem też szybki telefon do Niki i opowiedziałem jej, co się stało.

– Tak się cieszę, że nic ci się nie stało – powiedziała, ale słyszałem w jej głosie zniecierpliwienie. – Zawsze się o ciebie martwię, kiedy wyjeżdżasz na te szalone wyprawy – dodała.

Miałem ochotę zaszyć się w mysiej dziurze, zamiast wsiąść do samochodu na czterogodzinną podróż powrotną do Norman. Dean, Ehle i ja, siedząc w mokrych, śmierdzących ubraniach, słuchaliśmy, jak Ken, Harold i Kelly opowiadają o wielokrotnie zaobserwowanych tornadach. Niektóre z nich były cienkie i półprzezroczyste (co się zdarza, gdy powietrze pod chmurą burzową jest stosunkowo suche). Najbardziej niesamowite tornado podczas tamtej burzy, jak nam wyjaśnili, zeszło z czarnej chmury stropowej, która bardzo szybko wirowała i wyraźnie odcinała się na tle różowobłękitnego nieba. Zanim tornado dotknęło ziemi, było cudownie symetryczne i zaokrąglone, a wyglądem bardzo przypominało dziecięcego

bąka. Gdy w końcu zeszło na ziemię, opowiadali, wydłużyło się, przybierając kształt komina. Przez luki w górnych chmurach burzowych padały snopy światła, dlatego kolor tornada zmieniał się na przemian to na czarny, to na biały, w zależności od tego, czy poruszając się, było oświetlone, czy nie. W sumie podczas burzy nad Atticą rozpętało się mniej więcej dwanaście tornad. My nie zobaczyliśmy żadnego. Na szczęście obeszło się bez ofiar śmiertelnych.

Komin wydawał się tak cudowny, że trudno mi było słuchać tych opowieści. Co do Deana, wcale ich nie słuchał. Był zdruzgotany utratą samochodu. Strasznie mi go było żal. Nasze łowy popsuła moja siła perswazji. Tak bardzo skoncentrowałem się na tym, żeby coś zobaczyć, że w końcu nie zaobserwowaliśmy niczego. Odegrałem również dużą rolę w ściganiu tamtej burzy po błotnistej drodze.

Po przyjeździe do domu zdjąłem z siebie obrzydliwe ubranie i wziąłem długi, gorący prysznic.

Tydzień później wyciągnąłem kartę kredytową, żeby kupić nową kamerę wideo. Kosztowała mnie 2500 dolarów, których nie miałem. Nie zastanawiałem się nad tym dwa razy. Potrzebowałem kamery. Gdy patrzyłem, jak sprzedawca obciąża moją kartę kredytową, pomyślałem o codziennych realiach, które wymagają od człowieka brania na siebie coraz większej odpowiedzialności: oto kolejne zobowiązanie zaciągnięte w moim życiu coraz bardziej naznaczonym długami.

Moje finansowe szczęście odwróciło się śmiesznie szybko. Czy to nie zaledwie wczoraj zaczął funkcjonować portal Tornadovideos.net i spotkał się z ogromnym popytem na materiały filmowe? Ale od mojego ostatniego udanego pościgu minął prawie rok i nie miałem żadnego emocjonującego filmu z tornadem, który mógłbym zaoferować na bis. Sezon łowienia burz

na jesieni 2003 roku był frustrująco spokojny, no a najlepszy dzień wiosennego sezonu 2004 roku właśnie spędziłem w jakimś rowie na południu Kansas.

Nowy styl życia jeszcze tylko pogorszył moją sytuację finansową. Niki chciała się przeprowadzić na ładniejsze osiedle mieszkaniowe w Moore, z basenem, kortami tenisowymi, sadzawką i polem golfowym. Zasugerowała mi, żebym sobie znalazł mieszkanie na tym samym osiedlu w ramach następnego kroku w naszym dojrzewającym związku.

– Czas, żebyś awansował z tej nory na uczelni – powiedziała. – Będziemy się mogli częściej spotykać, chociaż jeszcze nie jesteśmy małżeństwem.

Jeszcze nie, pomyślałem sobie, zastanawiając się, dokąd zmierza nasz związek. Bardzo lubiłem Niki. Miała mnóstwo energii i zaraźliwy śmiech. Nie chciałem jej stracić.

Rozmyślałem też o tym, jak dużo można się jeszcze nauczyć o pogodzie i o tornadach, zwłaszcza że nie miałem ochoty zwalniać tempa. Jedno nie ulegało wątpliwości: nadal chciałem ścigać tornada, żeby zachwycać się ich widowiskowością oraz czerpać energię z ich siły i intensywności, ale kiedy zobaczyłem, jak wielkie zniszczenia powodują, byłem coraz bardziej zainteresowany ich zrozumieniem i znalezieniem sposobów pozwalających uchronić przed nimi ludzi. Zadawałem sobie pytania: co wpływa na intensywność tornad? Jak możemy skuteczniej ostrzegać ludzi, że nadchodzą?

Niestety, w szeregach łowców burz roi się od facetów, którzy mają problemy ze swoimi związkami. Niejeden mówił mi, że jego żona czy dziewczyna głośno narzeka, iż te wyprawy wymagają zbyt wiele czasu, zbyt wiele podróżowania i zbyt wiele energii. Wielu łowców burz jest kawalerami lub rozwodnikami. Mimo to postanowiłem wprowadzić się na

to samo osiedle co Niki i spróbować wszystko ze sobą pogodzić: spotkania z dziewczyną, finanse i tornada. Moim współlokatorem został Aaron, dawny partner, z którym łowiłem kiedyś burze.

– Wyprowadzisz dzisiaj Roxie na spacer? – zapytała mnie Niki pewnego wtorkowego ranka w swoim mieszkaniu, kilka tygodni po wypadku samochodowym w Attice.

Była ubrana do pracy w banku, a ja miałem na sobie stary T-shirt i dżinsy. Zacząłem już pisać pracę magisterską, która skupiała się na opracowaniu wskaźników łączących temperatury sezonowe w Stanach Zjednoczonych z panującymi w naszym kraju przyzwyczajeniami dotyczącymi wykorzystywania gazu ziemnego. Choć może się to wydać nudne, przekonałem się, że był to bardzo ciekawy temat, zwłaszcza że wiązał się z badaniami klimatu. Podobnie jak wielu innych naukowców w tamtych czasach zadawałem sobie pytanie – stawiane mi także przez innych – czy klimat ma wpływ na pogodę. Doktor Lamb również zauważył mój entuzjazm do badań klimatu oraz to, że solidnie przykładałem się do pracy, i w lecie 2004 roku zachęcił mnie do otwarcia przewodu doktorskiego z meteorologii na OU. Chciał być moim promotorem i postarał się już o związany z klimatem projekt badawczy, w który mógłbym zatopić zęby. To był dla mnie wielki zaszczyt, bo doktor Lamb jest dyrektorem Instytutu Meteorologii OU i jednym z najbardziej szanowanych badaczy wśród pracowników naukowych tego uniwersytetu. Z radością przyjąłem propozycję. Niestety oznaczało to, że zgodziłem się również przystąpić do trudnego i rygorystycznego dwudniowego egzaminu zwanego „eliminacjami doktoranckimi”. Materiał obejmował wiele rzeczy, których nauczyłem się na OU, ale i tak przygotowanie się wymagało wielu miesięcy.

– Oczywiście, wyprowadzę psa – powiedziałem do Niki i schyliłem się, żeby podnieść Roxie.

Była miniaturowym szpicem o kremowej sierści, którego wspólnie wybraliśmy. Była maleńka i całkiem urocza, ale nie bardzo podobało mi się to, jak wyglądała, wyprowadzając Roxie na spacer na jej cienkiej różowej smyczy.

Tamtego dnia wieczorem Niki wróciła do domu i zasiadła do ugotowanego przeze mnie posiłku – spaghetti.

– Jak ci idzie z pracą magisterską? – zapytała. – Dzień był udany?

– Dobrze mi szło – powiedziałem między kęsami. – Napisałem prawie tysiąc słów.

Nie powiedziałem Niki całej prawdy o tym, jak spędziłem dzień. Dla zabicia czasu popatrzyłem trochę na komunikaty Storm Prediction Center i na modele synoptyczne na stronie internetowej National Center for Atmospheric Research. Poza tym długo oglądałem własną stronę internetową, żeby się przekonać, jak mógłbym zwiększyć sprzedaż filmów wideo. Potrzebowałem pieniędzy.

Kilka dni później musiałem wysłać czeki, żeby spłacić swoje wykorzystane do cna karty kredytowe. Nie miałem funduszy, żeby dokonać minimalnej spłaty, więc zastawiłem wieżę stereo, którą matka podarowała mi na Boże Narodzenie. Oddawanie prezentu obcej osobie nie było najszcześniejszą chwilą.

Później tego samego dnia zabrałem Roxie na spacer i otworzyłem drzwi wracającej z pracy Niki. Nie wspomniałem jej o wizycie w lombardzie.

Układ burzowy wyglądał tak, jakby mógł złagodzić moje problemy finansowe. W sobotę 12 czerwca 2004 roku ustaliła się sucha linia przecinająca południowe równiny i odgałęziająca się na południe w postaci

klasycznej „podwójnej suchej linii” przebiegającej przez część Kansas i Oklahomy. Podwójna sucha linia składa się z dwóch przesuujących się na wschód granic wilgoci, nieregularnych i oddalonych od siebie mniej więcej o 80 kilometrów. Powstaje tam, gdzie gorące powietrze z zachodu ściera się z ciepłym i wilgotnym powietrzem z południa, a nawet ze wschodu. Warunki atmosferyczne towarzyszące podwójnej suchej linii powodują, że jeśli superkomórki burzowe nie rozwiną się po utworzeniu się na pierwszej (zachodniej) suchej linii, zawsze istnieje szansa, że urosną w siłę, gdy przekroczą drugą (wschodnią) suchą linię, bo tam wilgotność jest znacznie większa. Storm Prediction Center uznało, że 12 czerwca prawdopodobieństwo powstania tornada na południowym wschodzie Kansas wynosi 15 procent.

– Nie jestem pewien co do uskoku wiatru, ale i CAPE, i temperatury, i punkty rosy świadczą o ogromnej niestabilności. Świetnie nam pójdzie – powiedział mi przez telefon Joel mniej więcej 48 godzin przed spodziewanym dniem pościgu za tornadem.

Żaden z nas nie wspomniał o przekleństwie błękitnego nieba sprzed miesiąca ani o późniejszej kłótni. Joel nawet nie suszył mi głowy w związku z wypadnięciem z drogi SUV-a w Attice. Cieszyłem się, że znów z entuzjazmem podchodzi do łowienia burz.

– Jadę – dodał.

Dwunastego rano Joel, Dean i ja wybraliśmy się samochodem Joela w czterogodzinną podróż autostradą międzystanową numer 35 do obszaru docelowego znajdującego się w okolicy McPherson w Kansas. Postanowiliśmy wysondować, jakie warunki panują na pojedynczej suchej linii wokół McPherson, żeby przekonać się, czy rozpętają się tam jakieś burze. Jeśli nie, mieliśmy zamiar natychmiast pojechać na południe i zająć pozycję w miejscu, gdzie panowała większa wilgoć, tuż na wschód od

drugiej suchej linii z tego podwójnego układu. Mieliśmy nadzieję, że taka wszechstronna strategia pozwoli nam coś zaobserwować.

Na wschód od McPherson powitała nas dopiero co rozpoczynająca się, lecz intensywna burza, więc zjechaliśmy na pobocze, żeby zobaczyć, czy superkomórka bardzo wiruje. Superkomórki mogą potrzebować od kilku minut do kilku godzin, żeby się „zorganizować”, zanim utworzą tornado, przy założeniu, że wszystkie składniki są na miejscu.

– Spójrzcie, jaki silny prąd wstępujący! – krzyknąłem, patrząc, jak chmury pannus są błyskawicznie zasysane przez burzę.

Chmury pannus to małe, niskie, postrzępione formacje, często występujące poniżej podstawy cumulonimbusów. Kiedy znajdują się w sąsiedztwie potężnego mezocyklonu, czyli wirującego prądu wstępującego, a tak było tamtego dnia, są pożerane przez burzę na obiad.

Powietrze pod chmurą burzową miało odpowiedni zapach – zapach wilgoci, jakby nadciągnęło wprost z tropików. Poza tym wiał wiatr. Tymczasem rolnik pracujący po przeciwnej stronie drogi wydawał się zupełnie nieświadomy niebezpieczeństwa, jakie mogło mu grozić ze strony pogody. Jechał kombajnem, skrzętnie zbierając złocistą pszenicę ze swojego pola.

A może rolnik wiedział coś, o czym ja nie wiedziałem?

Moja kamera pracowała, burza się organizowała i... nic. Wkrótce zobaczyliśmy, że przez dziury w prądzie wstępującym prześwieca słońce, i już wiedzieliśmy, że chmura burzowa się przerzedza i traci parę. Szybko się rozwiąła.

Nie zamierzałem się poddawać. Zrobiliśmy krótką przerwę techniczną w bibliotece publicznej w McPherson, sprawdziliśmy w internecie wskazania radaru pogodowego i przekonaliśmy się, że mamy realny plan B. Na południowy zachód od Wichity, a 130 kilometrów od nas, przy

pierwszej suchej linii utworzyła się inna odosobniona superkomórka i zmierzała na wschód w kierunku drugiej suchej linii, gdzie panowała większa wilgoć.

Pomknęliśmy na południe autostradą międzystanową numer 135, a kiedy byliśmy tuż za Wichitą i zbliżaliśmy się do małego miasteczka Mulvane, rzuciła nam się w oczy niesamowita superkomórka. Można by powiedzieć, że burza przekroczyła drugą suchą linię i ucztowała, racząc się wilgocią, która po tamtej stronie była większa. Chłodne powietrze i skroplona para wodna wręcz tryskały ze szczytu chmury burzowej, tak jak lawa wystrzeliwuje z wulkanu. Mezocyklon zasysał ciepłe i wilgotne powietrze, superkomórka rosła w górę, a „wyziewy” – w postaci tej płaskiej formacji na szczycie chmury burzowej, czyli tak zwanego kowadła – były śnieżnobiałe i pofałdowane.

Przez pewien czas krążyliśmy wokół Mulvane z zadartymi do góry głowami, patrząc w niebo przez przednią szybę samochodu. Chmura burzowa się konsolidowała, a jej dolna część przybrała postać dużego czarnego statku kosmicznego unoszącego się w powietrzu. Samotną superkomórkę otaczało błękitne niebo.

Zjechaliśmy na pobocze jakiejś opustoszałej drogi na południe od miasteczka i wyskoczyliśmy z samochodu. Wokół była otwarta przestrzeń.

– Zbiera siły! – krzyknąłem, patrząc wprost do góry. Znaleźliśmy się bezpośrednio pod bebeczami wirującego mezocyklonu. Nade mną cała kolumna chmur wirowała niczym koło. – Zaraz się zacznie!

Mniej więcej 1,5 kilometra na południe od naszego punktu obserwacyjnego powstało jasnoszare tornado, wzbijając w powietrze kurz i ziemię. Czekałem, aż zrobi się większe, ale grało na zwłokę. Miałem wrażenie, że się ze mną droczy.

Nagle spostrzegłem chmurę stropową, która utworzyła się w innej części burzy, na północny wschód od nas. Wsiadliśmy z powrotem do SUV-a i pojechaliśmy w tamtym kierunku, zatrzymując się na północ od miejsca, w którym, jak sądziliśmy, chmura stropowa mogła doprowadzić do powstania tornada.

Wysiadłem z samochodu.

– Może być duże – krzyknąłem i nagle w Mulvane rozległa się symfonia typowa dla groźnej pogody.

Z głośnym wyciem ożyły syreny ostrzegające przed tornadem. Zagrzmiało. Strefa opadów owinęła się wokół tylnej części mezocyklonu i w metalowe dachy budynków w Mulvane zabębnił grad.

Błyskało się ze wszystkich stron. Joel został w samochodzie. Przy swoich dwóch metrach wzrostu jest jak żywy piorunochron.

Jeszcze parę razy przenosiliśmy się bardziej na wschód, a potem nagle pojawiło się tornado. Wyglądało to nierealnie: błyszcząca, biała, idealnie prosta trąba powietrzna oderwała się od chmury stropowej i wylądowała tuż za kępą drzew jakieś trzy kilometry od nas.

– Idealny stożek – powiedział Dean.

– Zdumiewające! – krzyknąłem do Joela, filmując z przedniego siedzenia.

Jednak tornada prawie zawsze mają wiele osobowości, więc to szybko zmieniło się z fotogenicznego w narowiste. Wkrótce stało się nieregularną masą wirującego kurzu i ziemi. Przypominało dziecko, które dostało napadu złości. Tornado chwyciło wszystko, co znalazło się w jego zasięgu. Głazy. Słupki ogrodzeniowe. Szarpało i ciągnęło drzewa, aż w końcu wyrывało je z korzeniami. Potem wszystko poszybowało w powietrze.

– Co to za przedmioty wyrzucane wysoko w górę? – zapytałem. Przez wizjer kamery widziałem małe sześciany fruujące w powietrzu.

Obok mnie siedział Dean.

– To bele siana – odpowiedział.

Bele siana ważą na ogół ponad 450 kilogramów, a nawet więcej, gdy są wilgotne. Tornado miotało nimi z łatwością.

Przenieśliśmy się bardziej na wschód, a tornado chyba znów się nasiliło, stając się bielsze, dłuższe i szybsze. Odbijało słońce w taki sposób, że lśniło bielą niczym bramy raju. A może powinienem powiedzieć, że było białe jak zjawa...

Dało nura za kolejną kępę drzew. W jednej chwili pojawiła się ogromna ilość odłamków. Były ładne i migoczące jak konfetti opadające w dół na balu sylwestrowym.

Później pojawiły się jakieś większe kawałki, większe od beli siana i drzew, które widzieliśmy wcześniej. A potem nagle wir u podstawy tornada zrobił się brudnobiały, jakby wpadło ono na coś gęstego i teraz to rozdrabniało.

– O Boże – powiedziałem, patrząc przez wizjer. – Niedobrze.

Tornado doszczętnie niszczyło jakiś dom. Chociaż wcześniej ta przemieszczająca się na wschód burza poruszała się bardzo szybko, teraz wydawało się, że stanęła w miejscu. Nagle trąba powietrzna wydała się złośliwa, niczym łajdak, który nie chce zostawić w spokoju zakrwawionego dzieciaka, mimo że walka została już dawno rozstrzygnięta.

Joel chwycił komórkę, żeby zawiadomić o katastrofie straż pożarną w Mulvane, ale widzieliśmy już i słyszeliśmy nadjeżdżające z miasteczka pojazdy służb ratowniczych z wyjącymi syrenami. Pojawiło się także mnóstwo innych samochodów, zwłaszcza jak na tak małą miejscowość. Były to wozy transmisyjne oraz samochody i furgonetki z dodatkowymi światłami i licznymi antenami na dachach. Tak przyozdobione pojazdy należały prawdopodobnie do łowców burz. Jest cała grupa łowców, którzy

uważają, że im więcej masz sprzętu, tym lepszy jesteś w tym co, robisz. Oczywiście kilka lat później ja też sprawiłem sobie samochód do łowienia burz przyozdobiony w taki sposób, ale będę się upierał, że różni się on od wszystkich innych i że chodzi w nim bardziej o przydatność do celów naukowych niż o wygląd.

W końcu tornado osłabło i przeszło oszłamiającą fazę roping out (rozwierania się), znowu bielejąc i wzbijając dokoła siebie pomarańczową ziemię. Podążaliśmy za tą długotrwałą burzą aż do zmierzchu. Filmowałem ją całymi godzinami.

Kiedy prawie się ściemniło, wyjąłem telefon komórkowy, żeby zadzwonić do kilku spośród wielu graczy, których teraz znałem w mediach informacyjnych.

Spróbowałem z realizatorką z Wichity.

– To zadziwiający materiał. Wprost niesamowity – powiedziałem jej. – Tornado jest śnieżnobiałe. Będziesz zachwycona.

– Dzięki, Reed, ale daruję sobie – powiedziała. – Mam już wszystko, czego potrzebuję.

Zadzwoniłem do innego realizatora, z Kansas City.

– Dzisiejsze tornada były szalone – powiedziałem mu.

– Może następnym razem – odparł. – Mamy dość.

Obdzwoniłem znanych mi realizatorów z różnych oddziałów telewizji Fox. Potem swoje kontakty w Univision i w Weather Channel. Nikt nie chciał mojego materiału.

– Dlaczego nie jesteście zainteresowani? – zapytałem pewnego realizatora z CNN.

– Ależ jesteśmy – odparł. – A raczej byliśmy. Skontaktowało się z nami wielu łowców burz w związku z Mulvane. Widziałem mnóstwo dobrego materiału filmowego.

Rozłączyłem się i schowałem komórkę do kieszeni. Ani jednej sprzedaży. Wiedziałem, że powinienem był zadzwonić wcześniej, ale czekałem tak długo, bo chciałem filmować burzę do ostatniej minuty, pod każdym możliwym kątem, każdy lej kondensacyjny, który mógł się pojawić. Czyżbym został pokonany swoją własną bronią?

Obserwując tę słabnącą superkomórkę z Kansas, Joel i Dean zauważyli, że jestem niezwykle milczący. Nigdy nie zachowywałem się tak cicho po udanych łowach.

– Jest sobota, Reed – powiedział Dean, pochylając się do przodu z tylnego siedzenia explorera, żeby mnie pocieszyć. – Ilu łowców burz tłoczyło się dzisiaj wokół Mulvane? Pięćdziesięciu? Stu?

– Widzieliśmy też zespoły kamerzystów z lokalnych stacji informacyjnych – wtrącił się Joel.

Miał rację. Przedstawiciele lokalnych mediów masowo wyruszyli w teren. Zespoły łowców burz z lokalnych stacji przyczyniają się do zmniejszenia sprzedaży materiałów filmowych zarówno w wypadku lokalnych mediów, jak i sieci ogólnokrajowych. Lokalne oddziały przekazują swoje filmy ogólnokrajowym partnerom za darmo.

Tamtego dnia jakaś część mnie bardzo się martwiła, że nie sprzedałem swojego niesamowitego materiału filmowego. Potrzebowałem pieniędzy, i to bardzo. Czy tłumy w Mulvane były zapowiedzią tego, co miało nadejść? Czy branża filmów wideo z burzami stawała się coraz bardziej bezwzględna, a konkurencja zbyt liczna?

Był to jeden z tych rzadkich dni, kiedy po prostu nie miałem ochoty walczyć. Byłem tak zdumiony wieloma wcieleniami burzy w różnych momentach, że – pomijając zniszczenie domu – cieszyło mnie jej filmowanie tylko dla siebie.

Szkoda, że wróciłem do domu bez żadnej sprzedaży, ale za to miałem mnóstwo wspomnień.

Czyżbym naprawdę był swego rodzaju ofiarą tamtego tornada w Mulvane? Odpowiedź – żeby było jasne – brzmi: nie. W następnych dniach, tygodniach, miesiącach, a nawet latach po wydarzeniach w Mulvane często przypominał mi się prawdziwy pech związany z tamtą burzą.

Znałem kilku łowców burz, którzy zdecydowali się jeździć wokół Mulvane zaraz po uderzeniu tornada. Nie mogli uwierzyć własnym oczom: jeden z domów stojących na trasie żywiołu dosłownie zniknął. Nic z niego nie zostało. Widziałem potem poruszające zdjęcia zniszczeń i oglądałem w wiadomościach relacje o spustoszeniu. Kilka lat później nakręciłem własny reportaż dla telewizyjnych programów dokumentalnych opowiadający o gwałtownym uderzeniu tornada w ten konkretny dom.

Ta tragedia wywarła na mnie wielkie wrażenie i często wracałem do niej myślami. Mulvane na zawsze pozostanie w mojej pamięci, przypominając mi, jak to jest być niczego niepodjęwającą ofiarą tornada. Wydawało mi się, że 12 czerwca 2004 roku mam ciężki dzień? Naprawdę fatalny dzień miała mieszkanka Mulvane Chris Landis. Ilekroć widzę, jak tornado niszczy czyjś dom, odtwarzam w pamięci jej niesamowitą opowieść. Oto ona:

Chris spędziła w Mulvane większość życia, a w czerwcu 2004 roku miała trzydzieści dziewięć lat. Pamięta, że tamten sobotni poranek był piękny i że wcześniej rano pojechała na aukcję dla rolników z mężem Allenem, który potem udał się do pobliskiej Wichity, gdzie pracował jako operator suwnicy. Tamtego konkretnego dnia tylko jeden z trzech synów Chris był z nią w domu – czternastoletni Mitchel. Najstarszy chłopak, Joe,

był żołnierzem piechoty morskiej i służył w Iraku. Jej średni syn, Nick, pracował wtedy w spółdzielni zbożowej w Mulvane.

Dom tej rodziny stał w pobliżu Mulvane, mniej więcej 3 kilometry na południowy wschód od granic miasta. Miał pięć sypialni i powierzchnię 150 metrów kwadratowych oraz wykończoną piwnicę o takiej samej powierzchni. Przylegający do niego garaż na trzy samochody został postawiony na cementowej płycie. Państwo Landis zaprojektowali i zbudowali swój dom z drewna cedrowego i kamienia w 1997 roku. Stał na sześćsetarowej działce, na otwartej przestrzeni. W piwnicy było wielkie okno – dłuższe niż metr pięćdziesiąt, a tyle wzrostu miała Chris – zwrócone na południowy zachód.

Chris rzadko myślała o tornadach i nigdy nie sądziła, że jedno z nich uderzy w jej dom. Co prawda mieszkała na Alei Tornad, ale jakie były szanse, że znajdzie się na drodze trąby powietrznej?

Tamtego dnia wczesnym popołudniem jej syn Mitchel był gdzieś w domu, a ona układała zamówione kosmetyki Mary Kay na stole w jadalni. Chris od lat pracowała jako konsultantka firmy Mary Kay. Miała włączony telewizor i słyszała, że zwykły program jest od czasu do czasu przerywany ostrzeżeniami. Wydawało jej się, że te ostrzeżenia dotyczą silnego wiatru, ale nie miała pewności. Nie zwracała na nie większej uwagi. Jednak kilka godzin później Chris zauważyła coś dziwnego na niebie, więc wyszła na zewnątrz i spojrzała w górę. Dokładnie nad jej domem wisiała niesamowicie wysoka chmura. Pomyślała, że unosi się ona wyjątkowo blisko ziemi.

Dokładnie w tym samym momencie Dean, Joel i ja zasuwaliliśmy wkoło Mulvane SUV-em Joela. Wlepialiśmy oczy w tę samą chmurę.

Jednak to, co dla nas było ekscytujące, u Chris Landis wywoływało niepokój. Zaczęła uważniej słuchać tamtych telewizyjnych komunikatów

pogodowych i odciągnęła Mitchela od gier wideo, żeby spojrzeć na chmurę, która nie chciała się oddalić. Spytała syna, czy kiedykolwiek widział coś podobnego. Wzruszył ramionami.

Mniej więcej godzinę po tym, jak Chris po raz pierwszy popatrzyła na chmurę, znów wyszła przed dom, żeby zobaczyć, czy ona nadal tam jest. Była i zmieniała się. Robiła się coraz ciemniejsza, a wewnątrz coś krążyło. Chris nigdy nie widziała takiej chmury. Oczywiście nie miała pojęcia, że w górze – w superkomórce burzowej, która utknęła nad jej domem – tworzy się mezocyklon.

Około 18.00 wydano ostrzeżenie przed tornadem dla rejonu, w którym mieszkała Chris Landis wraz z rodziną. Kobieta zaczęła myśleć o podjęciu kroków zapobiegawczych, czyli o schronieniu się w piwnicy. Chociaż nadal nie chciało jej się wierzyć, że ich dom mógłby zostać zaatakowany przez tornado, od dzieciństwa uczono ją, żeby się zabezpieczyć podczas tego rodzaju pogody. Wiedziała, że w czasie przejścia tornada najbezpieczniej jest poniżej poziomu ziemi, bo tam wirujące wiatry muszą zwykle zrobić coś więcej, niż zburzyć jedną czy dwie ściany, żeby cię dosięgnąć. Wiatry musiałyby cię wyssać z dziury. Poza tym przebywanie w niżej położonym miejscu minimalizuje ryzyko, że zostanie się trafionym odłamkami, które krążą w trąbie powietrznej.

Mitchel nie kwapił się do pomocy, ale w końcu Chris przekonała najmłodszego syna, że jeśli nawet zejście na dół z najcenniejszymi przedmiotami nie posłuży do niczego innego, będzie dobrym ćwiczeniem, tak na wszelki wypadek, gdyby któregoś dnia tornado rzeczywiście miało uderzyć w ich dom. We dwójkę zbierali bezcenne fotografie rodzinne, które wisiały na ścianach w całym domu i zanosili je do piwnicy, a konkretnie pod schody. Chris niewiele obchodziło, co się stanie z meblami,

telewizorem czy komputerem, ale nie zamierzała zostawić na ścianach ani jednej oprawionej w ramki rodzinnej fotografii.

Do 19.00 Chris i Mitchel zanieśli większość zdjęć rodzinnych do zamkniętej wnęki pod schodami prowadzącymi do piwnicy. W tym samym czasie zaczęły się urywać telefony – dzwonił Allen, jej syn Nick i różni znajomi. Wszyscy chcieli się dowiedzieć, czy Chris i Mitchel są bezpieczni i czy zeszli do piwnicy. Martwili się o nich, bo lokalne wiadomości telewizyjne pokazały mapę przedstawiającą tereny, które mogły się znaleźć na drodze tornada, a dom Landisów był w samym środku zagrożonej strefy.

Schodząc za którymś razem do piwnicy, Chris wyjrzała na zewnątrz przez wielkie okno panoramiczne i zauważyła małe kominy kondensacyjne, które wysuwały się i cofały dosłownie nad trawnikiem na tyłach domu. Weszła na górę, wyjrzała przez frontowe drzwi i zobaczyła więcej takich samych kominów. Nadal nie była przekonana, że jej dom rzeczywiście jest w niebezpieczeństwie, ale o 19.15 obserwatorzy donosili już o tornadach, które zeszły na ziemię niedaleko na południowy zachód od miasteczka. Chris kończyła wędrówkę w górę i w dół po schodach.

Landisowie mieli trzy psy i kota. Zwierzęta trzeba było połapać i sprowadzić do piwnicy. Chris i Mitchel umieścili je tam, ale kot zaraz popędził z powrotem na górę. Mitchel znów go złapał. Chris zapomniała zabrać z góry kolaż ze zdjęć swojego zmarłego ojca i gdy po niego poszła, z jakiegoś powodu postanowiła zostać jeszcze przez chwilę i zmienić japonki na skarpetki i tenisówki. Chwyciła także swoją portmonetkę leżącą na blacie kuchennym. Telefon znów zadzwonił, ale nie odebrała.

O 19.29 obserwatorzy donieśli, że tornado przekracza kansaską autostradę stanową numer 15, jakieś 2,5 kilometra od domu Landisów.

W tym czasie Joel, Dean i ja znajdowaliśmy się na północ od śnieżnobiałego leja kondensacyjnego, obserwując gwałtowne tornado

i filmując każdy jego ruch.

Kiedy tornado uderzyło w dwa domy tuż na zachód od posiadłości Landisów, Chris i Mitchel cisnęli się w schowku pod schodami do piwnicy. Chris przyciągnęła syna do siebie. Ledwie zamknęła drzwi szafy wnękowej, zaczęły jej się zatykać uszy, jakby leciała samolotem. Nastąpiła ogromna zmiana ciśnienia w związku ze zbliżającym się tornadem.

Najpierw Chris usłyszała coś, co brzmiało tak, jakby niszczony był dach jej domu. Zirytowała się na myśl o ogromnym rachunku za naprawę. Potem życie zmieniło się w pasmo zdarzeń z jakiegoś dziwnego, przerażającego snu: Chris słyszała wycie wiatru, roztrzaskujące się szkło i dziwaczne odgłosy pękającego drewna, płyt gipsowych, betonu i metalu. Mocno przytuliła Mitchela, gdy nagle ciasna szafa przestała być zamkniętą przestrzenią. Do wnętrza wpadło świeże powietrze i wiatr, bo z jakąś niewiarygodną gwałtownością zniknął sufit, który mieli nad sobą. Rzeczywiście, tornado porwało w górę dach i całe główne piętro domu. Gdy wokół Chris i Mitchela szalała burza, oni byli skąpani w świetle. Tornado naprawdę wysysało różne przedmioty z dziury: wyciągało grube deski wprost z fundamentów piwnicy i odrywało płyty gipsowe od słupów szkieletowych. Wlokło stół bilardowy po podłodze. Jednak z jakiegoś powodu nie porwało Chris, Mitchela ani rodzinnych fotografii.

To właśnie był dom, który na moich oczach pochłaniało tornado z Mulvane. Ze swojego punktu obserwacyjnego widziałem tylko lej kondensacyjny, który wypełniał się wszelkiego rodzaju gruzem, ścierając na proch dom Landisów. Jednak tuż nad głowami Chris i Mitchela spustoszenie osiągało wręcz imponujące rozmiary. Należący do rodziny nowy ford taurus oraz całkowicie wyremontowany ford mustang mach I z 1969 roku unosiły się w powietrzu, obracając się i wirując na wietrze.

Masywny piec grzewczy Landisów został wessany przez wir i nigdy więcej go nie widziano. Ogromne metalowe urządzenie zniknęło bez śladu.

Kiedy wreszcie wiatr ustał i ucichł harmider, w zrujnowanej piwnicy, znajdującej się teraz pod gołym niebem, Mitchel podniósł wzrok na matkę i zadał jej tylko jedno pytanie: „Czy już po wszystkim?”. Przez kilka minut stali w tej zniszczonej szafie wnękowej, mając nad sobą drzwi.

Chris ocaliła rodzinne fotografie, zwierzęta domowe oraz życie swoje i swojego syna przed furją tornada F3 wirującego z prędkością 320 kilometrów na godzinę, ale wszystkie należące do rodziny ubrania trzeba było wyrzucić. Drzazgi i włókna z izolacji budynku były tak mocno powbijane w koszule, dzinsy i swetry wszystkich domowników, jakby zostały wplecione w tkaninę.

Odkąd poznałem szczegóły tego, co się stało z domem Landisów w Mulvane, zawsze dobrze się zastanawiam nad burzami, które nie chcą ze mną współpracować. Czasami kręcę głową ze zdziwienia. Jak łowca burz może narzekać, że nie udało mu się nakręcić idealnego filmu wideo, gdy jakiś biedny, niczego niepodejrzewający mieszkaniec po prostu próbuje zrobić unik przed ogromnym meteorologicznym pociskiem?

Jednak w ciągu tego okresu mojego życia, który stawiał przede mną tak wielkie wyzwania, tornada i mnie wyrządziły poważną krzywdę. W końcu zorientowałem się, że przypominam wielu innych łowców burz przynajmniej pod jednym względem. Nie umiałem z powodzeniem połączyć łowienia burz i związku z Niki. Jedno musiało ustąpić.

Mój sezon łowiecki z jesieni 2004 roku nie był wcale lepszy od kampanii wiosennej i doświadczeń z Mulvane w Kansas. Podczas gdy wielu łowców burz zaliczało jeden udany pościg za drugim – mój przyjaciel Scott Currrens widział tamtego roku niemal pięćdziesiąt tornad – ja nie

zobaczyłem prawie nic. Wyglądało na to, że życie innych ludzi robiło postępy, moje natomiast stało w miejscu. Joel był coraz bardziej zajęty kupowaniem i sprzedawaniem nieruchomości, a Dean zdobywał kolejnych klientów potrzebujących jego internetowych umiejętności.

Ja tymczasem zajmowałem się domem i próbowałem pisać pracę magisterską. Często przebywałem w mieszkaniu Niki, przywołując Roxie i biorąc do ręki jej różową smycz, przygotowując kolację i łamiąc sobie głowę, jak zwiększyć swoje dochody. Ostatecznie pożyczyłem pieniądze od mamy i taty, czego nienawidziłem. Zawsze chciałem być samowystarczalny, ale musiałem coś jeść. W sierpniu 2004 roku zdałem egzamin kwalifikacyjny na studia doktoranckie, ale nawet to nie do końca było dobrą wiadomością. Doktor Lamb zobaczył kiedyś w telewizji jakieś moje typowe wideo z burzami i usłyszał mój głos towarzyszący nagraniu. Niedługo potem posadził mnie w swoim gabinecie i powiedział mi z surowym wyrazem twarzy, że godni poparcia kandydaci na doktorantów nie mają czasu, żeby uganiać się za burzami po całej Alei Tornad.

Niki trochę bardziej starała się ukryć swoje zniecierpliwienie z powodu moich wypraw.

– Może mógłbyś łowić burze, które są w pobliżu. Albo ścigać co trzecią – powiedziała pewnego wieczoru w lutym 2005 roku, przełączając program telewizyjny z Weather Channel na HBO. – Chciałabym, żebyś zaczął częściej chodzić do kościoła.

Za każdym razem kiedy szedłem do kościoła z Niki i jej rodziną, miałem wrażenie, że opadam z sił. Nie chodziłem do kościoła w młodości i nie miałem ochoty nabrać takiego zwyczaju w dorosłym życiu. Na wiosnę 2005 roku opuściłem wielką uroczystość wielkanocną z udziałem klanu Darnabych, żeby ścigać burzę, i Niki nie była tym zachwycona. W maju 2005 roku uzgodniliśmy, że mój tato pozna jej rodziców. Wszyscy

zostaliśmy zaproszeni do rodzinnego domu Niki na przyjęcie na świeżym powietrzu.

Jednak w nocy poprzedzającej przyjęcie u Darnabych obejrzałem komputerowe modele synoptyczne dla Alei Tornad. Warunki dla południowo-środkowej Nebraski prezentowały się niesamowicie. O czwartej nad ranem zadzwoniłem do taty, który nocował w hotelu w Norman.

– Cześć, tato. Przepraszam za tę zwariowaną porę – powiedziałem, telefonując ze swojego mieszkania.

– Co się stało? – zapytał. – Dobrze się czujesz?

– Świetnie – odparłem. – Właśnie patrzę na prognozę pogody na jutro dla południowej Nebraski i wygląda na to, że warunki będą wybuchowe. Gdybyśmy tam pojechali, jest spora szansa, że zobaczymy tornado. Ale musielibyśmy wkrótce wyruszyć.

Odchrząknął, najwyraźniej starając się otrząsnąć ze snu i nadażyć za moim obsesyjnym tokiem myślenia.

– A co z przyjęciem u rodziców twojej dziewczyny? – zapytał.

– Myślę, że Niki zrozumie – odpowiedziałem. – Wie wszystko o mojej tłumionej energii na początku sezonu. Nie mogę się doczekać, żeby zobaczyć burze.

– Zrobię, jak zechcesz – powiedział.

Mój ojciec był nieco zdziwiony, że utrzymujemy stałą prędkość 145 kilometrów na godzinę w drodze do obszaru docelowego znajdującego się w pobliżu Lexington w Nebrasce. Wyjaśniłem mu, że odległość od Norman wynosi 800 kilometrów. Przecież nie chcieliśmy dojechać za późno.

Późnym przedpołudniem zadzwoniłem z komórki do Niki, żeby jej powiedzieć, że przyjęcie na świeżym powietrzu zrobimy innego wieczoru.

– Wilgotne powietrze dotrze aż do Nebraski – powiedziałem. – Wystąpi tam uskok wiatru.

– Więc ty i twój tato nie przyjdziecie do moich rodziców? – zapytała.

– Będzie jeszcze mnóstwo innych okazji – powiedziałem jej.

– Skoro tak mówisz – odpowiedziała cicho.

Tamtego dnia burze na wzgórzach Nebraski były niesamowite. Tato i ja widzieliśmy trzy tornada równocześnie i zbliżyliśmy się na paręset metrów do F1. Mimo wszystko mam bardzo poważne wątpliwości, czy mój tato jeszcze kiedykolwiek weźmie udział w łowieniu burz. Dla niego było to trochę zbyt emocjonujące.

– To było mocne – powiedziałem Niki w jej mieszkaniu następnego dnia po pościgu. – Tatę po prostu zważyło z nóg. Naprawdę niepowtarzalne doświadczenie.

– To świetnie, Reed – powiedziała obojętnym tonem, ze skrzyżowanymi ramionami. – Ale ja jestem naprawdę zawiedziona, że nie przyszedłeś na przyjęcie do moich rodziców. Poza tym męczy mnie już martwienie się o ciebie, za każdym razem kiedy wyjeżdżasz ścigać jakąś burzę.

Przeprosiłem ją. Niki była taką dobrą partią – zabawna, miła, troskliwa. Jednak w tamtym okresie swojego życia wiedziałem, jakie mam priorytety. Małżeństwo i ustawkowanie się nie znajdowały się na szczycie listy, a łowienie burz i tornada owszem. Nie chciałem stracić Niki, ale obawiałem się, że ma mnie dość, bo nie umiem przedłożyć naszego związku nad pogodę.

Kiedy w następnym tygodniu pojechałem łowić burze, zadzwoniłem z drogi do kwiaciarni i wysłałem Niki kwiaty. Nazajutrz, kiedy wróciłem na nasze osiedle, ledwie potwierdziła, że je dostała.

Tydzień później powiedziała mi, że to koniec naszego związku.

Jeszcze mi tego brakowało

Chciałem się gdzieś wyrwać i w sierpniu 2005 roku to mi się udało. Wybrałem się na głębokie Południe. Odwiedziłem Luizjanę, ale nie pojechałem tam dla muzyki ani dla kuchni cajun. Wyruszyłem w szaloną podróż, kierując się w stronę Nowego Orleanu, żeby obserwować huragan Katrina. Pojechałem tam, bo jestem łowcą burz i intryguje mnie bez reszty prawie każdy ich rodzaj. Jednak wyruszyłem w tę podróż także po to, żeby nabrać wyobrażenia o tego rodzaju ekstremalnych zjawiskach pogodowych, które pewnego dnia mogą stać się normą w Ameryce, nie mówiąc już o reszcie świata. Wróciłem, zyskawszy pewne pojęcie o ewolucji niebezpiecznej pogody i głęboko wstrząśnięty tym, co zobaczyłem. Teraz wszyscy wspominamy Katrinę jako burzę imponujących rozmiarów i totalną tragedię. Ta najbardziej kosztowna – i niemal najbardziej śmiertcionośna – klęska żywiołowa w historii Stanów Zjednoczonych omal nie pozbawiła mnie życia. Ale byłem jednym ze szczęśliwców.

Na długo przed wyruszeniem w pościg za Katriną przewidziałem pewne problemy związane z taką wyprawą. Wiedziałem, że bardziej konserwatywni łowcy burz będą wściekli, kiedy rozejdzie się wiadomość, że ścigałem niebezpieczny żywioł, który zagrażał życiu wielu ludzi i mógł spowodować niespotykane zniszczenia. Uświadomiłem sobie, że narażam własne życie na poważne niebezpieczeństwo, planując obranie kursu kolizyjnego z tak gwałtowną burzą. Uznałem, że jestem hipokrytą, kiedy szczerze się martwię o ofiary gwałtownej pogody, a jednocześnie pragnę się znaleźć na miejscu dokładnie w chwili, gdy burza może wyrządzić

największe szkody. Zorientowałem się, że ludzie pomyślą, iż będę filmował huragan dla celów komercyjnych, chociaż to nigdy nie było częścią planu.

Kiedy jednak z pozoru niegroźne skupisko burz zmierzające na zachód przez Atlantyk gwałtownie zmieniło się z depresji tropikalnej z 23 sierpnia w burzę tropikalną z 24 sierpnia, a 25 sierpnia w huragan kategorii 1 i dla społeczności meteorologicznej stało się jasne, że żywioł będzie się nasilał, całe to trajkotanie w mojej głowie o tym, kto co sobie pomyśli, ustało. To mogła być imponująca burza, a ja byłem łowcą burz. Chciałem ją zobaczyć.

Potrzebowałem kogoś do towarzystwa.

– Czyś ty oszalał? – zdziwił się Rick. – Pamiętasz Floyda? Nigdy więcej.

– Daj spokój, Reed. Chyba nie mówisz poważnie – stwierdził Dean. – To może cię zabić.

– Nie sądziłem, że twoje pragnienie łowienia burz może mnie kiedyś zaskoczyć – powiedział Joel – ale tym razem mnie zaskoczyłeś. Powodzenia w poszukiwaniu partnera.

Nie miałem innego wyboru jak zwrócić się do swojego zaprzyjaźnionego rywala Simona Brewera. Znałem go od czasu, kiedy obaj byliśmy studentami meteorologii OU. Mieliśmy ze sobą wiele wspólnego – pasję łowienia burz, komercyjne strony internetowe dotyczące łowienia burz oraz niechęć do tego, żeby większość innych ludzi dyktowała nam, gdzie i kiedy mamy je łowić.

Ja jednak chciałem ścigać Katrinę, więc byłem gotów zignorować wszelkie niedogodności. Zadzwoiłem do Simona i zaproponowałem warunki paktu.

– Co powiesz na to, żebyśmy byli rywalami podczas łowienia tornad, a sojusznikami podczas łowienia huraganów? – zapytałem. Był 26 sierpnia. – Założę się, że ty też chcesz ścigać Katrinę.

Głupie sformułowanie. Simon był w każdym calu takim samym entuzjastą łowienia burz jak ja. Właściwie czekał na mój telefon.

– Czym samochodem? – spytał szybko cichym jak zwykle głosem.

Simon był, prawdę mówiąc, zabawnym i charyzmatycznym facetem. Uznałem, że świetnie się dogadamy, gdy tylko obaj zgodzimy się trochę spuścić z tonu.

Powiedziałem mu, że mój samochód nawala – znowu – ale mogę dostarczyć sporo innego sprzętu niezbędnego do ścigania huraganów.

– Jak szybko możesz wyjechać? – zapytał.

Przez następne dwa dni przygotowywaliśmy się do wyjazdu i pakowaliśmy rzeczy. Ścigałem jeszcze kilka huraganów, odkąd w 1999 roku razem z Rickiem wyruszyłem w ślad za huraganem Floyd do Karoliny Północnej, i spodziewając się najgorszego – znacznych zniszczeń infrastruktury, długotrwałego odosobnienia i braku możliwości odnowienia zapasów – zgromadziłem już ogromny zestaw ratunkowy z myślą o takich łowach. Miałem kilka zapasowych zbiorników na benzynę przystosowanych do przymocowania na dachu samochodu, piły łańcuchowe i siekiery, żeby móc się przebić przez powalone drzewa, oraz hełmy, gogle i nieprzemakalne ubrania pozwalające przetrwać praktycznie w każdych warunkach. Jednak nigdy nie przetestowałem większości swojego sprzętu w warunkach rzeczywistych. W 2004 roku ścigałem huragany Frances i Jeanne na Florydzie, ale oba uderzyły ze stosunkowo niewielką siłą, gdy znalazły się nad lądem.

Zapakowaliśmy także naszą własną wersję posiłków gotowych do spożycia: ogromną stertę opakowań suszonej wołowiny, dziesiątki rozmieszanych już koktajli Slim-Fast i dużo kartonów wody butelkowanej. Przynajmniej nie było mortadeli, którą musiałem znieść podczas obserwowania huraganu Floyd w 1999 roku. Ale nie było to dużo lepsze.

Podobnie jak Floyd sześć lat wcześniej Katrina zaczęła się od serii burz w pobliżu zachodnioafrykańskich Wysp Zielonego Przylądka i kiedy parła na zachód nad Oceanem Atlantyckim, została (jak Floyd) nazwana huraganem Zielonego Przylądka

Podczas gdy Simon i ja przygotowywaliśmy się do wyjazdu, Katrina była w ruchu od dłuższego czasu. Już 25 sierpnia uderzyła w południową Florydę jako huragan kategorii 1. (Pamiętajcie, huragany kategorii 1 w skali wiatrów huraganowych Saffira-Simpsona charakteryzują się wiatrem ciągłym wiejącym z prędkością od 119 do 153 kilometrów na godzinę). Dzień czy dwa później, po wyrządzeniu umiarkowanych szkód na południowej Florydzie, Katrina skierowała się nad Zatokę Meksykańską. Wkrótce gwałtownie się nasiliła, awansując w pewnym momencie z kategorii 3 do kategorii 5 w ciągu zaledwie dziewięciu godzin. Ogromny przyrost mocy Katriny brał się z ciepłej wody.

W jaki sposób ciepła woda może zmienić huragan z bestii miotającej się z prędkością 200 kilometrów na godzinę w potwora pędzącego 250 kilometrów na godzinę? Rzecz w tym, co zasila huragan. W rozdziale 3 wyjaśniłem dokładnie, jak działa huragan, ale zrobię wam szybką powtórkę:

Podobnie jak tornada, huragan zaczyna się od burzy, a właściwie od skupiska burz (zwanego zaburzeniami tropikalnymi). I tak jak tornada te zaburzenia tropikalne powstają dlatego, że ciepłe, wilgotne powietrze unosi się w atmosferze. Unoszące się ciepłe i wilgotne powietrze wywołuje kondensację, co prowadzi do wzrostu temperatury, a to z kolei powoduje unoszenie się większej ilości ciepłego, wilgotnego powietrza i jeszcze bardziej obniża ciśnienie w zaburzeniach tropikalnych. Co jest źródłem napędu dla burzy? Tornada żywią się ciepłym i wilgotnym powietrzem, które mają do dyspozycji w atmosferze, a zaburzenia tropikalne tankują

paliwo, korzystając z ciepłych wód oceanicznych. Im cieplejsza woda w oceanie, tym większą energię dostarcza zaburzeniom tropikalnym. Te zaś zużywają więcej tej energii, nabierają siły, tworzą skupiska, przyciągają wiatr i zaczynają wirować. A wtedy są potencjalnie na dobrej drodze, żeby stać się huraganem.

Bardzo wczesnym rankiem 28 sierpnia, zanim wyruszyliśmy z Simonem w dziesięciogodzinną podróż samochodem na południowy wschód, sprawdziłem w komputerze najświeższe informacje i obejrzałem zdjęcie satelitarne burzy.

Na zdjęciu satelitarnym Katrina wyglądała jak klasyczny huragan: burza przypominająca piłę tarczową obracającą się w kierunku przeciwnym do ruchu wskazówek zegara. Ponieważ Katrina miała 670 kilometrów szerokości, była bardzo duża. Miała również nadzwyczajną, bardzo wyraźną okrągłą dziurę w środku – oko huraganu.

Dla przypomnienia: oko jest środkiem huraganu, a u Katriny miało ono szerokość mniej więcej 50 kilometrów (oko huraganu może mieć średnicę od 3 do ponad 190 kilometrów). Z meteorologicznego punktu widzenia najbardziej charakterystyczną cechą oka jest panujące w nim niskie ciśnienie, a wszystkie wiatry krążące wokół oka są przyciągane w kierunku tego niskiego ciśnienia. Zasadniczo im niższe ciśnienie, tym silniejsza burza, tymczasem tego samego dnia, kiedy przygotowywaliśmy się z Simonem do wyjazdu do Luizjany (28 sierpnia), ciśnienie w oku Katriny spadło do 902 hektopaskali. W porównaniu z ciśnieniem, z jakim mamy zazwyczaj do czynienia na powierzchni Ziemi (w przybliżeniu do 1000 do 1040 hektopaskali), i ciśnieniem atmosferycznym w oku innych huraganów (na przykład huragan Floyd: 921 hektopaskali) ciśnienie w oku Katriny było niezwykle niskie, przez co zaliczała się ona do najsilniejszych atlantyckich huraganów wszech czasów. Tymczasem w dniu naszego

wyjazdu zarejestrowana prędkość wiatrów ciągłych wiejących w ścianie oka Katriny – najgwałtowniejszym obszarze burzy zlokalizowanym bezpośrednio wokół oka – wyniosła 280 kilometrów na godzinę. Poza tym oko Katriny miało piękny, stopniowo rozszerzający się ku górze kształt nazywany „efektem stadionowym”, ponieważ przypomina wklęsłą sylwetkę stadionu sportowego. Oko z efektem stadionowym często wskazuje na szczególnie gwałtowny huragan.

– Nigdy nie widziałem takiego oka – powiedział mój współlokator Aaron, zerkając nad moim ramieniem na monitor.

Kilka tygodni po moim zerwaniu z Niki Aaron i ja wyprowadziliśmy się z tamtego osiedla mieszkaniowego do znacznie tańszego domu z mieszkaniami na wynajem w południowej części Norman.

– Czeka cię niesamowita wyprawa – dodał.

– Jesteś pewien, że nie chcesz z nami jechać? – zapytałem z uśmiechem, odsuwając krzesło od biurka z komputerem i zasuwając zamek w jednym ze swoich worków marynarskich.

Aaron nawet nie zadał sobie trudu, żeby odpowiedzieć, a przed upływem godziny Simon i ja byliśmy już w drodze, jadąc jego zdezelowanym białym sedanem, który właśnie kupił używany, gdy czerwona furgonetka odmówiła posłuszeństwa. Szkoda, że nie cieszył się zbyt długo swoim nowym wozem.

– Ruszajmy w otchłań – powiedziałem do Simona, gdy uruchamiał silnik.

Simon uśmiechnął się szeroko.

– Dwóch wariatów w akcji – powiedział, a potem wybuchnął śmiechem, gdy włożyłem hełm i gogle. Sięgnął do tyłu ponad siedzeniem kierowcy i wziął do ręki jakąś kartkę.

– Widziałeś komunikat National Weather Service wydany dziś rano w sprawie Katriny? – zapytał.

Pokręciłem przecząco głową. Wręczył mi kartkę, wydruk komunikatu NWS. Przeczytałem kilka pierwszych akapitów:

PILNE – KOMUNIKAT POGODOWY

NATIONAL WEATHER SERVICE NOWY ORLEAN LA

10.11 CDT ND 28 SIERP 2005

(...) SPODZIEWANE OGROMNE ZNISZCZENIA (...)

HURAGAN KATRINA (...) NAJPOTĘŻNIEJSZY HURAGAN O BEZPRECEDENSOWEJ SILE (...) DORÓWNUJĄCY GWAŁTOWNOŚCIĄ HURAGANOWI CAMILLE Z 1969.

WIĘKSZA CZĘŚĆ TEGO TERENU NIE BĘDZIE SIĘ NADAWAŁA DO ZAMIESZKANIA PRZEZ KILKA TYGODNI (...) BYĆ MOŻE DŁUŻEJ. PRZYNAJMNIEJ POŁOWA SOLIDNIE ZBUDOWANYCH DOMÓW BĘDZIE MIAŁA USZKODZONE DACHY I ŚCIANY. WSZYSTKIE DACHY ZE SZCZYTAMI ULEGNĄ USZKODZENIU (...) WIĘC TE DOMY ZOSTANĄ POWAŻNIE USZKODZONE LUB ZNISZCZONE.

WIĘKSZOŚĆ BUDYNKÓW PRZEMYSŁOWYCH NIE BĘDZIE SIĘ NADAWAŁA DO UŻYTKU. SPODZIEWANE USZKODZENIE DACHÓW I ŚCIAN OD CZĘŚCIOWEGO DO CAŁKOWITEGO. WSZYSTKIE NISKIE DREWNIANE DOMY O KONSTRUKCJI SZKIELETOWEJ ZOSTANĄ ZNISZCZONE. NISKIE BETONOWE BLOKI MIESZKALNE ZOSTANĄ POWAŻNIE ZNISZCZONE (...) MIĘDZY INNYMI USZKODZEŃ ŚCIAN I DACHÓW.

WIELOPIĘTROWE BUDYNKI BIUROWE I MIESZKALNE BĘDĄ SIĘ NIEBEZPIECZNIE CHWIAŁY (...) NIEKTÓRE MOGĄ SIĘ NAWET CAŁKIEM ZAWALIĆ. WSZYSTKIE OKNA ZOSTANĄ WYBITE. WSZĘDZIE BĘDĄ FRUWAŁY ODŁAMKI (...) MOGĄ SIĘ WŚRÓD NICH ZNALEŻĆ CIĘŻKIE PRZEDMIOTY, TAKIE JAK SPRZĘT GOSPODARSTWA DOMOWEGO, A NAWET LEKKIE SAMOCHODY.

Przejrzałem resztę wiadomości, w której roiło się od innych przerażających zdań. „Zwierzęta gospodarskie pozostawione na zewnątrz nie przeżyją”. „Przerwy w dostawach prądu będą trwały tygodniami”. „Drzewa zostaną

połamane”. Biuletyn kończył się ostrzeżeniem: „Nie ryzykujcie wychodzenia na zewnątrz!”.

Czując, że notatka popsuka frajdę związaną z wyczekiwaniem, Simon włączył radio samochodowe i przez dłuższy czas słuchaliśmy muzyki, co było dobrą rozrywką. Rozmawialiśmy o nadchodzącym sezonie futbolowym na OU i o wyzwaniach związanych ze sprzedażą filmów wideo z burzami.

Jednak mniej więcej po pięciu godzinach jazdy, kiedy dotarliśmy do autostrady międzystanowej numer 49 w Luizjanie, po raz pierwszy poczuliśmy powagę sytuacji podczas tego konkretnego łowienia burz. Wystarczyło, że popatrzyliśmy na drugą stronę podwójnej żółtej linii, żeby docenić grozę tego, co nas mogło spotkać. Prowadząca na północ nitka I-49 była zapchana jadącymi zderzak w zderzak samochodami prowadzonymi przez uchodźców, którzy brali udział w największej w historii Stanów Zjednoczonych akcji ewakuacyjnej spowodowanej huraganem. Kiedy mijaliśmy wszystkie te pojazdy, siedząc w jedynym samochodzie zmierzającym na południe w kierunku wybrzeża, przypomniał mi się podobny moment z pogoni za huraganem Floyd i zadałem sobie to samo pytanie co sześć lat wcześniej w Karolinie Północnej: czy robię z siebie głupka?

Jadąc samochodem Simona autostradą I-49, byłem pewien jednej rzeczy: nie wybrałem się w tę podróż z rozpaczy. Niedługo po tym jak Niki ze mną zerwała, poprzysiągłem sobie, że ponownie skupię się w życiu na tym, na czym muszę się skupić. Przed wyruszeniem w pościg za Katriną zdążyłem już zrobić spore postępy w dotrzymywaniu zobowiązań.

Kiedy moje dni nie upływały już pod znakiem Niki, Roxie czy gotowania kolacji dla dwóch osób, celowo ograniczyłem się tylko do

najważniejszych spraw: zwiększyłem wysiłki, pracując dla doktora Lamba, i spędzałem czas, ścigając tornada. Uznałem, że mojemu życiu i pracy zawodowej dobrze zrobi pogoda – i tylko pogoda – albo poniosę klęskę.

Kiedy zdałem egzamin kwalifikacyjny na studia doktoranckie, doktor Lamb był przeciwny łowieniu przeze mnie burz, ale równocześnie nie szczędził mi wyjątkowych pochwał i słów zachęty. Na jesieni 2004 roku wysłał mi e-mail z gratulacjami z okazji zdania egzaminu i powiedział, że zważywszy na moją etykę zawodową i inicjatywę, mogę daleko zajść jako meteorolog. Dodał, że cieszy się na myśl o pomaganiu mi w zrobieniu doktoratu.

Te niespodziewane komplementy przerzuciły we mnie jakąś dźwignię. Poświęciłem mnóstwo czasu na pracę magisterską i przed końcem 2004 roku skończyłem pisać wstępną wersję. Potem doktor Lamb pochłastał ją charakterystycznym dla siebie czerwonym długopisem, którego używał do nanoszenia uwag, i powiedział, że moje badania i rozprawa wymagają poprawek. Jednak zamiast czuć zniechęcenie, z determinacją przystąpiłem do wprowadzania zmian.

W lipcu 2005 roku doktor Lamb wezwał mnie do swojego gabinetu. Tydzień wcześniej przedstawiłem mu pewne dodatkowe dane i analizy. Odkryłem na przykład konkretne powody, dla których wskaźniki łączące zimowe temperatury i zużycie gazu ziemnego są tak nieuchwytnie: w północnych (zimnych) regionach ustalenie dokładnych wskaźników wymagało uwzględnienia dziennych temperatur maksymalnych, gdyż minimalne temperatury na północy były tak niskie, że skłaniały mieszkańców do masowego ogrzewania swoich domów w maksymalnym stopniu do czasu, aż temperatura na zewnątrz rosła. W południowych (ciepłych) regionach było na odwrót. Ustalenie dokładnych wskaźników wymagało uwzględnienia dziennych temperatur minimalnych, ponieważ na

tych terenach zimowe temperatury maksymalne były zbyt wysokie, żeby grzać.

– Mądre spostrzeżenia. Robisz postępy – powiedział doktor Lamb w swoim schludnym gabinecie, oddając mi kilka stron. Jego własne dokumenty były starannie ułożone na biurku, a na każdej niskiej stercie kartek spoczywał przycisk do papieru. – Po moich uwagach zorientujesz się, że według mnie zbliżasz się do celu. Ja tylko sugeruję drobne poprawki – dodał.

Gdy przerzuciłem te kartki, zobaczyłem znacznie mniej czerwonego tuszu niż dawniej.

Również w łowieniu burz los zaczął mi sprzyjać.

9 czerwca 2005 roku Joel i ja wybraliśmy się razem do północno-zachodniego Kansas i chociaż w 2004 roku tak kiepsko mi szło ze sprzedażą filmów wideo, poszczyściło mi się niemal dokładnie rok później. Na zachód od małego miasteczka Hill City jechaliśmy obok burzy, która dała początek nie jednemu, lecz dwóm tornadom naraz. Bez przerwy przesuwałem kamerę tam i z powrotem, filmując raz biały lśniący komin po swojej lewej stronie, a raz ciemnoszary klin po prawej.

Te dwa tornada były wytworem tak zwanej superkomórki cyklicznej – jednej burzy zdolnej do wywołania wielu tornad. Wewnątrz superkomórek cyklicznych mezocyklon, czyli wirujący prąd wstępujący, może doprowadzić do powstania wielu wąskich kolumn wirującego powietrza zwanych cyklonami tornadowymi. Są one zwiastunami właściwych tornad, ale często takie tornada następują po sobie, bo jedno kradnie drugiemu niezbędne ciepło i wilgoć. Jednak w tych rzadkich wypadkach, kiedy „przekazywanie” energii następuje powoli, dwa w pełni rozwinięte tornada występują równocześnie. Tak się stało w wypadku burzy w Hill City. Nigdy wcześniej nie widziałem czegoś podobnego.

Miałem szczęście również dlatego, że oba te niesamowite tornada z superkomórki cyklicznej były fotogeniczne, a w pewnym momencie pościgu uchwyciłem jedno i drugie w tym samym kadrze. Jak tylko tornada się rozwiały, obdzwoniłem informacyjne sieci telewizyjne, wstawiając z żarliwością jeden bajer za drugim, żeby zareklamować swój materiał. Efektem były dwie imponujące sprzedaże do dwóch różnych sieci telewizyjnych, a filmy przedstawiały dwa różne momenty z życia tej samej burzy. Już dawno nie zarobiłem tak dużych pieniędzy.

Trzy tygodnie później miałem jeszcze jeden powód, aby uwierzyć, że bogowie tornad są po mojej stronie. Tym razem ścigałem burzę w pobliżu miasteczka St. James w południowej Minnesocie razem z Dave'em Holderem, nowym studentem meteorologii OU i bardzo zapalonym łowcą burz. Tego konkretnego dnia – 29 czerwca – uskok wiatru był całkiem wyraźny. Pierwsze tornado, jakie zobaczyliśmy z Dave'em, było pięknym jasnoszarym lejem, który robił się brązowy, gdy rył otwarte pole. Drugie, w kształcie trąby słońca, wygenerowało sprzedaż wielu nagrań wideo.

Jednak najbardziej intrygujące było trzecie tornado zaobserwowane tamtego dnia. Znaleźliśmy się z Dave'em bezpośrednio pod lejem, więc gdy tornado zaczęło łamać gałęzie drzew i łodygi kukurydzy zaledwie kilkaset metrów od miejsca, w którym staliśmy, uświadomiliśmy sobie, że lepiej szybko znaleźć jakąś kryjówkę. Schroniliśmy się pod hatchbackiem Dave'a. Na szczęście tornado zostało zaliczone do kategorii F0, co oznaczało, że było w stanie osiągnąć szybkość wirowania rzędu stu kilkunastu kilometrów na godzinę. Jego siła wystarczyła tylko do tego, żeby wypełnić nasze oczy i usta kurzem i ziemią.

Kaszleliśmy i ocieraliśmy twarze, wypełzając spod samochodu, ale zaraz zaczęliśmy głośno wiwatować. Był to pierwszy, ale z pewnością nie

ostatni raz, kiedy przetrwałem, znajdując się przez chwilę wewnątrz tornada.

Chcieliśmy z Simonem znaleźć jakiś parking. Gdy jechaliśmy na wschód – sami – autostradą międzystanową numer 10 w kierunku Baton Rouge, dokonaliśmy przeglądu taktyki, którą chcieliśmy zastosować podczas obserwowania huraganu. Zamierzaliśmy skorzystać z topograficznych map okolic Nowego Orleanu, które kupiłem zawczasu, żebyśmy mogli znaleźć miejsce leżące co najmniej 5 metrów nad poziomem morza. Uważaliśmy, że przebywanie stosunkowo wysoko jest jednym z najistotniejszych posunięć pozwalających uniknąć ewentualnych kłopotów związanych z uderzeniem huraganu, który przypuszczalnie wtłoczy sporo wody z Zatoki Meksykańskiej na wiele nisko położonych terenów znajdujących się w tym regionie. Uznaliśmy, że wielopoziomowa żelbetowa konstrukcja parkingu prawdopodobnie przetrwa uderzenia wiatru i gwałtowny wzrost poziomu wody spowodowany przez Katrinę. Do dziś takie podejście wydaje się rozsądne. Szkoda, że wpadliśmy w wielkie tarapaty, zanim dotarliśmy do parkingu.

– Widziałeś to? Błyskawica? – zapytał Simon z szerokim uśmiechem na twarzy.

Właśnie włączyłem laptop i uniosłem wzrok znad ekranu, akurat w samą porę, żeby zobaczyć inny wyraźny błysk w oddali.

– Ściana oka jest nadal oddalona, ile, dwadzieścia godzin od brzegu? – dodał. – Ta jest ogromna! Jakim cudem już widzimy błyskawice?

Wtedy tak naprawdę po raz pierwszy zdaliśmy sobie sprawę z ogromnych rozmiarów Katriny. Pioruny oznaczały, że zewnętrzne warstwy tej gigantycznej burzy i związane z nimi gwałtowne zjawiska pogodowe dotarły już do wybrzeża. Niebo nad nami było już szare

i zachmurzone, zasnuwane jednolitą, bezkształtną powłoką chmur warstwowych, które przesłaniają to, co nadchodzi. Jednak nawet niczego niepodejrzewający obserwator nieba zorientowałby się, że coś się szykuje, bo chmury płynęły bardzo szybko. Oczywiście powietrze było ciężkie od tropikalnej wilgoci. Katrina była zbudowana z ciepłej wody.

Od czasu do czasu zatrzymywaliśmy się z Simonem na motelowych parkingach, żebym mógł zajrzeć do internetu i śledzić burzę dzięki sygnałowi WiFi z motelu. Obserwując Katrinę, po raz pierwszy byłem wyposażony w sprzęt z jakimkolwiek dostępem do internetu w samochodzie, co okazało się znacznie wygodniejsze niż zatrzymywanie się przy bibliotekach publicznych.

– Na zdjęciu satelitarnym huragan zakrywa prawie całą Zatokę Meksykańską – powiedziałem do Simona, podczas gdy silnik samochodu pracował na jałowym biegu obok małego zajazdu na peryferiach Baton Rouge.

Kliknąłem na inne okno na portalu National Hurricane Center.

– Porywy wiatru w ścianie oka przekraczają teraz 320 kilometrów na godzinę – przeczytałem na głos, podsumowując dane statystyczne z ekranu. – Dziewięciometrowy przypływ sztormowy zmierza w kierunku obszarów zamieszkałych.

Nigdy nie byłem świadkiem gwałtownego przypływu sztormowego – ogromnej ściany wody, która zbiera się i rośnie, gdy huraganowe wiatry spychają wodę z oceanu w kierunku brzegu. Widziałem niektóre powodzie po przejściu huraganu Floyd, ale wiedziałem, że to, z czym się teraz spotkam, będzie inne ze względu na zupełnie inny rząd wielkości. Pamiętam, że jako dziecko oglądałem programy o pogodzie przedstawiające najgorsze z możliwych scenariusze i opowiadające o tym,

co się może stać z Nowym Orleanem podczas potężnego huraganu. Teraz miałem to zobaczyć na własne oczy.

– Może powinniśmy pomyśleć o znalezieniu sobie miejsca co najmniej 10 metrów nad poziomem morza – powiedziałem do Simona.

– Lepiej zacznij googlować w poszukiwaniu garaży piętrowych w Nowym Orleanie – odparł.

Jednak gdy 28 sierpnia zaczęło się ściemniać, stanęliśmy przed bardziej nagłym problemem niż huragan. Chcąc zapobiec grabieżom, organy ścigania z południowej Luizjany wprowadziły już godzinę policyjną obowiązującą od zmierzchu do świtu na terenach nadbrzeżnych i nizinnych. Ostatnią rzeczą, jakiej pragnęliśmy z Simonem, było zwracanie na siebie uwagi. Wiedzieliśmy, że gliniarze nie będą chcieli, żeby im przeszkadzali albo zawracali głowę dwaj łowcy burz ze Środkowego Zachodu prowadzący misję sprzeczną ze zdrowym rozsądkiem. Mogłem sobie dokładnie wyobrazić, co powiedziałby gliniarz: chcecie się znaleźć bliżej huraganu?

Postanowiliśmy zatrzymać się na noc w małym miasteczku Covington, 70 kilometrów od Nowego Orleanu, na północnym brzegu jeziora Pontchartrain.

– Dobry parking. Mnóstwo ciemnych zakamarków – powiedział Simon, podjeżdżając samochodem na najdalszy skraj parkingu. – Chcesz trochę suszonej wołowiny? – zapytał, otwierając opakowanie.

Odmówiłem. Zdążyłem się już opchać burritos na stacji benzynowej.

– Będę zadowolony, jeśli uda mi się choć trochę przespać – powiedziałem, wyciągając się na przednim siedzeniu pasażera. – Już nie mogę usiedzieć na miejscu.

Nie zamierzaliśmy nocować w motelu. Simon miał mniej pieniędzy niż ja. Praca w Kentucky Fried Chicken wystarczała mu akurat na opłacenie

studiów i sfinansowanie nawyku łowienia burz. Co do mnie, nadal byłem zadłużony. Poza tym przypomniałem sobie, odwracając się na bok, że zdarzały mi się gorsze chwile niż spanie w samochodzie, podczas absurdalnie gorącej i wilgotnej pogody, z innym łowcą burz. Robiłem to samo w przeszłości, ale aż z czterema innymi. Połączony fetor tak wielu ciał stłoczonych w zamkniętej przestrzeni i nagrzanej suszonej wołowiny był niemal nie do zniesienia.

Zbudziłem się przed świtem i uświadomiłem sobie, że deszcz leje bez przerwy. Wiatr gwizdał, wpadając przez szpary i pęknięcia w samochodzie Simona, a niebo od czasu do czasu rozświetlało się na zielono od wyładowań elektrycznych daleko na południu i wschodzie. Simon spał, a ja poczułem się samotny, jak ofiara drapieżnika. Wyobrażałem sobie, że wiatry o sile burzy tropikalnej, wiejące z prędkością 110 kilometrów na godzinę, które zrywały transformatory zamontowane na słupach elektrycznych, przygotowywały grunt dla nadciągających silniejszych wiatrów.

Odpaliłem laptopa i – bingo! – natychmiast wszedłem do internetu. Poszukałem najświeższych danych na temat huraganu. Wiadomości były ponure: o 6.00 ściana oka Katriny już atakowała mokradła Luizjany wiatrem o prędkości 225 kilometrów na godzinę. Gminy St. Bernard i Plaquemines, w których mieszkały dziesiątki tysięcy ludzi, znalazły się teraz w dużej części pod wodą. Słyszając o tym, musieliście sobie wyobrazić, że już wtedy były niezliczone ofiary śmiertelne, chociaż większość mieszkańców tych gmin ewakuowała się dzień czy dwa wcześniej.

– Wygląda, jakby burza skręcała na wschód – powiedział Simon, przecierając oczy, żeby się dobudzić, i przechylił głowę, chcąc spojrzeć na ekran komputera. – To znaczy, że jedziemy na wschód.

Nadal myśleliśmy, że chcemy przeżyć w pełni zwariowaną przygodę łowców burz: chcieliśmy dogonić Katrinę w miejscu, gdzie znajdzie się jej prawa ściana oka, to znaczy tam, gdzie wiatr huraganu połączony z wiatrami, które go przenoszą, powoduje, że siła burzy jest największa. Myśleliśmy również, że być może będziemy mieli szansę znaleźć się w upiornym oku, w którym panuje niezwykle niskie ciśnienie. Wewnątrz oka huraganu może być bezwietrznie i możesz mieć nad głową błękitne niebo, ale zobaczysz zbite, niesamowicie wysokie chmury burzowe pędzące w kółko dokoła ciebie. Wywołują one fale opadów deszczu i przyczyniają się do kompresji powietrza, co sprawia, że w oku jest niewiarygodnie gorąco i wilgotno.

Simon uruchomił silnik i wkrótce pędziliśmy autostradą międzystanową numer 13 w kierunku granicy Missisipi i miasta Gulfport. Jednak nie jechaliśmy tą drogą nawet przez pół godziny, gdy w pobliżu miasteczka Slidell natrafiliśmy na problem. Autostrada prowadząca na wschód była zamknięta w oczekiwaniu na nadciągające z Katriną wiatry i spodziewaną ścianę wody.

– Co teraz? – zapytał Simon, kierując się w stronę zjazdu do Slidell, zamiast zwolnić gdzieś w pobliżu policjanta ubranego w kombinezon przeciwdeszczowy i stojącego obok blokady na autostradzie.

Gdy skręciliśmy, oddalając się od blokady, gliniarz odwrócił się w kierunku naszego samochodu i posłał nam długie, podejrzliwe spojrzenie.

Rozpiąłem pas i odwróciłem się do tyłu na siedzeniu, żeby odgrzebać mapy okolic Nowego Orleanu. Znalazłem to, czego szukałem, i znów usiadłem prosto. Zacząłem się rozglądać za alternatywnymi drogami prowadzącymi do Missisipi.

– Jest taka nieduża droga biegnąca na wschód z południa Slidell. Łączy się z następnymi i prawdopodobnie będziemy mogli dojechać nimi aż do

Missisipi – powiedziałem, wytyczając trasę na mapie.

– Jak daleko jest ze Slidell do wybrzeża? – zapytał Simon, jadąc powoli przez skromne, opustoszałe centrum Slidell.

Nie było absolutnie żadnych śladów życia. Na zewnątrz padający nieprzerwanie deszcz zmieniał się chwilami w ulewę z gwałtownymi podmuchami wiatru.

– Pewnie ze 3 kilometry – powiedziałem, patrząc na mapę. – Miasto leży nad samym jeziorem Pontchartrain.

Im dalej jechaliśmy na południe miasteczka, tym gorsze były warunki drogowe. Wiedzieliśmy, że to tylko kwestia czasu, kiedy ogromne fale, które już wydostawały się z Pontchartrain, dużego (szerokiego mniej więcej na 80 kilometrów) owalnego estuarium połączonego z Zatoką Meksykańską, zaleją okolicę w wyniku przyływu sztormowego wywołanego przez Katrinę. Zrozumieliśmy, że miasteczko jest na krawędzi katastrofy, ale nasza droga ucieczki nie mogła prowadzić na wschód. Woda pod samochodem Simona sięgała prawie 30 centymetrów i wciąż jej przybywało. Zawróciliśmy.

– Musimy szybko podjąć decyzję – powiedział Simon.

Popatrzył na fruwające wokół gałązki i liście. Wiatr wiał teraz z prędkością jakichś 80 kilometrów na godzinę.

– Moim zdaniem powinniśmy się cofnąć do autostrady międzystanowej i zobaczyć, czy znajdziemy wyżej położony teren na północ stąd, albo w samym Slidell, albo poza miastem – powiedziałem. – Znajdźmy jakiś betonowy budynek, żeby przeczekać burzę.

Zgodziliśmy się z Simonem, że obniżenie naszych oczekiwań – na przykład zobaczenie wiatrów wiejących z prędkością 210 kilometrów na godzinę w północnej ścianie oka i może trafienie do zachodniej części

potencjalnie bezchmurnego oka huraganu – jest lepsze niż utrata samochodu, a może i życia, na skutek powodzi.

– Co ta ciężarówka wyprawia? – powiedział nagle Simon.

Podniosłem wzrok znad mapy i zobaczyłem dużą zardzewiałą wywrotkę jadącą z naprzeciwka i kierującą się na południe pustą czteropasmową główną ulicą Slidell. Był to jedyny oprócz naszego pojazd na drodze. Kierowca błyskał reflektorami.

– Czyżby szabrownik? – powiedziałem, gdy znaleźliśmy się około 100 metrów od ciężarówki. – Ktoś jeszcze został w tym mieście?

Kiedy brakowało nam 25 metrów, żeby minąć się z ciężarówką, ta skręciła gwałtownie na nasz pas.

– Co jest, do cholery? – krzyknął Simon, odbijając w prawo i wjeżdżając na krawężnik. – Ten facet próbuje nas zabić!

Ciężarówka minęła nas o włos i popędziła dalej.

– Zabierajmy się stąd! – wrzasnąłem.

Simon trochę przyśpieszył, jednak pogarszające się warunki pogodowe sprawiały, że widoczność była fatalna. Nie mogliśmy jechać zbyt szybko.

– Ta sama ciężarówka jedzie teraz za nami i jest coraz bliżej – powiedział Simon kilka minut później, patrząc w lusterko wsteczne. – Czego chce ten idiota?

Kiedy ciężarówka znalazła się niecałe 10 metrów za nami, Simon skręcił niespodziewanie na parking przed jakimś bankiem, zawrócił i pojechał z powrotem pustą główną ulicą Slidell, kierując się na południe.

– Dzwon po gliny! – wrzasnął.

Zanim jednak zdążyłem wybrać numer alarmowy, pojawił się samochód policyjny, błyskając światłami. Pędził ulicą prosto na nas.

– Może ten policjant szuka szalonego kierowcy ciężarówki? – powiedział Simon, ściskając kierownicę, ale najwyraźniej nie to było celem gliniarza.

Gdy radiowóz znalazł się zaledwie 100 metrów przed nami, kierowca wprowadził pojazd w boczny poślizg, a Simon zatrzymał się gwałtownie w pobliżu samochodu policyjnego.

Ni stąd, ni z owąd z radiowozu wypadli czterej umundurowani policjanci i wyciągnęli pistolety, biegnąc w stronę naszego samochodu. Mimo siekącego deszczu otoczyli auto, kierując lufy pistoletów wprost na Simona i na mnie.

– Ręce do góry! – krzyknął gliniarz stojący tuż za oknem po mojej stronie. Z wylotu lufy jego pistoletu kapła woda. – Już!

Pościg za Katriną szybko przerodził się w zupełnie inną przygodę, niż to sobie wyobrażałem.

– Nie strzelajcie! – krzyknąłem spanikowanym głosem i rozpląszczyłem dłonie na suficie samochodu. – Jesteśmy łowcami burz! Jestem łowcą burz!

– Wysiadać! – wrzasnął gliniarz stojący najbliżej mnie. – Obaj!

Simon i ja wysiedliśmy z samochodu akurat w chwili, gdy ogromna wywrotka zatrzymała się obok nas. Wsiadł z niej potężny starszy gliniarz z wąsami i zmarszczonym czołem, zatrzasnął drzwi i podszedł do mnie energicznym krokiem. Był czerwony na twarzy i nie zanosił się, że ochłonie na bezustannym deszczu i wietrze. Wszyscy byliśmy przemoczeni do suchej nitki.

– Nikt nie ma teraz nic do roboty na tych ulicach – powiedział wielki gliniarz i jednym płynnym ruchem chwycił mnie, odwrócił i powalił na maskę samochodu Simona. Kopniakiem rozstawił mi nogi.

Gdy mnie rewidował, inny policjant potraktował w taki sam sposób Simona.

– Ten jest czysty, panie komendancie – powiedział policjant obszukujący Simona do dużego gliniarza, który obszukiwał mnie.

– Jest pan komendantem policji? – zapytałem gliniarza stojącego za moimi plecami. – Panie komendancie, jesteśmy łowcami burz.

– Chcę się dowiedzieć więcej – powiedział tamten do innego policjanta.

Ja nadal leżałem na masce samochodu z policzkiem przyciśniętym do blachy.

– Nie obchodzi mnie, co mówią. Zatrzymaj ich w celi do mojego powrotu.

Dwaj funkcjonariusze z Slidell jechali na tylnym siedzeniu samochodu Simona, który prowadził, posuwając się za radiowozem w stronę dwukondygnacyjnego budynku tamtejszego posterunku policji. Wprowadzono nas do środka, gdzie oddaliśmy wszystkie rzeczy osobiste, a potem zostaliśmy zamknięci w maleńkiej celi w piwnicy. Utknięcie za kratkami było nie do zniesienia z wielu powodów, ale dwa z nich były najbardziej bolesne: słuchanie wyjącego wiatru burzy stulecia bez możliwości zobaczenia huraganu było dla mnie prawdziwą udręką. No i bałem się, że umrzemy z Simonem w tej ciasnej celi. Wszyscy nas ignorowali. Czy nadal będą nas ignorować, gdy piwnica zostanie nieuchronnie zalana i zagrozi nam podnosząca się woda?

Dwie godziny później zjawiał się komendant i otworzył celę. Był miły. Wyjaśnił, że patrolował ulice w wypożyczonej wywrotce, żeby nie utknąć we wzbierającej wodzie.

Powiedział nam, że nasze dane się zgadzają, ale miałem wątpliwości, czy ktoś z posterunku był jeszcze w stanie nawiązać łączność ze światem zewnętrznym. Zastanawiałem się także, dlaczego policjanci w ogóle tracili

czas, zawracając sobie głowę mną i Simonem. Zbliżał się huragan huraganów i funkcjonariusze z pewnością mieli coś lepszego do roboty niż zajmowanie się parą zbuntowanych łowców burz. Na myśl o tym poczułem się teraz winny.

– Przepraszam za pomyłkę, chłopcy – powiedział komendant. – Dostaliśmy meldunki o rabunkach. Wy dwaj byliście jedynymi ludźmi, jakich tam widzieliśmy, więc natychmiast staliście się podejrzani.

Komendant polecił innemu policjantowi, żeby oddał nam rzeczy, i powiedział, że jesteśmy wolni.

– Rusz się! Spadajmy stąd! No wiesz, zanim się okaże, że nie możemy odjechać – ponaglił mnie Simon, gdy pędziliśmy przez korytarz posterunku w stronę parkingu na tyłach, gdzie Simon zostawił samochód jakieś trzy godziny wcześniej.

Niestety, gdy późnym popołudniem wybiegliśmy na światło dzienne, naszym oczom ukazał się przygnębiający widok. Samochód stał już w wodzie o głębokości prawie pół metra, a jej poziom nadal się podnosił.

Już nie mieliśmy strategii odwrotu. Straciliśmy środek transportu. W dodatku utknęliśmy na posterunku policji znajdującym się na poziomie morza, zaledwie 3 kilometry od wybrzeża, i stojącym na drodze jednego z najpotężniejszych huraganów w historii.

W samochodzie nadal był nasz sprzęt elektroniczny i reszta wyposażenia oraz całe zapasy. Nie mieliśmy wyboru. Musieliśmy to wszystko wyciągnąć z wozu Simona. Woda była brązowa i strasznie cuchnęła. Z tego, co wiedzieliśmy, wokół pływały węże i aligatory. Kiedy pierwszy raz szedłem do samochodu, minąłem unoszącą się na wodzie bryłę czegoś niezidentyfikowanego. Nachyliłem się, żeby się lepiej przyjrzeć, i zrozumiałem, że był to rój jadowitych mrówek. W ułamku

sekundy posterunek policji zmienił się z niegościnnego miejsca w bezpieczną przystań.

Simon i ja musieliśmy użyć sporej siły, żeby przewyciężyć napór wody powodziowej i otworzyć jedne z drzwi auta. Brudna woda wlała się do samochodu, a my chwyciliśmy, co się dało: sprzęt elektroniczny, trochę ubrań i worków na śmieci, garście koktajli Slim-Fast oraz dwie siekiery i kilka mniejszych narzędzi. Podczas następnych wypraw do samochodu mieliśmy coraz większe trudności z otwieraniem drzwi i uratowaniem tego, co jeszcze mogliśmy zabrać. Wkrótce woda sięgała nam do pasa. Po chwili nie byliśmy już w stanie zamknąć drzwi samochodu, więc zawróciliśmy z pełnymi workami na śmieci zarzuconymi na ramię. Wnętrze samochodu szybko wypełniło się wodą. Simon i ja w zasadzie wprowadziliśmy się na pierwsze, suche piętro budynku, które miało balkon.

Widok roztaczający się z balkonu, który był nieco osłonięty od wiatru wiejącego z północnego wschodu, stawał się coraz bardziej surrealistyczny. Podczas gdy deszcz lał się z nieba, a wywołany przez Katrinę przypływ spychał wodę coraz bardziej w głąb lądu, ja patrzyłem na znikające samochody, znaki drogowe i domy, jakby wszystkie one jakimś cudem wpadły do jeziora. Niewielki posterunek policji zaczął przypominać barcę mieszkalną. Simon i ja staliśmy przy balustradzie balkonu i przyglądaliśmy się dryfującym obok posterunku gałęziom, śmieciom i meblom. Przyłączyli się do nas policjanci, ale i przestępcy, bo komendant wypuścił z cel kilkunastu więźniów z więzienia znajdującego się w budynku, wiedząc, że żaden nie będzie próbował uciec.

Późnym popołudniem wiatr się nasilił i zmieniał kierunki. Simon i ja staliśmy na balkonie, patrząc, jak jedne z najciemniejszych chmur, jakie kiedykolwiek widzieliśmy, zbliżają się szybko od południa. Uznaliśmy, że północna ściana oka huraganu jest tuż-tuż.

Kiedy rozeszła się wiadomość, że Simon i ja jesteśmy meteorologami, więźniowie i funkcjonariusze mieli do nas najróżniejsze pytania.

„Co to jest ściana oka?”

„Kiedy wiatr ustanie?”

„Czy wszyscy zginiemy?”

Powiedziałem dwudziestu zaniepokojonym ludziom zgromadzonym w sali konferencyjnej na piętrze posterunku, żeby przygotowali się na najgorsze. Mimo wszystko policjanci, którzy zaledwie kilka godzin wcześniej trzymali nas na muszce, byli teraz zadowoleni, że mogą poprosić dwóch meteorologów o wyjaśnienie, z czym dokładnie mieliśmy się wszyscy zmierzyć.

– Ściana oka jest miejscem, gdzie burza jest najsilniejsza – powiedziałem. – Wiatr wieje tam z największą prędkością. Opady będą najgwałtowniejsze.

Wyszedłem na balkon, żeby jeszcze raz spojrzeć na czarne jak smoła niebo. Obok mnie stanął wielki umięśniony więzień z ogoloną głową, w jasnoniebieskiej koszulce z nadrukiem „WIĘZIENIE MIEJSKIE SLIDELL” na plecach.

– Jeśli ty będziesz sterczeć na balkonie, to ja też – powiedział. – Chcę zobaczyć, jak wygląda piekło.

– Wkrótce odłamki będą latały jak kule – ostrzegłem go.

Ściana oka potężnego huraganu nie jest subtelna. W ciągu kilku minut wiatr przyśpieszył ze 120 do prawdopodobnie 190 kilometrów na godzinę. Posterunek policji trząśł się, ale ponieważ balkon był osłonięty od wiatru, mogliśmy patrzeć, jak arkusze blachy, pewnie zerwane z dachów, uderzają w budynki i słupy telefoniczne. Maszt telefonii komórkowej przełamał się na pół. Duże drzewa wyginały się niewyobrażalnie, tak że górne odcinki ich pni układały się równoległe do ziemi. Niektóre łamały się z trzaskiem,

a podobny do wybuchu odgłos pękającego grubego drewna można było z łatwością usłyszeć pomimo potwornego, monotonnego wycia wiatru.

Do tego dochodził deszcz. Wydawało się, że pada ze wszystkich stron – w dół, na boki, do góry, więc budynki zamokły od spodu. Zdarzały się długie chwile, kiedy nic się nie dało zobaczyć przez wielkie okna posterunku, bo woda lała się po nich strumieniami. Simon i ja czuliśmy podziw: fizyka i prawa natury połączyły się, żeby doprowadzić do tego niesamowitego i przerażającego momentu.

Jednak żaden z nas nie miał ochoty na świętowanie. Dwaj policjanci ze Slidell usiedli na kanapie i cicho płakali. Więźniowie i funkcjonariusze patrzyli na siebie bez wyrazu. Miejsowość, którą znali, zniknęła pod falami wiatru i wody. Nie mając żadnej możliwości skontaktowania się z bliskimi, wszyscy na posterunku niepokoiли się o rodziny i przyjaciół. Gdzie są? Czy żyją?

Ściana oka oddaliła się piętnaście minut po nadciągnięciu nad Slidell. Niebo pojaśniało i było teraz ciemnoszare, wiatr się uspokoił, zmieniając się w lekki powiew, a deszcz ustał. Simon i ja wiedzieliśmy, że jesteśmy w oku huraganu. Byliśmy jednak rozczarowani tym, że niewiele zobaczyliśmy – żadnych burz z piorunami szalejących w ścianach oka ani niebieskiego nieba w górze – bo okrągłe wcześniej, podręcznikowe oko Katriny uległo deformacji. Może do tego łatwo dojść, kiedy powstaje tarcie pomiędzy wiatrami huraganu a lądem albo kiedy huragan zaczyna tracić źródło napędu, jakim jest ciepła woda, lub jedno i drugie. Zdeformowane oko jest wskazówką, że huragan zboczył z kursu i słabnie, podobnie jak pociąg, który zaczyna wypadać z torów.

Ale to była Katrina. I wciąż szalała. Huragan przyniósł Slidell mnóstwo nieszczęść. Woda wokół nas podniosła się teraz do tego stopnia, że zniknęły wszystkie drzwi i okna na parterze sąsiednich budynków. Samochody

dryfowały popychane silnym prądem skierowanym w głąb lądu. Obserwowałem z balkonu okolicę przez obiektyw kamery wideo i widziałem ludzi na dachach domów. Inni uczepili się drzew. Wielu z nich krzychało o pomoc. Było jak na wojnie.

Odłożyłem kamerę i z trudem przełknąłem ślinę. Wiedziałem, że woda podniesie się jeszcze bardziej. Burza jeszcze się nie skończyła. Niektóre z tych ofiar nie przeżyją. To naprawdę było piekło.

– Jesteś łowcą burz, co? – zagadnął mnie stojący tuż obok mnie więzień mówiący z silnym luizjańskim akcentem.

– No tak – odpowiedziałem.

– Masz już burzę, której szukałeś? – zapytał.

Nie miałem pojęcia, co odpowiedzieć.

Emocjonalna huśtawka trwała w najlepsze.

W pewnej chwili Simon pokazał mi odczyt swojego ręcznego barometru – 930 hektopaskali, niesamowicie niskie ciśnienie, które można zaobserwować, i to rzadko, w oku gigantycznego huraganu – a w następnej zobaczyłem i więźniów, i gliniarzy niebezpiecznie zanurzających się w wody otaczające posterunek. Chcieli pomóc innym ofiarom.

– Musicie wrócić! – krzychał Simon z balkonu. – Jesteśmy w oku huraganu! Jeszcze nie jesteśmy bezpieczni! Burza się nie skończyła!

– Proszę, wróćcie! – krzyknąłem.

Wiedziałem, że wiele osób straciło życie podczas huraganów, kiedy ludzie błędnie uznali oko huraganu za koniec burzy. Gdy oko się przesunęło i burza powróciła, warunki pogorszyły się tak gwałtownie, że ludzie nie zdążyli ponownie się schronić.

– Warunki szybko się pogorszą! – krzyknąłem.

Przemoczeni do suchej nitki więźniowie i policjanci pomagali ludziom dostać się na łodzie do połowu okoni morskich. Zalane ulice były teraz

usiane tymi łodziami. Większością z nich kierowali mieszkańcy miasteczka.

– Proszę, znajdźcie sobie schronienie – mówiłem do przewoźników, którzy wysadzali całe rodziny na piętrze posterunku policji. Wielu z ocalałych płakało.

Gdy zobaczyłem, że znów nadciągają ciemne złowrogie chmury, zawołałem z balkonu, błagając, żeby wszyscy się schronili. Teraz także Simon i ja włączyliśmy się do akcji. Pomagaliśmy ludziom wysiadać z łodzi i patrzyliśmy, jak tłoczą się na piętrze posterunku. Kiedy usłyszałem, że wiatr zaczyna się wzmacniać, ponownie wyszedłem na balkon, żeby zobaczyć, czy nie ma jeszcze kogoś w wodzie w pobliżu budynku. Nie było nikogo, ale jestem pewien, że ludzie w potrzebie znajdowali się tuż za rogiem albo po prostu poza zasięgiem głosu.

Przerażający wiatr wiał teraz z zachodu i północnego zachodu, zaciekle atakując balkon. Przenieśliśmy się wszyscy w miejsce, gdzie nie było okien, i słuchaliśmy wycia wiatru oraz skrzypienia i zgrzytu poskręcanych kawałków blachy, które szybowały unoszone porywami wiatru, a w końcu owijały się wokół jakiejś przeszkody. Czekaliśmy w tamtym pomieszczeniu i wydawało nam się, że trwa to w nieskończoność. Gwarantuję, że każdy z obecnych zastanawiał się nad tym samym: czy posterunek policji w Slidell się rozpadnie.

Gdy dwadzieścia minut później nad Slidell ucichły wiatry huraganu Katrina, Simon i ja wiedzieliśmy, co musimy zrobić – pomóc ludziom najlepiej, jak potrafimy, a potem, w miarę możliwości, spróbować się ewakuować. Nasz pościg za burzą niewątpliwie dobiegł końca. Istniała cienka granica między byciem pomocnym a zawadzeniem – byciem ofiarami huraganu. Martwiliśmy się, że jesteśmy tymi ostatnimi.

Woda na zewnątrz chlupała teraz na wysokości podstawy balkonu na piętrze posterunku. Mówiło się o przeniesieniu wszystkich przebywających

w budynku na dach. Obok posterunku pojawiało się coraz więcej ludzi w łodziach rybackich.

Pomagaliśmy ofiarom wsiadać i wysiadać z łodzi, rozdaliśmy większość swojej żywności i przekazaliśmy policjantom z Slidell cały nasz huraganowy sprzęt ratunkowy, w tym piłę łańcuchową. Gdy kilku gliniarzy szukających wyżej położonego miejsca, w którym chcieli założyć stanowisko dowodzenia, wsiadło do dużej łodzi rybackiej, Simon i ja zapytaliśmy, czy znajdzie się miejsce jeszcze dla dwóch osób. Kierujący łodzią zgodził się nas podzucić.

Była to dziwna podróż. Łódź pyrkała, płynąc przez trzydzieści minut na północ, a my praktycznie schylaliśmy głowy pod światłami ulicznymi w Slidell, które niedawno wisiały wysoko nad skrzyżowaniami. Dzięki ogromnemu przypiłowowi sztormowemu mogliśmy dosięgnąć i dotknąć przewodów elektrycznych.

Policjanci chcieli nas zabrać do położonego wyżej budynku władz miejskich, gdzie, jak sądzili, mogli się zgromadzić wysiedleńcy, ale gdy zatrzymaliśmy się na chwilę przy biegnących po wysokim nasypie torach kolejowych, które były sporo nad wodą i prowadziły na północ, wymieniliśmy z Simonem porozumiewawcze spojrzenia.

– Wsiądziemy tutaj – powiedziałem do policjanta ubranego w kamizelkę ratunkową we wzory maskujące, po czym szybko złapaliśmy nasze worki marynarskie i worki na śmieci.

– Nie możecie stąd odejść – powiedział. – Nie macie pojęcia, co was czeka.

– Nic nam nie będzie – odparłem i pomyślałem, że nie mam również pojęcia, co nas czeka w jakimś zmontowanym naprędcie ośrodku dla uchodźców. Postanowiłem, że spróbujemy szczęścia, idąc torami kolejowymi.

Podziękowaliśmy policjantom wylewnie, a potem ruszyliśmy w drogę, przełaząc przez powalone drzewa i podskakując przy każdym najmniejszym dźwięku dochodzącym z wód powodziowych otaczających nas w promieniu 8 kilometrów. Przysięgam, że w każdym momencie spędzonym na tamtych torach spodziewaliśmy się, że z wody wyskoczy coś złowrogiego.

Nic takiego się nie zdarzyło, za to natrafiliśmy na suchy beton autostrady międzystanowej numer 12. Od Norman wciąż dzieliły nas dwadzieścia cztery godziny drogi. Musieliśmy iść, jechać autostopem i w końcu wynająć samochód, zanim dotarliśmy do domu, ale Katrina spuściła już z tonu. Nie byliśmy dłużej zdani na łaskę wody czy wiatru, jednak prawdziwe konsekwencje tamtej burzy nie były znane jeszcze przez dłuższy czas.

„Masz już burzę, której szukałeś?”

Słowa tamtego więźnia ze Slidell dzwoniły mi w głowie tygodniami. W następstwie przerażającej i dobrze udokumentowanej tragedii, jaką była Katrina – aż 100 miliardów dolarów strat, ponad 1800 ofiar śmiertelnych i Nowy Orlean bliski unicestwienia – nie byłem jedyną osobą, która kwestionowała słusność ścigania przez nas huraganu. Społeczność łowców burz natychmiast zaatakowała naszą postawę. Co, u diabła, pytałem wciąż samego siebie, wynieśliśmy z tych zwariowanych przeżyć? Czego szukaliśmy z Simonem w Luizjanie? Po raz pierwszy w całej swojej karierze łowcy burz czułem żal.

Nie byliśmy w domu jeszcze na tyle długo, żeby rozpakować worki na śmieci po podróży na południe, kiedy do Rogera Edwardsa, meteorologa od dawna zajmującego się gwałtowną pogodą i jednego z najbardziej konserwatywnych, wypowiadających się bez ogródek członków

społeczności łowców burz, dotarły jakieś niejasne szczegóły naszej wyprawy.

31 sierpnia, zaledwie dwa dni po uderzeniu Katriny, Edwards publicznie skrytykował nasz wyjazd do Luizjany.

„Jakie to haniebne i smutne, że poszukujący dreszczyku amatorzy »ekstremalnego wideo« wprowadzają tak złą reputację i chciwość do mojego ukochanego hobby – napisał. – To jest jątrząca się rana na obliczu łowienia burz”.

W dalszej części artykułu Edwards wyraził również złość, że na uratowanie Simona i mnie poszły pieniądze z jego podatków.

Po kilkakrotnym przeczytaniu przemyśleń Edwardsa na ekranie swojego komputera w domu w Norman znów zadałem sobie pytanie: dlaczego tam pojechałem? Jaki to miało sens? Czy byłem tylko jakimś beznadziejnym egoistą uzależnionym od adrenaliny? Czy naprawdę kierowałem się jedynie chciwością? Czy byłem czołowym przedstawicielem nastawionych na zysk pogodowych paparazzich?

Z pewnością nie pojechaliliśmy do Luizjany po to, żeby wchodzić w drogę policji, marnować pieniądze podatników ani próbować wykorzystać tragedię dla własnych celów. Gdy patrzyłem na cierpienia innych ludzi spowodowane huraganem, robiło mi się niedobrze, jak zawsze w takich razach. Simon i ja ścigaliśmy Katrinę, żeby się przekonać, jak niesamowite i intensywne mogą być zjawiska atmosferyczne.

Jednak po przyjeździe bardzo szybko doszliśmy do wniosku, że większość zwykłych ludzi niewiele wie o tym, do czego zdolna jest pogoda. Zjawiska atmosferyczne mogą być naprawdę bardzo intensywne. Simon i ja byliśmy zaszokowani, przekonując się na każdym kroku, że wiele ofiar Katriny nic nie wie o potędze pogody. Nie twierdzą, że zwykli ludzie powinni poznawać takie terminy jak „superkomórka” czy „mezocyklon”.

Nie muszą się uczyć na pamięć skali wiatrów huraganowych Saffira-Simpsona. Zostawmy te terminy naukowcom i nam, pogodowym maniakom, jednak naprawdę uważam, że więcej ludzi powinno umieć rozpoznawać stan nieba i formacje chmur, bo to służy za ostrzeżenie przed nadejściem potencjalnie niebezpiecznej pogody. Myślę również, że podstawowe informacje na temat huraganów powinny być bardziej dostępne. Dzięki temu jeśli ktoś zostanie zaskoczony przez jeden z nich, nie będzie się błąkał na zewnątrz, gdy znajdzie się w oku huraganu, co może mieć tragiczne skutki. No i czy każdy, kto mieszka gdzieś, gdzie występują gwałtowne zjawiska meteorologiczne, nie powinien mieć radia pogodowego za 20 dolarów i zostać przeszkolony, kiedy należałoby je włączyć? To jedne z wielu refleksji, które przyszły mi do głowy w następstwie przejścia Katriny.

W Luizjanie szukałem także czegoś innego. W końcu to coś znalazło mnie.

Stojąc na balkonie posterunku policji w Slidell i patrząc na całą tę wodę napływającą w moją stronę, zastanawiałem się – dosłownie – co może się stać z naszym światem.

Trwający od lipca do listopada 2005 roku sezon huraganów na Atlantyku wyzwolił niesamowite zasoby energii, zanim jeszcze powstała Katrina. Na początku lipca huragan Cindy spowodował powódź w Alabamie. Kilka dni później huragan Dennis uderzył w północno-zachodnią część Florydy i okazał się najsilniejszym atlantyckim huraganem, jaki kiedykolwiek odnotowano w lipcu (niewiarygodnie niskie ciśnienie w oku huraganu wynosiło zaledwie 930 hektopaskali). Huragan Emily, który uformował się 11 lipca, był najwcześniejszym atlantyckim huraganem kategorii 5 wszech czasów. Po przejściu czterech burz tropikalnych i jeszcze jednego huraganu powstała Katrina, wylęgając się

i nasilając z niewiarygodną szybkością nad wyjątkowo ciepłą Zatoką Meksykańską. W sezonie 2005 na Atlantyku pojawiło się więcej huraganów kategorii 5 – w tym Rita, która omal nie uderzyła po raz drugi w Nowy Orlean – niż w jakimkolwiek innym do tej pory.

Apokaliptyczne warunki atmosferyczne, które zarówno poprzedzały Katrinę, jak i były jej następstwem, prawdopodobnie można częściowo wyjaśnić schematami burz powtarzającymi się w trwających dziesięciolecia cyklach, ale częstotliwość i intensywność huraganów były zapewne spowodowane również ciepłą wodą – podobną do tej, którą przez kilka lat analizowałem na studiach magisterskich, prowadząc dla doktora Lamba badania przypadków wzrostu temperatury powierzchni oceanu.

Patrząc, jak Slidell dosłownie tonie, zastanawiałem się, czy globalne ocieplenie rzeczywiście powoduje coraz większy wzrost temperatury wody w oceanach – wody, która mogłaby zmienić od dawna ustalone schematy pogodowe. Jak już powiedziałem wcześniej, ciepła woda oceanów jest jednym z głównych elementów huraganu.

Bynajmniej nie byłem odosobniony w tych myślach. Już w 2005 roku wielu klimatologów i innych naukowców, znacznie inteligentniejszych i bardziej doświadczonych niż ja, doszło do podobnych wniosków. Modele globalnego ocieplenia klimatu pokazywały, że jeśli będzie ono trwało nadal, możemy się spodziewać znacznie więcej potężnych huraganów takich jak Katrina.

Po upływie pięciu lat czołowi badacze są bardziej niż kiedykolwiek przekonani, że istnieje związek pomiędzy wyższymi temperaturami na naszej planecie a gwałtownością burz. Na początku 2010 roku grupa ekspertów ze Światowej Organizacji Meteorologicznej zredagowała studium, w którym przewiduje, że zmiany klimatu będą miały w następnych latach poważny wpływ na zmieniające się schematy burz, a w

związku z tym na huragany. Według tego studium do końca obecnego stulecia liczba huraganów zmniejszy się o jedną trzecią, lecz pozostałe burze będą się charakteryzowały wiatrami wiejącymi z prędkością większą nawet o 11 procent. Większa o 11 procent prędkość wiatrów, twierdzi jeden ze współautorów dokumentu, przekłada się na większe o mniej więcej 60 procent zniszczenia. To przerażające liczby.

Inni klimatolodzy wysuwają teorie, mówiące, że globalne ocieplenie może mieć ogromny wpływ na gwałtowne zjawiska pogodowe i stanowić zagrożenie dla ludzi na całym świecie. Kraje takie jak Bangladesz i Filipiny, gdzie systemy ostrzegania przed gwałtowną pogodą są kiepskie albo w ogóle nie istnieją, mogą zostać poważnie dotknięte przez nasilające się tajfuny czy cyklony tropikalne przypominające huragany. (Wyobraźcie sobie burzę jeszcze gorszą od cyklonu kategorii 5, który w 1991 roku nawiedził Bangladesz, zabijając podobno ponad 138 000 osób). Niektórzy eksperci twierdzą, że silne tornada mogą się pojawiać w zimie na Florydzie, a sezon burzowy na Alei Tornad może się drastycznie wydłużyć. Pewien profesor meteorologii z Massachusetts Institute of Technology ukuł nawet termin „hiperkan” i stworzył teorię, zgodnie z którą temperatura wody w oceanach przekraczająca 40 stopni Celsjusza oraz splot pewnych mało prawdopodobnych zjawisk mogłyby doprowadzić do powstania swego rodzaju superhuraganu z wiatrami wiejącym z prędkością 800 kilometrów na godzinę.

Mogę powiedzieć, że Katrina zaatakowała mnie wiatrem, który tylko sprawiał wrażenie, jakby wiał 800 kilometrów na godzinę. Przeżyłem naprawdę przerażające i smutne chwile podczas tej niewątpliwie jednej z najgwałtowniejszych burz za mojego życia. Z perspektywy czasu uważam, że w zetknięciu się z siłą Katriny nie chodziło o dreszczyk emocji

ani o bliższe zapoznanie się z gwałtowną pogodą, którą tak kocham.
Chodziło o zerknięcie w meteorologiczną przyszłość.

ROZDZIAŁ 8

Łowienie burz z myślą o publiczności

Nieudany pościg za tornadem 5 maja 2006 roku był jedną z najlepszych rzeczy, jakie mi się kiedykolwiek przydarzyły. Wyruszyłem do północno-zachodniego Teksasu z Joelem i trzema innymi osobami. Jadąc białym SUV-em Joela, pomyślałem, że wybraliśmy idealne miejsce, tuż na wschód od przemieszczającej się na północny wschód superkomórki, która miała wygląd klasycznego „stosu naleśników”, to znaczy składała się z wielu poziomych warstw kondensacji tworzących coś, co bardzo przypomina wiszące na niebie naleśniki.

Zobaczyliśmy charakterystyczną wirującą chmurę stropową, a wysoko w górze lej, tysiące metrów nad ziemią. Jednak z tych chmur miało się wyłonić coś jeszcze oprócz tornada, a ja z kolei miałem zrobić coś, czego wcześniej prawie nie robiłem. Otóż skierowałem kamerę wideo na łowców burz zamiast na to, co ścigaliśmy. 5 maja postanowiłem skupić się na dramacie, niezależnie od tego, czy pochodził z atmosfery, czy skądinąd. Nie pożałowałem tej decyzji.

– Spójrzcie na to przejaśnienie – powiedziałem, przekrzywiając głowę, żeby popatrzeć przez przednią szybę do góry, na szczelinę w chmurze burzowej w miejscu, gdzie wiatry niosące wilgoć wiały w dół i wokół mezocyklonu.

Siedziałem na przednim siedzeniu pasażera w stojącym na jałowym biegu samochodzie. Zatrzymaliśmy się na skraju utwardzonej polnej drogi, kawałek na wschód od granicy Teksasu z Nowym Meksykiem.

Widziałem taką strukturę chmur już setki razy, ale dzisiaj był jeden z tych dni, kiedy wydawało mi się, że widzę tego rodzaju burzę po raz pierwszy w życiu. Śnieżnobiałe chmury, które sprawiały wrażenie, jakby nasuwały się jedne na drugie, wyglądały przepięknie. Ich symetria była imponująca. Obracały się wokół mezocyklonu niczym sprawnie działający mechanizm, a cała burza wyglądała tak, jakby została wykonana ręcznie. To była perfekcyjna maszyna do produkcji tornad.

Z unoszącej się w powietrzu chmury burzowej zwieszały się liczne chmury w kształcie wymion, a każda z nich mogła stanowić początek tornada. Niesamowicie intensywne tego dnia uskoki wiatru z pewnością wskazywały na to, że warunki atmosferyczne mogą być wybuchowe.

– Jeśli z tej burzy nie będzie tornada, to już nie wiem z jakiej – powiedziałem beztróska i wkrótce dostałem odpowiedź na własną zagadkę.

Wyglądało na to, że czeka nas potężne gradobicie.

Tej informacji udzielił mi komputer. Od pościgu za huraganem Katrina w poprzednim roku znacznie unowocześniłem swoją elektronikę. O ile tamtą burzę tropiłem z laptopem, który łączył się z internetem wszędzie tam, gdzie mogłem znaleźć sygnał WiFi, o tyle teraz miałem urządzenie do nawigacji satelitarnej (GPS) działające w jakimkolwiek samochodzie, którym się poruszałem, ścigając burze. Urządzenie przekazywało precyzyjne dane dotyczące mojej pozycji geograficznej wprost do komputera, a specjalna karta rozszerzeń umożliwiała mi połączenie z internetem wszędzie tam, gdzie dysponowałem dobrym sygnałem telefonii komórkowej. Te udoskonalenia techniczne niesamowicie zwiększyły moje możliwości śledzenia ściganych burz oraz odnajdywania dróg i tras podczas pościgu. Większość poważnych łowców burz miała teraz podobne urządzenia.

Na szczęście w pobliżu maleńkiej miejscowości Seminole w północno-zachodnim Teksasie miałem bardzo mocny sygnał. Duży zielony trójkąt jarzący się na radarowej mapie na ekranie mojego laptopa oznaczał więcej niż 50 procent szans, że burza spowoduje gwałtowne opady gradu. Radar wskazywał, że grad może spaść dokładnie w naszej okolicy.

– Być może będziemy mieli trochę gradu – ostrzegłem wszystkich siedzących w samochodzie.

– Jakie prawdopodobieństwo? Jakiego rodzaju grad? – zapytał Joel z obawą w głosie.

Siedział za kierownicą. Troje moich przyjaciół z Uniwersytetu Reading – przyjechali z Wielkiej Brytanii – siedziało z tyłu. Wszystkich zaniepokoiła ta wiadomość. Grad budził mieszane uczucia – obserwowanie go i słuchanie, jak bębni w dach samochodu, było ekscytujące, ale z drugiej strony mógł narzucić żółwie tempo pościgu. Według najgorszego z możliwych scenariuszy ogromny grad mógł zabijać zwierzęta gospodarskie, wybijać dziury w dachach domów i strącać małe samoloty. Grad niszczył również pojazdy.

Czy to niespodzianka, że ja osobiście lubię gigantyczne gradobicia? Uważałem, że dla łowcy burz są rytuałem inicjacji. Oczywiście byłem przekonany, że jeżdżenie samochodem uszkodzonym przez grad powinno być powodem do dumy.

– Powiedziałbym, że są bardzo duże szanse na gwałtowny grad – odparłem, kiwając głową z uśmiechem, a potem poniosłem wzrok i znów popatrzyłem na burzę.

Nadal nie było żadnego tornada, ale teraz burza się przemieściła. Zmierzała wprost na nas.

Joel wrzucił pierwszy bieg.

– Chcę się znaleźć trochę dalej przed tą burzą – powiedział, wyjeżdżając na pustą drogę i kierując się w głąb Teksasu.

Niemal natychmiast usłyszeliśmy głucho uderzenie w dach SUV-a. Potem następne i następne. W samochód uderzyło kilka kulek gradu. Było ich stosunkowo niewiele i padały z rzadka, ale za to były gigantyczne – wielkości piłek softballowych³.

– Hm, przednia szyba – powiedziałem i zanim się zorientowałem, kolejna ogromna kula gradu uderzyła w górną część przedniej szyby samochodu Joela, zostawiając na szkle duże pęknięcie w kształcie tarczy strzeleckiej.

– Już po niej – powiedziała z brytyjskim akcentem Sarah, jedna z trójki moich angielskich przyjaciół.

Grad znów zabębnił w samochód. Uderzenia brzmiały tak, jakby ktoś stał na dachu SUV-a i okładał go młotem kowalskim. Ten łomot był równocześnie emocjonujący i straszny. Joel wyglądał na zrezygnowanego, jak ktoś, kto już widzi wysoki rachunek za naprawę.

– Są ogromne – powiedziałem i wszyscy się wzdrygnęliśmy, gdy na dach spadło jeszcze więcej gradu.

– Au! Och! Ooooo! – usłyszałem z tylnego siedzenia.

– Spróbujmy się stąd wydostać – powiedziałem.

Joel nadal jechał – choć z wahaniem – płaską, prostą drogą. Przed sobą mieliśmy błękitne niebo, ale nad nami wciąż szalała burza.

Grad nie był niespodzianką. Jest dość powszechny podczas burz superkomórkowych: prąd wstępujący wewnątrz chmury burzowej niesie ze sobą miliony kropelek wody, które ochładzają się podczas wznoszenia się w coraz zimniejszym powietrzu. W rzeczywistości kropelki wody ulegają „przechłodzeniu”, czyli pozostają w stanie ciekłym nawet w temperaturze poniżej zera. Czasami te przechłodzone kropelki zderzają się wysoko

w chmurze burzowej z drobinkami lodu i natychmiast przywierają do nich i przymarzają. Te małe kawałeczki lodu w końcu opadają pod własnym ciężarem, ale mogą przebyć tylko część drogi powrotnej w dół przez chmurę burzową, ponieważ prąd wstępujący ponownie wypycha je do góry, gdzie znów mogą się zderzyć z następnymi przechłodzonymi kropelkami wody i nabrać większych rozmiarów. Jeśli ten cykl powtórzy się wystarczająco wiele razy – tak jak wtedy gdy prądy wstępujące poruszają się z prędkością stu kilkudziesięciu kilometrów na godzinę albo jeszcze szybciej – kulki gradu mogą urosnąć do rozmiarów piłek softballowych, a nawet bardziej. Łowcy burz na ogół starają się unikać silnego gradu.

Jednak tamtego dnia nie daliśmy rady przed nim uciec. Patrząc przez popękaną przednią szybę, widziałem, jak wirujący mezocyklon z całej siły wymiata wielkie ilości gradu z jednej strony chmury burzowej, niczym jakiś sfiksowany automat treningowy do wyrzucania piłek baseballowych. Grad bębnił w drogę i ciskał wielkie kawałki wyrwanej darni w otaczające nas teksaskie błoto.

Kolejna kula gradu walnęła w przednią szybę tuż przy jej podstawie, zaraz przed kierownicą. W samochodzie zaczęły wirować kawałki czegoś.

– To szkło – powiedziałem i teraz nawet ja zaniepokoiłem się tą sytuacją.

Joel zjechał na pobocze. Prowadzenie było zbyt uciążliwe, bo burza dosłownie okładała nas lodowatymi pięściami. Nie mieliśmy wyboru. Musieliśmy przetrzymać to lanie.

– Zamknijcie oczy! – krzyknąłem. – Miejcie zamknięte oczy! Osłońcie oczy!

Jak było do przewidzenia, sam nie zastosowałem się do swojej rady. Nadal miałem oko przylepione do wizjera kamery wideo. Od rejestrowania gradu padającego na zewnątrz samochodu przeszedłem do nagrywania

ciekawszej historii, która rozgrywała się wewnątrz. Sfilmowałem zniszczenie przedniej szyby. Napięty wyraz twarzy kolegów. Koce, które zarzucili sobie na głowy.

Z tyłu SUV-a dał się słyszeć straszny trzask, więc skierowałem kamerę w kierunku tego odgłosu.

– O Boże! – wykrzyknął Martin, inny z moich angielskich przyjaciół.

– Jakie straty? – zapytałem i zaraz dostrzegłem wielką dziurę wybitą przez kulę gradu w jednym z bocznych tylnych okien SUV-a

– Martin, kask rowerowy! – zawołałem i Martin włożył go na głowę.

Zapakowaliśmy kask rowerowy dla ochrony, na wypadek gdyby ktoś chciał go nosić, łażąc wokół samochodu podczas gradobicia. Nigdy nie myślałem, że przyda nam się w środku.

Sfilmowałem innego z przyjaciół, Bena, niepewnie wyglądającego spod koca. Martin uniósł do góry dłoń, która była pokryta drobnymi skaleczeniami spowodowanymi fruwającym szkłem.

Potem skierowałem kamerę na siebie.

– Sytuacja jest tu bardzo niebezpieczna – powiedziałem w stronę obiektywu, podczas gdy niesamowicie długa i gwałtowna burza gradowa wciąż bombardowała samochód. W tle kule gradu odbijały się od pobliskiego teksaskiego szybu naftowego.

Kiedy w końcu gradobicie osłabło, nakręciłem kilka ujęć samochodu Joela. Był zniszczony. Przednia szyba popękała w kilku miejscach, a tamto tylne okno zupełnie wypadło. Zamontowane na drzwiach lustro boczne zostało niemal oderwane. Cała karoseria miała wgniecenia. Jakimś cudem wysiadła też klimatyzacja. Nigdy nie widziałem samochodu tak bardzo zniszczonego przez grad.

Ledwie wyruszyliśmy w siedmiogodzinną drogę powrotną do domu, zadzwoniłem do paru sieci telewizyjnych. Reklamując swój materiał,

wcisnąłem realizatorom niespodziewany bajer.

– Nie, nie tornado – powiedziałem realizatorce z CBS News. – To jest nagranie najgwałtowniejszego gradobicia, jakie kiedykolwiek widziałas. Ogromne kawałki lodu. Jest także dramat – my oblężeni w samochodzie. W powietrzu fruwa szkło. Myślisz, że to mogłoby cię zainteresować?

Nie miałem pojęcia, czy to wypali, ale jak zwykle potrzebowałem gotówki.

Realizatorka powiedziała, że jest zainteresowana.

Zanim Joel zatrzymał swoje zdezelowane auto na parkingu motelu w Lubbock, zdążyłem przegrać film z kamery wideo do laptopa i zmontować przygody tamtego dnia w postaci krótkiego klipu. Miał początek (nadzieja na zaobserwowanie tornada), rozwinięcie (szalone gradobicie) i zakończenie (nasze przetrwanie i bliska destrukcji samochód Joela). Nie udawałem, że mam się za Quentina Tarantino czy Francisca Forda Coppolę, ale zmontowałem coś więcej niż wideo z pościgu za burzą. Miałem opowieść o łowcach burz.

Z parkingu przy motelu w Lubbock przesłałem ten klip do serwera sieciowego, na którym była także moja strona internetowa. Potem wysłałem zainteresowanym realizatorom maila, dzięki któremu uzyskali dostęp do filmu. Tylko kilka kliknięć myszką dzieliło ich od obejrzenia i, miejmy nadzieję, kupienia mojego wideo. Na zawsze odeszły czasy wpychania ćwierćdolarówek do automatów telefonicznych, zatrzymywania się po zakończeniu pościgu w oddziałach sieci telewizyjnych w dziurach zabitych dechami, szukania wozów transmisyjnych w najbardziej odludnych okolicach Alei Tornad. Teraz jedyną rzeczą, jakiej potrzebowałem, żeby udostępnić film z pościgu za burzą niemal każdej osobie na świecie, było połączenie WiFi. Oczywiście wszyscy inni, liczni i podobnie wyposażeni łowcy burz też potrzebowali tylko tego. Taki postęp techniczny

doprowadził w następnych latach do nasycenia rynku w branży filmów wideo o gwałtownych zjawiskach meteorologicznych, bo tysiące ludzi próbowało sprzedać swój materiał.

Jednak tamtego majowego dnia 2006 roku w zachodnim Teksasie byłem dumny, że tak szybko wpadłem na ten pomysł. Wziąłem grad i zmieniłem go w złoto. Miałem jeszcze inną niesamowitą przygodę podczas pewnej burzy, dzięki czemu zainkasowałem trochę pieniędzy dla siebie i dla Joela (biedak miał tylko ten jeden, pokierszowany samochód). Poza tym zrozumiałem, że wideo z pościgu za burzą nie musi być zawsze o burzy, a w każdym razie nie zawsze wyłącznie o niej. Film mógł pokazywać ludzi, którzy zajmują się łowieniem burz, oraz to, w jaki sposób odnoszą się do pogody i do siebie nawzajem. Dramatyzm mógł się opierać na klasycznym zmaganiu się człowieka z przyrodą, a wokół tego, w pewnym sensie, obracało się moje życie.

Nie zasługuję na wszystkie wyrazy uznania za swoje objawienie. Zaledwie kilka dni przed wyjazdem do zachodniego Teksasu z Joelem i brytyjskimi znajomymi obejrzałem godzinny film dokumentalny o Joelu, o mnie i o naszych przygodach podczas łowienia burz nakręcony przez naszego przyjaciela. Ten film uświadomił mi, że być może moja szalona obsesja na punkcie łowienia burz jest prawie tak zajmująca jak kręcony przeze mnie materiał o tornadach.

W 2002 roku mój przyjaciel – magistrant, łowca burz i obiecujący filmowiec – Ken Cole zwrócił się do Joela i do mnie z pytaniem, czy mógłby dokumentować nasz sezon łowienia burz 2003 w ramach projektu filmowego. Odpowiedzieliśmy, że oczywiście. Wcześniej wszyscy uzyskaliśmy w tym samym czasie licencjat z meteorologii, ale potem Ken doszedł do wniosku, że chce zrobić magisterium z komunikacji i kręcić filmy. Joel i ja chcieliśmy pomóc kumplowi i uznaliśmy, że obecność Kena

z kamerą nie będzie stanowiła żadnego problemu. Zresztą nie wiedzieliśmy, że okaże się tak dobrym filmowcem.

Początkowo jego obecność była irytująca. Za każdym razem, kiedy Joel i ja odwracaliśmy się, żeby spojrzeć w niebo, pojawiał się Ken z kamerą. Filmował nas podczas pościgu za burzą. Filmował nas, gdy z podnieceniem wskazywaliśmy na chmury. Filmował nas przy jedzeniu. Filmował nas, gdy wstawaliśmy z łóżek. Filmował nas, gdy się kłóciliśmy.

Kiedy już przywykliśmy do Kena i do kamery, sezon 2003 dobiegł końca. Ken posuwał się za nami jak cień po całej Alei Tornad i przeprowadził liczne wywiady z konserwatywnymi łowcami burz, którym nie podobał się mój agresywny styl działania. Zgromadził też sporo materiałów na temat mojej przyjaźni z Joelem, wypytując nas w nieskończoność, jak to jest, że tak często ścigamy razem burze i w dalszym ciągu żyjemy w zgodzie.

Potem Ken zniknął. Spędził wiele miesięcy, zajmując się montażem setek godzin zarejestrowanych przez siebie nagrań wideo, i w lipcu 2004 roku pokazał siedemdziesięciopięciominutową wersję swojego filmu, który nazwał *Tornado Glory*, na kampusie OU przy pełnej widowni. Oglądanie siebie na dużym ekranie, jak wrzeszczę na niebo, biegając tam i z powrotem wzdłuż pustych polnych dróg, było dziwne i dość krępujące. (Wciąż zadawałem sobie pytanie: czy ja rzeczywiście zachowuję się w ten sposób?) Jednak widzowie z uwagą obejrzelili film, który kompletnie się różnił od hollywoodzkiego przeboju kasowego *Twister*: nastrojowy dokument przedstawiał Joela i mnie ścigających burze, świętujących wyjątkowo udane pościgi, sprzecających się, rozczarowanych przekleństwem błękitnego nieba i przybitych, kiedy tornada doprowadzały do tragedii. Po zakończeniu projekcji ludzie bili brawo i podchodzili do

Joela i do mnie, żeby zadawać nam pytania. Chcieli się dowiedzieć czegoś o burzach i o tym, jak naprawdę wygląda życie łowców burz.

Potem Ken pokazał swój dokument na festiwalach filmowych w Las Vegas i Los Angeles. Na początku 2006 roku zaoferował jedną z wersji filmu oddziałowi PBS w Oklahoma City. Trzydzieści godzin później realizatorzy zadzwonili do niego z informacją, że chcą wyemitować jego film. Dwa dni przed tym, jak grad zbombardował Joela i mnie w zachodnim Teksasie, godzinna wersja *Tornado Glory* została nadana przez publiczną stację telewizyjną KOED z Oklahomy. Kilka miesięcy później dokument zyskał ogólnokrajowy rozgłos, bo był wyświetlany przez stacje PBS w całych Stanach Zjednoczonych i cieszył się dużą oglądalnością.

Ken nie wzbogacił się dzięki *Tornado Glory*, ale ten film otworzył przed nim drzwi do telewizji i dał mu szansę eksperymentowania z innymi rodzajami filmów. Mnie natomiast uznanie krytyków dla *Tornado Glory* dało do myślenia. Przyszło mi do głowy, że może powinienem rozwijać prawdziwą karierę łowcy burz, stawiając siebie – a nie tylko innych łowców – przed kamerą. Najwyraźniej ludzi interesował facet, który uważał, że nigdy nie jest zbyt blisko meteorologicznego chaosu.

Nie byłem odosobniony w takim myśleniu. W lecie 2006 roku, które okazało się potwornie nudnym sezonem łowienia burz, dostałem telefon od pewnej realizatorki z wytwórni filmowej Natural History New Zealand (NHNZ). Ta międzynarodowa firma produkowała programy i sprzedawała je wielu stacjom telewizyjnym. W przeszłości zdarzało mi się sprzedawać NHNZ swój materiał filmowy o tornadach.

Jednak realizatorka z NHNZ, która do mnie zadzwoniła, nie szukała filmów wideo o burzach. Powiedziała mi, że Weather Channel chce mieć w swojej ramówce program o łowcach burz i poprosił producentów filmowych takich jak NHNZ o przedstawienie programów pilotażowych do

oceny. Czy Joel i ja, zapytała realizatorka, bylibyśmy zainteresowani nakręceniem takiego programu pilotażowego?

Bez wahania odpowiedziałem za nas obu: tak. Potem zadzwoniłem do Joela i przekazałem mu wiadomość.

– Będziemy mieli własny program? Ktoś nam będzie płacił za łowienie burz? – zapytał wyraźnie podekscytowany. – Uwzględnię to w swoim harmonogramie.

Gdy ponownie rozmawiałem z realizatorką z NHNZ, powiedziała, że wkrótce wyśle do nas samolotem kamerzystę, który będzie nas filmował podczas pościgu za burzami.

Wyjaśniłem jej, że to wcale nie jest takie proste.

– Mamy lato – powiedziałem jej. – O tej porze roku prądy strumieniowe, które przyczyniają się do powstawania tornad, odsuwają się na północ, poza Aleję Tornad. Tu nie ma czego łowić.

Nie wykazała zrozumienia.

– Znajdźcie coś – powiedziała.

Niemal co godzinę przetrząsaliśmy z Joelem internet w poszukiwaniu modeli synoptycznych.

– Wkrótce zobaczymy coś w Dakocie Północnej albo Południowej – powiedziałem mu przez telefon któregoś dnia na początku sierpnia. – Przyzwoita temperatura. Uskok wiatru. Punkt rosy powinien być wysoki, w okolicy 24 stopni Celsjusza.

Nie wiedzieliśmy, czy wysoko w górze będzie dość zimnego powietrza, żeby burze mogły się w pełni rozwinąć, ale też nie mieliśmy wielkiego wyboru.

Kilka dni później z kamerzystą na pokładzie wyjechaliśmy po ciemku z Norman, kierując się do miejsca docelowego na wschodzie Dakoty

Południowej i zatrzymując się niewiele częściej niż do zatankowania paliwa i kofeiny oraz zakupu hot dogów w całodobowych sklepikach.

– Zawsze się tak odżywiacie, chłopaki? – zapytał kamerzysta, gadatliwy facet z Kalifornii. Siedział na tylnym siedzeniu nowego czerwonego pick-upa Joela i wpatrywał się w środek swojego niedojedzonego hot doga. – To jest paskudne.

Ten wyjazd cofnął nas z Joelem wprost do czasów, kiedy ścigaliśmy burze z Kenem. Odpowiadaliśmy na tysiące pytań kamerzysty i czasami dwa czy trzy razy powtarzaliśmy to samo do kamery.

– Czy możecie jeszcze raz posprzeczać się dla mnie o to coś z CAPE, ale nie patrząc w kamerę? – poprosił, gdy jechaliśmy autostradą międzystanową numer 29 przez wschodnią Nebraskę.

Niestety, CAPE, uskok wiatru i jeszcze kilka składników, których potrzebowaliśmy, żeby powstało tornado, porzuciły nas tamtego dnia. Kiedy wciąż brakowało nam kilku godzin do miejsca docelowego, wyświetliłem model RUC – RUC to skrót od „rapid update cycle” (cykl szybkiej prognozy), a model jest dostępny na rządowym portalu synoptycznym – na ekranie laptopa.

– Wartości CAPE są wysokie, ale jest cap – powiedziałem, mając na myśli warstwę stabilnego powietrza, która jeśli się pojawi, działa jak pokrywka i może powstrzymać rozwój burzy.

– RUC zawsze zawyża wilgoć – powiedział z westchnieniem Joel zza kierownicy.

Wyprawa do Dakoty Południowej okazała się przekleństwem błękitnego nieba, ale Joel i ja uznaliśmy, że dotarliśmy za daleko, żeby się poddać. Następnego dnia pojechaliśmy jeszcze 740 kilometrów na północ, bo wydawało się, że wokół Winnipeg są przyzwoite warunki sprzyjające nagłemu pojawieniu się gwałtownej pogody.

Niewiele wiedzieliśmy o łowieniu burz w Kanadzie poza tym, że niektóre tereny w tym kraju i panująca tam pogoda bardzo sprzyjają powstawaniu gwałtownych zjawisk meteorologicznych. Kanadyjskie prerie mają wiele cech typowych dla Alei Tornad – potężny łańcuch górski na zachodzie (kanadyjskie Góry Skaliste), zdolny do dostarczania zimnego, suchego powietrza na wschodnie równiny, wilgotne powietrze usytuowane w środkowej części kraju oraz ciepłe powietrze napływające z południa. Prawdę mówiąc, kanadyjskie prerie są pod pewnymi względami równie dobrym, a może nawet lepszym miejscem niż Aleja Tornad do śledzenia gwałtownych zjawisk pogodowych. Podczas kanadyjskiego lata jest wystarczająco dużo dziennego światła, żeby dało się ścigać burze niemal do północy. Sieć dróg jest znośna, zamglenia są niewielkie i nie ma zbyt wielu łowców burz – garstka zapaleńców skupia się chyba w rejonie Manitoby. Łowienie burz jest dziedziną powstałą i rozwijającą się w Stanach Zjednoczonych, która jak dotąd dopiero raczkuje w kilku innych częściach świata.

Zważywszy na potencjał Kanady, można się zastanawiać, dlaczego amerykańscy łowcy burz nie ruszyli masowo na północ. Istnieją pewne obiektywne przeszkody utrudniające ściganie burz w tym kraju. Jedną z nich są odległości, które trzeba pokonać – nie wszyscy mają ochotę jechać 1500 kilometrów do obszaru docelowego, niezależnie od tego, jak wspaniały jest układ pogodowy. Poza tym kanadyjska infrastruktura radarowa pozostaje daleko w tyle za infrastrukturą radarową w Stanach Zjednoczonych. Różne techniki sporządzania map i prognozowania pogody dla Kanady są wykorzystywane w ograniczonym stopniu, a stawki za korzystanie z telefonów komórkowych dla łowców burz ze Stanów Zjednoczonych gwałtownie rosną, gdy tylko przekroczą oni północną granicę swojego kraju. Łowienie burz w Kanadzie przypomina trochę

czasy, kiedy nie mieliśmy dostępu do sieci. Trzeba bez przerwy obserwować niebo.

Dla Joela, kamerzysty NHNZ i dla mnie kanadyjskie niebo pozostało frustrująco błękitne. Jeździliśmy godzinami w praktycznie każdym kierunku i nie zobaczyliśmy nawet kropli deszczu. Poddaliśmy się. Przystanęliśmy, żeby zjeść lody nad jeziorem Winnipeg, a potem przejechaliśmy 1800 kilometrów w drodze do domu. Na taśmie zarejestrowaliśmy co najwyżej podmuchy wiatru.

Realizatorzy z NHNZ sklecili odcinek pilotażowy z Joelem i ze mną, ale Weather Channel wybrał inny program. Po powrocie do Norman starałem się pozbierać. Uzyskałem tytuł magistra, zwiększyłem tempo pracy nad doktoratem i próbowałem całkiem zapomnieć o pomysłach załapania się do telewizji. Podczas przyzwoitego sezonu jesiennego 2006 wypełniałem czas, zajmując się reorganizacją Tornadovideos.net i starając się zwrócić uwagę na wszystkie swoje udane pościgi za tornadami. Każdemu, kto chciałby je obejrzeć na portalu, o którym nigdy wcześniej nie słyszałem, noszącym nazwę YouTube. Pewien mój znajomy mający smykałkę do internetu przekonał mnie, że to dobry pomysł.

Chociaż bardzo lubiłem znajdować się jak najbliżej tornad, nigdy nie miałem okazji podziwiać trąby powietrznej, mając ją na wyciągnięcie ręki. Nawet dogonienie w 2003 roku, tornada F4 w Manchesterze w Dakocie Południowej miało więcej z odwrotu niż z walki byków. Ale w końcu, na wiosnę 2007 roku trafiła mi się okazja zmierzenia się z niesamowitą trąbą powietrzną. Rozgrywka między tornadem a łowcami burz, którą oczywiście zarejestrowałem na taśmie wideo, zmieniła się w trzymający w napięciu dramat. Ta scena przykuła później uwagę ogromnej rzeszy widzów i była odtwarzana na YouTube wiele milionów razy.

4 maja układ atmosferyczny w północno-zachodniej Oklahomie był wyśmienity. Z północy na południe przez większą część południowego odcinka Alei Tornad ciągnęła się sucha linia, więc łowcy burz mogli się spodziewać, że masy gorącego powietrza z zachodu zderzą się z ciepłym i wilgotnym powietrzem napływającym z południa i południowego wschodu, co mogło doprowadzić do powstania superkomórek burzowych. Rzeczywiście, portal internetowy Storm Prediction Center wydał komunikat o umiarkowanym zagrożeniu z powodu gwałtownych zjawisk pogodowych dla terenów ciągnących się od północno-zachodniego Teksasu i dalej na północ aż po Nebraskę, co oznaczało, że tornada mogły się pojawiać w bardzo wielu różnych miejscach. Zagrożenie wydawało się szczególnie duże w zachodnim Kansas, więc Joel, Ken Cole i ja spędziliśmy większą część popołudnia w Dodge City, zastanawiając się, w którym kierunku wyruszyć.

Przez jakiś czas największe emocje tamtego dnia wywoływał telefon od doktora Lamba. Byliśmy obaj współautorami artykułu, który miał się ukazać w „Journal of Applied Meteorology and Climatology”, a Lamb natychmiast potrzebował danych dotyczących zużycia gazu ziemnego na jednego mieszkańca. Przez godzinę zawzięcie szukałem w internecie odpowiedzi na jego pytania.

Potem nagle ożywiła się pogoda. Późnym popołudniem National Weather Service wydała ostrzeżenie przed tornadami dla hrabstwa Ellis w Oklahomie, leżącego w najdalej na zachód wysuniętej części stanu. Sprawdziłem na laptopie warunki panujące w tamtym rejonie. Zalewało go ciepłe, wilgotne powietrze. Sytuacja dojrzała do tego, żeby powietrze uniosło się do góry i zaczęło wirować.

– To dwie godziny stąd – powiedział Joel, gdy wszyscy wysłuchaliśmy radiowego ostrzeżenia przed burzą.

– Założę się, że bardzo niewiele osób tam pojedzie. Przegapią okazję – stwierdziłem. – Pozwól mi prowadzić.

Jechałem na południe drogą krajową numer 283 i gdy byliśmy niedaleko Arnett, przebiliśmy rdzeń w postaci łagodnych opadów gradu, a potem zobaczyliśmy tornado na ziemi, mniej więcej trzy kilometry dalej. Było w kształcie trąby słonia, wąskie i poskręcane. Miało piękny biały kolor i wzbijało tuman brązowego kurzu, wirując wściekle na otwartej przestrzeni otoczonej pofałdowanymi pagórkami.

Chciałem podjechać bliżej.

– Znak stopu, znak stopu, znak stopu – powtórzył kilkakrotnie Ken, coraz głośniejsze i z coraz większym zaniepokojeniem.

Niemal nie zwolniłem przed opustoszałym skrzyżowaniem. W pobliżu nie było żadnego samochodu, budynku, ani ludzi.

– Popatrzyłem w obie strony – powiedziałem z zażenowaniem.

Szybko zerknąłem na Joela, który filmował tornado. Zwykle to on prowadził.

– Masz je, zgadza się? – zapytałem z paranoiczną obawą, że Joel nie zarejestruje należycie jednego z najpiękniejszych tornad, jakie kiedykolwiek widziałem. Czy mamy wystarczającą ilość taśmy wideo? A prądu w baterii? – Wcisnąłeś przycisk zbliżenia? – spytałem.

– Właśnie robię zbliżenie – odparł z okiem przyklejonym do wizjera.

– Zrób też odjazd – powiedziałem. – To niesamowite tornado.

Podjechałem na odległość 400 metrów od miejsca, w którym wirowało tornado, ale nie miałem ochoty się zatrzymać. Wydawało się, że droga, którą się poruszamy, prowadzi wprost do trąby powietrznej. Tymczasem tornado zmierzało na północ, prosto na nas.

– Zatrzymaj się tu, na tym wzgórzu – powiedział Joel.

Przemknąłem przez wzgórze.

– Reed, zatrzymaj się – powtórzył Joel.

– Wszystko w porządku, Joel. Nie martw się – powiedziałem, przyspieszając na kolejnej krótkiej pochyłości drogi.

W końcu zatrzymałem się na środku jezdni, niecałe 300 metrów od tornada. Było tuż przy drodze i praktycznie wirowało w miejscu. Zamieniliśmy się z Joelem miejscami. Wziąłem od niego kamerę.

Tamtego dnia zobaczyłem kilka zdumiewających szczegółów tornada. To, jak się przechyla w jedną stronę, potem w drugą. Jak się rozszerza i kurczy, jakby oddychało. A także pęknięcia i otwory w białej, lśniącej skórze, pozwalające wejrzeć w jego wirującą duszę.

Był też niepozostawiający żadnych wątpliwości ryk tornada – ryk kalibru wodospadu Niagara. Ta trąba powietrzna wydawała odgłosy kojarzące się z siłą, z czystą energią, zaangażowaniem i skupieniem. Zawsze identyfikowałem się z tymi cechami.

– Cofaj! – wrzasnął Ken z tylnego siedzenia, gdy tornado ruszyło wprost na nas. Joel zaczął powoli jechać na wstecznym biegu.

– Stój. Jesteśmy bezpieczni – powiedziałem stanowczo i Joel momentalnie zahamował.

Wiedziałem, że Ken i Joel czują się nieswojo. Powstrzymałem ich pragnienie ucieczki.

Tornado zatrzymało się na sekundę, a potem ni stąd, ni zowąd ruszyło do ataku w naszą stronę.

– Cofaj! – krzyknął znowu Ken.

Ale ja zdążyłem już wyskoczyć z samochodu, żeby stanąć za otwartymi drzwiami po swojej stronie i nadal filmować. Tornado nie mogło być dalej niż 45 metrów od nas. Tuman kurzu przesłonił mi widok. Joel ruszył do tyłu i drzwi uderzyły mnie, kiedy nie patrzyłem. Upuściłem komórkę.

– Nie odjeżdżaj! – wrzasnąłem.

– Wsiadaj i zamknij drzwi. Zamknij drzwi! – powtórzył Joel i tym razem miał rację, że się upierał.

Porzuciłem telefon komórkowy, a tornado od razu go wessało.

– To jest silne tornado, Reed – powiedział Joel i pokręcił głową, jadąc na wstecznym biegu. Przez wszystkie otwarte okna samochodu z impetem wpadał wiatr.

Ale ja nie słuchałem, co mówi Joel. Byłem zachwycony porywającą potęgą burzy. Spojrzałem w górę i zobaczyłem, że białe tornado wije się nad nami, ostro kontrastując z ciemną superkomórką powyżej.

– Słyszycie to? Posłuchajcie tego ryku! – wykrzyknąłem na cały głos, rozradowany.

Niebo obramowujące tors tornada było idealnie niebieskie. Powietrze sprawiało wrażenie, jakby pochodziło z sauny.

Czterdzieści pięć minut później byliśmy w Woodward w Oklahomie, na parkingu motelu, gdzie znalazłem sygnał WiFi. Zrzuciłem zmontowany naprędce film z pościgu w hrabstwie Ellis na dysk twardy swojego serwera sieciowego i zadzwoniłem do realizatora programu *Good Morning America* z telefonu któregoś z kolegów.

– Wiesz, że zawsze ci mówię, że mam wideo z niesamowitym tornadem? – zagadnąłem go. – To teraz jest bardziej niż niesamowite. To najbardziej białe, najwyraźniejsze, najlepsze tornado, jakie kiedykolwiek widziałem. A my z nim zatańczyliśmy. Na tym filmie jesteśmy tak blisko niego, że poczujesz się tak, jakbyś mógł dotknąć tornada. Albo go spróbować.

Wysłałem mu link do zmontowanego filmu. Obejrzał go i natychmiast oddzwonił. Szybko dobiliśmy targu.

Kiedy wideo zostało wyemitowane, wypromowało wspaniałe tornado. Poza tym, całkiem przypadkowo, powiedziało także sporo o łowcach,

którzy dogonili tę burzę. Telewizjowcy oglądali film i zadawali sobie pytanie, kim są ci opętani ludzie po drugiej stronie kamery. Kto tak bardzo zbliżył się do tornada, a potem podjeżdża jeszcze bliżej?

Wkrótce zaczęli do mnie masowo wydzwaniać inni realizatorzy telewizyjni i jeśli chodzi o sprzedaż, niebawem wygrałem jakiś niesamowity los na loterii. Ostatecznie zarobiłem na tym materiale dziesiątki tysięcy dolarów.

Jednak korzyści z tego tornada wyrażały się nie tylko w pieniądzu. Dzięki niemu mój portal internetowy natychmiast stał się synonimem tornad i łowienia burz. Moje nazwisko było coraz lepiej rozpoznawalne.

Umowa z *Good Morning America* pozwalała mi na umieszczenie „znaku wodnego” w swoim materiale, który nadano w tym programie, to znaczy, że adres mojego portalu internetowego pojawił się w lewym dolnym rogu ekranu. Krótco po nadaniu klipu, ruch na mojej stronie przypominał tornado. Portal trzeszczał pod naporem burzy oszałamiającego popytu.

Na szczęście widzowie mogli także zobaczyć część filmu z hrabstwa Ellis na YouTube, a im więcej osób go oglądało, tym częściej moje nazwisko i „tornadovideos.net” wyskakiwały w wyszukiwarkach internetowych, jeśli w zapytaniu było słowo „tornado”.

YouTube, jak się okazało, pojawił się akurat w odpowiednim dla mnie momencie. Idealnie nadawał się do promowania kolekcji filmów wideo z nagraniem tornad, którą gromadziłem przez osiem lat. Tornado z hrabstwa Ellis było moim rekordowym połowem: w ciągu zaledwie kilku dni po pościgu z 4 maja klip umieszczony na YouTube błyskawicznie zyskał popularność, zaliczając ponad milion odtworzeń. W następnych tygodniach był odtwarzany jeszcze miliony razy. Tornado i moje ekstremalne metody łowienia burz budziły coraz większe zainteresowanie.

Niestety był jeszcze jeden, znacznie bardziej ponury powód, dlaczego tornada zaprzętały umysły wielu Amerykanów na początku maja 2007 roku. Cztery godziny po tym, jak Joel, Ken i ja dogoniliśmy jedno z najpiękniejszych tornad w najnowszej historii łowienia burz, jedno z najbrzydszych tornad, jakie kiedykolwiek się kręciły, zrównało z ziemią małe miasteczko Greensburg w Kansas. Prezydent George W. Bush oficjalnie uznał Greensburg i okoliczne tereny za rejon poważnej klęski żywiołowej, a kilka dni po katastrofie udał się ze swoim zespołem prasowym na Aleję Tornad, żeby osobiście obejrzyć zniszczenia. Zagłada Greensburga przyciągnęła powszechną i długotrwałą uwagę.

W czasie tej burzy zginęło jedenaście osób, ale taka liczba ofiar śmiertelnych jest uderzająco niska, jeśli się weźmie pod uwagę gwałtowność tornada i szkody, jakie wyrządziło. Jaki był główny powód tego, że w miasteczku, które w gruncie rzeczy zostało zrównane z ziemią przez nocne tornado F5 o szerokości około 3 kilometrów, nie zginęło więcej osób? Otóż łowcy burz zawczasu przekazali do National Weather Service ostrzeżenie o trasie burzy i jej niszczycielskim potencjale. Jeśli chodzi o służbę publiczną, tornado z Greensburga było najdonioślejszą chwilą dla społeczności łowców burz. Jednym z nielicznych pozytywnych aspektów zagłady Greensburga było uznanie potencjalnego znaczenia łowców burz dla zwiększenia bezpieczeństwa publicznego.

Joel, Ken i ja, zamiast wracać wieczorem 4 maja do domu, zamelinowaliśmy się w motelu w Woodward, bo wiedzieliśmy, że w pobliżu zanoszą się na dalsze szalone zjawiska meteorologiczne. Na obrazach radarowych południowo-zachodniego Kansas królował fiolet, co mogło wskazywać na gwałtowną aktywność burzową. Gdybym był sam tamtej nocy, być może ruszylibym w ślad także za tą niespokojną pogodą, ale Joel nie lubi łowić burz po zmroku i ja go rozumiem. Pomimo całej

techniki, którą mamy do dyspozycji, nawet dobrze wyposażeni i doświadczeni łowcy burz mogą bezwiednie wjechać wprost w nocną burzę. Decyzja, żeby schronić się w motelu – po zakończonym triumfem dniu łowienia burz i filmowania – być może uratowała nam życie.

Mam jednak kolegów i przyjaciół, którzy już zawsze będą kojarzeni z tym, że zapobiegli śmierci wielu ludzi i nieśli pociechę osobom, które doznały wstrząsu podczas katastrofy w Greensburgu. Jednym z tych przyjaciół jest Mike Umscheid. Mike jest łowcą burz, meteorologiem i głównym synoptykiem w biurze National Weather Service w Dodge City w Kansas – jednym ze 122 biur prognoz meteorologicznych rozsianych po całych Stanach Zjednoczonych i w dużej mierze odpowiedzialnych za przepowiadanie pogody dla każdego centymetra kwadratowego naszego kraju.

Gdy wieczorem 4 maja nad Kansas zapadł zmrok, Mike zobaczył ogromną superkomórkę burzową, która pojawiła się nagle na ekranie jego radaru tuż po siódmej wieczorem. Burza była efektem niespotykanych warunków atmosferycznych – silnego niskiego prądu strumieniowego dostarczającego powietrzu ciepła i wilgoci oraz późniejszego szalonego uskoku wiatru, a także wartości CAPE przekraczających już i tak wysoki poziom 5000 dżuli na kilogram (powtórzę, wysoka wartość CAPE wskazuje na warunki sprzyjające szybkiemu unoszeniu się powietrza w atmosferze).

Jaki był kolejny powód, że nocne niebo nad Kansas było tak naelektryzowane? Czasami superkomórki burzowe rozpadają się, ale nie zanikają, zderzając się wcześniej z innymi superkomórkami. Dwie takie burze mogą się połączyć i ponownie odżyć.

Tamtej nocy, kiedy rozpętała się burza nad Greensburgiem, aż pięć podzielonych superkomórek przyczyniło się do powstania jednej samotnej,

gigantycznej superkomórki burzowej. Jedna z tych podzielonych chmur burzowych, które wywołały tornado w Greensburgu, oderwała się od tej samej burzy, którą wcześniej tego dnia ścigałem z Kenem i Joelem.

Tamtego wieczoru około 19.30, siedząc przy biurku w NWS, Mike wyraźnie zobaczył na ekranie radaru, że tej gigantycznej burzy towarzyszą imponujące wirujące wiatry, ale nie mógł być pewien, czy wirujące wiatry oznaczają tornado. Biuro Mike'a znajdowało się w odległości 70 kilometrów od miejsca zdarzenia i co istotniejsze, jego radar nie był w stanie wykryć rotacji wiatru na tak małą skalę jak w wypadku tornada (a jedynie uskok wiatru kojarzony z mezocyklonem). W dodatku radar nie potrafił wychwytywać aktywności występującej w tak niskich warstwach atmosfery, w jakich powstaje tornado. Mike potrzebował obserwatorów w terenie, którzy powiedzieliby mu, co się dzieje.

Na Mike'a spadła teraz ogromna odpowiedzialność. Ze swojego biura w Dodge City musiał powiadomić lokalne media i personel służb ratowniczych o potencjalnym zagrożeniu wynikającym z gwałtownej pogody. Stacje radiowe i telewizyjne oraz służby ratunkowe musiały nabrać przekonania, że słowa Mike'a zasługują na przekazanie dużym grupom ludności. Władze wiedziały, że zbyt częste podnoszenie fałszywego alarmu sprawi, że ludzie nie będą słuchali żadnych ostrzeżeń przed gwałtownymi zjawiskami pogodowymi.

Taka odpowiedzialność powoduje, że niektórym synoptykom z NWS trudno jest uwierzyć we wszystkie anonimowe informacje dotyczące lokalnych warunków atmosferycznych, otrzymywane od ludzi dzwoniących do ich biur. Może ktoś jest przesadnie ostrożny, albo, co gorsza, stroi sobie żarty?

Jednak Mike sam jest łowcą burz i wieczorem 4 maja widział na ekranie radaru, że potężna burza zmierza w stronę miasteczka Greensburg

zamieszkanego przez 1600 osób. Dlatego słuchał bardzo uważnie, co miał do powiedzenia każdy łowca burz, który dzwonił do jego biura z najświeższymi informacjami:

Tornado ma ponad 1,5 kilometra szerokości, ostrzegł jeden z nich.

Tornado zniszczyło linie energetyczne i porzuciło słupy po autostradzie na południe od miasteczka, powiedział inny.

Tornado miażdżył domy stojące na uboczu, powiedział trzeci łowca burz.

Telefonów było więcej, a Mike wysłuchiwał wszystkich.

Wkrótce powiadomił lokalne media i personel służb ratowniczych obsługujący Greensburg o czającym się na horyzoncie potencjalnym niebezpieczeństwie wynikającym z gwałtownej pogody.

O 21.18 Mike wydał ostrzeżenie przed „dużym i niezwykle niebezpiecznym tornadem 23 kilometry na południowy wschód od Greensburga”.

O 21.28 wydał ostrzeżenie przed „sytuacją zagrażającą życiu”.

O 21.37 wydał ostrzeżenie następującej treści: „Jeśli jesteście w Greensburgu, natychmiast znajdźcie schronienie”.

O 21.41 wydał „ostrzeżenie przed tornadem”. Jest to tak złowieszcze ostrzeżenie, że do tej pory w całym kraju National Weather Service wydała bardzo niewiele takich komunikatów. NWS zniechęca swoich meteorologów do stosowania alarmu o treści „ostrzeżenie przed tornadem”, ponieważ oznacza on, że istnieje wysokie prawdopodobieństwo wystąpienia tornada, które spowoduje rozległe zniszczenia i liczne ofiary śmiertelne.

Na szczęście Mike słuchał łowców burz. I na szczęście mieszkańcy Greensburga posłuchali Mike’a Umscheida.

Mniej więcej o 21.50 w miasteczku zgasło światło. Wkrótce w całym Greensburgu ludzie ukryci w schronach przeciwburzowych pod domami zaczęli nadstawiać uszu. Nastąpiła krótka chwila ciszy i bezruchu, zanim tornado zważyło się na małe, obsadzone drzewami uliczki. Ekspłodowały szyby w oknach, samochody gięły się, jakby były z papieru, rozpadły się ściany z cegieł, a dziesiątki krów zostały porwane pod niebo i omotane fruującym w powietrzu drutem kolczastym, gdy szerokie na 2700 metrów, pędzące z prędkością 320 kilometrów na godzinę tornado F5 w kształcie klina zrównało z ziemią 95 procent miasteczka.

Mike i jego siatka łowców burz robili, co mogli, żeby przygotować Greensburg na nadejście apokaliptycznego tornada. Potem odpowiedzialność za pomoc w zaprowadzeniu porządku w totalnym chaosie panującym w spustoszonej przez tornado miasteczku spadła częściowo na barki innego z moich przyjaciół. Randy Denzer jest czterdziestosiedmioletnim strażakiem i łowcą burz. Tak się złożyło, że tamtego dnia znalazł się w odpowiednim miejscu w odpowiednim czasie. A może to było złe miejsce i zły czas?

Podobnie jak wielu łowców burz, 4 maja Randy czekał godzinami, aż burze nad Kansas się rozwiną. Wraz z kilkoma przyjaciółmi był już gotów spisać ten dzień na straty, gdy wieczorem zadzwonili do niego inni łowcy burz z informacją, że na południe od miejsca, w którym się znajduje, tworzą się potężne burze. Randy nie miał ochoty ścigać burz w nocy, ale on i jego ośmiu partnerów pomyśleli, że mogliby się trzymać w pewnej odległości i może zrobić trochę zdjęć widowiskowych błyskawic rozświetlających ciemne niebo.

Oczekiwania i plany uległy zmianie, gdy tylko Randy i pozostali skierowali się na południe drogą międzystanową numer 183 w kierunku Greensburga. Złożona z trzech samochodów karawana niespodziewanie

napotkała silny wiatr i odłamki w postaci fruujących gałęzi i fragmentów różowej izolacji budowlanej. Randy nie wiedział wtedy, że tornado z Greensburga, które zdążyło już spustoszyć miasteczko, zawróciło na północ, a potem na północny zachód, przecinając autostradę numer 183, zanim się rozwiało. Posuwając się powoli, Randy i jego koledzy z duszą na ramieniu przejechali przez zewnętrzne pasma burzowe tornada F5.

Randy jechał dalej, ale nie dlatego, że chciał rozbić zdjęcia. Kiedy posuwał się naprzód w porywistym wietrze, dostał telefon od tych samych przyjaciół, którzy wcześniej dali mu cynk o burzach. Powiedzieli, że ktoś taki jak Randy, z umiejętnościami ratownika, jest potrzebny w dzielnicy mieszkalnej na południu Greensburga. Tornado zniszczyło tam kilka domów i ludzie zostali uwięzieni pod gruzami.

Gdy Randy i jego koledzy dojechali do skrzyżowania z drogą prowadzącą do Greensburga, zatrzymali się obok pewnego człowieka siedzącego w zaparkowanej ciężarówce z błyskającymi światłami awaryjnymi. Randy zapytał mężczyznę, czy może im pomóc w wydobywaniu ofiar tornada spod gruzów na południu miasteczka, ale on najwyraźniej był w szoku. Powiedział, że jest miejscowym strażakiem i że kiedy uderzyło tornado, był na rybach, bo miał wolny dzień. Strażak powiedział również, że słyszał, iż Greensburg został zniszczony. Potem chciał opowiadać o łowieniu ryb.

Randy szybko przekonał strażaka, że muszą działać. Mężczyzna opamiętał się na tyle, że poprosił grupę Randy'ego o pomoc w Greensburgu. Sam Randy był porucznikiem straży pożarnej w Austin w Teksasie, poza tym szkolił ludzi zamierzających zostać ratownikami medycznymi. Wśród towarzyszących mu łowców burz było jeszcze dwóch strażaków i kilku naukowców.

Wjeżdżając kilka minut później do miasteczka, Randy nie do końca mógł zrozumieć, z czym ma do czynienia. Widział bardzo niewiele budynków, więc wyobrażał sobie, że znalazł się na peryferiach Greensburga. Drogi prowadzące dalej w głąb miejscowości były trudne do rozpoznania pod gruzami i niemal nieprzejezdne. Gdziekolwiek Randy kierował reflektory swojego samochodu, widział połamane słupy, zerwane przewody elektryczne, strzępy izolacji budowlanej, roztrzaskane płyty gipsowe, rozbite cegły i rozłupane kantówki. Innymi słowy, kompletny chaos.

Kiedy Randy i jego koledzy w końcu wysiedli z samochodów, powiedziano im, że wcale nie są na peryferiach Greensburga. W rzeczywistości znajdowali się w centrum miasteczka, w miejscu, gdzie zaledwie godzinę wcześniej wszędzie stały domy. Powietrze było ciężkie od zapachu wyciekającej benzyny i ulatniającego się propanu. Gdy powiał wiatr, drzewa, które przetrwały tornado, wydawały odgłosy, jakby były obwieszane dzwoneczkami. Okazało się, że w gałęziach jest mnóstwo metalowych fragmentów samochodów i kawałków blachy, które podzwaniają pod wpływem podmuchu.

Były i inne odgłosy – przytłumione i głośnie wołania o pomoc, pochodzące zarówno od lżej rannych, z których część była niekompletnie ubrana, jak i od ofiar uwięzionych w zmiażdżonych samochodach albo w piwnicach pod zwałami gruzu.

Grupa Randy'ego robiła, co mogła. Pracowali sami, w dziewięciu, albo pomagali miejscowym władzom założyć punkt selekcji uszkodzonych i stanowisko dowodzenia akcją ratunkową. Poszli na miejscowy posterunek straży pożarnej, żeby poszukać sprzętu ratunkowego, ale w miejscu, gdzie stał kiedyś posterunek, zastali tylko gruz i powyginaną blachę. Założyli jakiś przestarzały sprzęt ochronny, żeby poszukać osoby uwięzionej

podobno w zniszczonej, dymiącej elektrowni w Greensburgu, i omal nie stracili życia, kiedy poziom sprężonego powietrza, którym oddychali, spadł niebezpiecznie nisko.

Ponieważ Randy był tak dobrze wyszkolony, umiał skoordynować swoje działania w Greensburgu z kierownictwem służb ratunkowych. Większość łowców burz, nawet ci z najlepszymi intencjami, dobrze robi, pytając miejscowe władze, na co się mogą przydać, zanim spróbują nieść pomoc na miejscu katastrofy. Cieszę się, mogąc powiedzieć, że przez te wszystkie lata łowienia burz nigdy nie spotkałem się z taką sytuacją jak Randy w Greensburgu, za to sumiennie przekazywałem przez telefon raporty pogodowe i od czasu do czasu wykorzystywałem swoje bicepsy, żeby pomóc podnieść z drogi zwalone drzewo.

Sam Randy nie wyjechał z Greensburga bez szwanku. W następnych tygodniach i miesiącach po katastrofie miał objawy zespołu stresu pourazowego i słyszał we śnie krzyki ludzi. Zapamiętał tych, którzy przeżyli, i tych, którym się to nie udało, a także wdzięczność okazaną mu za pomoc przez przybitych mieszkańców Greensburga, ale nie potrafił przestać myśleć o tym, co widział, niezależnie od tego, jak bardzo się starał.

Randy wyjechał ze zniszczonego miasteczka również z mocnym postanowieniem lepszego zaangażowania łowców burz w ostrzeganie społeczeństwa przed pojawianiem się gwałtownych zjawisk pogodowych. Dzisiaj bardzo aktywnie działa w organizacji non profit pod nazwą Spotter Network (Sieć Obserwatorów), która dostarcza w trybie online precyzyjne informacje z terenu pochodzące od zrzeszonych w niej łowców burz, tropiących gwałtowne zjawiska pogodowe w najróżniejszych miejscach na terenie kontynentalnych Stanów Zjednoczonych (za pośrednictwem darmowego oprogramowania śledzącego zainstalowanego na komputerze).

Gdy członkowie Spotter Network widzą gwałtowne zjawiska pogodowe lub warunki sprzyjające ich rozwojowi, są proszeni o wypełnienie na stronie internetowej Spotter Network zwięzłych, lecz bardzo precyzyjnych raportów w trybie online. Takie raporty dostarczają później kluczowych szczegółów pracownikom służb cywilnych – takim jak synoptycy NWS – którzy w przeciwnym razie mogliby nie być świadomi warunków atmosferycznych panujących na poziomie ziemi.

Uważam, że ja także mam coś do wniesienia w rozwój możliwości ostrzegania przed burzami w naszym kraju. Już w 2007 roku wyposażyłem swój portal internetowy Tornadovideos.net w funkcję pozwalającą przyjmować transmisje wideo na żywo od każdego łowcy burz, a nie tylko ode mnie i od moich partnerów. Jest nadzieja, że z czasem coraz większa rzesza łowców burz będzie przesyłała do mojego portalu transmisje na żywo przedstawiające napotkane przez nich warunki pogodowe oraz że poszerzające się grono państwowych synoptyków, pracowników służb ratunkowych i stróżów prawa uzyska dostęp do tych informacji i będzie je z pożytkiem wykorzystywać przy podejmowaniu ważnych decyzji dotyczących ochrony ludzi przed gwałtownymi zjawiskami pogodowymi. Wierzę, że te obrazy będą działały uspokajająco na wszystkich zaniepokojonych tym, co dzieje się w otaczającej ich atmosferze.

Miejmy nadzieję, że Spotter Network oraz wykorzystywana przez Tornadovideos.net technika transmisji na żywo obrazów obserwowanych burz oraz inne podobne programy zapewnią synoptykom, na przykład z NWS, jedną, pięć, a może nawet setki par wiarygodnych oczu obserwujących każdą burzę, niezależnie od tego, czy nic z niej nie będzie, czy doprowadzi do powstania jeszcze jednego tornada z Greensburga. Spotter Network zdążyła już nabrać znacznego rozmachu, dowodząc, że

Randy i jego koledzy są na dobrym tropie: organizacja, która zaczęła działać w 2006 roku, dzisiaj ma 3000 zarejestrowanych członków.

Klęska żywiołowa z Greensburga przyniosła inny trwały efekt: uwagę społeczeństwa. Choć brzmi to paradoksalnie, 4 maja 2007 roku był dniem, w którym mały Greensburg w stanie Kansas równocześnie zniknął z mapy i pojawił się na mapie. Prezydent Bush wrócił do miasteczka rok po tym, jak na własne oczy oglądał zniszczenia, tym razem, żeby wygłosić przemówienie podczas uroczystości wręczenia dyplomów uczniom maleńkiej ostatniej klasy szkoły średniej w Greensburgu.

Prawie rok po tej promocji prezydent Barack Obama wspomniał o Greensburgu i o tornadzie, które zniszczyło miasteczko, w orędziu na wspólnej sesji Kongresu.

W międzyczasie aktor Leonardo DiCaprio został w 2008 roku producentem wykonawczym programu telewizyjnego pod tytułem *Greensburg*, realizowanego dla kanału telewizji kablowej Planet Green. Przez trzy lata program śledził staranną odbudowę miasteczka zniszczonego przez tornado.

Jeśli chodzi o meteorologa Mike'a Umscheida, w 2008 roku opublikował on wyniki badań nad tornadem z Greensburga. Odkrył między innymi, że poprzedzający tornado mezocyklon, czyli gwałtownie wirujący prąd wstępujący, był nie tylko gigantyczny, ale obracał się w przybliżeniu równie szybko jak tornado, któremu dał początek. Zwykle mezocyklony wirują znacznie wolniej. Odkrycie Mike'a jasno pokazuje, jak dużo musimy się jeszcze dowiedzieć o tornadach, bo jeśli ogromny, kręcący się z wielką szybkością mezocyklon może pojawić się jeden raz – i wywołać poruszające się z prędkością 320 kilometrów tornado, które równa z ziemią całe miasteczko – nasuwa się myśl, że taka burza mogłaby się powtórzyć.

Chyba jedyną grupą ludzi kojarzonych z tornadem z Greensburga, która nie znalazła się w centrum uwagi w następstwie katastrofy, byli łowcy burz, tacy jak Randy i wielu innych, którzy przekazywali telefonicznie ostrzeżenia pogodowe, zanim miasteczko zostało zaatakowane przez żywioł. Łowcy burz niewątpliwie odegrali pewną rolę w ratowaniu ludzkiego życia. Uważam za cud, że w wyniku tak potężnego tornada zginęło tylko jedenaście osób. Moim zdaniem ci łowcy burz, moi przyjaciele i całkiem obcy ludzie, są niedocenionymi bohaterami wydarzeń z Greensburga.

Krótko po przejściu tornada w Greensburgu zobaczyłem moje własne niezapomniane tornado. W lecie 2007 roku ponownie wybrałem się w uciążliwą podróż w poszukiwaniu burz do Manitoby w Kanadzie. Tym razem nie pojechałem tam w nadziei, że tamtejsze tornado zapewnią mi miejsce w jakimś programie telewizyjnym poświęconym łowieniu burz i pomogą zrobić „karierę” w tej dziedzinie, ale pobyt w Manitobie faktycznie okazał się bardzo pomocny.

Ten wyjazd do Kanady bardzo się różnił od podróży, w którą wyruszyłem z Joelem rok wcześniej. Wtedy, w 2006 roku, pojechaliśmy tam z rozpaczy, próbując znaleźć jakieś tornado, żebyśmy mogli wziąć udział w przesłuchaniu do pewnego programu telewizyjnego. Chociaż jestem optymistą, wiedziałem, że szanse na zobaczenie czegokolwiek podczas tego wyjazdu są nikłe. Wyprawa okazała się długotrwałym i bolesnym przekleństwem błękitnego nieba.

Jednak pod koniec czerwca 2007 roku kanadyjskie niebo błagało o uwagę. Komputerowe modele przewidywały, że zatoka niskiego ciśnienia, która pojawiła się nad północną częścią Gór Skalistych, wkrótce będzie się przemieszczała nad kanadyjskimi preriami. Pociągnęłaby na północ wilgoć ze Stanów Zjednoczonych i w praktyce zagwarantowałaby

obecność wysoko w górze zimnego powietrza, którego potrzebują superkomórki burzowe, gdy zawarte w nich gorące powietrze wystrzeliwuje w niebo. Prognozy mówiły też o intensywnym uskoku wiatru. Sprawdziłem w internecie modele RUC i zobaczyłem, że wartość CAPE waha się od 4000 do 5000 dżuli na kilogram. Już o połowę niższe wartości przyprawiają mnie o dreszcz emocji.

Zgodził się pojechać ze mną Dave Holder, z którym łowiłem burze w Minnesocie, gdy dostaliśmy się w wir tornada F0. Mieliśmy wziąć jego samochód.

– Wyciąga najwyżej setkę – powiedział Dave typowym dla siebie spokojnym, opanowanym głosem, zanim wyruszyliśmy 21 czerwca.

Na szczęście do najważniejszego pościgu doszło pełne dwa dni później.

Dave, co muszę przyznać z pewną przykrością, jest realistą. Nie zaniżył możliwości swojego samochodu. Jego mały czerwony hyundai z trudem osiągał dozwoloną prędkość, gdy jechaliśmy na północ, a potem na zachód w upale typowym dla początku lata na Środkowym Zachodzie. Klimatyzacja hyundaia nie działała, ogrzewanie było włączone na max, żeby odciążać silnik, a w środku zalegała gruba warstwa brudu – produkt uboczny potu i kurzu, które nagromadziły się podczas licznych dalekich wyjazdów.

Kiedy wreszcie dojechaliśmy do rolniczej miejscowości Estevan w prowincji Saskatchewan, poczułem równocześnie ulgę i podniecenie z powodu raportów pogodowych, które dzięki WiFi wyświetliłem na laptopie. Sprzyjające warunki nie tylko się utrzymały. Uległy poprawie.

Opuściliśmy nasz gówniany motel i pomknęliśmy na południowy wschód, wyjeżdżając z Reginy, stolicy Saskatchewan, drogą lokalną numer 33. Odludną szosę otaczały wysokie trawy, a nad nami superkomórki burzowe pleniły się jak chwasty. Miałem nadzieję, że zobaczymy

z Dave'em trochę niesamowitych rzeczy. Zaledwie dzień wcześniej przez Manitobę przeszło tornado F5.

Pogoda drażniła się z nami. Superkomórki pojawiały się i znikaly, nie wypuszczając żadnego leja kondensacyjnego. W końcu późnym popołudniem znaleźliśmy się pod chmurą, która była okrągła, spłaszczona i miała gładkie krawędzie. Wyglądała jak czarny latający spodek. Otaczające ją niebo było zielonkawoniebiesko-szare, a na polach rosło mnóstwo żółtego rzepaku. Wkrótce pośród błysków i grzmotów uformowało się trójkątne, stożkowate tornado. Znajdowało się kilka kilometrów od naszej pozycji.

– Potrzebujemy dróg – powiedziałem do Dave'a. Kanadyjskie prerie przeważnie świeciły pustkami, co najwyraźniej oznaczało, że było tam stosunkowo niewiele dróg, choćby polnych. – Możesz sprawdzić, jak wygląda sytuacja z drogami? Musimy znaleźć sposób, żeby dostać się do tej burzy.

Rozpaczliwie szukaliśmy jakiejś drogi prowadzącej na północ, żeby dotrzeć do spowitego deszczem tornada. To nie była burza, na jaką liczyłem. Doskonałe warunki atmosferyczne utwierdziły mnie wcześniej w przekonaniu, że mamy szansę natrafić na coś naprawdę widowiskowego. Ale to i tak było lepsze niż przekleństwo błękitnego nieba.

Prowadziłem hyundaia w kierunku burzy, gdy zauważyłem wirującą chmurę stropową na wschód od nas. Ta była rzeczywiście imponująca – duża i cylindryczna, otoczona błyskawicami, śnieżnobiała i obracająca się poniżej ogromnej warstwy ciemnych chmur. Można było usłyszeć grzmoty dochodzące z chmury stropowej, a rozciągające się w dole złote pola rzepaku falowały w nasilającym się wietrze.

Zjechałem na pobocze. Gigantyczna chmura stropowa była zaledwie 800 metrów na północny wschód od nas. Wyciągnąłem rękę, żeby pokazać

ją swojemu towarzyszowi.

– No tak – powiedział Dave, który był równie powściągliwy, jak ja byłem skłonny do przesady. – Jezu, spójrz na to.

Zobaczyliśmy tańczące na ziemi małe białe wiry, które w jednej chwili zmieniły się w stuprocentowe śnieżnobiałe tornado w kształci klina.

Jednak nasza pozycja, na zachód od burzy, była całkowicie nieodpowiednia. Tornado przemieszczało się na południowy wschód, a ja chciałem się znaleźć przed nim. Teraz oddalało się od nas. Brak dróg zmuszał nas do poruszania się pod kątem prostym, to znaczy, że jechaliśmy na południe, zanim mogliśmy skręcić na wschód. Zostawiłem prowadzenie samochodu Dave'owi, żeby móc obsługiwać kamerę wideo i zadzwonić do Environment Canada, rządowej organizacji, która nadzoruje prognozowanie pogody w Kanadzie, i ostrzec jej pracowników przed niebezpieczną burzą. Powinienem był także przypomnieć samemu sobie, jak niebezpieczne potrafią być burze takie jak ta.

W zasadzie zaczęliśmy się ścigać z tornadem i kiedy się zbliżyliśmy, było kilkaset metrów od nas i poruszało się szybko w naszym kierunku. Ja jednak pod wpływem chwili poprosiłem Dave'a, żeby się zatrzymał. Wysiadając z samochodu, zerknąłem na niego. Nie wiedziałem, że potrafi zrobić tak wielkie oczy.

Ale nie potrafiłem się powstrzymać. W wizjerze kamery tornado było białe i świetliste. Patrzyłem, jak pochłania jakąś stodołę. To straszny pech, bo wszędzie w pobliżu jego trasy było bardzo niewiele zabudowań.

Gdy tornado było jakieś 100 metrów od nas, wskoczyłem do samochodu i krzyknąłem do Dave'a, żeby wycofał, pozwalając trąbie powietrznej przeciąć drogę przed nami. Zaczął jechać do tyłu, ale wtedy zobaczyłem w górze linie wysokiego napięcia. To poważny problem. Słupy

i przewody, które mogły się obluzować albo zostać zerwane przez wirujący wiatr, mogłyby spaść na samochód.

W tej sytuacji Dave musiał pojechać w przeciwnym kierunku i wyprzedzić tornado. Krzyknąłem na niego, żeby jechał do przodu, więc wrzucił jedynkę. Hyundai ruszył z piskiem opon.

Widziałem w powietrzu odłamki ze zniszczonej stodoły.

– Jedź! Jedź! – wrzeszczałem.

Tornado, sunące po naszej lewej stronie w odległości zaledwie kilkudziesięciu metrów, zbliżało się szybko, doganiając samochód.

Cały czas filmowałem, a hyundai mozolnie toczył się do przodu.

– Musisz przyśpieszyć! – krzyknąłem.

Tornado zaczęło powoli zostawać w tyle.

– Udało się – powiedział w końcu Dave, uśmiechając się z ulgą i wrzucając trzeci bieg.

Gdy znaleźliśmy się kilkaset metrów na wschód od tornada, powiedziałem Dave’owi, żeby znów się zatrzymał. W międzyczasie lej urósł i pociemniał. Był teraz czarnym jak smoła, szerokim na 800 metrów ogromnym stożkiem, który wirował jak szalony. Wydawało się, że to zupełnie inne tornado. Chciałem jeszcze raz rzucić okiem.

Wyskoczyłem z samochodu, żeby znów filmować. Zobaczyłem, że burza zasysa ciemne grudy ziemi, kamyki i łodygi kukurydzy leżące wszędzie dokoła mnie, a wiatr wiejący w naszą stronę niesamowicie się nasilił. Przykucnąłem za zaparkowanym samochodem, żeby zasłonić się przed wichurą i filmowałem gwałtownie przybierającą na sile burzę.

Po kilku sekundach nabrałem strasznego przeświadczenia, że tornado może nas pochłonąć. Przyroda – pomyślałem – może być dzisiaj górą. Czuję, jak burza zasysa powietrze, i byłem zaniepokojony. Czy w końcu do tego doszło? Czy dotarłem za blisko?

Obiegłem samochód dookoła, żeby wsiąść z powrotem, ale wiatr wiejący w naszą stronę był tak gwałtowny, że nie mogłem otworzyć drzwi.

– Dave! – zawołałem, ciągnąc za klamkę.

Spojrzał wprost na mnie oczami wielkości dużych monet.

– Pomóż! – wrzasnąłem.

Oczywiście w końcu udało mi się otworzyć drzwi i odjechaliśmy, zanim tornado zdążyło nas pociągnąć w przeciwnym kierunku. O Boże, pomyślałem, ciężko dysząc. Pot wystąpił mi na czoło. Trząśłem się, ale równocześnie byłem w niesamowitej euforii.

Świadomość, że dogoniliśmy tak szalone tornado, sprawiła, iż długa droga powrotna do Norman wydawała się znacznie mniej uciążliwa. Gdy tylko przekroczyliśmy granicę i znów znaleźliśmy się w Stanach Zjednoczonych, zgrałem wideo na swój serwer internetowy, wykonałem kilka telefonów i sfinalizowałem parę świetnych umów. Rok 2007 był zdecydowanie najbardziej udany w mojej karierze łowcy burz. Zaobserwowałem prawie czterdzieści tornad i można uznać, że praktycznie utrzymywałem się ze sprzedaży filmów wideo.

Ale rok się jeszcze nie skończył. Po powrocie z Manitoby wrzuciłem swój zmontowany materiał na YouTube. Odzew był podobny jak po umieszczeniu tam filmu nakręconego 4 maja w hrabstwie Ellis, z tornadem, które prowokowałem i drażniłem. Płynąc na fali telewizyjnej promocji, umieszczone na YouTube wideo z wyprawy do Kanady zostało obejrzone ponad milion razy w ciągu zaledwie kilku dni.

Kto w 2007 roku oglądał wszystkie te nagrania? Nie tylko pogodowi maniacy i ludzie uzależnieni od adrenaliny. Jednym z widzów był doktor Brian Fiedler, szanowany naukowiec z Uniwersytetu Oklahomy zajmujący się tornadami. Po obejrzeniu mojego materiału z pościgu za tornadem w hrabstwie Ellis doktor Fiedler zorientował się, że Ken, Joel i ja tak

bardzo zbliżyliśmy się do trąby powietrznej, że nasz film zarejestrował rzadkie obrazy, które okazały się przydatne w jego pracy naukowej. To nagranie wideo dowodzi istnienia wirów ssących, pokazując ich kształt oraz sposób poruszania się. Są to słabo poznane minitornada, które na ogół mają styczność z ziemią i często pojawiają się wokół i wewnątrz innych tornad. Nikt dokładnie nie wie, jak, kiedy i dlaczego pojawiają się te mniejsze zawirowania, ale naukowcy uważają, że wiry ssące mogą się obracać trzy do czterech razy szybciej niż „macierzysty wir” i powodować jeszcze więcej strat ludzkich i materialnych.

Po obejrzeniu mojego nagrania doktor Fiedler skontaktował się ze mną, żeby zapytać, czy może zamieścić w jednej ze swoich najnowszych prac kilka pojedynczych zdjęć z naszej wyprawy do hrabstwa Ellis. Natychmiast wyraziłem zgodę. Bardzo chciałem pomóc, bo oto naszą pracę uznawano za użyteczną dla nauki. Moje nagrania oglądało również kilka innych niespodziewanych osób. W styczniu 2008 roku zadzwonili do mnie producenci wykonawczy z Discovery Channel i z pewnej wytwórni filmowej pod nazwą Original Media. Wiedzieli o moich szalonych poczynaniach. Zapytali, czy byłbym zainteresowany występowaniem, razem z Joelem i moim starym przyjacielem Chrisem Chittickiem, w programie Discovery Channel zatytułowanym *Storm Chasers* (Łowcy burz). Program prezentował zakulisowe spojrzenie na mentalność i przygody łowców burz i towarzyszył im, gdy polowali na tornada w imię nauki, dla zdobycia świetnego materiału filmowego i dla emocji. Program *Storm Chasers*, jak mi wyjaśnili, już był hitem.

Zapytali, czy chcę to przemyśleć.

Myślałem dokładnie przez sekundę. Szybko przystałem na ich propozycję.

Na jesieni 1998 roku, kiedy byłem studentem pierwszego roku Uniwersytetu Oklahomy, nie miałem pojęcia, że zostanę kiedyś „pogodowym celebrytą”. W tamtych czasach, siedząc na zajęciach z wprowadzenia do meteorologii, pozwalałem, żeby inni, bardziej nastawieni na robienie kariery studenci marzyli o dniu, kiedy będą mogli opowiadać Ameryce o pogodzie, stojąc przed kamerą. Ja tymczasem bujałem w obłokach, a dokładniej w cumulonimbusach, które zmieniają się w wysokie i gwałtowne superkomórki burzowe wywołujące tornada.

Jednak dziesięć lat później to ja byłem człowiekiem, który miał okazję opowiadać rodakom o pogodzie, chociaż ta sposobność nie miała nic wspólnego z przekazywaniem pięciodniowej prognozy. Otrzymałem za to szansę, żeby wyjaśniać i poznawać na własnej skórze, na czym polega piękno i brutalna siła ekstremalnej pogody, występując w programie, który był czymś pomiędzy operą mydlaną, badaniami terenowymi i X Games. Oczywiście podszedłem do *Storm Chasers* w taki sam sposób, w jaki zawsze podchodzę do łowienia burz: z podnieceniem poszukiwacza niebezpiecznych przygód, ciekawością naukowca (w 2010 roku miałem zrobić doktorat z meteorologii) i ogromną pasją człowieka, który nigdy nie może przestać łowić burz.

EPILOG

Wewnątrz tornada

Następną granicą, którą zamierzałem przekroczyć, dążąc do odkrycia licznych tajemnic gwałtownych zjawisk meteorologicznych występujących na świecie, było dotarcie jak najbliżej tornada. A właściwie jeszcze bliżej. Musiałem się dostać do środka trąby powietrznej.

Umożliwia to wykonany na zamówienie pojazd do łowienia burz, którym dziś jeżdżę.

Ręcznej roboty maszyna, która obecnie służy mi za samochód do łowienia burz, czyli „czołg na tornada”, niewątpliwie przeniesie mnie dalej w głąb nieznanego terytorium i w odleglejszą przyszłość. Ten pojazd zrodził się właściwie z jednego prostego pytania: co się dzieje tam w środku? Według mnie pewne największe znaki zapytania w nauce zajmującej się tornadami – zaraz do nich dojdę – znikną dopiero wtedy, gdy naukowcy będą mogli zbierać dane wewnątrz tornada. Dlatego uznałem, że mój pojazd powinien się nadawać do tego, żeby mnie tam zabrać.

Byłem zachwycony, że zespół, który zatrudniłem do stworzenia pojazdu do łowienia burz, zaczął prace modyfikacyjne na bazie czegoś lepszego niż mój stary chevrolet lumina. W styczniu 2009 przystąpił do wprowadzania przeróbek w SUV-ie marki Chevrolet Tahoe 2008, który kupiłem fabrycznie nowy rok wcześniej. Zdarzyło mi się to po raz pierwszy.

Kiedy Chris Chittick i ja poznaliśmy przy piwie w pewnym barze na zachodzie Michigan Kevina Bartona, przyszłego kierownika zespołu, który pracował nad Dominatorem, oraz jego szwagra Bena Christie, tamci

pomyśleli, że jesteśmy czubkami. „Chcecie zaparkować ten wóz na drodze czego?”

Ale Kevin jest bardzo utalentowanym mechanikiem, który konstruował i naprawiał wszystko, od wózków golfowych po samochody wyścigowe. (Dowiedziałem się o nim od swoich znajomych ze starego Grand Rapids, klubu golfowego w Michigan, w którym pracowałem podczas wakacji w szkole średniej i na studiach). Ostatecznie mój entuzjazm go przekonał i natchnął.

Kevin i jego dwunastoosobowy zespół pracowali po szesnaście godzin na dobę w warsztacie znajdującym się kawałek na południe od Grand Rapids, żeby w niecałe trzy miesiące przygotować samochód na wiosenny sezon łowienia burz 2009. Kiedy 4 kwietnia zaparkował swoje dzieło na moim podjeździe w Norman, byłem zdumiony. Tahoe przeszedł metamorfozę. Był najbardziej zwariowanym samochodem, jaki kiedykolwiek widziałem. Wyglądał jak coś pomiędzy poduszkowcem, myśliwcem i trampkiem do koszykówki marki Air Jordan.

Obeszliśmy go z Kevinem dookoła. Pokazał mi wszystkie funkcje. Wykonane na zamówienie zawieszenie po włączeniu przełącznika umieszczonego w kabinie obniżało pojazd o ponad 15 centymetrów, żeby mógł „przykucnąć” podczas huraganowych wiatrów. Gumowa listwa wokół całego nadwozia nie pozwalała im wiać pod samochodem i potencjalnie unieść go w powietrze. Klatka zabezpieczająca wykonana z czterocentymetrowych rur otaczała zewnętrzną część pojazdu i była do niego przymocowana w czternastu różnych punktach. Następnie Kevin przyspawał do tej klatki drugie stalowe poszycie i zainstalował w nim obsługiwane ręcznie okna z lexanu (tego samego materiału, którego używa się do produkcji szyb kuloodpornych). Zainstalował także plastikową

kopułę na dachu, żeby zrobić miejsce dla peryskopowej kamery wideo HD. Na koniec pomalowaliśmy całość na bordowo.

Oficjalna nazwa tego potwora brzmi TVN (skrót od „TornadoVideos.Net”) Storm Research Vehicle (pojazd TVN do badania burz), ale my lubimy nazywać nasz czołg na tornada Dominatorem.

Dominator jest wyposażony w najnowocześniejsze przyrządy do zbierania danych. Umieszczony na samochodzie wiatromierz mierzy poziomą prędkość wiatru i pokazuje jego kierunek. Równocześnie zrobiony na zamówienie radar o rozmiarach aktówki, przeznaczony do zamontowania na dachu, mierzy pionową prędkość wiatru, czyli to, jak szybko wiatr porusza się do góry w tornadzie. Dominator pozwolił mi zbliżyć się do tornad bardziej niż kiedykolwiek wcześniej i pomaga mi wtedy zebrać więcej danych.

Wiele futurystycznych akcesoriów Dominatora przeznaczonych do obserwowania pogody zawdzięczam Radiance Technologies Incorporated (RTI), firmie technologicznej z Missisipi, która ma liczne powiązania z przemysłem obronnym (mój zespół łowców burz pracuje teraz z wieloma z tych inżynierów w Tupelo w Hyperion Technology Group, firmie z centralą w Missisipi). Ludzie z RTI od dawna byli fanami programu *Storm Chasers*, dlatego firma skontaktowała się ze mną w 2008 roku, żeby dać mi znać, że opracowała pewne intrygujące rozwiązania techniczne, które można by z pożytkiem zaadaptować do badań nad tornadami.

Niedługo potem zwiedziłem biura i laboratoria RTI w Oxfordzie w stanie Missisipi. Pokazano mi zminiaturyzowane radary używane przez żołnierzy do śledzenia torów lotu wystrzelonych kul. Inżynierowie z RTI uważali, że zdołaliby zastosować tę samą technikę do stworzenia niewielkiego, odpornego na bombardowanie zestawu, który mógłbym

wykorzystać do mierzenia prędkości poziomych i pionowych wiatrów, kiedy będę w pobliżu lub wewnątrz tornada.

Po co poświęcać tak dużo przemyśleń i energii całemu temu oprzyrządowaniu? Otóż dla naukowców zajmujących się tornadami pomiary prędkości wiatru na poziomie ziemi mają coś ze Świętego Graala. Obecna konwencjonalna technika radarowa pozwala mierzyć jedynie prędkość, jaką tornada osiągają na wysokości dziesiątków czy setek metrów, która, co zrozumiałe, jest inna niż na powierzchni ziemi. Tymczasem „sondy” do badania tornad, które są zbyt rozbudowanymi, ważącymi sto kilkadziesiąt kilogramów stacjonarnymi pojemnikami wypchanymi czujnikami i inną aparaturą, również nie zdołały dostarczyć definitywnych odpowiedzi. Problem z sondami polega na tym, że naukowcy muszą je zawczasu umieścić na ziemi przed nadciągającym tornadem i mieć nadzieję, że przejdzie ono dokładnie nad urządzeniem. Jednak taki prawdziwy strzał w dziesiątkę – umieszczenie sondy bezpośrednio na drodze rdzenia tornada – okazywał się trudny czy wręcz niemożliwy.

Jestem przekonany, że musimy się bardziej starać, żeby poznać te prędkości, bo moim zdaniem nie doceniamy tornad. Nie jestem w tym odosobniony. Wielu naukowców uważa, że najsilniejsze wiatry wewnątrz tornada występują właśnie przy ziemi, co jest istotne, ponieważ to właśnie te wiatry mają bezpośredni wpływ na nas wszystkich. Wiry, które dzisiaj potrafią zobaczyć i zmierzyć naukowcy zajmujący się tornadami i meteorolodzy z National Weather Service dzięki swemu radarowemu instrumentarium, są być może groźniejsze, niż się wydaje. Wewnątrz pozornie stosunkowo skromnego tornada mogą się czaić te mniejsze, niezwykle gwałtowne minitornada, które są w stanie roznosić budynki albo wyrzucać w powietrze duże przedmioty niczym pociski. Te przedmioty

mogą być następnie wciągane wyżej przez silne prądy wstępujące. Może właśnie na takie tornada powinniśmy być zawsze przygotowani. Może te silne minitornada powinno się uważać za normę, ale jak dotąd nie mamy pojęcia, w którym miejscu wewnątrz większych wirów nagle się pojawiają.

Tak czy inaczej uważam, że jednym z najlepszych sposobów lepszego poznania funkcjonowania tornad jest ciągle umieszczanie skomplikowanej aparatury pomiarowej w samych trąbach powietrznych. Być może da się to osiągnąć jedynie dzięki naukowcom i łowcom burz mającym na tyle silną obsesję i odpowiedni sprzęt – narzędzia w rodzaju Dominatora – żeby samemu zająć miejsce wewnątrz tornada. To znaczy, żebym to ja zajął miejsce wewnątrz tornada.

Ja jednak jestem na tyle przy zdrowych zmysłach, że zgłębiam nowinki techniczne, które mogłyby się okazać przydatne przy przechwytywaniu tornad i wykonywać dla mnie podobne zadanie zbierania danych. W związku z tym znów muszę wspomnieć o RTI. Podczas sezonu burzowego 2009 skorzystaliśmy nie tylko z techniki radarowej tej firmy. RTI pomogła nam także opracować zdalnie sterowany samolot i jego ładunek. To nie jest zabawka. Ten warty 30 000 dolarów, zbudowany ręcznie drewniany samolot o rozpiętości skrzydeł wynoszącej 365 centymetrów (zaprojektowany przez konstruktora modeli latających Bruce'a Tharpe'a z Oregonu) może przez 60 minut latać z prędkością 80 kilometrów na godzinę i jest wyposażony w dwie kamery HD potrafiące transmitować na żywo obraz wideo. Został również przystosowany do przenoszenia i rozmieszczania dziesięciu supernowoczesnych, zaopatrzonych w spadochrony sond meteorologicznych do badania tornad.

Te lekkie sondy w piankowej powłoce wykorzystują technikę GPS i zostały zaprojektowane do rejestrowania prędkości wiatru, temperatury, ciśnienia atmosferycznego, punktu rosy oraz obrazu wideo w wysokiej

rozdzielczości. W 2009 roku celem Chada Williamsa, pilota sterującego samolotem z ziemi, było naprowadzenie go na tyle blisko tornada, żeby uwolnione sondy mogły opaść na spadochronach, jedna po drugiej, w napływ burzy (strumień powietrza zasysanego przez tornado), a najlepiej w jego prąd wstępujący. Nigdy wcześniej nikt nie próbował bezpośrednio zmierzyć takich zmiennych meteorologicznych wysoko w górze i wewnątrz trąby powietrznej.

15 czerwca 2009 roku Chad, mój przyjaciel Don Giuliano i kilku innych członków naszego zespołu obsługującego samolot przystąpili do dzieła, zaparkowawszy w odległości kilku kilometrów od tornada, które zeszło w pobliżu miejscowości Maxwell w Kansas. (Ja siedziałem w tym czasie w Dominatorze, rejestrując dane wiatru pionowego o imponującej prędkości, gdy to samo tornado przeszło tuż przed nami).

Chad umieścił samolot na wysokości 1200 metrów i udało mu się rzucić kilka sond w prąd wstępujący tornada. Jedna z nich spełniła wiele z naszych oczekiwań. Została wessana przez tornado i wrzucona w prąd wstępujący, który wyniósł ją na wysokość mniej więcej 1200 metrów. Jej czujniki temperatury i wilgoci sygnalizowały – nawet gdy sonda wydostała się z wirujących wiatrów i opadła w dół z tyłu tornada – stałą obecność ciepłego, wilgotnego powietrza. Zgodnie z powszechną wiedzą, sonda powinna była natrafić w tym prądzie zstępującym, pojawiającym się za tornadem, na chłodniejsze, suche powietrze, dlatego zacząłem się zastanawiać, czy rzeczywiście wiemy wszystko o powietrzu krążącym wokół tornada. Oczywiście jedna sonda nie daje rzetelnych odpowiedzi, ale zebrane przez nią dane skłaniają mnie do stawiania pytań.

Samolot wrócił z misji bez szwanku, co było osiągnięciem samym w sobie. Ponieważ istniało ryzyko, że tornado wessie w swój wir mój kosztowny samolot, Chad był zmuszony sterować nim z odległości kilku

kilometrów od burzy. Robił to z siedzenia pasażerskiego ciężarówki należącej do naszego zespołu, która posuwała się w dole w ślad za samolotem. Tamten dzień w Kansas był chrztem bojowym zarówno dla pilota, jak i dla maszyny.

Muszę dodać, że wyzwania stojące przede mną i przed resztą mojego zespołu będą coraz większe. Chcę się dowiedzieć dużo, dużo więcej o tornadach i jestem gotów wraz ze swoim sprzętem i kolegami posunąć się jeszcze dalej w imię nauki badającej tornada. Już do tego doszło: Dominator nie miał jeszcze roku, gdy wrócił do warsztatu Kevina Bartona, gdzie miał zostać przerobiony, dostać więcej koni mechanicznych i twarde, wytrzymałe, syntetyczne poszycie z elastomeru, które będzie chroniło samochód przed kantówkami i innymi odłamkami zmienianymi przez tornada w pociski pędzące z prędkością 250 kilometrów na godzinę. Mój zespół inżynierów zaprojektował także armatki przeznaczone do zamontowania na Dominatorze, które mogą wystrzeliwać sondy wprost w wir. Mówi się również o przystosowaniu Dominatora do poruszania się po wodzie. Tak, być może nadejdzie taki dzień, kiedy będę mógł podróżować po lądach i morzach, obserwując nie tylko tornada, ale także trąby wodne i huragany nad wodą. Bądźcie na bieżąco!

Samochody na zamówienie? Elastomer? Zewnętrzne poszycie ze stali? Wewnątrz tornada?

Odpowiadam na to wszystko pytaniem: a czego się spodziewaliście?

Nawet gdybym się poruszał pieszo, dlaczego miałbym ścigać wirujące burze tylko w Alei Tornad? Albo zapuszczać się najwyżej do kanadyjskich prowincji? Od Australii do Indii i jeszcze dalej – tornada schodzą na ziemię na całym globie. Czemu by nie jeździć po świecie w poszukiwaniu takich burz? Szkolić innych łowców burz, naukowców i pracowników służb

ratowniczych. Być światowym ambasadorem tornad. To właśnie jestem zdecydowany robić, ilekroć nadarzy się okazja.

Zrobiłem już pierwszy krok, żeby wywiązać się z tego zobowiązania. Po latach oglądania na radarze i w telewizji, jak tworzą się tornada na południowoamerykańskiej wersji Alei Tornad, powitałem nowy rok 2010 na półkuli południowej, łowiąc burze w Argentynie. Większą część swojej dwutygodniowej podróży spędziłem na zachód od Buenos Aires, w rejonie zwanym Pampą. Towarzyszył mi telewizyjny zespół realizatorski (być może nasze argentyńskie przygody zostaną pokazane w telewizji) oraz międzynarodowa grupa łowców burz.

„Pampas” to dosłownie „równiny” i rzeczywiście ten żyzny nizinny teren przypomina Wielkie Równiny. Centralna część Pampy, w środkowej Argentynie, jest płaskim, rzadko zaludnionym obszarem rolniczym, na którym bardzo często pojawiają się gwałtowne zjawiska pogodowe. Co roku na Pampie odnotowuje się dziesiątki tornad (zapewne znacznie więcej nie zostaje odnotowanych), a burze uderzają na ogół wtedy, gdy niebo nad Ameryką Północną jest wolne od tornad. Dla mnie trudno byłoby o lepsze zgranie w czasie.

Gdy 27 grudnia 2009 roku wysiadłem z samolotu w Ameryce Południowej, wiedziałem, że zdobędę cenne doświadczenia przed kolejnymi zamorskimi wyprawami. Do jakiego rodzaju świata wkraczałem?

Pierwszą rzeczą, jaką zauważyłem, było coś znajomego.

– To niesamowite – powiedziałem do Chrisa Chitticka, gdy wychodziliśmy na poranne słońce z Międzynarodowego Portu Lotniczego imienia Juana Pistariniego w Buenos Aires. – Na zewnątrz jest ciepło i wilgotno. Jak w wiosenny dzień w Norman. – Wciągnąłem powietrze przez nos. – I pachnie jak na Alei Tornad – dodałem.

Chris włożył okulary przeciwsłoneczne. Byliśmy już na nogach przez większą część doby, przeważnie kisząc się w samolotach. Odczuwaliśmy skutki podróży.

Niestety potrzebowaliśmy kilku godzin, żeby wypożyczyć na lotnisku trzy samochody i załatwić dla każdego z nich maksymalny zakres ubezpieczenia. Natychmiast wstawiłem pozycję „nauczyć się mówić miejscowym językiem” do swojej listy spraw do załatwienia przed wyruszeniem na połów burz za granicę. Z drugiej strony bariera językowa uchroniła nas przed koniecznością podania pracownikowi wypożyczalni samochodów wielu szczegółów naszej „wycieczki krajoznawczej”.

Nasza grupa była zbieraniną dwudziesto- i trzydziestoparolatków, w skład której oprócz mnie i Chrisa wchodził kamerzyści i realizatorzy Chris Whiteneck i Robert Seaman, znajomi łowcy burz Scott Currens i J.R. Hehnly oraz pełniący funkcję koordynatora do spraw bezpieczeństwa i szefa logistyki Dustin „Bobo” Feldman. Później mieliśmy jeszcze zabrać po drodze dwóch argentyńskich meteorologów.

Drugą rzeczą, którą szybko sobie uświadomiłem podczas pobytu za granicą, była ogromna niecierpliwość argentyńskich kierowców. Od lat nie prowadziłem samochodu z ręczną skrzynią biegów, ale w wypożyczalni były dostępne tylko takie. Moje kiepskie umiejętności posługiwania się sprzęgłem – następnym razem będę musiał poćwiczyć przed wyjazdem – dało się zauważyć za każdym razem, kiedy zatrzymywałem się przy jednym z licznych wokół Buenos Aires punktów poboru opłat.

– Trąbią na ciebie, Reed – powiedział Chris Chittick, uśmiechając się z rozbawieniem, kiedy po uiszczeniu opłaty zgasł mi silnik.

Za mną szybko urosła kolejka samochodów i wściekłych kierowców, a wszyscy naciskali na klakson. Przez chwilę grzebałem się z dźwignią,

ponownie uruchomiłem silnik i niechęć wystartowałem z piskiem opon, ruszając w dalszą drogę naszym niewielkim czerwonym formem kombi.

Ani problemy z dźwignią zmiany biegów, ani brak snu nie były w stanie mnie zmusić do zwolnienia tempa. Na wiele dni przed wyjazdem analizowałem modele synoptyczne dla Ameryki Południowej i data naszego przylotu wydawała się obiecująca, jeśli chodzi o aktywność tornad w zachodniej części Pampy. Znad Andów zmierzała w tamtym kierunku duża zatoka niżowa, co oznaczało, że ten region będzie przyciągał wiatry. Równocześnie własny niski prąd strumieniowy Argentyny – który tak jak jego odpowiednik z Wielkich Równin przenosi ciepłe, wilgotne powietrze – nasilał się, przemieszczając się od strony Chile na wschód, na argentyńskie niziny. Zważywszy na to wszystko, miałem nadzieję, że zaobserwujemy powstawanie wirujących burz.

Nie można powiedzieć, że ten konkretny układ pogody był czymś wyjątkowym. Tak jak Aleja Tornad, rejon Pampy służy za naturalny punkt przecięcia dla odmiennych warunków atmosferycznych, które w połączeniu wywołują burze. Gorące i wilgotne powietrze napływa z dorzecza Amazonki na północy, a Ocean Antarktyczny dostarcza zimnego powietrza z południa. Na zachodzie pogoda panująca w ośnieżonych Andach sprzyja powstawaniu uskoku wiatru i utrzymywaniu zimnego powietrza wysoko w górze. Kiedy te warunki raz się pojawiają, raz znikają, Pampa staje się czymś w rodzaju „południowej Alei Tornad”.

Jednak podczas podróży 720 kilometrów na zachód od Buenos Aires do naszego miejsca docelowego znajdującego się na północ od miasta Santa Rosa przypominano mi, że Pampa to nie zupełnie to samo co Aleja Tornad. Kiedy zatrzymaliśmy się przy drodze, straciłem z oczu Scotta Currensa i mały srebrny chevrolet, którym jechał (podróżowaliśmy w karawanie złożonej z kilku samochodów). Pojechałem w złą stronę ulicą

jednokierunkową i mnóstwo argentyńskich kierowców wściekle błyskało na mnie światłami.

W końcu zjechałem na stację benzynową i wskazałem na dystrybutor.

– Gasolina – powiedziałem i czekałem, aż pracownik stacji weźmie do ręki uchwyt węża.

Mężczyzna pokręcił głową i nie posunął się nawet o centymetr do przodu.

– Nada, nada – powiedział.

Nada? Czy to nie znaczy „nic”? – pomyślałem.

– Gasolina – powtórzyłem.

Tym razem pracownik stacji mówił do mnie po hiszpańsku mniej więcej przez piętnaście sekund, a potem znów pokręcił głową.

– Jesteś pewien, że to właściwe słowo? – zapytał mnie Chris Whiteneck, gdy wyłonił się ze sklepiku na stacji. Miał kubek aromatycznej kawy i kanapkę z szynką, która wyglądała bardzo apetycznie. Szybko nauczyłem się słowa „jamón” (szynka) i podczas pobytu w Argentynie zjadłem jej całe mnóstwo.

– No, a jakie jest to właściwe słowo? – spytałem Chrisa.

Wzruszył ramionami i odszedł na bok, żeby zjeść kanapkę. Czy na wiejskich terenach Argentyny ktoś w ogóle mówił po angielsku?

Podniosłem wzrok na błękitne niebo. Był wczesny wieczór i widziałem burze szalejące ponad 150 kilometrów na zachód od nas. Widoczność była zadziwiająca. Nie było żadnych zanieczyszczeń atmosferycznych pojawiających się od czasu do czasu na Alei Tornad ani zamglenia, które biorą się z kurzu niesionego wiatrem na północ z Wyżyny Meksykańskiej do Stanów Zjednoczonych.

Trzydzieści minut później nasza karawana znów była w komplecie, a baki pełne (przez dwadzieścia minut pokazywałem dystrybutor

niewłaściwego paliwa – do diesla). Jechałem na zachód jak szalencie, rozgrzany mocną kawą i niegasnącą nadzieją, że dogonię tornado już pierwszego dnia pobytu w Ameryce Południowej. Ale nawet kiedy mój samochód osiągał prędkość 160 kilometrów na godzinę, jadąc po płaskich szosach obsadzonych eukaliptusami, nadal byłem wyprzedzany przez miejscowych. W końcu znalazłem kraj, w którym nie uchodziłbym za szybkiego kierowcę.

Dotarliśmy w rejon burzy o zmroku, a ponieważ znajdowaliśmy się na półkuli południowej, burza była zorientowana dokładnie odwrotnie niż na Alei Tornad. Podstawa znajdowała się na południu zamiast na północy, a napływ powietrza również następował z południa. Gdyby z burzy wyłoniło się tornado, wirowałoby zgodnie z ruchem wskazówek zegara. Chmura burzowa była piękna – wysoka, stalowoniebieska i czarna, z dobrze wykształconym kowadłem. Z pewnością miała mnóstwo narastającej energii.

Niestety, burza przemieszczała się na północ, oddalając się od naszej drogi prowadzącej ze wschodu na zachód. Jedyna trasa z południa na północ, którą J.R. Hehnly zdołał znaleźć dzięki swojemu internetowemu łączu satelitarnemu, była drogą gruntową.

– Będzie po prawej stronie – zapowiedział z forda J.R. przez walkietalkie. – Za jakieś pół kilometra.

Nie chciałem porzucić pościgu, ale nie bardzo miałem ochotę robić objazd. Chociaż jestem optymistą, wyobraziłem sobie, że coś pójdzie źle na drodze gruntowej, na przykład jeden z samochodów stoczy się lub ześlizgnie do rowu, tak jak ja w Kansas w 2004 roku. Gdybyśmy mieli wypadek pośrodku wiejskich obszarów Argentyny, do kogo byśmy zadzwonili? Kto by mnie zrozumiał? Z trudem umiałem kupić benzynę.

Jak było do przewidzenia, pragnienie pościgu zwyciężyło. Podążaliśmy wyboistą drogą za burzą przez wiele kilometrów, aż samochody pokryły się kurzem i błotem. Akurat kiedy pomyślałem, że nie możemy jechać dalej z powodu przemęczenia i wysokiej trawy na coraz gorszej drodze, burza pierwsza odmówiła posłuszeństwa. Coś, co zaledwie kilka minut wcześniej było niesamowitą komórką burzową, teraz zmieniło się w zanikającego, nieszkodliwego cumulonimbusa. Nie bardzo wiedziałem, co poszło nie tak.

W końcu w gasnącym świetle dnia dotarliśmy do utwardzonej drogi. Chris Chittick obejrzał się przez lewe ramię i dostrzegł coś między nami a zachodzącym słońcem.

– Spójrz na to – powiedział, klepiąc mnie w prawą rękę i wyglądając z tyłu forda. – Niesamowita.

Na południowy zachód od nas była jeszcze jedna gwałtownie rosnąca komórka burzowa. Dochodziła 20.30. Wszyscy jechaliśmy na oparach.

– Prawdopodobnie jest sto kilkadziesiąt kilometrów stąd – powiedziałem przez walkie-talkie.

– Czy ktoś zasypia za kierownicą? – zapytał Bobo. – Czy dalszy pościg jest bezpieczny?

Nie poddawaliśmy się, jadąc argentyńską drogą krajową numer 35 w stronę miasta Santa Rosa. W tym czasie burza znalazła się dokładnie na zachód od nas. Niebo było czarne jak smoła, lecz silne błyskawice z komórki burzowej zapowiadały dobre wieści. Zjechaliśmy na pobocze drogi, żebym mógł opowiedzieć o szczegółach do kamery.

– Mamy tu potężne tornado klinowe, tuż na północny zachód od Santa Rosa – powiedziałem, wskazując lewą ręką w kierunku horyzontu i patrząc w obiektyw. Dzięki rozbłyskom widać było wyraźny klin. – Jest bardzo nisko nad ziemią – dodałem.

Później w świetle błyskawic zobaczyliśmy, że prawdopodobnie były to dwa tornada. Oba zeszyły, wirując z superkomórki cyklicznej.

Obserwowaliśmy je przez chwilę, a potem znów ruszyliśmy na południe, w stronę Santa Rosa. Jednak zanim dojechaliśmy do miasta, pojawił się jeszcze jeden dowód gwałtownej pogody. Na drodze, która była zastawiona pojazdami służb ratunkowych, leżały drzewa o pniach grubości 30 centymetrów. Wydaje mi się, że zostały powalone wcześniej przez wiatry prostoliniowe wiejące z prędkością 145 kilometrów na godzinę na przednim skraju burzy. Na najdalszym krańcu tej samej burzy, jak sądzę, były tornada, które dojrzeliliśmy w świetle błyskawic.

Uczciliśmy to w Santa Rosa, jedząc empanadas – małe pierożki nadziewane mięsem – i pijąc cervezas. Jakoś wykrzesaliśmy z siebie dość siły, żeby podnieść szklanki z piwem do toastu. Po spędzeniu około czterdziestu ośmiu godzin z otwartymi oczami, przeleceniu samolotem 8800 kilometrów i przejechaniu samochodem dalszych 800 w obcym kraju mogliśmy śmiało twierdzić, że przechwytywaliśmy tornada w Argentynie. Jeden z nielicznych miejscowych mówiących po angielsku powiedział mi, że każdy z nas to „cazador de tornado”, co po hiszpańsku znaczy dosłownie „łowca tornada”. Był to obcojęzyczny zwrot, którego wyjątkowo nie zapomniałem.

W Argentynie moje odczucia były takie same, jakie byłyby, gdybym ścigał cyklony w Australii czy tajfuny na Filipinach albo trąby powietrzne na Alei Tornad: chciałem zbliżyć się do burzy. Każdy cazador de tornado, który twierdzi, że uwielbia gwałtowną pogodę, na egzotycznej wyprawie łowieckiej pragnie zobaczyć coś więcej niż odległy klin oświetlony błyskawicami. Ja chciałem poczuć moc południowoamerykańskiej burzy. Chciałem oglądać odłamki – oby tylko roślinne – lecące w „złym” kierunku.

Argentyńskie burze okazały się dla mnie równie nieuchwytnie jak język tego kraju. W drugim dniu podróży nasza karawana pojechała na północ, do kolonialnego miasta Córdoba, a w trzecim do północno-wschodniego miasta San Francisco. Nie dopadliśmy żadnego tornada i czwartego dnia też nic nie zobaczyliśmy.

Sylwestra spędziliśmy w mieście Mar de Plata na wschodnim wybrzeżu Argentyny i chociaż nie mogliśmy znaleźć żadnego argentyńskiego tornada, jedno z nich omal nie znalazło nas. 1 stycznia, kiedy myśleliśmy, że będziemy odpoczywać na piasku i pływać w Atlantyku, tuż nad nami pojawiło się coś, co miało zadatki na superkomórkę.

– Widzisz pod spodem? Wiruje – powiedział Scott Currens, wskazując miejsce, gdzie wyglądało, jakby chmura stropowa prawie muskała wodę.

Obaj staliśmy na piasku, kompletnie ubrani, z kamerą w rękę, podczas gdy pół miasta tłoczyło się na plaży, korzystając z wolnego dnia.

– Wiruje dość mocno – dodał.

Zobaczyliśmy płaską szarą superkomórkę zasilaną napływającym powietrzem, które burza zasysała z północy. Nie wiedziałem, czego się spodziewać w następnej chwili. Tornada? Trąby wodnej tuż przy plaży? Bawiący się mieszkańcy Mar del Plata nie wyglądali na zaniepokojonych, przynajmniej póki nie zaczął padać deszcz i grad. Wtedy pobiegli się schować. Ostatecznie burza przemoczyła Scotta i mnie do suchej nitki, i na tym koniec.

Zanim znów wyruszyliśmy na zachód, żeby przetrząsnąć każdy centymetr Pampy, do naszego zespołu łowców burz dołączyło dwóch nowych członków. Ramiro Saurral i Matías Bertolotti mają około trzydziestu lat i obaj są doktorantami meteorologii na Uniwersytecie Buenos Aires. Na jesieni 2009 roku, kiedy ogłosiłem na Tornadovideos.net,

że wybieram się do Ameryki Południowej łowić burze, Ramiro skontaktował się ze mną, posługując się nienaganną angielszczyzną.

Czy byłbym zainteresowany, napisał w e-mailu, spotkaniem podczas naszej podróży? To proste zaproszenie przerodziło się w coś znacznie ważniejszego. Ramiro i Matías okazali się najsympatyczniejszymi facetami, jakich kiedykolwiek poznałem. Przedstawili mnie swoim wykładowcom na uniwersytecie oraz meteorologom i urzędnikom z Servicio Meteorológico Nacional, to znaczy argentyńskiego odpowiednika National Weather Service. Pomyślałem, że świetnie mieć takie znajomości na wypadek, gdybym jeszcze kiedyś chciał prowadzić badania terenowe w Argentynie. Tymczasem Ramiro i Matías przyłączyli się do nas na kilka ostatnich dni łowienia burz w Ameryce Południowej. Byli naszymi tłumaczami, przyjaciółmi i cennymi doradcami podczas wyprawy. Kupowanie benzyny stało się znacznie łatwiejsze, kiedy byli w pobliżu.

– Może powinieneś mieć więcej cierpliwości do tutejszych burz, Reed – powiedział mi Ramiro któregoś dnia. Pędziliśmy w kierunku prowincji Mendoza we wschodniej części Pampy, a on siedział na tylnym siedzeniu forda, pochylając się do przodu, żeby porozmawiać. – Tutaj burze zachowują się chyba inaczej niż na Alei Tornad – dodał.

Ramiro miał rację. Argentyńskie burze najwyraźniej nie dysponują aż taką energią ani nie są tak natychmiastowe jak te, które często spotykałem na Alei Tornad. Jedną z przyczyn może być to, że występująca w niższych warstwach atmosfery inwersja hamująca rozwój konwekcji (cap), która na Wielkich Równinach powodowałaby, że superkomórki gromadziłyby energię, aż stałyby się groźne, w Ameryce Południowej nie jest tak silna. W Argentynie uskok wiatru, powiedział Ramiro, również jest bardziej niekonsekwentny. Ramiro i Matias zaproponowali, żebyśmy zaczęli łowienie burz o wcześniejszej porze dnia, a potem trzymali się tych, które

mogłyby wywołać tornado, dłużej, niż robilibyśmy to w Stanach Zjednoczonych. Powiedzieli, że te burze mogą potrzebować czasu, żeby się rozwinąć.

Mimo to któregoś dnia zjawiliśmy się zbyt późno, żeby dostać się pod pięciocentymetrowe kule gradu, który spadł w pobliżu miasta Santa Isabel (tamtego dnia naprawdę chciałem stracić przednią szybę). Pomyliliśmy się w ocenie innej burzy i na naszych oczach rozpadła się piękna superkomórka na wschód od San Rafael. Modele synoptyczne dla Pampy też nie były zbyt pomocne. Jestem rozpieszczony przez dostępne w Stanach Zjednoczonych stopy danych synoptycznych, które dostarczają precyzyjnych informacji na temat pogody meteorologom i łowcom burz takim jak ja. Argentyna, podobnie jak większość krajów na świecie, nie może sobie pozwolić na gromadzenie danych obserwacyjnych z niezliczonych stacji pogodowych, lotnisk, balonów meteorologicznych, a nawet samolotów.

Ostatni dzień łowienia burz w Argentynie nie był odpowiednim momentem, żeby uzalać się nad sobą. Zamiast tego wstaliśmy wcześniej niż zwykle, żeby ruszyć w drogę. Zwracałem mniejszą uwagę na radar, za to częściej spoglądałem w niebo. Kiedy w końcu dostrzegłem superkomórkę na północ od miejsca, w którym się znajdowaliśmy, w pobliżu Santa Rosa, postanowiliśmy podążać za tą burzą. Przypomniałem sobie, że przecież przez lata łowiłem burze bez mobilnego dostępu do szerokopasmowego internetu, uaktualnianych na bieżąco danych radarowych czy naszpikowanego aparaturą Dominatora. Być może jedna z lekcji, jaką miałem wynieść z pobytu w Ameryce Południowej, pomyślałem, jest taka, że powinienem pamiętać o swoich dobrych instynktach meteorologicznych. Skoro zamierzałem łowić burze na całym świecie, lepiej, żebym był gotów polować na tornado, mając do pomocy niewiele więcej niż swoją wiedzę. Sprzęt może być różny, od najbardziej zdumiewającego czołgu na tornado,

jaki kiedykolwiek zbudowano, po stary motocykl, mapę i kompas. Musiałem polegać na tym, co zawsze miałem ze sobą – na swojej wiedzy. Na swojej odwadze. Na swoim instynkcie.

W końcu zjechaliśmy na pobocze drogi tuż na zachód od miasta San Luis. Zaparkowałem samochód pod jedną z najpiękniejszych superkomórek burzowych, jaką kiedykolwiek widziałem. Wysokie czarne chmury miały cudowną pofałdowaną białą obwódkę. Chmura stropowa była bladoniebieska. Ogon bobra (pasmo niskich chmur układających się wzdłuż granicy napływu powietrza) ciągnął się kilometrami i wyglądał jak skrzydło odrzutowca. Powietrze było gęste od wilgoci napływającej z jasnozielonego stepu Pampy.

To był wreszcie język, który rozumiałem.

Spojrzałem w górę i zachwyciłem się piękną chmurą stropową, która wirowała zgodnie z ruchem wskazówek zegara. Potem zaczerpnąłem głęboko powietrza i czekałem, aż zejdzie tornado.

Podziękowania

Najpierw chcę podziękować swojej rodzinie.

Gdyby nie moja mama Susan Tolbert, nie ma mowy, żebym był dzisiaj łowcą burz, a co dopiero meteorologiem, który zarabia na życie, robiąc to, co kocha, w każdym sezonie tornad i huraganów. Jako nauczycielka przedmiotów przyrodniczych z tytułem magistra geologii mama zaznajomiła mnie z naukami przyrodniczymi, zanim nauczyłem się czytać. Chociaż większość rodziców zniechęca swoje dzieci do wybierania słabo opłacanych zawodów, moja mama zawsze mnie wspierała i uczyła, że robienie tego, co się kocha, powinno być jedyną rzeczą, która się liczy. Będę dozgonnie wdzięczny za mamę, która nie tylko wciąż się o mnie troszczyła, ale także zachęcała, żebym kierował się pasją we wszystkim, co robię.

Chciałbym również podziękować swoim siostrom, Cortney i Daynie, które zawsze były niesamowitymi przyjaciółkami. Dayna zastępowała mi młodszego brata, bo kiedy była mała, łapała ze mną owady i węże, podczas gdy większość dzieci z sąsiedztwa panicznie bała się wszystkiego, co wyciągaliśmy z lasu za naszym domem. Starsza siostra, Cortney, ogromnie przyczyniła się do tego, że zainteresowałem się meteorologią. Niewiele osób aż tak się pasjonuje pogodą, żeby nagrywać na magnetofon wszystkie piosenki z lokalnych prognoz w Weather Channel, a to właśnie robiła moja siostra. Prawdę mówiąc, jestem bardzo zdziwiony, że i ona nie została łowcą burz!

Chociaż po rozwodzie rodziców moje kontakty z tatą były ograniczone, chciałbym mu bardzo podziękować za to, że ogromnie mnie wspierał w ostatnich kilku latach. Jestem bardzo dumny, że pojechał ze mną ścigać burze w 2004 roku, nie mając pojęcia, czego się spodziewać, i bardzo wdzięczny za to, że pomógł mi zrealizować plan budowy Dominatora, podczas gdy większość osób uważała ten pomysł za szaleństwo.

Jestem także bardzo wdzięczny wszystkim z Uniwersytetu Oklahomy.

Chcę podziękować swojemu promotorowi pracy magisterskiej i doktorskiej doktorowi Peterowi Lambowi, który nauczył mnie nie tylko metodologii badań naukowych, ale także zwracania uwagi na szczegóły oraz zasad profesjonalizmu. Poza tym doktor Lamb przez lata tolerował moje ciągłe łowienie burz, chociaż z łatwością mógł sobie znaleźć innego asystenta badawczego z bardziej „przyziemnymi” i mniej wymagającymi zainteresowaniami. Bez cierpliwości i rad doktora Lamba, dotyczących zarówno mojego życia zawodowego, jak i prywatnego, nie ma mowy, żebym choć w przybliżeniu był tym, kim jestem dzisiaj, jako naukowiec i jako łowca burz. Zawsze będę miał wobec niego dług wdzięczności i zawsze będę go darzył bezgranicznym szacunkiem, nie tylko jako jednego z najwybitniejszych klimatologów naszych czasów, ale również jako człowieka. Któregoś dnia w końcu go przekonam, żeby wybrał się ze mną Dominatorem na połów burz!

Nie ma mowy, żebym był w stanie wywiązać się ze wszystkich obowiązków studenckich i badawczych na Uniwersytecie Oklahomy, łowiąc równocześnie burze, gdyby nie pomoc sekretarki i asystentki doktora Lamba, Luwandy Byrd. Kiedy trzeba było oddawać prace pisemne, ja często uganiałem się za tornadami 1000 kilometrów od kampusu, a Luwanda zawsze mnie kryła.

Chcę także podziękować niektórym z moich wspaniałych wykładowców z Instytutu Meteorologii OU: doktorowi Lance'owi Lesliemu, doktorowi Howiemu Bluesteinowi, doktorowi Michaelowi Richmanowi, doktorowi Brianowi Fiedlerowi i doktorowi Jeffowi Basarze. Wszyscy oni dzielili się własnym zamiłowaniem do meteorologii i przekazywali swą ogromną wiedzę studentom, między innymi mnie. Pomimo swoich przełomowych dokonań w tej dziedzinie oraz pracy nad ważnymi projektami badawczymi zawsze wkładali maksimum wysiłku i troski w prowadzenie zajęć i przygotowywanie następnego pokolenia meteorologów do wyzwań czekających ich w prawdziwym świecie.

Muszę także podziękować doktorowi Andrew Mercerowi, który jest jednym z moich najlepszych przyjaciół i prawdopodobnie najbardziej utalentowanym meteorologiem, jakiego kiedykolwiek poznałem. Na OU Andrew i ja zawsze siadaliśmy obok siebie na zajęciach na studiach licencjackich oraz na szczególnie wymagających zajęciach na studiach magisterskich i często pracowaliśmy razem przy projektach badawczych, rozwiązywaniu zadań i przygotowaniach do egzaminów. Andrew pomagał mi nadrobić zaległości, kiedy opuszczałem zajęcia z powodu ścigania tornad. Jemu znacznie lepiej niż mnie szło łączenie łowienia burz ze studiami, nic więc dziwnego, że szybciej niż ja obronił doktorat i wykłada na Uniwersytecie Stanowym Missisipi.

John Esterheld, James Rogers i Don Giuliano byli w czasie studiów moimi kolegami z gabinetu dla magistrantów. Teraz Don i John pracują ze mną w Tornadovideos.net, prowadząc interesy. Bez tych chłopaków, przyjaciół i kolegów z gabinetu studia magisterskie nie byłyby nawet w połowie tak przyjemne.

Oczywiście chcę podziękować wszystkim pozostałym z Tornadovideos.net:

Joel Taylor od dziesięciu lat jest moim partnerem do łowienia burz. Joel to jedyny z moich przyjaciół – i prawdopodobnie jedyny człowiek na świecie – gotów wsiąść ze mną do tego samego samochodu po tych wszystkich naszych najniebezpieczniejszych i najodważniejszych wyprawach. Toleruje moje ciągłe podekscytowanie i zaangażowanie emocjonalne, które, jestem tego pewien, po jakimś czasie może się stać cholernie irytujące, zwłaszcza że praktycznie mieszkamy w jednym samochodzie podczas każdego sezonu tornad i huraganów. Joel zawsze wspierał Tornadovideos.net oraz moje wysiłki zmierzające do tego, żeby utrzymywać się z łowienia burz, podczas gdy wszyscy inni z mojego otoczenia mówili mi, że to niemożliwe, że to strata czasu. Jak tu przeczytaliście, przez te lata mieliśmy swoje wzloty i upadki, ale nie potrafię wyrazić słowami, jak lojalny i pomocny był zawsze Joel. Jest niezastąpiony jako najlepszy przyjaciel i partner. Nikomu innemu nie powierzyłbym prowadzenia Dominatora. Może to robić tylko Joel „Stretch” Taylor.

Chris Chittick i ja jesteśmy bliskimi przyjaciółmi od czasów szkoły średniej, kiedy razem pracowaliśmy w wakacje w Watermark Golf Club. Chris zawsze mnie wspierał, nawet jeśli oznaczało to dla nas ryzyko utraty pracy, gdy jechaliśmy przez trzydzieści sześć godzin bez przerwy z Michigan do Saskatchewan samochodem bez klimatyzacji, żeby ścigać jakieś marginalne układy burzowe. W 2000 roku Chris rzucił wszystko, między innymi dobrze płatną pracę i dziewczynę, żeby przeprowadzić się do Norman w Oklahomie i zostać moim partnerem w bardzo ryzykownym i prawdopodobnie nieopłacalnym przedsięwzięciu – łowieniu burz.

Chciałbym również podziękować Heidi Farrar i Dave’owi Demko, moim partnerom z firmy, dzięki którym Tornadovideos.net utrzymuje się na powierzchni. Są najbardziej pracowitymi ludźmi na świecie, a także

niesamowicie oddanymi przyjaciółmi. Oboje pracują dzień i noc, starając się, żeby nasze interesy i badania posuwały się do przodu. Bez nich absolutnie bym sobie nie poradził.

Dick McGowan jest jednym z najlepszych fotografów tornad i wszystkiego, co ma związek z naturą, jakich kiedykolwiek poznałem. Dick zrobił kilka spośród zadziwiających zdjęć z łowienia burz, które widzieliście w tej książce, i brał udział w programie Discovery Channel *Storm Chasers* w minionym sezonie jako zaufany kierowca naszego samochodu towarzyszącego, czego jedynym celem było zrobienie zdjęcia Dominatora wjeżdżającego w tornado.

Bez Dave'a Holdera nie zobaczyłbym swojego pierwszego kanadyjskiego tornada. Dave był jedynym z moich przyjaciół na tyle zwariowanym, żeby pojechać na te łowy samochodem z Oklahomy do Saskatchewan i Manitoby, poświęcając swojego hyundaia accenta, dzięki czemu tamta wyprawa mogła dojść do skutku. Dave jest teraz zaufanym przewodnikiem w naszej firmie Extreme Tornado Tours, oferującej wycieczki połączone z łowieniem burz.

Pragnę podziękować wszystkim z Discovery, zwłaszcza Billowi Howardowi, George'owi Neighborsowi, Joshowi Weinbergowi, Kirkowi Denklerowi i Michaelowi Haasowi.

I na koniec: nie byłoby tej książki bez pomocy kilku bardzo istotnych osób.

Do jej publikacji przyczyniła się moja agentka literacka Lisa Grubka i jej współpracownicy z Foundry Literary + Media. Lisa od początku popierała pomysł wydania książki o łowieniu burz i zrobiła znacznie więcej, niż można było oczekiwać od niej jako agentki, żeby uczynić z *Łowcy burz* możliwie najlepszą książkę. Chciałbym również podziękować

Tii Maggini, która przedstawiła mnie Lisie, najlepszej agentce literackiej na świecie.

Pragnę także podziękować redaktorce Carrie Thornton. Kiedy po raz pierwszy spotkaliśmy się z zainteresowanymi wydawcami w sprawie publikacji *Łowcy burz*, Carrie zdecydowanie wyróżniała się spośród innych i od razu wiedzieliśmy, że to ona jest redaktorką, jakiej potrzebujemy do tej książki. Pasja, z jaką starała się stworzyć jak najlepszy tekst, i entuzjastyczne podejście do tematu łowienia burz były bardzo widoczne podczas naszego pierwszego spotkania, a jeszcze bardziej podczas wspólnej pracy nad tym projektem. Zawsze osobiście reagowała na wszelkie moje obawy czy sugestie zgłaszane podczas całego procesu wydawniczego, niezależnie od tego, jak śmieszne mogły się wydawać, a jej priorytetem zawsze była moja satysfakcja z produktu końcowego. Dziękuję, Carrie!

W wydawnictwie Dutton chciałbym także podziękować Lily Kosner, Avie Kavyani, Lizie Cassity, Christine Ball, Carrie Swetonic i Brianowi Tartowi. Lily za to, że poradziła sobie z lawiną moich maili, z którymi zwykle przesadzam, Avie, Lizie, Christine i Carrie za bardzo ciężką pracę przy promowaniu *Łowcy burz*, a Brianowi Tartowi, redaktorowi naczelnemu Dutton, za to, że uwierzył w ten projekt.

Co BARDZO ważne, chciałbym podziękować mojemu współautorowi, a teraz także bardzo dobremu przyjacielowi Andrew Tiliinowi. Przez ostatnich kilka miesięcy Andrew odkładał swoje sprawy na później, spędzając długie godziny na rozmowach ze mną, czy to osobiście, czy przez telefon, a nawet znosząc przez parę tygodni trudy podróży podczas łowienia burz w Argentynie, żeby lepiej zrozumieć moje życie obsesyjnego, ekstremalnego łowcy. Gdy po raz pierwszy przeczytałem szkic pisanych przez Andrew rozdziałów, miałem wrażenie, jakbym przeżywał na nowo wszystkie ważne momenty swojej kariery łowcy burz i życia w ogóle,

zarówno te dobre, jak i te złe, bo historia była opowiadana dokładnie tak, jak sam bym to zrobił, gdybym miał jego talent literacki. Mogę powiedzieć ze stuprocentową pewnością, że nie ma na świecie autora, który lepiej wywiązałby się z tego zadania albo pracowałby w połowie tak ciężko jak Andrew Tilin. Jestem dumny, że miałem okazję współpracować z nim przy *Łowcy burz* i równocześnie zdobyć wspaniałego przyjaciela.

Chciałbym również podziękować Kevinowi Bartonowi, Benowi Christiemu i Terry'emu Rosemie za to, że w ciągu ostatnich kilku lat poświęcili tak dużo ze swojego życia, projektując i konstruując Dominatora, i umożliwiając nam realizację celów, jakie stawiamy sobie podczas łowienia burz i prowadzenia badań naukowych, a także bratu Kevina Robowi Bartonowi i jego żonie Cindy oraz wszystkim innym przyjaciołom i członkom rodziny Kevina, którzy tak ciężko pracowali nad Dominatorem we Freeport w Michigan. Dziękuję również inżynierom z Hyperion Technology Group za ich ciężką pracę i poświęcenie podczas konstruowania naszej aparatury badawczej, takiej jak radar pionowy, samolot i system armatek.

Na koniec chciałbym podziękować swojej dziewczynie Ginger Zee oraz wszystkim przyjaciołom niewymienionym tutaj z nazwiska za ich wsparcie i wyrozumiałość podczas bardzo wymagającej pracy nad książką.

Słowniczek terminów meteorologicznych

Aleja Tornad – zwyczajowa nazwa obszaru w środkowej części Stanów Zjednoczonych odpowiadającego mniej więcej Wielkim Równinom, gdzie występuje więcej tornad niż gdziekolwiek na świecie. Na południu Aleja Tornad zaczyna się już w środkowym Teksasie i biegnie na północ aż do Dakoty Północnej. Na zachodzie sięga do wschodnich krańców stanów leżących w Górach Skalistych i rozciąga się na wschód aż do Minnesoty, a nawet obejmuje część Illinois.

Cap (inwersja hamująca rozwój konwekcji) – warstwa ciepłego powietrza na wysokości mniej więcej 1500 metrów nad ziemią. Działa ona jak „pokrywka” umieszczona na niższej warstwie atmosfery i może albo całkowicie nie dopuścić do rozwoju burz, albo utrzymywać się na tyle długo w ciągu dnia, żeby ciepło słoneczne doprowadziło do niestabilności konwekcyjnej i powstania jeszcze silniejszych burz po południu lub wieczorem.

CAPE (convective available potential energy, energia potencjalna dostępna konwekcyjnie) – wskaźnik służący do pomiaru energii unoszącej się cząsteczki powietrza, wyrażanej w dżulach na kilogram. Pomiar CAPE pomaga łowcom burz poznać aktualne możliwości unoszenia się ciepłego powietrza – a tym samym możliwość powstawania burz – w atmosferze. Uwagę łowców burz przyciągają na

ogół wartości CAPE rzędu 1500 dżuli na kilogram. Do powstawania gwałtownych zjawisk pogodowych przyczyniają się wartości CAPE wahające się od kilkuset do nawet 10 000 dżuli na kilogram. Ogólnie rzecz biorąc, im wyższa wartość CAPE, tym większe prawdopodobieństwo wystąpienia gwałtownych zjawisk w atmosferze.

Chmura stropowa – charakterystyczna zwarta masa gęstej kondensacji, która zwiesza się u podstawy prądu wstępującego chmury burzowej. Z wirujących chmur stropowych poniżej mezocyklonów superkomórek często schodzą tornada. Chmury stropowe pojawiające się zaledwie paręset metrów nad ziemią są nazywane „drapaczami ziemi”.

Ciśnienie atmosferyczne – siła (mierzona w hektopaskalach), z jaką na każdy punkt na powierzchni Ziemi wywiera nacisk słup znajdującego się nad nim powietrza. Do pomiaru ciśnienia atmosferycznego służy barometr (urządzenie wypełnione rtęcią, które rejestruje wyższe wartości, gdy ciśnienie powietrza wzrasta). Ciśnienie atmosferyczne na poziomie morza wynosi 1013,25 hektopaskala (ciśnienie na powierzchni Ziemi waha się mniej więcej od 1000 do 1040 hektopaskali). W centrum huraganów i tornad występuje znacznie niższe ciśnienie i właśnie dlatego wiatry w tego rodzaju burzach są przyciągane do wewnątrz.

Cumulonimbusy – przypominające wieże – osiągające wysokość nawet ponad 20 kilometrów – chmury burzowe, z których mogą powstawać wirujące superkomórki burzowe. Powstają, gdy gorące, wilgotne powietrze unosi się i skrapla w niestabilnej atmosferze.

Efekt Bernoulliego – prawo, nazwane tak na cześć osiemnastowiecznego holendersko-szwajcarskiego matematyka Daniela Bernoulliego,

wyjaśniające, dlaczego „płyn” (także powietrze), kiedy przepływa po górnej powierzchni danego przedmiotu szybciej, niż płynie w otaczającym powietrzu, powoduje różnicę ciśnień – niższe ciśnienie na górnej powierzchni niż w pobliżu. Ta różnica ciśnień wytwarza siłę nośną, a więc siłę, która jest potrzebna na przykład do tego, żeby skrzydła uniosły samolot z ziemi. Ta sama siła nośna pomaga tornadom zrywać dachy z budynków.

Front atmosferyczny – granica między dwiema różnymi masami powietrza. Zimny front jest granicą oddzielającą chłodne i ciepłe powietrze, kiedy chłodne powietrze wypiera ciepłe. Ciepły front jest granicą oddzielającą chłodne i ciepłe powietrze, kiedy ciepłe powietrze wypiera chłodne. Front stacjonarny powstaje wtedy, gdy żadna z tych mas powietrza nie uzyskuje przewagi.

Gustnado – krótkotrwały wir powietrza występujący podczas gwałtownej burzy, powodowany zwykle przez silne prądy zstępujące. Gustnada bywają mylone z tornadami – łowcy burz, żartując ze stróżów prawa, którzy często błędnie interpretują te wirujące wiatry, nazywają takie wiry „szeryfnadami”. Gustnada trwają na ogół zaledwie kilka sekund lub minut, są stosunkowo słabe w porównaniu z tornadami i w przeciwieństwie do nich nie łączą się z podstawą chmury burzowej.

Hodograf – diagram złożony z krzywych łączących wartości oznaczające prędkość i kierunek wiatru na wszystkich wysokościach w wybranym przekroju poprzecznym atmosfery. Kształty hodografów pomagają łowcom burz przewidywać uskok wiatru, którego obecność jest konieczna, żeby powstało tornado. Kiedy linie diagramu łączące wartości dotyczące wiatru tworzą dużą krzywiznę, oznacza to, że

szybkość i kierunek wiatru zmieniają się znacząco wraz z wysokością w danym miejscu, co wskazuje na większą skłonność wiatru skłaniającą wszelkie superkomórki w tym środowisku do szybszego wirowania.

Hook echo – echo radarowe w kształcie haka wskazujące na obecność mezocyklonu, a nawet tornada lub groźby pojawienia się tornada. Wygląda na radarze jak dodatek w postaci haka w południowo-zachodnim rogu superkomórki burzowej. Taki kształt bierze się stąd, że radar wychwytuje ruch fruwających odłamków krążących w kierunku przeciwnym do ruchu wskazówek zegara albo opady (deszcz lub grad) obracające się wokół mezocyklonu, czyli wirującego prądu wstępującego superkomórki. Opady te, tworzące strefę w kształcie haka, owijają się wokół tylnej części mezocyklonu za sprawą tylnego prądu zstępującego komórki burzowej (RFD). Gdy łowca burz usiłuje dogonić tornado od zachodu, często musi się „przebić” przez te opady, żeby móc dostrzec lej, co oczywiście jest bardzo niebezpieczne!

Huragan – osiągające prędkość wiatru co najmniej 119 kilometrów na godzinę huragany są silnymi cyklonami tropikalnymi, które w różnych częściach świata określa się różnymi nazwami. W zachodniej części północnego Pacyfiku nazywa się je tajfunami, na Oceanie Indyjskim i zachodniej części południowego Pacyfiku cyklonami tropikalnymi, a na północy Atlantyku, na Morzu Karaibskim, w Zatoce Meksykańskiej i w północnej części Pacyfiku przylegającej do Stanów Zjednoczonych huraganami. Podobnie jak tornada, huragany są wirującymi burzami zasilanymi wznoszącym się ciepłym, wilgotnym powietrzem, ale osiągają znacznie większe rozmiary i pozyskują większość swojego „paliwa” z ciepłych wód oceanu. Zanim jedna z tych wirujących burz zostanie zaklasyfikowana jako huragan, musi

wykroczyć poza niższe kategorie burz „cyklonicznych”, które na ogół powstają w tropikach: „depresja tropikalna” oznacza wiatry wiejące z prędkością nieprzekraczającą 61 kilometrów na godzinę, a „burza tropikalna” – wiatry o prędkości od 62 do 118 kilometrów na godzinę.

Klatka niedźwiedzia – w żargonie łowców burz niebezpieczny obszar leżący bezpośrednio na drodze tornada, zwykle tuż na północ od niego, a na północny wschód i południe od tej części superkomórki burzowej, która wywołuje silne opady deszczu. Wielu łowców burz boi się wjechać do klatki niedźwiedzia z obawy przed natrafieniem na grad wielkości piłek softballowych mogący zniszczyć samochód, którym się poruszają, albo nawet na samo tornado.

Kondensacja – proces występujący wtedy, gdy wilgotne powietrze unosi się do góry i ochładza się do temperatury krytycznej zwanej punktem rosy (wyjaśnienie poniżej), czego efektem są maleńkie kropelki wody zawieszane w powietrzu i tworzące chmurę. Łowcy burz są uzależnieni od obecności kondensacji, czyli skraplania się pary wodnej, bo bez tego nie byłoby superkomórek ani huraganów, które mogliby ścigać!

Konwekcja – w meteorologii konwekcja odnosi się do pionowego ruchu masy powietrza w atmosferze, zgodnie z zasadą, że cieplejsze (a zatem mniej gęste) powietrze unosi się, a chłodniejsze (a więc gęstsze) powietrze opada. Nasilająca się konwekcja w atmosferze oznacza, że powietrze jest „niestabilne”, czyli że przemieszcza się w górę i w dół. Pogoda występująca w związku z konwekcją – na przykład burze – bywa nazywana pogodą konwekcyjną. Do gwałtownych zjawisk konwekcyjnych należą burze wywołujące bardzo silne wiatry prostoliniowe (niewirujące), duży grad, a nawet tornado.

Kowadło chmury burzowej – szeroka, płaska chmura w kształcie kowadła występująca na znacznych wysokościach (do 18 000 metrów), która często tworzy się w szczytowej partii chmury burzowej i jest rozwiewana przez silne wiatry wiejące w wyższych warstwach atmosfery. Składa się przede wszystkim z kryształków lodu i powstaje wtedy, gdy szybko unoszące się wilgotne powietrze prądu wstępującego burzy zderza się ze stabilną „pokrywą” niższych warstw atmosfery, powodując, że kowadło chmury rozprzestrzenia się poziomo podobnie jak olej rozlany na cementową posadzkę.

Lej kondensacyjny – wirująca kolumna powietrza, która może zmienić się w tornado, jeśli dotknie ziemi.

Linia szkwału – szereg gwałtownych burz, które tworzą nieprzerwaną linię. Ponieważ burze z linii szkwału rywalizują ze sobą o ciepłe powietrze dostępne w otaczającej je atmosferze i są zwykle kojarzone z sytuacją, kiedy wypływ powietrza przewyższa napływ, na ogół nie tworzą tornad. W liniach szkwału powszechne są natomiast niszczycielskie wiatry prostoliniowe i imponujące ulewy.

Mammatusy – małe, ciekawie wyglądające chmury przypominające worki i sprawiające wrażenie, jakby zwisały ze spodu kowadła wysokiej chmury burzowej. Nie stanowią niezawodnej wskazówki aktywności burzowej i możliwości powstania tornad, ale są niesamowicie fotogeniczne i mogą mieć dość złowieszczy wygląd.

Meteorologia mezoskalowa – badanie warunków atmosferycznych na przestrzeni kilkuset kilometrów, między innymi takich zjawisk jak gwałtowne burze, tornada i huragany.

Meteorologia synoptyczna – badanie warunków atmosferycznych na przestrzeni ponad 1000 kilometrów. Nazywana także meteorologią wielkoskalową.

Mezocyklon – wirujący prąd wstępujący superkomórki burzowej, o szerokości w przybliżeniu od 1,5 do 10 kilometrów, który daje początek tornadom, kiedy te stykają się z ziemią.

Napływ powietrza – powietrze przyciągane do gwałtownej burzy przez jej prąd wstępujący. Gwałtowne burze i tornada są zasilane napływem wilgotnego, ciepłego powietrza. Miałem do czynienia z wiatrami związanymi z napływem powietrza wiejącymi z prędkością ponad 110 kilometrów na godzinę i łączącymi się z mezocyklonem superkomórki burzowej.

National Weather Service (NWS, Krajowa Służba Pogodowa) – część National Oceanic and Atmospheric Administration (NOAA, Krajowej Administracji do spraw Oceanów i Atmosfery) mająca za zadanie przygotowywanie prognoz pogody i klimatu dla Stanów Zjednoczonych. NWS ma 122 biura prognoz na terenie całego kraju. Każde z nich opracowuje prognozę pogody dla swojego rejonu zwanego County Warning Area (CWA, Okręgowy Rejon Ostrzegania).

Niski prąd strumieniowy (low level jet stream, LLJ) – szybko przemieszczający się (do 130 kilometrów na godzinę) strumień powietrza w niskich warstwach atmosfery (około 300 metrów nad ziemią) charakterystyczny dla Wielkich Równin Ameryki Północnej. Nazwa „prąd strumieniowy” odnosi się do wszelkich wąskich stref szybkiego przepływu powietrza istniejących w wielu miejscach atmosfery ziemskiej, jednak niski prąd strumieniowy ma zasadnicze

znaczenie dla powstawania szczególnie silnego uskoku wiatru na amerykańskich Wielkich Równinach.

Nowcaster – w żargonie łowców burz jest to zaufana osoba, która zostaje przed komputerem i pomaga skierować łowców do najlepszych dostępnych celów. Tradycyjnie nowcasterzy działali ze swoich domów lub z innych stacjonarnych lokalizacji i kontaktowali się z kolegami w terenie przez telefon.

Obszar docelowy – rejon, który zdaniem łowców burz sprawia wrażenie najbardziej sprzyjającego obserwacji tornad (albo huraganów, w zależności od tego, jakie gwałtowne zjawiska pogodowe ścigają) w danym dniu. Obszar docelowy może obejmować zaledwie kilka hrabstw albo być bardzo duży i ciągnąć się przez wiele stanów.

Odłamki – unoszące się w powietrzu przedmioty porwane przez wiatr podczas gwałtownej burzy. Odłamki stanowią jedne z największych zagrożeń podczas tornad i huraganów, ponieważ kamienie, gałęzie oraz mniejsze i większe fragmenty zniszczonych budynków i samochodów zmieniają się w pociski poruszające się z prędkością burzy.

Ogon bobra – szerokie, płaskie pasmo chmur układających się wzdłuż granicy napływu wilgotnego powietrza, przypominające kształtem ogon bobra. Zasadniczo tego rodzaju pasma związane z napływem powietrza („karmiącego” burzę) przemieszczają się ze wschodu na zachód lub z północy na południe, w kierunku prądu wstępującego gwałtownej burzy.

Oko huraganu – dziwnie spokojny obszar w centrum huraganu. Jego średnica waha się od 3 do ponad 190 kilometrów. W oku panuje

niezwykle niskie ciśnienie (wszystkie wiatry krążące wokół oka są przyciągane w kierunku tego obszaru niskiego ciśnienia). Najsilniejsze huragany charakteryzują się idealnie okrągłym, wyraźnym okiem. Wewnątrz oka takiego huraganu widać w górze błękitne niebo, podczas gdy wokół wiruje masywnie wyglądająca, zwarta ściana cumulonimbusów.

Pannusy – małe, niskie, postrzępione fragmenty chmury często spotykane poniżej podstawy cumulonimbusów. W przeciwieństwie do lejów kondensacyjnych i tornad, chmury pannus nie wirują, ale ich nagłe pojawienie się może być zwiastunem tworzenia się chmury stropowej.

Prąd wstępujący – prąd powietrza skierowany do góry. Burze są na ogół podsycane przez stosunkowo ciepłe i wilgotne prądy wstępujące. Tornado, mezocyklon i huragan są przykładem wirujących prądów wstępujących na różną skalę, czyli różnych rozmiarów.

Prąd zstępujący – prąd powietrza skierowany w dół. Prądy zstępujące często składają się z zimniejszego (gęstszego i cięższego) powietrza ochłodzonego przez padający deszcz i grad.

Przebijanie rdzenia – w żargonie łowców burz przejeżdżanie przez klatkę niedźwiedzia w rejonie burzy w celu przechwycenia tornada. Wielu łowców burz uważa, że przebijanie rdzenia jest niebezpieczne, i stara się tego nie robić.

Przechłodzone kropelki deszczu – kropelki tworzące chmurę lub kropelki deszczu, które nadal są w stanie ciekłym pomimo osiągnięcia temperatury niższej niż temperatura zamarzania wody, czyli 0 stopni Celsjusza. Podczas gwałtownych burz kropelki wody mogą ulec

przechłodzeniu, gdy unoszą się do góry w coraz zimniejszym powietrzu. Ponieważ pozostają w stanie ciekłym, mogą się powiększać (zderzając się z innymi przechłodzonymi kropelkami i drobinkami lodu), tworząc duże zamarzniete bryły, które mogą urosnąć do niesamowitych rozmiarów i w końcu spaść na ziemię w postaci gradu wielkości piłek softballowych. Rocznie tracę wiele przednich szyb w wyniku opadów tak dużego gradu podczas przebijania rdzeni superkomórek tworzących tornada!

Przejaśnienie (clear slot) – wyraźna szczelina w chmurze burzowej związana z obecnością suchszego powietrza, często mająca postać niewielkiego obszaru czystego nieba. Takie przejaśnienie stanowi dowód, że tworzy się tornado.

Przypływ sztormowy – spiętrzone masy wody spychane w kierunku brzegu przez silne wiatry huraganowe. Przypływy sztormowe mogą być ogromne – fala wywołana huraganem Katrina miała aż 7,5 metra wysokości. Są często najbardziej niszczycielskim elementem huraganu po jego dotarciu do lądu, nawet groźniejszym niż silne wiatry.

Punkt rosy – miara zawartości wilgoci w powietrzu. Z technicznego punktu widzenia jest to temperatura atmosfery, poniżej której para wodna zaczyna się skraplać. Wyższy punkt rosy – rzędu 16–26 stopni Celsjusza – często wiąże się z wyższymi temperaturami i większą niestabilnością atmosferyczną wyrażającą się wysokimi wartościami CAPE, a co za tym idzie, z silniejszymi burzami, pod warunkiem że zdołają one przebić cap i w pełni wykorzystać ciepło i wilgoć.

Radar dopplerowski – rodzaj radaru często wykorzystywany przez National Weather Service oraz inne służby meteorologiczne w celu

rozpoznawania i analizowania gwałtownych burz i wielu innych typów pogody. Czasza radaru dopplerowskiego wysyła wiązkę energii w postaci fal radiowych, a następnie mierzy natężenie odbitej wiązki wracającej do anteny oraz czas potrzebny jej na powrót. Zjawiska meteorologiczne, które powodują „wysoką odbiciowość” – to znaczy sprawiają, że duża część wiązki wraca do czaszy radaru – to między innymi ulewny deszcz i opady gradu związane z gwałtownymi burzami mogącymi wywoływać tornada.

Rapid update cycle (RUC, cykl szybkiej prognozy) – komputerowy model przepowiadania pogody, który raz na godzinę tworzy dostępne w internecie prognozy obejmujące wiatr, CAPE, skłonność wiatru i opady dla całych Stanów Zjednoczonych z wyprzedzeniem do dwunastu godzin. Łowcy burz często korzystają z RUC i portali internetowych z prognozami pogody, które pomagają im wybrać obszar docelowy i znaleźć okolice, w których wszystkie składniki niezbędne do powstania tornada będą na swoim miejscu.

Roping out (rozwieranie się tornada) – łowcy burz nazywają cieńsze tornada „linami” („ropes”) z powodu ich wyglądu, a proces rozwierania się tornada nazywa się „roping out”. Chociaż rozwierające się tornado wygląda niepozornie, to nie znaczy, że słabnie. W rzeczywistości może być na odwrót, gdy maleje średnica tornada. Wiatr może wtedy wirować jeszcze szybciej, ponieważ działa zasada zachowania skrętu.

Siła Coriolisa – zjawisko (nazwane na cześć francuskiego uczonego Gustave’a-Gasparda Coriolisa) powodujące zakrzywanie się wiatrów na skutek ruchu obrotowego Ziemi. Na półkuli północnej siła Coriolisa

sprawia, że wiatry skręcają w prawo. (Na półkuli południowej skręcają w lewo, a wiatry wiejące bezpośrednio nad równikiem w ogóle nie ulegają odchyleniu). Te skręcające wiatry przyczyniają się do powstawania i utrzymywania się cyklonów średnich szerokości geograficznych i cyklonów tropikalnych, takich jak huragany, oraz zatok niskiego ciśnienia, które wywołują tornada i burze śnieżne.

Skala Fujity – powszechnie używana skala służąca do oceny intensywności tornad, opracowana przez meteorologa Tetsuyę „Teda” Fujitę. Skala Fujity, inaczej skala F, jest sześciostopniowa i grupuje szybkość wiatru tornad na podstawie powodowanych przez nie zniszczeń. Tornado F0 charakteryzuje się wiatrem osiągającym szacunkową prędkość do 116 kilometrów na godzinę, F1: 117–180 kilometrów na godzinę; F2: 181–253 kilometry na godzinę; F3: 254–332 kilometry na godzinę; F4: 333–418 kilometrów na godzinę; F5: 419–512 kilometrów na godzinę. W 2007 roku skala F została zastąpiona nieznacznie zmodyfikowaną, tak zwaną ulepszoną (enhanced) skalą Fujity, czyli skalą EF.

Skala huraganowych wiatrów Saffira-Simpsona – skala opracowana w 1969 roku przez mieszkającego na Florydzie inżyniera budownictwa Herberta Saffira (rozszerzona później przez Roberta Simpsona, byłego dyrektora National Hurricane Center) dzieli huragany na pięć kategorii: kategoria 1 – z ciągłymi wiatrami osiągającymi prędkość od 119 do 153 kilometrów na godzinę; kategoria 2 – od 154 do 177 kilometrów na godzinę; kategoria 3 – od 178 do 209 kilometrów na godzinę; kategoria 4 – od 210 do 249 kilometrów na godzinę; kategoria 5 – powyżej 250 kilometrów na godzinę.

SkewT – wielu meteorologów i łowców burz kreśli diagramy skewT, żeby oszacować niestabilność atmosfery, a tym samym prawdopodobieństwo powstawania gwałtownych zjawisk konwekcyjnych. Wykorzystując dostępne dane z balonów meteorologicznych, łowcy burz nanoszą na wykres dane z odczytu temperatury i punktu rosy oraz ciśnienia (na różnych wysokościach) w atmosferze. Linie łączące punkty danych dają łowcom burz wyobrażenie o prawdopodobieństwie pojawienia się burz, a nawet tornad.

Skrętność wiatru – miara uskoku wiatru w atmosferze używana przez łowców burz do określania prawdopodobieństwa, że powietrze zacznie się poruszać ruchem spiralnym (co może prowadzić do powstawania tornad). Skrętność wiatru jest określana na podstawie intensywności uskoku wiatru, czyli jego zmiennej prędkości i zmieniających się kierunków oraz wysokości, na jakiej wieje w danej warstwie atmosfery. Łowcy burz uważają, że wartości skrętności wiatru osiągające 200 jednostek i więcej na wysokości do 1,5 kilometra od ziemi zwiększają prawdopodobieństwo wystąpienia silnych tornad.

Sonda naziemna – sonda naukowa (a konkretnie urządzenie do zbierania danych dotyczących tornad) zawierająca czujniki i innego rodzaju aparaturę rejestrującą umieszczoną wewnątrz solidnej obudowy. Takie sondy, żeby mogły dokonywać rzetelnych odczytów, muszą zostać umieszczone ręcznie na przewidywanej drodze tornada.

Storm Prediction Center (SPC, Centrum Prognoz Burzowych) – trzydziestoczteroosobowy oddział National Weather Service mieszczący się w Norman w Oklahomie. Zatrudnieni w SPC meteorolodzy mają za zadanie wydawać stale aktualizowane prognozy dotyczące

gwałtownych zjawisk pogodowych (takich jak tornada, burze, a nawet rodzaj pogody mogący powodować lub nasilać pożary lasów). SPC rozpowszechnia informacje między innymi przez swoją stronę internetową.

Stratusy – chmury warstwowe, które często są jednolite i niemal pozbawione charakterystycznych cech – tworzą szarą, monotonną powłokę na niebie i występują w niskich warstwach atmosfery. Przykładem takiej chmury jest nieszkodliwa mgła, ale stratusy na ogół towarzyszą także docierającemu do lądu huraganowi, ze względu na obfitość tropikalnej wilgoci w powietrzu. Podczas huraganu niskie stratusy bardzo szybko przemieszczają się po niebie.

Sucha linia – przebiegająca na ogół z północy na południe granica oddzielająca masy ciepłego, wilgotnego powietrza od mas gorącego i suchego powietrza, często spotykana na Wielkich Równinach. Zasadniczo sucha linia jest obszarem ścierania się gorącego i suchego powietrza napływającego z zachodu lub z południowego zachodu z ciepłym, wilgotnym powietrzem napływającym z południa lub południowego wschodu. Suche linie często wywołują gwałtowne zjawiska pogodowe.

Superkomórka burzowa – superkomórka jest najsilniejszą i najbardziej niszczycielską postacią gwałtownych zjawisk pogodowych. Tą nazwą określa się każdą burzę, w której występuje rotujący prąd wstępujący, czyli mezocyklon. Superkomórki dzieli się na ogół na niskoopadowe i wyskoopadowe. Często przybierają one kształt grzyba lub latającego spodka. Superkomórki odpowiadają za skrajne zjawiska pogodowe,

takie jak grad wielkości piłek baseballowych czy nawet softballowych, ulewne deszcze i tornada.

Superkomórka cykliczna – superkomórka burzowa, która jest w stanie wytworzyć wiele tornad. W obrębie superkomórek cyklicznych mezocyklon tworzy liczne ciasne wiry, z których każdy może zapoczątkować tornado z prawdziwego zdarzenia. Superkomórki cykliczne mogą także sprowadzać na ziemię równocześnie kilka tornad w różnych stadiach rozwoju (na przykład klin, komin, lina).

Ściana oka – ściana intensywnych burz otaczająca oko, czyli środek cyklonu tropikalnego, takiego jak huragan, tajfun czy burza tropikalna. Ściana oka to najbardziej intensywna część cyklonu tropikalnego, ponieważ jest punktem, w którym zbiegają się wszystkie wiatry wiejące w kierunku środka burzy. Te wiatry zasilają burze ściśle wypełniające ścianę oka, które z kolei przynoszą więcej deszczu, więcej ciepła i wiatrów.

Ścieżka zniszczeń – widoczna gołym okiem ścieżka na ziemi utworzona przez tornado. Ścieżki zniszczeń charakteryzują się wyłobieniem na powierzchni ziemi, połamanymi i ogołocionymi z liści roślinami i zniszczeniem przedmiotów wytworzonych przez człowieka.

Tornado (trąba powietrzna) – pionowa kolumna wirującego powietrza, która wyłania się z chmury i dotyka ziemi. Tornado mogą być wąskie albo mieć ponad 1,5 kilometra szerokości, wirować z prędkością przekraczającą 500 kilometrów na godzinę i trwać kilka minut albo kilka godzin. Przybierają różne kształty. Opisując tornado, łowcy burz często używają takich określeń, jak „komin”, „trąba słońca”, „świder”, „klin” czy „stożek”. Intensywność tornad szacuje się na podstawie

ogromu dokonanych przez nie zniszczeń zgodnie ze skalą Fujity (wyjaśnioną wyżej).

Tylny prąd zstępujący (rear flank downdraft, RFD) – skierowany w dół gwałtowny ruch powietrza, które krąży wokół mezocyklonu komórki burzowej. RFD sprowadza czasem opady (deszcz i/lub grad), ale na ogół tworzy go stosunkowo suche powietrze, które utraciło wiele ze swej wilgoci, opadając w dół z tyłu komórki burzowej. Naukowcy snują teorie, że wyższe temperatury RFD mogą mieć związek z superkomórkami burzowymi tworzącymi tornada. Ponieważ RFD dokładnie otacza mezocyklon, na jego szczycie może powstać obszar ciaśniejszego wirowania. Naukowcy uważają, że to „ścieśnione” wirowanie może doprowadzić do powstania tornada.

Uskok wiatru – różnica w szybkości i kierunku wiatru na dwóch różnych wysokościach nad ziemią. Obecność uskoku wiatru może sprawić, że powietrze z dolnych warstw atmosfery zacznie intensywnie wirować w poziomie.

Warstwy atmosfery – licząc od Ziemi, są to: troposfera, stratosfera, mezosfera i na koniec termosfera. Większość ziemskich zjawisk pogodowych zachodzi w troposferze, która bywa również nazywana „dolną atmosferą”, i właśnie w niej skupia się niemal cała występująca w atmosferze wilgoć. Na biegunie północnym i południowym troposfera ma grubość mniej więcej 8 kilometrów, a nad równikiem około 16 kilometrów.

Wiatry prostoliniowe – wiatry wywołane burzą, które nie wirują.

Wir – ruch spiralny każdego „pływu” (także powietrza). Tornada, mezocyklony i huragany są wirami różnych rozmiarów.

Wiry ssące – miniaturowe tornada, które często pojawiają się wokół i wewnątrz większych tornad macierzystych. Nikt nie wie, jak dokładnie i dlaczego pojawiają się te mniejsze wiry, ale naukowcy uważają, że wiry ssące mogą dysponować siłą wiatru trzy do czterech razy większą niż „wir macierzysty”. Ich obecność może wyjaśniać, dlaczego jeden dom w obrębie ścieżki zniszczeń tornada może zostać poważnie uszkodzony, podczas gdy sąsiedni będzie nienaruszony.

Wypływ powietrza – powietrze oddalające się od burzy, często w postaci zimnego wypływu spowodowanego padającym deszczem i gradem. Jeśli wypływ jest wystarczająco silny, może odciąć burzę od napływu ciepłego, wilgotnego powietrza i doprowadzić do jej osłabnięcia.

Zaburzenie tropikalne – skupiska burz nad oceanem, które często gromadzą się wokół obszarów niskiego ciśnienia. Zaburzenia tropikalne mogą być zapowiedzią tworzenia się huraganu lub tajfunu.

Załadowany karabin – w żargonie łowców burz warunki atmosferyczne, które sprawiają wrażenie szczególnie dogodnych do powstawania gwałtownych burz i być może tornad. Wskazuje na to ciepłe, wilgotne powietrze gromadzące energię pod cap w atmosferze, która stanie się bardziej niestabilna, ogrzewając się w ciągu dnia i zwykle osiągając maksymalną temperaturę późnym popołudniem. Łowcy burz mają nadzieję, że „załadowany karabin” „wystrzeli” – ciepłe, wilgotne powietrze eksploduje, przebijając cap, przy „szczytowym nagrzaniu”, kiedy niestabilność jest największa, i zmieni się późnym popołudniem i wieczorem w gwałtowne burze, a być może także w superkomórki

tworzące tornada. Warunki panujące w Norman rankiem 3 maja 1999 roku, w dniu, w którym rozpętało się tornado (zob. Rozdział 1), były klasycznym „załadowanym karabinem”.

Zatoka niskiego ciśnienia – fala niskiego ciśnienia i zimnego powietrza, która przemieszcza się na wschód wraz z wysokim prądem strumieniowym i może zapoczątkować gwałtowne zjawiska pogodowe. Zimne powietrze opada w kierunku południowym, żeby utworzyć zatokę niskiego ciśnienia na drodze prądu strumieniowego, czyli rzeki szybko poruszającego się powietrza płynącego na dużej wysokości w atmosferze w średnich szerokościach geograficznych. Gdy zatoka niskiego ciśnienia przesuwa się znad Gór Skalistych na Wielkie Równiny, wciąga na północ i do góry ciepłe, wilgotne powietrze pochodzące znad Zatoki Meksykańskiej w silne wiatry południowe wiejące na wschód od niej, dzięki czemu tworzy się niestabilność konieczna do powstawania gwałtownych zjawisk pogodowych. Łowcy burz często przeglądają komputerowe modele synoptyczne dla dużych obszarów w poszukiwaniu zbliżających się zatok niskiego ciśnienia w prądzie strumieniowym i na tej podstawie oceniają, na ile aktywne będą nadchodzące dni i tygodnie na Alei Tornad.

- ¹ To znaczy w Teksasie, nazywanym tak niekiedy z powodu gwiazdy na fladze stanu (przyp. tłum.).
- ² Tak przekręcone imię i nazwisko autora znaczy po angielsku „musi błyszczeć” (przyp. tłum.).
- ³ To znaczy, że miały obwód około 30 centymetrów. Piłka baseballowa ma obwód ok. 20 centymetrów (przyp. tłum.).



Szerokie na ponad 1,5 kilometra tornado F5 w momencie szczytowej intensywności, na południowy zachód od Moore w Oklahomie, 3 maja 1999. Zwróćcie uwagę na niesamowicie gładką, cylindryczną chmurę stropową nad tornadem w kształcie klina. Nigdy nie widziałem tak idealnego połączenia superkomórki i tornada.



24 czerwca 2003 moi partnerzy do łowienia burz i ja patrzymy z niedowierzaniem, jak gwałtowne tornado F4 przetacza się z rykiem przez Manchester w Dakocie Południowej, niszcząc duży dom tuż przed nami.



To było tornado, na które czekałem przez całe życie – poruszające się powoli, na tyle niedaleko dróg, że mogliśmy podjechać bardzo blisko, i pięknie podświetlone od tyłu nad otwartymi polami uprawnymi. Niestety, to tornado F4 przestało być „idealne” wkrótce po zrobieniu tego zdjęcia, gdy szeroki na 800 metrów klin ruszył wprost na małe rolnicze miasteczko Manchester w Dakocie Południowej.



Akurat kiedy pomyśleliśmy, że ta trąba powietrzna nie może być już bardziej fotogeniczna, przed lejem kondensacyjnym pojawiła się tęcza. Tornado, mające na tym zdjęciu postać liny, nie zamierzało się rozwiać i nadal oscylowało pomiędzy grubszym kominem lub trąbą słonia a cienką liną.



Małe fotogeniczne tornado w kształcie liny nad hrabstwem Shannon w Dakocie Południowej, 6 czerwca 2007.



Klasyczna trąba słońca na północnym zachodzie Oklahomy, 26 kwietnia 2009.



Silne tornado powodujące znaczne szkody w wiejskim domu na wschód od Elk City w Oklahomie, 9 października 2001. Joel i jego rodzina przyjaźnią się z mieszkańcami tego domu, którzy na szczęście uciekli przed gniewem tego tornada F3. Biała smuga u podstawy tornada okazała się izolacją i innymi przemieszonymi odłamkami pochodzącymi z domu.



Reed filmuje tornado z Elk City w Oklahomie przekraczające drogę zaledwie 400 metrów na północ. Tornadu towarzyszyły niesamowite wiatry napływające, wiejące nam w plecy. Wkrótce nasiliło się do kategorii F3 na wschód od nas. Było to moje pierwsze udane łowienie burz z Joelem i początek naszego długiego, choć od czasu do czasu niestabilnego, partnerstwa.



Piękna chmura szelfowa pędząca przez Aleję Tornad nad polami uprawnymi przed potężną linią szkwału.



Wyraźnie odcinające się na tle nieba tornado z superkomórki cyklicznej w hrabstwie Briscoe w Teksasie, 28 marca 2007. Był to wspaniały początek najlepszego sezonu łowienia burz, jaki kiedykolwiek miałem. *(fot. David Demko)*





Piękne tornado powoli rozwiewające się na północno-zachodnich krańcach Oklahomy 4 maja 2007, zaledwie kilka minut po tym, jak zostaliśmy niemal bezpośrednio uderzeni przez tę samą, małą, lecz gwałtowną trąbę powietrzną. Widać również rozwijającą się na północy i na zachodzie – w czasie gdy zrobiono to zdjęcie – superkomórkę, która tamtego dnia wywołała w Greensburgu w Kansas tragiczne w skutkach tornado F5. W trawie można dostrzec świeżo spadły grad wielkości piłek baseballowych, a nawet softballowych.



Dominator przygotowany do swojego pierwszego sezonu łowienia burz wczesną wiosną 2009, za moim domem w Norman w Oklahomie.



Zawartość ważącej prawie 140 kilogramów, sfotografowanej od góry sondy do badania tornad. Wewnątrz osłony z poliwęglanu znajduje się rejestrator zapisujący w jednosekundowych odstępach czasu dane dotyczące prędkości i kierunku wiatru, kamera wideo HD oraz zasilacz.



Dominator szykuje się do przechwycenia rozwijającego się tornada w północno-środkowej części Dakoty Południowej w 2010. Z tyłu po prawej stronie dachu został zamontowany radar pionowy przeznaczony do pomiaru wiatrów wstępujących wewnątrz tornada.





Zespół Tornadovideos.net (Joel Taylor, Reed Timmer i Chris Chittick) stoi za Dominatorem, mając nad głową niesamowite mammatusy.



Reed dokumentuje przypływ sztormowy w Galveston w Teksasie, wywołany 13 września 2008 przez huragan Ike, który miał niebawem dotrzeć do lądu. Reed stoi w pobliżu pomnika na Galveston Island, upamiętniającego huragan z 1900.

Tytuł oryginału

Into The Storm. Violent tornadoes, killer hurricanes, and death-defying adventures in extreme weather

Copyright © 2010 by Reed Timmer

By arrangement with the author. All rights reserved

Copyright © for the translation by Łukasz Müller

Projekt okładki

Mariusz Banachowicz

Fotografia na okładce

Copyright © Carsten Peter/National Geographic/Getty Images/Flash Press
Media

O ile nie zaznaczono inaczej, fotografie pochodzą z archiwum autora.

Opieka redakcyjna

Julita Cisowska

Bogna Rosińska

Artur Wiśniewski

ISBN 978-83-240-2575-6

znak

Książki z dobrej strony: www.znak.com.pl

Społeczny Instytut Wydawniczy Znak, 30-105 Kraków, ul. Kościuszki 37

Dział sprzedaży: tel. [12 61 99 569](tel:126199569), e-mail: czytelnicy@znak.com.pl

Plik opracował i przygotował Woblink

woblink

woblink.com